

WALDEMAR ŁYSIAK



D o b r y

Nota wydawnicza

I

Takich ludzi jak „Książę” pokazują w kinach. Potem opuszczasz salę, marząc, iż jesteś „Księciem”, aż do przystanku, na którym pragniesz tylko, by nadjechał tramwaj. W życiu nie ma podobnych ludzi, tak jak nie ma spełnionych marzeń. Wszystko jest kłamstwem, wspomnieniem lub snem.

Długi czas byłem przy nim i muszę to opowiedzieć. Może opowiem źle, ale opowiem, co widziałem, a nikt nie widział więcej, niż ja. Tylko jednego nie mogłem zobaczyć. Zawsze chciałem ujrzeć, co ma w środku, lecz jak można to zrobić?

To był facet o pionowym starcie; gdy karuzela dała w cug, inni oglądali mu podeszwy, zostając coraz niżej, prócz kilku uczeplonych jego nogawek. Ciągnął ich do góry jak samolot, który holuje szybowce. Załapałem się w ten rejs, ale inną modą - trzymał mnie na rękę, niby własnego dzieciaka. Mówił, że moja obecność przynosi mu fart. Robiłem za maskotkę.

Był tak charakterny, że bardziej nie można. Twardy i spokojny, nie narywał się o byle co i na byle co, nie znalazłbyś w nim śladu pozerstwa, frajerskiego pieprzenia, wydziwiania i strojenia min. Kiedy ktoś go wkurzył, w oczach zapalała mu się cicha śmierć, bez żadnego grymasu, i to było tak straszne, że bali się nawet ci, którzy byli niewinni.

Pewnego razu, gdy już każdy kozak w Warszawie mówił o nim z szacunkiem, chciałem się przypoehlebić i powiedziałem mu, że jest sławny. Odpowiedział, nie patrząc na mnie, szeptem, który nie był podobny do żadnego innego szeptu:

- Lepiej być szczęśliwym, niż sławnym, „Fokstrot”.

Bo moje pseudo jest „Fokstrot”, od tego, że klawo tańczy. Zrozumiałem, co miał na myśli, chociaż nie zawsze mi się udawało, a innym jeszcze rzadziej (tylko „Petro” rozumiał każdy tekst „Księcia”, bo sam miał identyczny styl). Zapytałem:

- Jak to zrobić?

- To bardzo trudne - mruknął po chwili. - Trzeba albo znaleźć kogoś... albo myśleć każdego dnia kategoriami wieczności, zamiast tylko o tym, co masz jeszcze dzisiaj do zrobienia i co zrobili tobie inni.

Tego nie skapowałem od razu, chociaż było proste. Ale czym miałem chwytać w lot od razu wszystko ja, który słowo kategorii znałem tylko do wagi w ringu? „Książę” nadawał tyle frajerskich wyrazów, że z początku niektóre jego teksty były dla nas równie zrozumiałe jak nasza kmina dla frajerów ze śródmieścia. Uczyłem się przy nim i życia i tych wyrazów, a jak czegoś nie kojarzyłem, to szukałem w takim słowniku, gdzie napa-kowano same słowa z uniwersyteckiej kminy. Wtedy u każdego innego, ktoby mi zapodawał profesorskim bełgotem, wnerwiałoby mnie, lecz nie u niego. Jemu było z tym do twarzy. Jemu było do twarzy ze wszystkim, co robi i mówił.

Kminę i grypsere znalazł nie gorzej od przeciętnego chłopaka z „Dołu”, Pragi, Targówka i Grochowa, ale nigdy się nie posługiwał. To są gadki różne jak kurwa, co regularnie chodzi w miasto i cichodajka, taka jest odległość kminy od grypsery; pierwszą nadają urkowie spod cel, żeby psy i klawisze nie mogły trafić, co jest grane; grypsera to potoczny język tak zwanego marginesu, daleki od szyfru kminy, rozumiały nawet dla drewniaków. Kminę sprzedano milicji w sześćdziesiątym trzecim czy czwartym (kapusiom, którzy to zrobili, utopiono łby w kiblach), ale gdybym ja chciał pisać kminą, nie zrozumielibyście niczego. Grypsera też - tylko z początku byłoby to klawe, potem byście się zmęczyli. Czasami wrzucam jakiś fant, żeby frajer (przecież dla nich piszę) miał ubaw, ale to kiwka - wiem co kilka zdań gównianą bombkę na choince. Jakbym wśród chłopaków powiedział, że „Fokstrot” to mój pseudonim, poszedłbym pod fleki, bo pseudona to mieli towarzysze z lasu za Szwaba, a my mamy ksywy. Tylko „Książę” nie było ksywką - wymawialiśmy to jak dewoci imię Pana i zawsze między sobą lub o nim, bo do niego zwracaliśmy się po prostu: szefie.

Kiedy powiedział mi o szczęściu, zabrzmiało jak gdyby nie miał szczęścia, a przecież je miał. Może nie takie z „kategoriami”, lecz to zwykłe, od dnia, kiedy pojawił się na bazarze. Miał cholerny fart.

Mojej matce fart kojarzył się zawsze z Opatrznością Boską, ale „Książę” myślał inaczej. Duchownych i świętych olewał, tak się przynajmniej zdawało, bo jak mówił o nich, to używał słowa „klecha”, a kiedyś, gdy jechaliśmy na ulicę Świętego Stanisława i „Żbik” zaczął się kłócić z Pólkiem od którego Stanisława wzięła się ta nazwa, od tego, co go zwali Kostka, czy od tego, co go stuknął król, i spytali „Księcia”, który ważniejszy, „Książę” wzruszył ramionami i burknął:

- Nie wiem. Wielu świętych kanonizowano tylko za to, że byli dobrymi żebrakami.

Polek i „Żbik” zbaranieli i przestali się kłócić.

Ze mną wyciął lepszy numer. Od dzieciaka nie lubiłem księży, najbardziej od Wielkiej Nocy, kiedy z całą rodziną i z koszykiem poszliśmy do kościoła święcić jajo. Miałem sześć albo siedem lat i jak proboszcz machnął w nasza stronę kropidłem, to się wnerwiłem i wrzasnąłem:

- Czego chłapiesz, gnoju!

Ojciec tak mi zerznął tyłek, że przestałem chodzić na mszę i w każdą niedzielę, odstawiony jak do komunii, maszerowałem nad Wisłę przyglądać się wędkarzom. Po godzinie wracałem do domu z miną świętego, wsta-wiałem farmazon o tym, co mówił ksiądz na kazaniu i wszystko było cacy. To samo robiłem później, jak dorosłem, tylko już nie urywałem się nad Wisłę. Aż którejś niedzieli matka zobaczyła, że idę ulicą z „Księciem”, wtedy, kiedy miałem być na mszy. Podbiegła:

- Co ty tu robisz?! Miałeś być w kościele!

Szczerwieniłem jak dziabnięty frajer i zacząłem farmazonić:

- Mamuśka, ja... ja pójdę na pierwszą, bo właśnie mam ważną sprawę... ja... to jest właśnie mój szef, pan Stefan.

„Książę” uklonił się mamie z fasonem, ucałował ją w dłoń i powiedział:

- Bardzo panią przepraszam, to moja wina. Józek o pierwszej będzie na mszy, dopilnuję tego.

Mamie zrobiło się jakoś głupio, coś wymamrotała i odeszła, a „Książę” spojrzął na sikor (nosił zawsze staromodną „Doxę”, czniał te szpanerskie z cyferkami, za którymi wszyscy wariowali) i powiedział krótko:

- Zdążysz. Gdzie chodzisz, na Skaryszewską czy do Świętego Floriana?
- Do żadnego - odpowiedziałem.
- Długo tak okłamujesz matkę?
- Długo, szefie. Już nawet nie pamiętam od kiedy. Muszę to robić, bo zapłakałaby się na śmierć...

Przerwał mi:

- Od dzisiaj będziesz pamiętał, że w każdą niedzielę jesteś na mszy i to na tej samej, co twoja matka. Zrobisz jej tym przyjemność.
- Kurczę blade, szefie, ona chodzi na sumę, to trwa tyle czasu, że można wykorkować!
- Zrobisz, co kazałem!
- Szefie, ja w to wszystko nie wierzę, mam się zgrywać przed ołtarzem?! Lepiej, żebym dalej udawał, iż chodzę rano!

Pofilował na mnie tak, że mi ciary zjechały po krzyżu i wycedził (przedtem wyjął z ust zapałkę - nie palił, tylko wiecznie gryzł zapałki):

- Masz udawać tak, żeby sam Pan Bóg w to uwierzył! Zrozumiałeś, „Fokstrot”?

Zrozumiałem, ale znów nie wszystko. U niego nic nie było jasne na blachę; myślałem, że jest tak, a po jakimś czasie wychodziło, żeś się kropnął, bo jest nie tak, tylko prawie tak, albo zupełnie inaczej. Niby nie wierzył w Boga, a to „Pan Bóg” powiedział takim tonem, jakby mówił o kimś, z kim robi się interesy. Można nie wierzyć facetowi, z którym się je robi, lecz trudno nie wierzyć, że on istnieje. Tylko, jaki to interes, kiedy nie chodzi się do domu tego faceta i nie zaprasza go do siebie, bo w ogóle nie chce się z nim rozmawiać?

Dopiero po śmierci „Księcia” zrozumiałem wiele rzeczy, których nie pojmowałem, kiedy żył. Zrozumiałem, że Bóg był w nim, tak jak w drzewach, gwiazdach, kamieniach, w bydlętach i w wodzie ze źródła, więc nie musiał szukać Boga i klepać o nim, jak inni, ci, co uczenie przekręcają Pismo Święte, i ci tak głupi, jak wiejskie baby, które pieją w procesji, powtarzając bezmyślnie ze śpiewnika: „O Maryjoooo i te deee!”.

Podobnie było z księżmi ten obciach zaliczyli wszyscy, którzy (jak ja na początku) złapali „Księcia” za słowo i z tego słowa wyglówkowali prawdę, co wcale nic była prawdą, lecz zmyłką próbujących myśleć baranów.

Kiedy Lucek „Półton” dostał z czyjejs ręki trzy sztuki kosa przy gazowni na Powiślu i zeszywniał, księża zażądali od jego matki forsy na pogrzeb. Ale ona była pusta, ze zbierania flakonów po gołdzie ledwo jej na michę starczało. W zakrystii bez szmalu nie chcieli gadać. „Książę”, jak o tym usłyszał, powiedział spokojnie:

- To ich zawód, szewc bierze za buty, dlaczego oni mają się modlić za darmo?

I pojechaliśmy w dwa wozy do kościoła, nim nastał dzień. Dwóch chłopaków obudziło kościelnego, trzech wskoczyło do mieszkania proboszcza, wyjęło go z betów i tak jak stał, w gaciach i na bosaka, przyprowadziło do przedsionka, gdzie obok miski z wodą święconą czekał „Książę”. Proboszcz po drodze wyrwał się i groził, ale jak dostał kopa, to przestał szczekać i tylko się trząsał. „Książę” wyjął z portfela dziesięć czerwonych papierów i wrzucił je do święconej wody.

- To za pogrzeb Lucjana Kusia, bierz! - rozkazał.

Proboszcz się nie ruszył, ale szturchnięty w bok, wyciągnął grabę.

- Zębami, klecho! - dodał „Książę”.

„Dzek” i ja przygięliśmy gawronowi łeb; wyciągnął próchnem tych kilka stów, parskając jak pławiony kundel. Nie opił się za dużo, bo pływały po wierzchu.

- Staraj się przy tym pogrzebie, jeśli nie chcesz, żebym wrzucił tu trzy razy więcej i kazał ci połknąć razem z tą wodą, równie świętą, jak wy wszyscy! - rzucił „Książę” na odchodnym.

Myśleliśmy odtąd, że dla niego ksiądz to trefniak i szlus! A on znowu rozbełtał nam pod czaszką, innym pogrzebem!

Przed szkołą na Zwycięzców codziennie łąził emerytowany ksiądz i czekał, aż dzieciarnia wybiegnie z budy. Gadano, że ma zajoba, bo kiedy jeszcze spowiadał w kościele, za pokutę kazał sadzić drzewka. Potem widziało się go tylko na placyku przed Siódemką. Karmił gołębie i czekał na dzieci, które pokazywały mu dzienniczki i zeszyty, a on za piątkę dawał pięć złotych, za czwórkę cztery, za trójkę trzy, a za dwójkę cukierka („Żeby ci nie było przykro. Postaraj się jutro, to dostaniesz i ty pięć złotych”). Bachory szły do kiosku z lodami i wyśmiewały przygłupa. Zeszłej zimy staruszek odwalił kite

i ktoś doniósł „Księżu”, że żadnego z tych szczeniaków oraz ich wapna nie ma na mszy żałobnej, za trumną pójdą tylko ksiądz i dwie zakonnice. Ponad stu ludzi z ferajny dostało raketowy cynk: dwadzieścia minut na ogolenie się i przebranie! W trzy kwadransy potem, gdy karawan zajechał na Bródno, u wrót cmentarza czekał odstawiony tłum, z wieńcami, których nie powstydziliby się na swej trumnie pierwszy sekretarz partii. Dzwony biły, ptaki fruwały, frajerzy wytrzeszczali patrzalki, a myśmy deptali błoto za trumną do wtóru Chopina rżniętego przez orkiestrę, którą przysłał „Książę”. Dla jednego kopniętego klechy!

„Księżu” zawdzięczam wszystko: i to, że mam ułożone pod czapką, i to, że nie kibluję w recydywie, i odwyk, i zawód. Posłał mnie na termin do introligatora Biruka, który miał warsztat przy Radzymińskiej, a przed wojną był uczniem samego Radziszewskiego. Biruk nie ćpał grzbietów kolorowymi skórkami w kwiatki jak Radziszewski, bo na to dzisiaj nikogo nie stać i nie wyrobiłby na kieliszek chleba, pieprząc się z jedną książką przez dwa tygodnie, „nie te czasy - mówił - kiedy pan mistrz (to o Radziszewskim) walnął w skórę ze złotymi orłami trzy tomy «Polska, jej dzieje i kultura», a one kosztowały tyle, że za cztery komplety można było kupić sanacyjnego fiata i na światowej wystawie w Paryżu zabojady dali nam za to medaj dor, skubani!”. Dla dobrych klientów Biruk robił solidnie, w pół-skórki z bindami na grzbietach i z git kaszerowaniem; ciapciakom, zamawiającym najtańsze płótno, kleił picerkę stylową jak katana szyta u tandeciarza. A ja mu pomagałem i to mnie rajcowało, bo książki zawsze mi podchodziły i belfer nie musiał mnie gonić do Trylogii, czy „Pana Tadeusza”. Jak skończyłem termin, „Książę” zaczął mi dawać swoje książki do oprawy i za tę fuchę płacił mi osobno (stałą pensję brałem za szoferowanie).

Kurde mol, ależ on miał książki! Szyłem je i czytałem naraz. Kojarzę, iż po to właśnie kazał mi je lepić, a nie tylko na to, żebym zafarcił więcej grosza. Niektóre były filozoficzne, albo w obcym, to nie dla mnie. Inne, kornik je trącał! stare rzęchy, pisane za króla Ćwieka, polskim, ale tak, że nic nie mogłem wyrozumieć. Zdarzały się dracznne, albo o dracznym tytułach, jak ta Lombroso i Ferrero: „Kobieta jako zbrodniarka i prostytutka studia antropologiczne poprzedzone biologią i psychologią kobiety normalnej” (nie zasuwam z pamięci, jego biblioteka została u mnie). „Książę”, kiedy oddawałem tę książkę, śmiejąc się z jej tytułu, powiedział, że owszem, dwa ostatnie wyrazy są do śmiechu, ale się

nie roześmiał; tylko raz w życiu widziałem go śmiejącego się, w sekundę potem już nie żył.

Z początku daleko mi było do Biruka, lecz „Książę” wiedział, co robi. Najpierw kazał mi oprowadzić Dumasa Aleksandra. Ja was kręcę, to był Meksyk! Zwariowałem, tak mi podeszło. „Muskietierowie”, „Hrabia”, przestałem kimać, matka gasiła światło, a ja pod kołdrą dusiłem paluchową latarkę, jak wygłodzona panienka druta, podniecając się każdym zdaniem. Potem przyszedł London, Gołubiew, Twain, „Faraon”, „Na wschód od Edenu”, „Komu bije dzwon” - gites knigi! Cwanie to było wykombinowane, budował mi drabinę z coraz trudniejszych szczebli. Ale kiedy zasunął Faulknera i Dostojewskiego, pękłem - jak nie ma biglu w akcji, to mnie mało bierze. „Idiota”, nie powiem, ładnie pisane, ale nie tak jak „Quo vadis”, odłożyłem po kilkudziesięciu stronach, nie lubię facetów bez jaj. „Zbrodnia i kara” to znowu kryminał dla pedałów, frajer narywa się jak bydlę na staruszkę, za dużo główkuje i odbija mu palma. Zmęczyłem do końca, ale pomyślałem sobie: finito!, takie bajery to nie dla mnie. „Księżu” skłamałem:

- Git kniga!

Wiedział, że łągam, trudno było sprzedać mu lewiznę. Z knigi potrafił zrobić wszystko, nie tylko francuza do przykręcenia takiej czy siakiej mutry na moich klepkach. W jego rękę kniga stawała się cymes kosą, którą puszczał juchę jak najlepszy nożownik. Lubił tę grę: trafiać sposobem, a nie na chama. Ja myślałem, że takie numery można o dupę potłuc, każdy to spuści w kibel. Ale kiedy zobaczyłem, jak dał popalić kilku cwaniaczkom, nastawiłem zeza. On strzelał w dychę automatycznie, można było nie rozumieć, co gra, ale głupotą było wątpić, że trafi.

W Urzędzie Dzielnicowym na Pradze siedział jeden aparat, co się zawziął na Bazar Różyckiego - wicenaczelnik Pałach Leon (podwładni przezywali go: Patałach). Mocny był skurwiel, kilka lat wcześniej wygruził Ciuchy ze Skaryszewskiej do Rembertowa, ale wtedy jeszcze nie było „Księcia”. Potem wziął na ząb bazar, że niby paskudzi dzielnicę, przeszkadza w rozbudowie, że siedlisko elementu i tak dalej. W „Ekspresiaku” napisali: z bazarem szlus, wynocha w pole, do kmieci. Wnerwione chłopaki proszą „Księcia”, żeby dał wynieść łajzę na zelówkach, a on nic, zabronił. Starzy kupcy z głównych alei mówią: za co płacimy? Uspokoił wszystkich, że krzywdy bazaru nie I wszyscy wiedzieli, że kiedy

„Książę” dał słowo, to nie trzeba pękać, bo znaczy frajer kaput, ale nie wiedzieli, jak „Książę” to machnie. Tylko ja wiedziałem, o co biega.

Blisko wyjścia na Ząbkowską, wizawis straganów ze zbożem, handlował makulaturnik Szapko. Dla frajerów wykładał śmiecie i modne bestsellery, w torbie miał cudeńka dla lepszej klienteli i swojaków, książki, gołe fotki i takie pisemka, przy których „Playboy” robi za Pismo Święte. U niego „Książę” kupił kilkanaście tomików groszowej serii przedwojennego wydawnictwa „Rój”, z niemożebnie kolorowymi okładkami. Trzy z nich były lepsze od granatów odłamkowych. Pierwsza Henryka Duvernois, w przekładzie Stefanii Okołów-Podhorskiej, „Eunuch”, Warszawa 1927. Na okładce tłusty kretyn z zaczerwienionymi polikami, uszami i nochalem, typ mongoidalny, a u dołu wielki szkarłatny tytuł: EUNUCH. Walnęliśmy z tego obrazka reprodukcje Agfa-kolor i nazajutrz wisiały one w gablotach na klatce schodowej Pałacha i w jego urzędzie, z dopiskiem:

„Czy to kapłan, czy to wałach?

Nie, to jest magister Pałach”.

Pod okładką widniała „karta choroby”, przefotografowany kawałek strony 63:

„Przytuliła go do siebie. Wybełkotała: «Ratuj mnie! Wiesz, chciałem się zabić, zanim ciebie poznałem... Ratuj mnie! Nie opuszczaj mnie! Jestem tylko złośliwym zwierzęciem, a kiedy czynię zło, to zło mnie przeraża...» Pocieszyła go, ukołysała, tym samym harmonijnym ruchem, jakim kołysała córeczkę i wzrok jej ze słodyczą przechodził od tej dziecięcy śpiącej w niewinności nieświadomej, do tego dziecka, starzejącego się w beznadziejnej czystości...”

Pod tym kropnęliśmy dedykację wieńczącą dzieło: „Z wyrazami ubolewania dla obywatelki Pałachowej. Aktyw”.

Gabloty były zamknięte na fest, żaden klucz nie dawał rady, musieli je łamać albo ciąć szkło (w domu Pałach sam wytłukł szybę). Po kilku dniach ogłoszenie zmartwychwstało. Znowu zerwali, a ono apiać! Pałach dostał gorączki, wezwał milicję i postawił personel urzędu na straży przy gablotach w czynie społecznym. Nie pomogło, komplecik „Eunuch”

był jak wańka-wstańka. Cała prawobrzeżna Warszawa zdechła ze śmiechu, prócz Pałachowej, która zapadła w rozstrój nerwowy. Pałacha przeniesiono na Wolę, jako szefa wydziału kultury komitetu dzielnicowego. Wówczas komplecik zamieszkał na Woli, ale już ze szwagrem - dodaliśmy okładkę książki J.T. Wróblewskiego „Jaśnie chamstwo” (też „Rój”) i zdjęcie naszego klienta, format paszportowy. Po kilku tygodniach Pałach wyniósł się na Okęcie i tam został naczelnym dyrektorem rzeźni. Okęciu zafundowaliśmy ten sam komiks, wzbogacony o okładkę jeszcze jednej książki Duvernois: „Dzieje Psiapsiusia”. I było po balu. Pałacha wywieziono do Szczawnicy, gdzie robił za prezesa klubu sportowego i leczył się w sanatorium. Gdybyśmy grali ten mecz dalej, musieliby go chyba kopsnąć na ambasadora do Patagonii.

Równie klawym jokerem zabił „Książę” damę. To była redaktorka, wielka grandziara. Jak ktoś musowo pragnął przyładować w imperializm albo w hunwejbiniizm, odsłonić bezrobocie i głód, sflekowac NATO, założyć nelsona reakcji, czy zakapować prezydenta Ameryki, że jest lebiega i palant do kwadratu, to ona to robiła prima! Przez te artykuły zbierała medale, a pod stołem dieńgi od ludzi, bo miała taki układ (mąż w warszawskim kwaterunku, a blatniak w Izbie Kontroli), że kto nie posmarował, ten mógł sobie kwaterunkowe mieszkanie odpuścić. Na Targówku, Grochowie i Pradze (tak samo jak i po lewej stronie) jest kupa narodu, co groszem nie śmierdzi, a żyje w pięciu na izbę bez kibla. Ci liczą, że wujek kwaterunek zrobi im socjalizm, a tu poruta, bo pani redaktor nie rozdaje za friko. „Książę” znał te rudery z matkami beczącymi przy dzieciach chorych na reumatyzm od tapet marki liszaj, więc przez tę panią trafił go szlag. Gdyby wtenczas ujawnił się już Dobry, byłoby po sprawie, bo Dobry na prośbę „Księcia” załatwiłby rzecz w try miga, ale to było przedtem. Musieliśmy wykonać „powtórkę z rozrywki”: „Książę” zaczął filować za odpowiednią książką. I znalazł. On miał coś takiego, że jakby wepchnął po ciemku grabę w kartoflisko, to by trafił na garnek ze złotem.

Zastosowaliśmy metodę przeciwiczną na Pałachu, z dodatkiem nowszej techniki: poczty i ksero. Książka nazywała się „Rady dla służących”, autor X.C.J. Busson, Kraków 1878. Klientce, jej zwierzchnikom i podwładnym, sąsiadom i znajomym, kolegom po piórze, radnym dzielnicowym, posłom na sejm i komu się tylko dało wysłaliśmy liściki. Każdy list zawierał machniętą przez ksero laurkę „Dla Królowej Kwaterunkowej, obywatelki X... w rocznicę wzięcia pierwszej łapówki, z życzeniami”. Na laurce był

rysunek z pierścionkową łapą o czerwono lakierowanych szponach, biorącą szmal pod blatem stołu, kopia strony tytułowej oraz „życzenia”: kawałki ze strony 117 („Nie kradnij! Z cudzą własnością nie wejdziemy do Królestwa Niebieskiego. Wszelka niesprawiedliwość ukaraną będzie w przyszłym życiu karą stosowną do stopnia wykroczenia i złośliwości, chyba że przed śmiercią winowajca nagrodzi wyrządzoną krzywdę. Ty, moja córko, nie tylko z obowiązku chrześcijańskiego winnaś zachować to prawo, ale nadto obowiązana doń jesteś ze stanowiska służącej”), strony 142 („Wszelkie wynagrodzenie niesprawiedliwe wymaga zwrotu, a zwracać znaczy oddawać rzecz zabraną lub wartość”) i strony 143 („Uczyń sama pokorne wyznanie; proś o przebaczenie i natychmiast zwróć, co im się z prawa należy; krok ten wiele cię kosztować będzie, ale wkrótce powinszujesz sobie, żeś go uczyniła”). Podpis: „Zakład Odszczurzenia Miasta”.

Wielkiej afery z tego niezdziało, ale porobiło się jakoś tak, że za kilka miechów starego naszej klientki wywalili z kwaterunku, awansując na dyra w kuratorium oświatowym. Ją samą przeflancowano z gazety do telewizji, gdzie zasuwała audycje, takie po byku, że hej!, i komentarze, też po byku dla tych, co chcieli, żeby ćpała te audycje i komentarze. Jedne były społeczne, inne na temat. Bardzo ładnie nawijała o moralności, uczciwości i pokoju między narodami, któremu ciągle jakiś kutas z zachodu szcza koło pióra; okazało się, że te zachodniaki nic nie robią, tylko kombinują jakby tu przysrać pokojowi i rozpocząć wojnę, która zgubi cały świat, a ich najsampierw, bo jak amen w pacierzu dostaną od nas w dupę. Za to połykała awanse szybciej, niż Szewińska bieźnię i stała się gwiazdą - jasna sprawa, w okienko gapi się z nudów cały naród. Ale ludziska za cholerę nie chcieli jej pokochać i opowiadali o niej głupie kawały. To ją wkurwiało i nabawiało pierdolca we łbie, bo każdy lubi jak go lubią, a ten, co szpanuje przed wszystkimi, jest wkoło Wojtek chory na to lubienie i kiedy nie trafia, zdycha. Skręt kich, sto szługów dziennie, flakon pod białe myszki i wór kutaśnych pomysłów. Ona wyglówkowała najgorszy: zaczęła mrugać wśród swoich, z nadzieją, że puszcza to w obieg, iż jest pod przymusem i dlatego robi różne głupoty, ale ma zamiar z tym skończyć, bo tak naprawdę to ona jest przeciw! Wyliczała odrzucone przez siebie propozycje „wstrętnych” programów, których nie chciała pichcić, bo „nie jest prostytutką”. Można się było przekreślić ze śmiechu, jak pragnę wolności - ona!

Kontra ludowa, Czapajewówna w carskiej służbie, biała gwardia pod czerwoną maską z perskim okiem, kurwa mać! Taka rura! „Książę” zatarłby grabulki, gdyby miał zwyczaj to robić, ale przecież musiał czuć coś takiego, jak Żyd, kiedy cmoknie z radochy, bo podłożyła mu się niczym bura suka.

Tym razem „wycinanki” przykleiły się na ścianach Radiokomitetu i pofrunęły do kogo trza z takimi tekstami, że wysiadają głowice atomowe. Busson, „Rady dla służących”. Część I, rozdział III, „Zależność”, strona 9:

„I ty żalisz się, córko, na zależność twego stanu? Jakże się zapatrujesz na to wszystko, co cię otacza? Wszakże i twoi państwo słuchają bezustannie, a ty chcesz, aby żadne wymaganie nie krępowało twej woli? Gdzież tu rozsądek? Miałażby ci pycha lub inna jaka namiętność zaciemniać zdrowe pojęcie? (...) Nawet między zwierzętami i istotami nieczułymi nie ma ani jednego, któreby siłą lub instynktem nie słuchało praw tejże karności. Wszędzie panuje zależność...”

Część III, rozdział LIV, „Posłuszeństwo powinno być dokładne i ogólne”, strony 184 i 185:

„Zatem, córko, posłuszeństwo, do którego obowiązana jesteś względem państwa, powinno się rozciągać na to wszystko, co jest przedmiotem ich rozkazów. Posłuszeństwo powinno być dokładne. Posłuszeństwo powinno być powszechne. Nie powinno się zachwiać ani na chwilę i objąć wszystko, co ci państwo mają prawo nakazać, bez żadnego wyjątku. Uważaj, proszę cię, różnicę, jaka zachodzi między dokładnością i powszechnością posłuszeństwa: dokładność odnosi się tylko do ducha i litery rozkazu, ze wszystkimi należąciami do tego okolicznościami; powszechność zaś do wszystkich rozkazów prawomocnych w ciągu całej twej służby. Bądź więc posłuszna we wszystkim. Nie ma żadnego prawnego wyjątku w regule posłuszeństwa”.

Część III, rozdział LV, „Posłuszeństwo powinno być wesołe”, strony 186 i 187:

„Jeżeli więc posłuszeństwo twoje jest smutne, służysz z musu, nosisz jarzmo złorzeczając mu i stajesz się niewolnicą pokorną z obawy siły, a nie dziecięciem posłusznym - nie możesz spodziewać się wielkiej nagrody. Ten smutek także byłby dowodem, że jesteś zdolną zbuntować się (...) Pamiętaj także, że służąca smutna i nieukontentowana w posłuszeństwie, popełnia mnóstwo błędów, niecierpliwi państwa, gniewa. Zatem nie daj się opanować tej skłonności. Jakiegokolwiek byłyby rozkazy państwa, nie okazuj, odbierając

je lub wykonując takowe, nieukontentowania i przykrego uczucia. Co cię to obchodzić może? Czy to robić, czy owo, obojętnem ci być powinno. Bylebyś wole spełniła, słuchając państwa (...) Gdy cię państwo zawołają, choćby to było w nocy, przybiegnij z uśmiechniętą twarzą, mówiąc: otóż jestem do usług".

Lalunia dostała udaru pod dachem. Skapowała, że primo jej numer zatytułowany: „Moruska jestem, kochajta mnie ludzie!" nie wypalił, a po drugie może ściągnąć na nią kopy od szefów. Więc przekreśliła wajchę abarot, meldując trybunie: „Gównno prawda, tanto plotki, swojaczka jestem robotniczo-chłopska, proletariuszka wszystkich krajów nierozłączna!". Z kilku prezydentów zrobiła na antenie takich śmieciów, że powinni sfajczyć się ze wstydu, albo rozpirzyć sobie gnatem baniak, albo przyczołgać do nas we włosieniicy, z popiołem na fryzurze. Kleiła za wielki szmalec patriotyczne imprezy, przy których karnawał w Rio to jest ogródek jordanowski dla ubogich. Hasła wyskakiwały jej z uśmiechu niby ołów z biodra szeryfa. Właśnie wtedy wdepnęliśmy znowu w gównno kryzysu pogłębionego i zaczęto tasować asiorów telewizji, bo to oni robili z ludzi balona; nasza dzidzia wychodziła ze skóry, żeby tylko się nie sturlać na bruk. Świeciła przykładem, piętnowała starzyznę i wielbiła modę, brała najwyższe stawki i była aniołem odnowy - syrenka wymachująca mieczem na wybrzeżu Wisły zawróconej w drugą stronę! A my: gong, trzecia runda! Ciągłe ten sam Busson, „Rady dla służących". Część VI, rozdział XX, strona 321:

„Przypuszczam, córko, że chciwość twoja co do pobierania zapłaty nie ściąga ci nagany zacnych ludzi. Oto co się dzieje ze służącymi opanowanymi żądzą wysokiej płacy: mają ciągle przed oczami przedmiot swej żądz, żyją w ciągłym niepokoju, wymagając coraz nowych dodatków. Raz jeden i drugi uda się, ale z czasem znudzeni państwo oddalają służącą (...) Co się dzieje z innemi, stanie się i z tobą, chyba że dla słusznych przyczyn możesz się liczyć do wyjątków".

Słowo stało się ciałem: państwo znudzone grą, w której ciężko rypani są sędziowie, wygruziło nyguskę z posady kopem wzwyż, na korespondenta do Londynu. Nie minął miesiąc, a ta pinda podziękowała im przez mikrofon „Wolnej Europy", szczebiocząc swoje stare wypracowania, tyle że poprawione z historii i z geografii.

„Książę" był fachura od knig, znał je jak mało kto. Zamiast nawijać własnym słowem, mógłby podczas rozmów otwierać książkę za książką i wskazywać różne teksty jako

odpowiedzi, bo znał wszystko, co się ukazało. „Faraon”, kiedy mi podszedł, to mówię do niego:

- Wdechowa kniga, szefie, takie historyczne mi leżą, ten numer z zaćmieniem słońca Prus klawo wymyślił...

I tak dalej. A on mi na to, że nie wymyślił, bo kapłani byli farmazoni i nie takie numerantwo odstawiali na luzie. Inaczej to powiedział, ale w ten sam deseń. Zdjął z półki knigę Ochorowicza „Wiedza tajemna w Egipcie”, otworzył i zaczął kartkować, nie przerywając gadki o „Faraonie”:

- To nie jest rzecz historyczna, „Fokstrot”, tylko polityczna, najlepsza powieść o robieniu władzy. Kapłani byli mądrymi nikczemnikami i mieli tę robotę we krwi, tak jak ty masz w nogach tango.

Pokazał mi stronę, gdzie jeden kapłan tłumaczy frajerowi z Grecji, jakim sztychem robi się z ludzi ziemię do kwiatów:

- „A więc posłuchaj: tajemnicą naszą jest znajomość tajemnic natury. Mamy dwie nauki: jedną dla ciemnego ludu, drugą dla świątłych mędrców. Pierwsza polega na bajkach, wymyślonych przez ludzi i przypisywanych bogom, to wystarcza dla tłumu. Druga obejmuje kosmogonię, astronomię i fizykę, uczy ona dochodzić od objawów do przyczyn i tym sposobem daje nam klucz do wyjaśnienia zjawisk przyrody, które lud uważa za nadnaturalne. Będąc w posiadaniu wszystkich odkryć nauki, chowamy je w głębi naszych przybytków i taką jest tajemnica naszej wyższości nad resztą śmiertelnych. Ta czysta wiedza, której lud nie mógłby zrozumieć, podnosi człowieka, oswobadza go od bojaźni i innych ludzkich słabostek, a zbliża do Bóstwa”.

Przeczytałem to i skapowałem prawie wszystko, ale nie byłem pewien, czy skapowałem dobrze, więc na wszelki wypadek powiedziałem:

- Cwaniak!

„Książę” milczał i zrobiło mi się łyso, dlatego zapytałem, żeby coś jeszcze powiedzieć:

- A tamten jak na to?

„Książę” wyjął mi knigę z ręki i sam przeczytał odpowiedź Greka:

- „Nie sądzę, żeby był mędrce, przyjacielem ludzi ten, kto odkrywszy użyteczną prawdę nie pozwala z niej korzystać swoim bliźnim. Prawda powinna być dla, Wszystkich

rozumiała, skoro ma czynić ludzi lepszymi. Ukrywać przed nimi prawdę jest to ukrywać światło i pozostawiać ich w ciemności".

Ale kapłan nie stryfił i zbajerował Greka następną mową-trawą:

- „Tłum jest głupi i łatwowierny, tajemniczość i cudowność przemawia mu do przekonania, podczas gdy naga prawda nie miałaby dlań uroku; umysł jego musi być wstrząsany widokiem rzeczy niezwykłych, żeby dał się powodować...”.

Teraz Grek pokazał, że nie taki z niego młot, bo odpysknął:

- „Jednym słowem spekulujecie na ciemnotę ludzką. Czy nie lękacie się, że prawda musi wyjść na jaw?”.

- „Milcz!” - dopieprzył mu wnerwiony arcykapłan. Żaden nie odpuścił, pstrykali się tak, że można było zgłupieć.

- Który ma rację, szefie? - zapytałem.

Popatrzył mi w nos jak matka, która filuje na dziecko i widząc, że znowu się nie umyło, nie wkurza się, ale jest trochę zniecierpliwiona. Powiedział:

- Rację ma silniejszy. Racja słabego to piękna broń bez naboí, „Fokstrot”.

- No dobra, szefie, ale który tutaj ma rację?! - zaperzyłem się, bo chciałem coś wreszcie skapować, a czułem, że on już kończy i kiedy zamilknie, to wyjdę na wała nie nadającego się do żadnej pogaduchy.

Odpowiedział mi niechętnie, jakby był zmęczony:

- Ten, który wygrał. Greka zamordowano, więc nie miał racji.

Złożył książkę, odwrócił się i bardzo ostrożnie, żeby nie pogiąć okładek, wepchnął ją w równy szereg na półce. Zawsze robił to wolno i uważnie, nienawidził niszczenia книг. Bardzo źle na tym wyszedł Józek Rachoń, mój kumpel z budy, który nawet nie ukończył siedmiu klas, bo zawiesił żyłkę nad wejściem do pokoju nauczycielskiego, żeby dyrektorce spadła peruka i peruka spadła, odsłaniając łysinę „carycy”. To był ten Józek-„Bomba”, co wyszukiwał na ulicach sławnych mistrzów boksu, podchodził i jedną celną piąchą na szczenę zwał ich z nóg, potem czekał, aż wstaną i zechcą się odkuć, a kiedy któryś chciał, to Józek poprawiał króciutką śmiertelną serią i mówił do leżącego:

- Przepraszam pana, ale ja naprawdę jestem lepszy.

Po wyjściu z poprawczaka Józek dmuchał sobie w biceps przy rozładunku towarowych na Dworcu Wileńskim. Dzięki tej robocie wiedział, jakie delikatesy stoją na bocznicach i

po ciemku fruwał ze swą paczką przez parkan wyczyszczać wagony z importowanych ciuchów, pralek, maszyn do szycia i innych kłopotów. Starczało to nie tylko na dużą zaprawkę z gut zagrychą w najlepszych metach - i na luks-panienki z francuskim uzębieniem - zostawało jeszcze tyle, że po roku strzelił matce kurzą fermę. Aż któreś nocy rozbili wagon, który przyszedł z Londynu. W środku był mająt przesiedleńczy jednego hrabiego, któremu odbiło na starość i postanowił wrócić do czerwonej Polski, żeby tu kojfnąć, bo uznał poddanych królowej za większych skurwieli od bolszewików, a do tego był już tak zwapniały, że nie musiał bać się czegokolwiek z komuną włącznie. Splunął na wszystko i kupił bilet do domu, a graty wysłał pocztą: w wagonie była jego biblioteka, same knigi. Józek, jak to zobaczył, dostał kota. Tak go trąciło, że się napocił zrywaniem plomb do makulatury, iż kazał chłopakom spryskać cały ten niedoszły szaber. Wyjęli kapucynów i walnęli jak pluton egzekucyjny straży ogniowej.

Ten obeszczany księgozbiór to był koniec Józka. „Książę” dał mu do wyboru: obcięcie fujarki albo codzienną kąpiel w „małym jasnym” przez miesiąc. Trzydzieści jeden razy cała paczka kolejowa odlewała się na leżącego i potem Rachoń nie nadawał się już na jej szefa, bo w całej dzielnicy zwano go „Sracz”, „Kibel” albo „Wucet” i nawet kiedy minęła jego kaźń, ludzie zatykali przy nim kinol, chociaż był czysty jak niemowlę. W końcu wyglówkował coś, żeby przestali się z niego nabijać: rzucił się pod elektrowóz. „Książę”, kiedy mu doniesiono, zrobił tylko taki ruch ustami, jakby chciał splunąć. Potrafił być okrutny. I to mi się wtedy podobało, bo byłem młody i głupi, ale teraz już mi się nie podoba.

Inna para kaloszy, że teraz także nie piję i zawdzięczam to okrucieństwu „Księcia”, bo dał mi taki odwyk, po którym chłanie przestaje człowieka bawić. Szedłem z gołdą w cug ostro, gdybym nie zbastował, dzisiaj miałbym durszlak zamiast wątroby przy dużym farcie, bo pewnie już dawno bym kopsnął w kalendarz. Powiedział:

- „Fokstrot”, przestajesz pić.
- Się zrobie, szefie - czknałem, myśląc, że jemu idzie o tankowanie w tym dniu.

Chodziło o co innego.

Kiedy drugi raz dorwał mnie na fest fleku, nie powiedział słowa; wziął do siebie i położył w bety. Widziałem jak ściąga moje skoki, jak przykrywa mnie kocem, i urwał mi się film. Wstałem koło południa. Łeb pęka, w gardle jajco, ślepie jak u ropuchy.

Wkitałem się do sracza, a on wszedł za mną. Trzymał flakon czystej i musztardówkę. Napelnił.

- Weź, klin dobrze robi. Wziąłem szklanę i pociągnąłem.
- Do pełna - rozkazał.

Golnąłem do dna i zamroczyło mnie. Chciałem puścić pawia, ale - nie przy nim. Nalał znowu.

- Już... nie... mogę, szefie!...-jęknąłem.
- Pij!
- Nie mogę!

Odstawił szkło na szafkę z brudną bielizną i strzelił mnie w dziób, tak mocno, że walnąłem baniakiem o rury i usiadłem na desce.

- Pij!

Po trzeciej szklance straciłem przytomność.

Przez dwie i pół doby trzymał mnie zamkniętego w sraczu, bił i pompował bebechy krzakową silną jak spiryt. Nie dawał nic do żarcia. Piłem kiblaną wodę, rzygałem w fajans, wyłem i traciłem zmysły. Chciałem się powiesić - łańcuszek od rezerwuaru był za słaby na krawat, pękał. Darłem w paski koszulę, żeby upleść sznur -zabrali. Przyszedł łapiduch. Leżałem tydzień. Służąca „Księcia”, Mańka Dorot, karmiła mnie łyżką. Najpierw wszystko zwracałem i nie mogłem kimać, bo w kimie męczył mnie widok tego sracza, gdzie obciągnąłem kilka litrów i byłem o krok od piachu. W końcu żołąd przestał mi robić numery, mogłem szamać normalnie. Sny porobiły się okej. Nigdy przedtem nie kimałem tyle, w młodości człek skraca sen, bo mu szkoda życia. Teraz kimam dużo. We śnie jestem taki, jak za „Księcia”, młody i po byku, cały świat jest mój, nogi tańczą, ręce rwą się do wszystkiego i powietrze gra w piersiach. Moje sny są cudowne, tylko w nich żyję...

Od tamtej pory nie wziąłem łyka, chociaż było wielu solenizantów - na widok gołdy robi mi się mdło i słyszę jak pęka łańcuszek owinięty wokół mojej krtani.

Pamiętam wszystko, każdy jego gest, nawet jeśli nie miał większego znaczenia. Wszystko to kibluje w moim odwłoku, gdzieś na tej granicy między łbem a sercem, gdzie rodzi się miłość i nienawiść. Kiedy ta granica dostaje gorączki, puszczam sobie taśmę z jego głosem. Był mądry, kupę rozmów nagrywał, żeby potem ci, co z nim gadali, nie

mogli pieprzyć głodnych kawałków o czymś innym. Taśmy, które trzeba było skasować, ja kasowałem. Miał do mnie furę zaufania. Nawet tak mądrzy, jak on, są naiwni jak dzieci.

Czasem, gdy muszę zrobić książkę „na wczoraj”, zostaję w warsztacie do późnej nocy. Wracam o trzeciej albo czwartej rano. Piechotę. Dzielnica jest ciemnoszara, w kimie i brudzie, jak zdechły szczur. Znam każdą cegłę tej zapyziałej ziemi między Kijowską, Markowską, Targową i Dworcem Wileńskim, każdy zapach: sadzy kolejowej, tanich dup, pyz i flaków z bazaru, cichych szarpnięć kosą i głośnych przekleństw, od których drży frajernia po tamtej stronie rzeki.

Przy Kijowskiej zbudowali parę nowych bloków, ale za nimi wszystko zostało jak dawniej, przed wojną i po wojnie. Śmiecie, brud, dziury w chodnikach, zastawione doniczkami okna, z których wychylają się mężczyźni w podkoszulkach, ze zgasłymi petami na języku. Kobity pastują podłogowe dechy, gnojki wrzeszczą, doliniarze prują kimona, kapusie studiują gazety. W każdym podwórku skwer i kapliczka Matki Boskiej, w bramach interes do zafarcenia, na paluchach sygnety, we włosach tani aerozol, w mózgownicach nienawiść do państwowej roboty, w gaciach wrzątek, syf lub rulon dolców owinięty chustką albo plastikiem.

Nie ma pośpiechu w taką noc, odsypiam za dnia. Idę wolno i czuję się jak wtedy, kiedy on tu był, bo tak naprawdę to zmieniło się wszystko i tylko nocą, w ciemności i ciszy, można wywołać tamten czas. Spotykam pijaczków, co usiłują rzucić pawie na zamknięte stragany, płaczących frajerów, którym zwinięto portfele i skuto gęby w krzakach parku Skaryszewskiego, gdzie zaciągnęła ich cwana dzidzia, małych urków, błakających się po daniu nogi z chaty, czasem przejedzie radiowóz. A tak to pusto, jakby wszystko było dekoracją teatru, na którego dechach gra się tylko sztukę o „Księżu”. W rynsztoku kima stary gałganiarz, wśród połamanych gzymsów ptaki; najstarsze z nich dobrze pamiętają „Księża”, bo w tę cholerną zimę, kiedy pękały rury, kazał codziennie sypać im obiad i sam chciał bulić za całą wyżerkę zbożownikom z bazaru, ale oni honorowo dali bez forszy po trzy kilo na dzień (nikt nie brał szmalu od „Księża”, każdy knajpiarz prędzej by się usmażył we własnej patelni, niż pokazał „Księżu” rachunek).

Spomiędzy zasłon na drugim piętrze po lewej stronie Ząbkowskiej sący się światełko, to melina. Prowadzi ją tłumok szpetny jak w bajce, swego czasu najpiękniejsza kobita Pragi, „Kasia-dała-z-siebie-wszystko”. Prawobrzeżne orły kroili się przez nią majchrami,

miała złota potąd, inne dzidzie życzyły jej syfa od cycków po lakierowane paluchy w komisowych szpilach, a Kaśka śmiała się zębami białymi z rozputy (nazywała chłopski interes „szczoteczką do zębów”) i tańczyła przez życie niby nakręcona kukielka. Czasu nie zatrzymasz, musiała dać z siebie wszystko: policzki sflaczały jak stary kartofel, ząbki wypadły, nosik zgnił, szminka nie mogła ukryć tej ruiny. Więc Kasia wzięła się za gorzałkę. Przychodzi do niej lepsza klientela, która lubi obciągnąć pół basa pod ciepłe gołąbki, bigos albo kaszanekę, i jeszcze żeby drzwi były zamknięte, kiedy się dmucha damę w pościeli wykrochmalonej na sztorc; pętaki i szybkobiegacze kupują księżycową monopolkę na trawniku koło dyrekcji telefonów, choć i tam można rozcieńczyć gorącą zagrychą, a jak kogo przyciśnie mus, to i drucik wypieszczony na stojaka miał będzie.

Dupczenia z trzema gwiazdkami nie ma już w dzielnicy. Trzy kamienice dalej był pierwszoklasny burdel, nazywali go „Hotel-Lux”. Z zewnątrz wyglądał jak każdy tutejszy dom, odrapany ceglak w plamach tynku, ale wewnątrz zamiast szczyń, co gdzie indziej zrywają farbę na klatkach schodowych, i tych śmierdzących zlewów w korytarzach, miał ekstra kafelki, dębowe boazerie, złożone lustra, frędzlaste kotary, lampy pulsujące czerwienią i dziewczyny ganc pomada, czyściutki i grzeczne jak aniołki, ondulowane, pachnące dobrą perfumą, w majtkach z koronkami i z kwiatkiem we włosach, że na samą myśl kutas wybijał człowiekowi oko. Byłem wtedy mleczny szczaw, ale wiem jak wszystkie matki i żony kleły „Hotel-Lux”, gdzie faceci zostawiali kurewską forszę, bo jeden numer kosztował tyle, że mógłbyś za to kupić dobrą jesionkę, albo prawdziwe renifery. Kumpel mojego brata awansował na pierwszego wykidajkę w tej budzie i zapieprzał jak robol ziemniaczany z powodu częstych drak, których było od groma, gdy już firma schodziła na psy. Klienci podnosili raban, że ceny eksportowe, a dziwki do niczego i tak było odkąd „Lulu”, która nosiła bieliznę z lamparta, wyszła za męża, a inne git towary dały dyla do śródmiejskich knajp, żeby patroszyć Arabów z zielonego koksu.

Dzisiaj nie ma nawet szyb w oknach „Hotelu-Lux”. Będą rozbierać, ale jakoś nie rozbierają i tylko w piwnicach (bo piętra wypaliły się) szuka krótkiej mety przechodzona franca, małolatka-cichodajka i złodziej zaprawiający po udanym skoku. Czasem, gdy zgwałcą tu jakąś frajerkę, co się pożarła ze ślubnym, wybiegła na miasto, poznała w kawiarni „pana inżyniera” i ten zaholował ją „do swej pracowni” - przyjeżdża glina, robi kipisz, odjeżdża i znowu jest spokój.

Skrećam w Brzeską. Na rogu był bar „Pod Myśliwym”. Nikt z was już nie zje takich ulików, nie pokosztuje takiej golonki, nikt nie kojarzy, co to jest minoga, koniec, szlus, było się skończyło! Wtranzalajcie sos ze ściery i parówkę z nerek wsadzoną do bułki jak palec w dupę, młodziaki, nie wiecie, co podniebienie, zostało wam tylko ośle ucho na wrzask elektronicznych ryjów.

Zaplecze „Myśliwskiej” przeznaczone było do wyższych zadań: chłopcy rżnęli tu w karciecia i kończyli udane geszefty popijawą. Rezydował tam ober, pan Tosiu, który miał w tylnej kieszeni spodni kantor wymiany lepszy od bankowego, a we łbie maszynę do obliczania kursów wszystkich walut świata, przy której ruski komputer to jest kupa złomu. Panienek nie tolerował, bo sam był pusty w jajach i brała go złość. Ale michę dawał charakterną, więc lubili go wszyscy. Jak Tosiu przemeldował się na Bródno, jego lokal zamieniono na komis.

Mijam bazar. Tu się wszystko zaczęło, ile razy przechodzę, cyka film z tymi obrazkami, najlepszy kawałek mojego zasranego życia. Mnogo jest takich, co nie mieli nawet grama podobnego fartu, przeturlali swój los jak wełniane owce. Dlatego nie narzekam. Można odebrać człowiekowi pieniądze, kobitę lub wolność, ale nie można wspomnień. Prawda? No to ja nie jestem biedny.

Gdybym tak mógł wspominać dobrze wszystko, cały czas spędzony przy „Księżu”, to miałbym prawo do filowania w lustra bez wzgardy dla siebie. Ale nie żałując, nie wstydząc się i nie przeklinając, mogę wspominać tylko początki, dobre i to. I tego, tych początków, nie odbierze mi nikt.

„Książę” by to wyśmiał. Bez rehotu, bo on się nie szczyrzył, ale na wszystko miał jakieś zdanie, które zabijało, jakby nienawidził wszystkiego; każdą fałszywą świętość trącał kopem, w prawdziwe nie wierzył. Mogłeś być z czegoś dumny, coś chwalić, przybiec do niego z czymś wielkim, a on patrzył na ciebie i mówił zimno, jakby wbijał sztylet, to zdanie, po którym odechciewało ci się pieprzyć, a twoje złoto przekręcone w tombak wylatywało ci z rąk i sam byłeś zdziwiony, że takie gówno mogło cię rajcować. Na jednym wdechu załatwiłby twierdzenie, że nie można odebrać pamięci. Albo znalazłby brzytwę w swoich książkach i ściałby tę pewność. To, co było dlań morowe, podkreślał miękkim ołówkiem i zakładał paskami z celofanu. Kiedyś powiedziałem, że tatuuje książki, a on, że chyba zostanę poetą, bo użyłem klaweji metafory (pierwszy raz usłyszałem to

słowo) na głupków, co kreślą w książkach długopisem. Teraz czytam jego „tatuże”, jakby to były listy, które mi po nim zostały. W powieści Czingiza Ajmatowa „Dzień dłuższy niż wiek” trafiłem o plemienu Żuan-żuan „mankurtyzującym” swoich niewolników:

„Zabijali ich pamięć okrutnym sposobem. Na wygoloną dokładnie głowę niewolnika wciskali «czapkę» ze skóry szyjnej świeżo zarżniętego wielbłąda, przylepiając ją tak szczelnie, że przylegała jak czepek kąpielowy. Potem zakuwali w dyby, żeby nieszczęśnik nie mógł dotknąć ziemi głową i wystawiali go na palące promienie słońca. Skóra wysychała, ściskając głowę jak żelazna obręcz. Po kilku dniach wyjący z bólu niewolnik doznawał zaćmienia umysłu i albo umierał, albo na zawsze tracił pamięć, przekształcając się w mankurta - człowieka bez woli i bez przeszłości. Miał on cały szereg zalet. Był posłuszny jak bydło i bezpieczny. Największą zmartwieniem właścicieli niewolników jest możliwość buntu - mankurt nie wiedział, co to bunt, tak jak nie znał swego imienia i wszystkiego, co przeżył zanim uczyniono go mankurtem. Wystarczyło karmić go, albowiem pies nie ma większej potrzeby nad zaspokajanie głodu. Odebrać w ten sposób człowiekowi godność, odbierając mu żywą pamięć, to najcięższa ze zbrodni przeciw naturze ludzkiej”.

Zakładką był tu wycinek z „Polityki”, kawałek przedrukowanego wywiadu Ajmatowa dla pisma francuskich komunistów „Revolution”, z podkreślonym zdaniem autora: „Chciałem powiedzieć, że ów proces «mankurtyzacji» jest obecnie bardzo rozpowszechniony. Cięży na każdym z nas”.

Może i tak, ale mnie to zwisa; mojej pamięci nikt nie skóruje, to ona skóruje mnie. Jestem wyrzucony na śmietnisko Judasz, któremu zabrakło siły, żeby założyć sobie krawat, bo podejście w kiblu u „Księcia” stało mi się szlabanem dla takich numerów. On dyryguje mną nawet po śmierci, nigdy się od niego nie uwolnię. Gdzie zwać? Nie uciekniesz od ducha; i nie ma sensu, gdyż pamięć o nim to jedyna morowa rzecz, którą posiadam, ona robi ze mnie człowieka. Gdybym był tylko z sobą i z pamięcią o tym, co mam na własnym koncie, to byłbym brudną świnia do natychmiastowego odstrzału. Lecz pamiętając o nim, mam obowiązek żyć póki nie wybebeszę z siebie ostatniego słowa prawdy.

Myślę, że jest Bóg, chociaż nie taki, jakiego się ludziom wciska. I że trzeba kupić bilet wstępu do niego, bo za frajer nie wpuszczają. Dlatego ujawnię wszystko, a gdy to

zobaczycie, będę dla was dożywotni szmondak i nawet kiedy już wyląduję w parku sztywnych, nikt mi nie odpuści. I w porządku. „Książę” podkreślił taką mowę plastyka Michała Anioła: „Ci, którzy godzą się służyć tronowi za osły, jeszcze po śmierci będą dźwigali swoje brzemie”.

Kijowska przede mną. Dwa domy od rogu jest moja meta. Schody szerokie, drewniane; gdy byłem młody, stopnie były niższe i nie było ich tak dużo, biegałem do góry. Teraz człapię, pośpiech mi zwapniał. Szóste piętro. Drzwi bez wizytówek, martwe żarówki, spłaszczone pety, kibel w korytarzu ze sznurkiem zamiast łańcuszka i hałdy pustych flakonów. Tylko jedna wycieraczka - przed moją bramką. Zzzzzzz! - skubane zawiasy; nie oliwiłem i nie będę oliwił, kiedy gadają, to mi przypomina matkę: „Gdzieś się włóczył do tej pory? Zdejmij buty i chodź coś zjeść, trzymam w piekarniku!... I umyj ręce!”. Wewnątrz zimno jak na Syberii, zostawiłem otwarty lufcik. Gaszę ciemność żyrandolem z ostatniej wypłaty. Facet w lustrze nosi moje nazwisko i mój flak, tylko gdzie się podział „Fokstrot”? Czasem mam ochotę dać mu w ryj, ale szkoda mi mebla (i jeszcze ten cykor, że odłamki pójdą w oko). Trzask za plecami, to wiatr szarpie lufcikiem; pełzacze „Księcia” wchodzili przez taki lufcik do każdego domu jak mała na drzewo. Pusty pokój starych, z makatką, na której wisi zdjęcie w owalnej ramie. Przytulają się, on pasiasta dwurzędowa, ona w welonie, oboje młodzi i głupi. Niżej tapczan nakryty przedwojenną kapą. Kostnica tego domu.

Jak mamę trącił ciężarówką pijany szoferak, mój brat Gienio spytał mnie (choć starszy), czy może się sprowadzić do jej pokoju. Chorował, żonka wołała zdrowych. Ja mieszkałem już od lat u „Księcia”, no i ucieszyłem się, że brat taki ma dla mnie szaconek, ale potem przestałem się cieszyć, bo to był rak. Gienio umierał na tapczanie matki; zabrałem go ze szpitala, kiedy już było jasne, że nic się nie da zrobić. I on o tym wiedział odkąd przyszedł ksiądz. Płakał bez głosu: leżał nieruchomo, a po policzkach ciekły strumienie łez, jakby ktoś odkręcił dwa małe krany.

Wieczorem, kiedy wyszła pielęgniarka, która wstrzykiwała morfinę (inaczej ból rozerwałby mu łeb), pochyliłem się nad nim i ledwo dosłyszałem o co prosi:

- Józek... nie chcę umierać!...
- Nikt cię nie zmusza! - strzeliło nas zza pleców głośno i szorstko.

Odwracałem się powoli, jak na fleku. Ślina zatkała mi krtań. W drzwiach stał „Książę”, a obok niego siwy model w okularach i w palcie z bobrowym kołnierzem. W ręku miał walizeczkę z czarnej skóry.

- Przecież ja... ja wiem... - wyszeptał Gienio.

- Nie obchodzi mnie, co ty wiesz, tylko co powie ekspert - burknął „Książę” i rozkazał: - Weź palto profesora.

Zdjąłem facetowi bobry.

- Chce pan go obejrzyć? - spytał „Książę”.

- Tak, zbadam chorego, sprawdzimy, czy może odbyć lot w tym tygodniu.

Ośluchał i obmacał Gienia. Myśmy milczeli; ja byłem pewien, że kimam, bałem się ruszyć. Zapiął Gieniowi piżamę i powiedział:

- Proszę mi pokazać kartę choroby.

„Książę” spojrzał na mnie. Ja wciąż trzymałem palto. Kiedy brałem Gienia z Dzieciątka Jezus, dali mi jakieś koperty. Skoczyłem do przedpokoju, majtnąłem kapotę na hak i zaraz przybiegłem z tymi papierami. Okularnik filował je, potem zdjął szkła, przetaił chustką, wsadził na kinol i podszedł do okna, żeby filować rentgen. Była cholerna cisza. W końcu oznajmił:

- Nie jest jeszcze zbyt późno, węzły nie są zaatakowane. Operacja dość prosta, ale jak już panu mówiłem, wolę, żeby zabieg przeprowadził profesor Haljanen, oni posiadają najlepszą w Europie aparaturę wspomagającą.

„Książę” wyjął z portfela dwie wąskie książeczki podobne do chorągiewek (wtedy zobaczyłem, jak wygląda bilet lotniczy).

- Mam podwójną rezerwację do wtorku, jeśli pan profesor...

- Nie, chory musi się wzmocnić. Przyślę tu mojego asystenta z zastrzykami BLD. To angielski środek, poprawi stan organizmu.

- Więc kiedy?

- Za jakieś trzy, cztery dni. Do tygodnia.

- Następne loty są w piątek i w poniedziałek.

- Lepiej w poniedziałek.

„Książę” podszedł do mnie i dał mi bilety.

- Pojedziesz jutro po południu na Waryńskiego, spytasz o pana Wojtka i powiesz, że ja cię przysyłam. Niech przebukuje bilety na poniedziałek.

- Gdzie mogę umyć ręce? - spytał okularnik.

„Książę” zaprowadził go do kuchni. Stałem, nie wiedząc, co mam robić, drżały mi wargi i ogarnęło mnie coś, co musi czuć człowiek, który widzi żywą Matkę Boską albo świętego - przy mnie stawał się cud.

- Pokaż... - szepnął Gieniek.

Pokazałem mu bilety. Jeden był dla niego, drugi dla „Księcia”. Było napisane: „6 May 1980, WARSAW-STOCKHOLM, OK”. Gienio nie mógł odcyfrować, plamy latały mu przed oczami.

W kuchni ktoś zakręcił wodę; teraz dało się słyszeć, co mówią. Gadali półgłosem, ale nad szafą był otwór w ścianie, po skrytkach, w których ojciec trzymał za okupacji trefny papier i gnata. Łapaliśmy każde słowo.

- Ile ma szans? - spytał „Książę”.

- Na co?

- Na to, że z tego wyjdzie. Tak realnie, bez pocieszania.

- Sto procent. W tym stadium to dla Haljanena wyrostek robaczkowy. Co prawda czerniak ma szczególnie złośliwą naturę i lubi robić niespodzianki, ale nie przypuszczam, aby mogło to zająć tutaj. Organizm jest całkowicie w porządku, tylko wymęczyli go idiotyczną terapią. Niestety nasza medycyna wciąż wierzy w kobalt, który spala więcej komórek zdrowych niż chorych... Natomiast nie ma żadnych szans na to, że ten młody człowiek będzie mógł kontynuować dotychczasowy tryb życia, pić, palić i forsować się. Możliwe, iż dożyje osiemdziesiątki, lecz pod stałą kontrolą lekarską. Zrobimy testy, które wskażą odpowiednią dietę...

Wyszli do przedpokoju i już nie było słychać.

- Koniec z wódeczką i ze szlugami, Gieniu! - zażartowałem. Chciał coś odpowiedzieć, ale nie miał siły, tylko się uśmiechnął. Uśmiechnął się!

- A teraz w kimono, braciszku! - powiedziałem.

Dał mi znać oczami, że przykima. Naciągnąłem mu kołdrę i zasłoniłem okno. Nigdy nie byłem taki szczęśliwy, nawet z Danką; słuchałem jego oddechu jak klawego nagrania. Z przedpokoju dobiegł szcęk zamków. Poszli sobie. Nagle zobaczyłem, że okularnik

zostawił neseser. Wziąłem to i wyszedłem z chaty, na palcach, żeby Gienio się nie obudził. Usłyszałem ich. Stali piętro niżej. Okularnik liczył szmal.

- Kiepsko pan płaci... - zauważył, chowając kilka czerwonych. - Olivier nie zagrał lepiej Hamleta. Dałem panu kreację. „Książę” wyjął jeszcze jeden banknot.

- Masz tu za nią Oskara i paszół won. Dostałeś więcej niż miałeś dostać.

- Nie wiedziałem, iż zagram jak artycha!

- Więc odkryłeś w sobie talent dzięki mnie, bądź mi wdzięczny. Żegnam!

Cofnąłem się, zamknąłem drzwi i uczepiłem wieszaka, żeby nie upaść. Po północy Gienio przerwał kimę. Chciałem dać mu basen, ale on... wstał z betów! W oczach miał taką siłę, jakiej nie widziałem u niego od lat.

Rano przyszedł jakiś młody i przedstawił się, że jest asystentem. Zrobił Geniowi zastrzyk i wybył. Gienio rozmawiał ze mną tonem faceta, który ma odebrać wóz wygrany na banderolę. Obiecał, że przywiezie mi ze Szwecji kilka longów. Potem wziął go śpik. Przestałem kapować, o co biega, miałem kwadratowy łeb.

Po południu wszedł „Książę”. Był z obstawą (dwóch od „Ognia” lub od „Dżeka”, zostali za drzwiami).

- Dzień dobry, szefie - zniżyłem głos. Nie odpowiedział, tylko patrzył na brata.

- Śpi... - podrzuciłem.

Jakby nie słyszał. Zbliżył się do tapczanu i pochylił nad Gieniem.

Twarz miał skupioną i dziwną, wyglądał jak człowiek, który jest sam w pustym domu i nasłuchuje. Potem przykrył kołdrą facjatę Gienia i zanim zdążyłem się rozbeczeć, objął mnie:

- Już się nie męczysz, a tę ostatnią dobę był panem swoich marzeń. Musiałem to zrobić, synu, bo torturować można wieloma sposobami, także nic nie robiąc. On na takie męki nie zasłużył.

Pierwszy i ostatni raz powiedział do mnie „synu”. Oba bilety trzymam w szufladzie. Czasami biorę je i widzę tamten uśmiech Gienia: Gienio kładzie swój strach na łopatki, a obok stoi „Książę” przebrany za sędziego i wylicza kostuchę do zera.

II

To był letni dzień, koło południa, zajeby gorąc. Bazar niby tramwaj, ścisk, że „gdyby nie panna Jola, nie byłoby gdzie palca wetknąć”. Baby w budkach wachlowały się, tym na ręczniaku pot kapał z cycków w gacie i dalej w pepeg, aż zaczęły zdejmować bluzki i przeżyły się w halkach świeżych jak dworcowy ręcznik. Sery puchły, mięcho zarzucone workami gniło, flaczarki i „pyzy! gorące pyzy!” przekrzykiwały się bez sensu, czekając na kogoś z głodnym smakiem, ale komu chciałoby się wtrącać pod taki upał? Interesy, owszem, tam farci się na okrągło. Dobrze chodziły podkoszulki z amerykańską kminą na plecach i piersiach, kanty z rozszerzaną nogawką, skoki w kolorze wiśniowym i chusteczki na włosy obszyte po grecku blaszkami robiącymi za moniaki. W taką gorącość na Różyckim nie pije się monopolu, królowała herbatka w ćwierćflakonach z korkiem. Ludzie czekali na deszcz, ale krótki, taki, co odświeża powietrze i daje nogę, dłuższy przegania klientów. Jak idzie na deszcz, to interes kwitnie, bo każdy się spieszy i ten, co ma płacić, targuje krótko. Kto mógł przewidzieć, że idzie tajfun? Wszystko było jak trza. Kupieństwo zadowolone, pieniądź z rączki do rączki, towar nie zalega, nikt nie marudzi. I wtedy pojawił się ten frajer.

Podszedł do „Misia-waluciarza” i powiedział:

- Dzień dobry.
- Witam szanownego pana - odparł „Miś” chrypiąco, bo taki miał fason w przetyku.
- Wczoraj kupiłem od pana sto dolarów, pamięta pan?
- Dobrych klientów się nie zapomina - poinformował go „Misio” i zaraz ściszył chrypkę: - Potrzeba więcej?
- Nie. Chcę, żeby pan mi zwrócił moje pieniądze, bo ten banknot jest fałszywy - frajer wyjął zielonego i wkitrał „Misiowi” pod nos. - Proszę!

Jakby przed „Misiem” stanął zielony kurdupel z Marsa, z czułkami i o siedmiu nogach, to „Misio” byłby mniej zdziwiony. Zastygł, nie wierząc patrzeć; później odwrócił się do „Rolmopsa” (który go obstawiał z podręczną kasą), pewnie żeby prosić: Uszczypnij mnie, co to jest w mordę kopane, czyja kimam?! Ale nie poprosił, bo „Rolmops” gapił się w niego wzrokiem Dzieciątka Jezus, ta firma nie puszczała lewych dolców. „Misio” bez słów wyjął papier z frajerskiej dłoni i skojarzył, że stówka mogła oglądać Amerykę w programie telewizyjnym, ale prawdziwej Ameryki nie oglądała za cholere. A ponieważ nie była to stówka, którą onegdaj sprzedał frajerowi, należało powiedzieć: „Szoruj, pętaku, bo cię stuknę!”. Jednakże „Misio” wyszedł z akademii cinkciarskiej hrabiego Dziurawca i jako człowiek wyżej doksztalony wziął pod rozwagę okoliczność, że frajer może być gliniakiem z innego rejonu, pragnącym trafić gwiazdkę na przyłapaniu fałszerzy, zagaił więc wpierw politycznie:

- Przepraszam, jeśli szanowny obywatel jest tak zwanym funkcjonariuszem, to lepiej niech tego nie robi, bo czeka obywatela duża przykrość, czyli opierdol w pracy.

- Nie jestem tajniakiem, proszę pana, chcę tylko odzyskać pieniądze - rzekł na to frajer.

Teraz „Misio” miał jasność. Nie potrzebował już opalać się, więc zagaił po ludzku:

- No to spieprzaj, kurwa twoja mać, czereśniaku, bo ze mną ten farmazon nie przejdzie! Dalij mi!

Tu „Misio” wykonał zamach ku użębieniu frajera. Ten nie stryfił:

- Albo odda mi pan pieniądze, albo pójdę na posterunek...

- Ty w torbę jebany gnoju! - zachrypiął „Misio”, łapiąc frajera za klapy, żeby strzelić mu byka na czoło.

W tym momencie pojawił się przy nich „Turek”, Mikułowicz Alojz, bazarowy kapitan od „miękkie-twarde”.

- Co jest? - zapytał bez zbędnej sylaby.

- Frajer bawi się w farmazona - objaśnił „Rolmops”. - Wciska nam ciemnotę, żeśmy opylili lewy papier, a pan przecież kojarzy, panie prezesie, że to jest niemożliwa niemożliwość! Fartu szuka!

„Turek” przejechał dłonią z sygnetem po swojej dumie, peruce srebrnoszarej, utrzymanej jak w żurnalu dla naćpanych rencistów i dającej mu wygląd profesora, drugą

dłonią przytknął z klapy włos, którego nie było, ale tym ruchem zrobił wrażenie, iż się zastanawia, po czym wyjął z „Misiowej” graby wzmiankowaną stówę i spojrzał na nią okiem fachury.

- Partacka robota, wszystko idzie na dno - zagaił filozoficznie. - Czy łaskawy pan gotów jest przysiąc, że nabył ten bubel od kolegów?

- Jestem tego pewien.

- Czy nie zachodzi prawdopodobieństwo, że łaskawy pan się omylił albo że ktoś podmienił panu...

- Wykluczone!

„Turek” strzepnął kolejny włos, którego nie było na klapie z angielskiej gabardyny. Kapował, iż facet łąga, tylko nie wiedział po co. Były dwie możliwości: albo prowok, albo cwaniaczek-amator, który chce wyfasować szmalec na grandę. Musiał te zagadkę rozstrzygnąć, powiedział więc:

- Jeśli tak, to trudno. Koledzy zapewne nabyli ów banknot od kogoś nieuczciwego, obejrzeni mało dokładnie i sprzedali panu w przekonaniu, iż jest to banknot dobry. Dżentelmeni nie kłócą się o pieniądze, zwrócimy panu należność, ale ja nie mam takiej sumy w portfelu. Chodźmy do mnie, tu blisko.

Zawodowiec nie zgodziłby się nigdy, tylko głupek, z tych, co uważają się za szpeniów, a są baranami. Frajer kiwnął głową i poszedł za „Turkiem” w stronę Brzeskiej. Pan Alojz stanął przy kiosku i kupił paczkę szługów, robiąc persę do kulawej „Bubliczki”, ta oświadczyła, że nie ma wydać i musieli rozmienić gdzieś obok, co zabrało niedużo czasu, tyle, ile było trzeba, żeby skrzyknąć jeden czy drugi kastet. „Turek” poprowadził frajera wzdłuż rampy komisumeblowego i obok stajni dorożek na opuszczony dziedziniec po przedwojennym składzie win. U stóp wysokiego muru z żółtych cegieł pamiętających ruskiego cara leżały farfocle dorożkarskiej dryndy, trochę złomu i piramida niczyich desek, w kącie stały blaszane śmietniki. Było ciemno, nad miastem wisiała chmura, zresztą nawet przy słońcu nie dało się tam opalać, boki kamienic rzucają cień. Nazywano ten plac „mordopraniem” i kiedy przychodziła pora „lujnąć” kogoś, był izbą tortur”, a gdy rozliczyć się wśród swoich obrączkami na cztery palce, to był ring.

Przekroczyli zardzewiałą furtkę i znaleźli się w przestrzeni izolowanej od świata parawanem z cegieł, jak więzienny spacerniak lub metalowa puszka, do której wrzucono

kilka karaluchów. Wizawis furtki, między dorożką a kubłami na śmiecie, czekało dwóch artystów od przemeblowywania jaj, wątrób, facjat tudzież innych kawałków człowieka: Roman „Bordo” i „Groch”, który był mistrzem Warszawy w półśredniej, a potem wylano go z klubu za serię prostych poniżej pasa sekretarki (w krocze, ale bez jej zezwolenia) i za to, że spieszącemu na ratunek prezesowi połamał parę żeber lewym hakiem.

- Panowie życzą?... - przywitał ich „Bordo”, wypluwając peta. Frajer zrobił taki ruch, jakby chciał przyskać, ale Mikułowicz zagradzał mu drogę do furtki.

- Oni panu oddadzą - powiedział - proszę iść.

Tamten nie usłuchał, więc „Turek” złapał go za krawat i pociągnął przez plac jak bydlę do rzeźni na postronku, bezwolnego, z rękami sflaczałymi i głową zadartą węzłem, który wbił się pod brodę. Kiedy doszli, Alojz Mikułowicz poczuł, że czyjaś dłoń chwyta go za klamrę od paska, unosi ku niebu i zanurkował srebrzystym łbem w śmietnik. Zgasło mu kino. „Groch” był najbliżej, ale nie zdążył pomóc, nawet sobie. Usłyszał tylko świst powietrza. Eksplozja pod sufitem i błogość. Zbudził się wśród pielęgniarek. „Bordo” miał więcej czasu, pół sekundy; kopnął tak, żeby zabić, lecz jego gira zetknęła się z czymś, co wyrwało mu ją ze stawów; nim upadł, dostał poprawkę w czoło, jak młotem; ziemię pocałował już bez głupich myśli. Ma czarne jajco nakryte grzywką i sztywny kulas, zalewa, że spod Lenino.

„Misiek” stał „na oku”, filując, czy nie lezie cham, który mógłby zakłócić rozmowę dżentelmenów. Słyszał ją, łomot był donośny kiej echo w górach: cztery razy i po balu. Potem sakramencka cisza. Odemknął furtkę, wsadził limo i zobaczył, że frajer uwalnia śmietnik od wraku generalissimusa cinkciarzy, a mumie dwóch łamignackich tapetują grunt pod kolor zaprzyjaźnionego mocarstwa. Sitowie zrobiło mu bacność, ale nie stracił pomysłu: zablokował furtkę gazrurą i majtnął się lotem koszącym ku dzielnicy. Przy Brzeskiej wpadł na mnie, wychodziłem z rybnego.

- Słuchaj „Fokstrot”! - charknął zdyszany - szoruj na „mordopranie” i filuj, żeby nikt nie otworzył bramki! Tam jest frajer, który skasował „Turka”, „Grocha” i „Bordo”... ,

- Frajer skasował „Grocha”?! - przerwałem zdumiony.

- Rób, co mówię, nie ma czasu! Leć i pilnuj, żeby się nie zmył! Gdyby wyskoczył, idź za nim, ale uważaj! Zaraz będę, tylko skrzyknę chłopaków!

I pobiegł na Różyckiego, a ja ku „mordopraniu”. Furtka była szczelna, więc żeby zafilować, czy frajer tam jest, wspiąłem się po beczce na mur i usiadłem; okapy robili kiedyś szerokie, do tańca. On też siedział, na stopniu rozwalonej dryndy, spokojnie, jakby czekał w lokalu, aż zjawi się kelner. Usłyszał i podniósł głowę. Chciałem zeskoczyć, takiego dostałem pietra, lecz coś mnie usztywniło: jego budzące cykor, jak wylot dubeltówki, ślepie, wwierały się podwójnym korkociągiem, przytrzymując za twarz. I coś jeszcze: znałem go! Sprzed półtora roku, może dwóch, wszystko jedno - takiej gęby nie da się zapomnieć lub pomylić.

Na górze był wiatr, ciął jak kosą. Kulilem się i nie przestawałem patrzeć na niego, a on patrzył na mnie. Cykoria odeszła, teraz czułem inny lęk, niby aktor w jakiejś dziwnej tragedii odstawianej na dachu wieżowca lub na wyspie, gdzie huragan wyrzucił dwóch facetów i odebrał im głos. Ale to on miał grać, siedział na środku sceny, ja miałem balkon. Czasami kierował wzrok w stronę furtki, potem unosił i spoglądał mi w twarz, bez zaciekawienia, gniewu lub czegokolwiek, jakbym był rzeźbą, którą trzeba zbadać, ale która nie budzi żadnych wzruszeń. Dzieliło nas trzydzieści metrów, lecz zdawało mi się, że mam go przed sobą i nawijamy, a to gadała cisza.

Jęk uchylonej furtki przywołał rzeczywistość. Czujne ślepie obmacały teren i furtka, pchnięta kopem, wpuściła na plac bandziorów z Różyckiego. Dawno nie widziałem podobnej rakiety. Był Zygmunt „Drukarz”, który robił z hartowaną stalą to, co inni z gumą, Łońka „Żyd”, co potrafił zniecka kolnąć paluchami gały, oślepiając klientów na chwilę lub dożywotnio (i zawsze trafiał czas jak szwajcarska omega, można było zamówić oślepienie pięciominutowe, półgodzinne albo dłuższe, nigdy się nie pomylił), były Lewandoszczaki, twarde sztuki, tłuc ich i bić w ścianę wychodziło na jedno, każdy cios brali jak worek do ćwiczeń, a kiedy przyładowali sami, nie trzeba było poprawiać (raz widziano pojedynkę między nimi o dziwkę, wyglądali jak dwa dęby okładające się konarami, padli razem, ze zmęczenia), było kilku bokserów po „Pierwszym kroku” i po ostatniej wódeczce, która ich wykołegowała za ring, paru łamignatów od mokrej fuchy, majstrowie mojki, kastetu i noża (w tym Binio „Rzeźnik”, zwany też „Kosą”, pierwsza klinga prawobrzeżnej Warszawy), oraz geniusz „trepanacji” łbów rowerowym łańcuchem, Czesio „Królak” (od tego Królaka, co zakosił wyścig) - w sumie trzynastu, feralna liczba

dla frajerów, nawet takich, którzy umieją zaszurać. Ten nasz miał z głowy, współczułem mu.

Ujrzawszy ich podniósł się i zrobił krok do przodu. Obskoczyli go, przygarbieni, ze ślepiami nabiegłymi krwią, żelazo w co drugiej łapie. Stado wilków wokół jelenia. Było ich tylu, że nie kojarzyli, który ma rozpocząć; to dało mu czas na założenie mowy:

- Trzynastu wspaniałych przeciwko jednemu, gratuluję rycerzom... O któregoś mniej i byłoby jak w Piśmie Świętym, zrobiłbym was apostołami i dałbym się ukrzyżować, ale to inne kino, polski western... I jeszcze te przyrzędy naukowe, bez których zesralibyście się w portki!

Podziwiałem go. Nie miał szans, powinien zebrać o litość, a pyskował, zwiększając zadziór, którym się naładowali przeciw niemu. Wiedziałem kim był: instruktorem karate. Kiedyś kumpel zaciągnął mnie do klubu, żebym spróbował, szło mi jak krew z nosa, a do tego nie chodziłem regularnie, bo zawsze coś mi wypadło. Po trzech tygodniach dałem spokój. On nie mógł mnie pamiętać, trenował kilkudziesięciu chłopaków, wszyscy w kimonach, biała masa, podobni do siebie jak Chińczyki. Ja go zapamiętałem. Kilku urków rozmieszały na luzie. Ale nie trzynastu z łańcuchami, to jest możliwe tylko w filmach, po których idiota wyobraża sobie, że i z niego taki gieroj, co w obronie dupska jakiejś dziewczuchy rozwała bandę czarnych charakterów samą lewą ręką, bo prawą trzyma akurat w gaciach tej pani. Potrafiąc się bić i wyklinając trzynastu, miał szansę zawodowego pływaka, który po utonięciu łajby żabkuje przez ocean i klnie boga mórz. Pływanie to jego fach, ale do brzegu jest za dużo mil.

Cisza przez parę sekund, tylko wiatr, który zdmuchnął czapkę Piotrusiowi „Lakiernikowi”. Facet rozejrzał się po tych mordach i spytał jakoś dziwnie, miękko i kobieco, tak pytają młode nauczycielki:

- Czy nie ma wśród was choć jednego człowieka?... Tylko jednego, który zechce mi pomóc, osłoni mi grzbiet... Żebym nie dostał z tyłu i żebym nie zwątpił w ewolucję.

Gówno zrozumieli, a już ten ostatni wyraz, turecka mowa. Zdawało się im, że on cykoruje i właśnie pękł. Ja zadrzałem, jakby jego prośba o pomoc była skierowana tylko do mojego serca. Czuję, że... chcę mu pomóc! Ale stryfiłem: zatłuką mnie! Strach to paragraf, który tak samo powstrzymuje człowieka od czynienia zła jak i dobra, tchórze żyją w zdrowiu, szczęściu i pomyślności.

Dwa głuche rąbnięcia, takim piorunem, że przegapiłem kto skoczył. Jakbym się spóźnił na film - patrzę, dwóch leży. Inni doskakiwali z przodu, z tyłu i z boków, zawadzając sobie, ale z każdą chwilą robiło się im luźniej, bo coraz to któryś wywijał orła i sztywniał w głębokiej kimie albo jęczał, z kolanami pod brodą, jak ukrzywdzona Dziunia. Bruce Lee tak kasuje pętałów, ale przed kamerą to i ja bym mógł, gdyby mi się nadstawiali. Tu szło bez bajeractwa, krew była krwią, a łomot był łomotem. Patrzałki wychodziły mi na zewnątrz, raz w życiu oglądałem taki cyrk, ja chromolę!

Widzieliście pajaca z drewnianych deseczek, co jak ruszyć linką, jego ręce machają w górę i w dół? Albo wiatrak młyński, którego skrzydła prują powietrze, kiedy jest silny wiatr? Jego graby i nogi pracowały właśnie w ten deseń, rytmicznie i szybko, jak błyski majchra, jak płomień z lufy kulomiotu na ruchomej podstawie, we wszystkie strony, a każdy pocisk skreślał jednego klienta. To było niemożliwe, ale tak było!

Po kilkudziesięciu sekundach zostali we trzech: on, młody Lewandoszczak (starszy, z własnymi zębami w przelyku, turlał się pod murem) i Czesio. Czesio zachodził od tyłca, młynkując nad głową rowerowym łańcuchem; Lewandoszczak stał z przodu, brał na korpus straszliwe ciosy i nie przewracał się, czekając, aż „Królak” zahaczy żelazem łeb tamtego. Łańcuch wirował coraz bliżej i szybciej, nie było już widać, tylko świst od młynka wypełniał „mordopranie”. Tamtem zrozumiał, że ma pół sekundy i padł na ziemię, a żelazo śmignęło nad nim. Leżąc wykonał cztery ruchy niemal jednocześnie, trudno to opisać. Strzelił girą i jego but wbił się od dołu w pachwinę Lewandoszczaka, wrywając z gardzieli trafionego zwierzęcy krzyk - Lewandowski fiknął i łapał powietrze jak ryba, z dłońmi na jajach, siny, prawie czarny, szmata. W tym samym momencie ramię karateki osłoniło głowę przed spadającym nań łańcuchem, który owinał się wokół rękawa. „Królak” powinien puścić łańcuch, ale nie zdążył i szarpnięty, poszedł głową do dołu, a tam już czekało kolano drugiej giry leżącego. Nos Czesia chrupnął jak faworek, zmieszał się z kawałkami szczęki, zębów i kości policzkowych, i było po Czesiu.

Było po wszystkim - wszyscy leżeli, ale tylko „frajer” mógł się podnieść. Uwierzyłem w to, co na filmach jest bujdą.

Wstał i odwinął łańcuch z przedramienia. Miał urwaną nogawkę, rozpieprzone kolano, a spod łacha, który kiedyś był rękawem, ciekł strumień krwi, przez co dłoń zrobiła mu się całkiem czerwona -rowerowy skalpel tak go urządził. Spojrzał na mnie, jakby chciał coś

gadać, ale nic nie rzekł, pokuśtykał w stronę furtki. Wiatru już nie było, ciszę haftował kogiel-mogiel jęków i przekleństw. Zobaczyłem, jak „Partyzant” unosi się na łokciu, wyciąga maszynę i celuje tamtemu w plecy. Gdybym truł, że skoczyłem, bo chciałem faceta ratować, nikt nie udowodniłby, że polewam, tak wyglądało. Ale to nie ja skoczyłem, tylko coś, co było wtedy we mnie od jego oczu, przez tę rozmowę bez słów, kiedy filowaliśmy na siebie, coś niby wewnątrz, lecz poza mną, bez mojego chcenia. Nie umiem tego nazwać, ale jestem pewien, że właśnie takie szajby produkują bohaterów: wyprzedzają rozsądek o piczy włos. Gdyby pomyślunek u ludzi był szybszy, krzyże walecznych zostałyby tylko w ruskich filmach.

No więc to „coś” zepchnęło mnie z muru, nie pytając, czy się zgadzam. Pofrunąłem jak kaskader, zelówką na maszynę „Partyzanta”. Walnęło. Pocisk, który przebił mój but, onucę i paluch, zmieniwszy tor kropnął w cegły. Tamtemu podarowałem życie; „Partyzantowi” również: dostałby krawat za morderstwo, albo od razu utłukliby go kumple „fajera”. Czekali obok. Cholerny świat, dałbym głowę, że jestem jedynym widzem na sali! Na balkonie owszem, ale był jeszcze parter.

Jakiś czas orbitowałem bez przytomności, chyba krótko, zbudził mnie deszcz. Tamten stał nade mną, źle go widziałem, był rozmazany, jak na nieostrym zdjęciu. Krople wody, ciężkie i gęste niby prysznic, opluwały mi twarz, chciałem coś powiedzieć, ale w otwartą gębę ciekło jak z rury. Usłyszałem ten głos:

- Zabierzcie chłopaka...
- A co z tamtymi...? - spytał inny głos.
- Bóg.
- Jak to Bóg...?
- Bóg z nimi, jeśli ma dla nich czas. A jeśli jest zajęty gdzie indziej, to już nie moja wina... Podnieście go.
- Szefie, dwóch może wykorkować, będą kłopoty...

Nie wiem, co tamten odpowiedział, kinematograf mi wysiadł. Jeszcze raz się ocknąłem, kiedy zdejmowali mój prawy kapeć, a potem to już w szpitalu kolejowym obok „mordoprana”. Jego ludzie mieli rację: Binio „Kosa” przekręcił się tam, gdzie dają palta z desek, kilku innych pożegnało własne zdrowie dożywotnio. Przez cały miesiąc w dzielnicy mówiono tylko o tym.

Ja mogłem utracić kulasa i nigdy bym już nie zatańczył, musiałbym zmienić ksywę. Postrzelona girą dostała jakiejś gangreny, lekarze ni mru-mru, ale pacjent z takim ścierwem to sejsmograf; ze spojrzeń i z min, które robili podczas każdego obchodu, wyniuchałem: kombinują, sukinsyny, ciachać czy nie ciachać? Pakowali w mój drętus jedną szpilę za drugą, dożylnie i domięśniowo, litrami. Nic nie bolało, żadnego czucia, jakby kłuli pień. Aż któregoś dnia powiedzieli, że najgorsze minęło, jestem po przesileniu. Kij wam w oko, palanty, nie wasza zasługa, o przesileniu wiedziałem, bo miałem taki sen, w którym to się stało!

Są rzeczy, co ciężko idą na papier. Czy można opisać, jak pewien magik kilkunastoma ruchami kopyt rozwała paczkę niezgorszych bandziorów? Dajcie mi taśmę filmową, będzie git, ale pióro? Napociłem się przy tym, jak bydlę w zaprzęgu i wyszła niby prawda, tylko że transmisja radiowa z meczu to też prawda, a porównajcie ją z meczem oglądanym na żywo. I powiem wam: tamto było betką przy opisie, jaki teraz chcę zrobić. Chcę opowiedzieć mój sen.

To jest tak: kimasz, widzisz w kimie różne obrazy, całe zdarzenia, krok po kroku, naturalne niby w dzień. Potem się budzisz i jesteś zdziwiony: pamiętasz wszystkie detale, one grają, tylko całość wygląda dziwnie głupio, bez nijakiego składu. Więc lepiej tego nie opowiadać, bo gdzie sens?... Aleja muszę to opowiedzieć.

Kiedyś wiozłem „Księcia” i „Petra” pod bank na Czackiego. Przy domu Braci Jabłkowskich ciężarówka stuknęła gablotę, piknik w zafajdanym korku. Włączyłem radio. Literat nawijał, że genialne pomysły senne, przy których on się budzi, aby je zanotować, rano, okazują się komiksem dla ubogich, można o dupę potłuc. Sen nic nie wart, ludzkość traci jedną trzecią egzystencji, medycyna przyszłych pokoleń znajdzie na to lek. Jakiś pytacz z radia miętosił go, a ten mu truł ćmoje-boje. „Książę”, zajęty na tylnym siedzeniu pogaduchą z „Petrem”, usłyszał, bo nagle warknął:

- Głęb!... Elita intelektualna, chluba narodu! Tombak!
- Inteligencja ludowa, panie szef - zgodził się „Petro” swoją modą, filozoficznie. - Kultura masowa, siła przodująca, cywilizacja fryzjerów. „Myśl nowa blaski promiennymi...”

Pogadali sobie, mieli wspólny charakter mędrkowania, takie luzackie kpiarstwo, co nie każdemu wychodzi, cholernie ciężko podrobić styl, a jeszcze ciężiej luz: wszystko jakby od

niechcenia. Było w ich grze coś z brydżowej licytacji: dwóch wirtuozów rozmawia szyfrem i mają z tego frajdę. Tam, w korku, mówili, że facet nie kapuje, iż sen oraz jawa to dwa światy całkowicie odmienne, nie można decydować, który jest lepszy, nie wiadomo nawet, który prawdziwszy, tak jak nie wiadomo, czy umysł wariata jest gorszy od zdrowego mózgu, to po prostu inna realność. Ale ich wniosek był taki sam: nie powinno się wywlekać snów z mrocznej ciszy ku słońcu, bo przenosić jeden z tych światów do drugiego znaczy kopsnąć rybę na brzeg - wówczas ona zdycha.

Jednak ja opowiem moją szpitalną kimę, choćby miało to wypaść ni w pięć ni w dziewięć; było w niej coś proroczego i to coś wróciło na samym końcu mojej podróży z „Księciem”; kiedy poznacie ów koniec, odechce wam się śmiać.

Kimałem, że jesteśmy powstańcami, ja i kilkunastu chłopaków. Nie znałem ich, chociaż w kimie musiałem ich znać, zasuwaliliśmy razem, wszyscy dla siebie swoi, ale nie pamiętam żadnych facjat, które mógłbym rozpoznać. Byliśmy oddziałem lub resztką oddziału, bo spieprzaliśmy. Nie wiem, które to powstanie, o tym nie było mowy. Dawaliśmy kurewskiego dyla, ktoś nas gonił, straszny wróg, też nie kojarzę, co za swołocz, bo się nie oglądałem. Wpadliśmy we drzwi domu, to była jedyna droga ucieczki, a ten dom był wieżowcem. Śmigaliśmy po schodach do góry, w każdym tyłku pracowała honda, giry niosły odrzutowo. Na dziesiątym piętrze stanęliśmy; w jednym z mieszkań kilku facetów dyskutowało, czy już będzie dość, czy mamy biec dalej. Przez otwarte drzwi widać było wewnątrz dużego pokoju, słowa mieszały się z dymem szlugów. Byli filmowcami, mieli kamerę. Nie mogliśmy czekać, co postanowią, wróg się zbliżał. Znowu do góry, po kilka stopni, ze spluwą w grabie, coraz ciężiej, czułem fizyczny ból. Schody nie miały końca, a cykor nie dawał odpocząć. Na co liczyliśmy? Jasne, że nie na dach, bo tylko w normalnej chałupie można prysnąć po dachach, a to był, kurwa, wieżowiec. Liczyliśmy na niebo, że zwiejemy do nieba i tam znajdziemy ratunek. Nie myślałem o tym podczas biegu, dopiero jak wpadliśmy na ostatni podest i zobaczyłem klapę w suficie, ucieszyłem się razem z innymi: za chwilę będziemy u Pana Boga, a oni będą nam mogli naskoczyć, nie dostaną nas, taki fiut! Rzuciliśmy się do tej kłapy, żeby ją odemknąć i nagle ujrzyliśmy coś, od czego zrobiło nam się słabo, opadły ramiona, patrzyliśmy z przerażeniem w tę blachę, wiedząc, że nie mamy już żadnych szans. Na klapie widniały słowa we wrogim języku, przekłete liternictwo tych, co za nami gonili. To było wejście do

ich nieba! Rozpacz w żyłach można czuć jak alkohol, z tyłu śmierć, z przodu piekło. Zamknąłem oczy.

W tym momencie przebudziłem się; leżąc z otwartymi oczami wciąż widziałem ten cholerny napis i czułem ten gniew, który pali ciało bezradnego człowieka. Potem był obchód i werdykt: pozytywne przesilenie.

Jeszcze z miesiąc kiblowałem na szpitalnym. W przeddzień wypisania, koło północy, ktoś mnie zbudził, szarpiąc i zatykając dłonią pysk, żebym nie krzyknął. Świeciła tylko lampka we wnęce z kontaktem alarmowym, lecz pokój był księżycowe widny. Ujrzałem nade mną facjatę „Petra”. Nie znałem go (a on nie nosił tej ksywki, dostał ją później), chociaż widywałem czasami. Gienek mówił o nim, że kiedyś był rekinem na całej Pradze, ale miał obciach i spadł z układu. Więcej niż pięćdziesiąt, mniej niż sześćdziesiąt, łysy, ze srebrnym wiankiem od ucha do ucha. Emeryt nie zgorzkniały, ani wałkujący przeszłość, więc niegroźny dla nowych kapitanów. Chociaż nic nie znaczył, wszyscy go lubili, ferajna tykała go grzecznie, per: „szaconek!”, niektórzy: „jak zdrowko, panie Mieczysławie?”, dla pętaka, którym byłem, za wysoki próg.

Powoli cofnął grabę z mojej jadaczki i przyłożył palec do swoich warg: ciiii...! Odszedł, zafilował, czy towarzystwo kima, wrócił i szepnął:

- „Fokstrot”, dlaczego pomogłeś temu frajerowi?

Zdębiałem. Walnął bez podchodów, licząc, że trafi z zaskoczenia. Przeliczył się:

- Jakiemu frajerowi?

- Ciiiszej!... Dlaczego mi pieprzysz?!... Nie jestem twoim wrogiem, głupku!... Chcę się z nim skontaktować. Myślę, że ty go znasz... musisz go znać, inaczej byś mu nie pomógł. Tylko nie truj, że serce ci się kroi jak kilku nasuwa jednego, więc odstawiłeś dobry uczynek!

„Takiego wała! - pomyślałem - niedoczekanie twoje, płyń! Chcecie, go załatwić, szukajcie sami, ale przedtem zróbcie testament, bo na własnym podwórku on spuści wam lepsze manto”. Przycisnął:

- „Fokstrot”, radzę ci gadać!

- A jak nie?

- A jak nie, to jutro będziesz dętką. Oni czekają na twój powrót do domu, delegacja, kapujesz, powitanie, wyrazy wdzięczności, bukiet z naostrzonych brzytw. Rano obstawią

drzwi szpitala, żebyś nie prysnął. Dlatego chcę cię ewakuować teraz, załatwiłem z lekarzami. Mam bezpieczną metę, gwarancja. Ale coś za coś. Powiesz mi, kim był ten frajer. Jest mi potrzebny, chcę się z nim dogadać. No więc?... Idziesz ze mną?

- Po ten bukiet?

- Synu, możesz mi nie wierzyć, ale czy masz wybór? Jeśli pracuję dla nich, to tylko trochę wcześniej powąchasz te kwiatki. Jeśli pracuję dla siebie, to jestem twoją szansą.

Była trzecia możliwość: robi dla nich i dla siebie, walcząc o powrót na jakiś szczebel drabiny. Nie gadał do głupiego, ale po co miałem mu to udowadniać? Nawijał dalej:

- Zostaniesz tu - wygrasz kilka godzin. Idąc ze mną, możesz się uratować. Bądź nieufny, ale nie bądź kretynem.

Nie chciałem być kretynem. Bałem się, że kiwa, lecz jak mogłem sprawdzić - nie miałem wyboru. Sypnąłem mu, w którym klubie robi „frajer”. Lub robił, skąd mogłem wiedzieć, czy wciąż tam biega, ale „Petro” nie chciał nic więcej, odszukałby dane w archiwum klubu. Moje łachy miał przy sobie.

Cieć wypuścił nas jak z baru hotelowego, taaaaki ukłon. Brzeska niby opuszczona dekoracja do filmów o sanacyjnej męce proletariatu, ciemność i wilgotny chłód. Naprzeciwko wejścia, po drugiej stronie jezdni, fiat 125. Usiedliśmy z przodu. „Petro” chciał zapalić. Kontrolka trup, rozrusznik też -jakby dłubał kluczykami w zębach.

- Co jest, cholera!?! - zaklął. - Wszystko było dobrze!

Ale przestało być. Czuję, że to nie przypadek, strach dusił mi krtań, po bebeczach mdliło, nie mogłem opanować drżenia. Wtem obok gabloty pojawił się gość w brezentowej kurtce. Szarpnął drzwiczki i spytał:

- Pomóc panu?

Zobaczyłem drugiego przy moich drzwiczkach. „Petro” przełknął taką porcję śliny, że mimo sadła widać było skaczącą grdykę.

- Z kim mam przyjemność?

- Pomoc drogowa, szanowny panie.

- Nie wzywałem.

- Staramy się uprzedzać życzenia klientów. Nawiasem mówiąc nie będziemy pomagać panu, lecz temu młodzieńcowi, którego pan obudził. To pański syn?

- Kumpel.

- Ze szkoły?

- Panie, czego pan chce?! - rozzłościł się „Petro” (już na luzie, bo teraz kombinował, że gliny).

- Przesadzić pana do tyłu. Zrobi pan to samodzielnie, czy pomóc?

„Petro” przesiadł się sam, a facet, który z nim gadał, zajął jego miejsce. Po bokach „Petra” usiadło dwóch (jeden z nich wcześniej otworzył maskę i gmerał w silniku). Spojrzałem na tego przy kierownicy i aż mną trząchło: kurka wodna, skąd ja znam ten ryj?... zaraz... pamiętam, filowałem na niego jak przez mgłę... tak!... był wśród facetów, którzy wynosili mnie z „mordoprana”! I głos! To on powiedział: „Szefie, dwóch może wykorkować, będą kłopoty”. Wiedziałem, że się nie mylę, od szczeniaka najlepszą ze wszystkiego miałem pamięć i to mi zostało (refleks też miałem morowy i smykałkę do czterech kółek, nikt na Pradze tak nie jeździł, ale „Książę”, choć błagałem bez ustanku, nie dał mi sprawdzić się w rajdach).

Ruszyliśmy. Facet kierował nieźle, nocą każdy głupi potrafi, pustynia. Nikomu nie chciało się lać głodnych kawałków, jak „Petro” spróbował, od razu przymknęli mu dziób:

- Proszę panów - zagał - ten człowiek mógł stać się obiektem dintojry. Chciałem mu zapewnić bezpieczeństwo...

- To mamy wspólny cel, wujku, my w tej samej sprawie - przerwał któryś z siedzących obok niego. - Tylko że po dwudziestej drugiej obowiązuje cisza nocna, nie wolno zakłócać sąsiadom, więc stul japę!

Od tej pory słychać było rozrząd i luzy panewek w silniku. Brzeska, Kijowska, Targowa. Pod wiaduktem zatrzymaliśmy się. Jeden wybył i wsiadł do gabloty, która migiała za naszą. Teraz my pojechaliśmy ich śladem. W Zamojskiego, do Ronda i przy Stadionie aa Wał Miedzeszyński. Znowu stop, koniec rejsu. Złaziliśmy po drewnianych schodkach ku rzece. „Petro” musiał puszczać w kaleson ze strachu. Mógłbym go uspokoić, lecz nie byłem pewien, czy zasłużył - czy nie chciał mnie zwabić gdzieś, skąd wraca się na łokciach lub na plecach:

Weszliśmy do hangaru z kajakami. Dwie żarówki oświetlały całe wnętrze. Tamci zamknęli bramę, usiedli na stercie kapoków i walnęli sobie po szlugu, nam robiło się coraz zimniej. Też bym obciągnął dyma, własnych nie miałem, a prosić? Staliśmy w przejściu między pionami platform, „Petro” wyglądał na nieboszczyka, który umrze po raz drugi.

Nie wiem, ile trwało to czekanie, mój sikor zatrzymał się w przechowalni szpitala. Długo. Nareszcie skrzyp drzwi i wszedł człowiek, którego brakowało. Klasyczna elegancja trenerów: sztruksowa katana, a pod nią golf. Zbliżył się do mnie i spytał:

- Noga w porządku?
- Noga?... tttak... - wybąkałem.
- Złego diabeł nie ruszy. Dziękuję ci, „Fokstrot”.
- Za co?
- Za tamto. Jestem twoim dłużnikiem.

I odwrócił się do starego. Głos miał nie zmieniony (tylko w oczach coś, że „Petrowi” jeszcze bardziej zmiękła rura). Powiedział:

- Nauczono mnie: szanuj starszych ludzi. Gdybym miał dziecko, wpoiłbym mu ten sam respekt i nie chciałbym, aby widziało, co teraz zrobię, gdyż utraciłbym w jego oczach wiarygodność.

Zawsze rumiane poliki „Petra” przybrały kolor cementu, łapał rybi dech, w końcu padł na wznak, druzgocąc wiosła wsparte o siebie jak drzewce wigwamu. Tamten krzyknął:

- Wody!

Ułożyli biedaka na platformie remontowej, a kiedy spryskali mu twarz, jęknął:

- Nitro...

W kieszeni miał buteleczkę... Potem stali naokoło, jak ekipa chirurgów modlących się, by pacjent nie odwalił kity.

- Przenieście do wozu - powiedział ten w golfie. - I na Hożą. Kiedy ci z pogotowia będą pytali, powiedzcie, że znaleźliście go pod wiaduktem.

„Petro” zrobił słaby ruch, dając znać, że nie chce. Otworzył ślip i wybełkotał:

- Najpierw... gra pan... rolę... oprawcy... a teraz... salwuje...

Sruje-pierdziuje-tokuje po chińsku, a ty jesteś dupa, bo nie byłeś prymusem w czytankach z wyrazami obcymi! - szlag mnie trącał, kiedy nie kojarzyłem mowy (dlatego później uderzałem do słownika, jak stara baba w modlitewnik). Golf wzruszył ramionami:

- Zafundować ci chorobę mógłbym, ale korzystać z twojej choroby nie chcę. Tylko nie poddawaj mojego humanitaryzmu kolejnej próbie, bo on może jej nie wytrzymać. Powiedz swoim koleśiom, czy zleceniodawcom, że odetnę każdą łapę, która zamierzy się na „Fokstrota”!

- Musiałbym w tym celu urządzić akademię i przemówić do nich z trybuny - rzekł „Petro”, siadając - bo osobistych kontaktów nie utrzymuję z żadnym. Słowo honoru! Prędzej już mógłbym wymalować na murach Pragi białą farbą: „Ręce precz od «Fokstrota»”, ale za skuteczność nie odpowiadam. Takie hasła cieszą się u nas opinią, która niezbyt dodatnio wpływa na poziom percepcji ludu. Ewentualnie, gdybym wpadł z puszką i z pędzlem w ramiona przedstawicieli ludowej władzy, byłbym primo: wzięty za sabotażystę, który broni tańców reakcyjnej klikki pułkownika Becka, czyli atrybutów starego reżimu, sekundo: skazany za discofobię, czyli dywersję przeciw wezwaniu „o dalszy dynamiczny rozwój”.

Zeskoczył na beton i otrzepał garnitur uwalany trocinami. Był geniuszem, potrafił nawijać każdą kminą - kozaczył z kozakiem, glinił z glinami, na Uniwerku wstawiłby taką mowę, że wzięliby go za swojaka. Pod ten golf strzelał wyrazami i żartami, które były obliczone na to, że golf się spruje i kupi. Ale to nie był jego główny numer, okazało się, że jest bardziej genialny, niż sądziłem. Bo wszyscy, słuchając jak polewa, mocniej niż od tekstu zgłupieli od tego, że mu zawał przeszedł niby krótki kaszel albo smród z puszczanego bąka. Wańka-wstańka, panie panowie, jak pragnę szmalu! Golf wycedził:

- Numer z nitrogliceryną, duża nowość... Jeden zero dla ciebie. Do przerwy!

Pysk „Petra” zamienił się w uśmiech:

- Jaka tam nitrogliceryna, pastylki z miodu. Środek na sytuacje ekstremalne. Wygodny, nie uwiera pod pachą ani nie obciąża kieszeni... W moim wieku to jedyna szansa przy spotkaniach z ludźmi, którzy najpierw biją, a pytają później, lub w ogóle nie pytają.

Jeden z tych, co nas zgarnęli koło szpitala, rudy młodzik w dzinsie, szczerwienił pod kolor własnych sitowi i zaryczał:

- Zgryyywusek! Dowcipaaaasek! Wyyjdziesz sto... stąd noooooogami do... doooo przooooodu, tyyy...! „Petro” spojrział na jąkałę ze zdziwieniem:

- Człowieku, mój sznur przed chwilą się urwał! Cywilizowani ludzie nie wieszają po raz drugi...

Golf przypatrywał się milcząco, a stary cwaniak kuł żelazo, korzystając z tego, iż jest przy głosie:

- Bóg mi świadkiem, że chciałem uchronić „Fokstrota” od dintojry. Nie bez własnych widoków, prosiłem o kontakt z panem, bo mam interes, który może...

- Jaki kontakt! - przerwał mu golf. - Ten chłopak mnie nie zna!

- Założy się pan?

Wzrok golfa żądał natychmiastowej odpowiedzi. Powiedziałem, skąd go znam.

- Mówiłeś o tym jemu? Albo komukolwiek? - spytał.

- Nie... nikomu o tym nie mówiłem.

Pofilował na „Petra”, w oczach miał kłującą złośliwość.

- Jasnowidz jesteś, panie kontaktowy?

- Coś w tym rodzaju. Mam taki talent, potocznie nazywany domyślnością, a w literaturze kryminalnej dedukcją. Jeszcze przed Conan Doylem Edgar Allan określił to jako „zdolności umysłowe zwane analitycznymi”. Pamięta pan „Zabójstwo przy rue Morgue”...

- Nie pamiętam. I nie kontaktuję! Mów prosto.

- A robię coś innego? Za to pan kręci. Pan doskonale kontaktuje. Nie urządza panu testów na inteligencję, tylko odpowiadam, nawiązując w rozmowie do czegoś, co stanowi dla mnie oczywisty fakt. To zbrodnia, obelga, czy co? Mamy rozmawiać knajackim wolapikiem?!... Czas już na trochę grzeczności, mój panie, nie zniosę dłużej...

- Założysz się?

„Petro” wybrał zły moment na rozprostowanie nóg. Groźba wyrażona tą propozycją podcięła kolana jego tupetu, musiał dalej znosić upokarzającą rolę przesłuchiwanego, udawać, że ślina to deszcz, klajstrować dziurawą dumę językiem. Utraciwszy godność, nie utracić stylu. Był mistrzem tej konkurencji. Dobry jest w niej co drugi człowiek, ale ilu potrafiloby to robić wewnątrz klatki z tygrysami?

- Założę się. Że pan czytał „Zabójstwo przy rue Morgue”. To właśnie uważałem za oczywisty fakt i nie było w moim odezwaniu żadnych intencji ubocznych, można chyba powołać się w rozmowie na coś znanego obu partnerom? Gdyby pan był ignorantem, z mojej strony stanowiłoby to nietakt, ale pan nim nie jest.

- Tego też się domyśliłeś?

- Owszem. Powtórzono mi kilka bonmotów, które pan wygłosił do swoich ofiar przed jatką. Pewien rodzaj, nazwijmy to artykulacji, zdradza pewien poziom wykształcenia i

oczytania. Mógł pan akurat nie czytać Poego, ale na tym poziomie jeżeli nawet nie zna się treści, pamięta się duże nazwiska i tytuły, to podstawowy bank nazw, który inteligent ma w głowie, jak harcerz tytuły obozowych piosenek. Półinteligent również, ale brakuje mu tego specyficznego poczucia humoru, które wzrasta wyłącznie na glebie prawdziwej inteligencji ożenionej z czytankami bogatszymi niż lektury szkolne, komiksy i plik gazet. Dramat, który pozwala, jak pan to ładnie ujął, wątpić w ewolucję, polega nie tylko na tym, że dookoła alkoholizm, analfabetyzm, brud i bydlęcość, czyli to, co pan nazwał polskim westernem, lecz może bardziej na tym, iż armia wyposażonych w dyplomy, tytuły i stanowiska przygłupów, gigantyczna mierzwa kultury obrazkowej, zawładnęła mianem inteligencji i wyznacza coraz niższe kryteria poziomu. Terror umysłowego bagna. Jediną dobrą stroną tej sytuacji stanowi fakt, że wyjątkowość prawdziwego intelektu to hermetyczny zakon, rodzaj masonerii mózgów, przedstawiciele tej ginącej rasy identyfikują się w kilku słowach czytelnym jak hasło i odzew.

Golf burknął przez dłoń kryjącą ziewanie:

- Wolnomularzu, skracaj umizgi, bo poznasz masonożerczy kanibalizm.

Chłopakom, którzy stali obok, imponowało, że szef tak ładnie punktuje. Nie załapywali czegoś, co ja już zdążyłem. Teksty, które sprzedawał „Petro”, wcale nie wnerwiały golfa, na odwrót, z każdą chwilą głaszały przyjemniej. Widziałem to w jego ślepiach; atakował bardziej z rozpędu niż potrzeby, ta już nie istniała. Łabędzi śpiew. Stary wycwaniony kornik drażący jego próżność wiedział, że zdarzają się jednostki, które mogą przetrzymać każdy ból, największe zmęczenie i najdziksze chłanie, lecz odpornych na pochlebstwo nie ma. Jest co prawda wilczy dołek i dla komplementującego - przeciągnięcie strun. On był na to za mądry:

- Ja panu nie kadzę, tłumaczę tylko, skąd wiem o pańskiej przynależności do określonego bractwa.

- Braciszku, miałaś mówić o tym, skąd wiesz, że „Fokstrot” zna mój adres!

- To samo źródło, wyczyn zwojów mózgowych. „Fokstrot” postąpił dziwnie. W jego środowisku i w jego sytuacji był to akt szaleństwa, a w każdym szaleństwie jest okrucieństwo metody. Gdyby pana nie znał, patrzyłby spokojnie, jak wdeptują pańską nieśmiertelną duszę i bohaterską cielesność podeszwami w ziemię przodków... Tak dedukowałem, co nie znaczy, że byłem pewien, w dedukcji jest naturalne ryzyko błędu. Podobnie ma się

rzecz z hekatombą, którą pan wykreował. Nie jestem pewien, czy z zemsty, może tylko dla junackiego splendoru, dla przekonania swoich uczniów o wyższości sal treningowych nad podwórkami, sportu nad bandytyzmem, sztuki nad liczbą i materią. Dedukcja to logika, lecz wielka dedukcja to logika w ramach intuicji. Intuicja... Przyjmę wszelki zakład, że grał pan wyłącznie rolę hrabiego Monte Christo z białą laską!

Golf popatrzył na niego jak na wariata.

- Z czym?!

- Ślepego Monte Christo. Pan wziął odwet na przypadkowych indywidualach, bo nie miał pan wpływu na dobór tej zgrai. Być może liczył pan na uśmiech losu, na to, że będzie wśród nich pański wróg i być może tak było, tego nie mogę wydedukować, ale mogę wątpić, bo wiem, iż wiara bardzo rzadko przenosi ciężar marzeń. Dokonał pan zemsty po omacku. Ergo - nie dokonał pan zemsty wcale.

Na wiecach robi się tak cicho, gdy ktoś zapoda: „A teraz uczcijmy minutą ciszy...”. „Petro” wystrzelił przedostatni nabój i czekał, a milczenie golfa było zbiorowym kneblem, tylko on miał prawo głosu. Musiał coś rzec i może się zastanawiał, a może zatkało go od celnych trafień „Petra”, tak czy owak wciąż milczał, wpatrując się w gębę starego.

- Kim ty jesteś?! - uderzył nagle jak ktoś, kto wchodzi do swej chaty i widzi obcą figurę w szlafroku.

- Przymusowym rencistą bez renty, marzycielem bez złudzeń, nałogowym wypełniaczem kuponów totka bez szczęśliwej niedzieli, bo tu dedukcja się nie sprawdza. Kiedyś należałem do prominentów prawego brzegu, Grochów stanowił moją włość, ale wydziedziczono mnie...

- Kiedy?

- Uuuu! Kopa lat, w sześćdziesiątym ósmym.

- Więc w sześćdziesiątym piątym byłeś władzą na Grochowie?

- Władzą była władza, ja byłem panem na Grochowie, szefem tego Grochowa, który nie lubi zadawać się z władzą.

- Półświatek?

- Półświatek, margines, podziemie kryminalne, jak pan woli. Od małego do dużego interesu, zdarzały się i bardzo duże.

- A Praga?

- Praga była lennem mojego... przyjaciela... obaj podlegaliśmy faraonom prawobrzeżnych dzielnic. Ale znałem Pragę dobrze, mieszkałem tu.

- Musiałeś więc znać wszystkich jej bandziorów...

- Co do jednego.

- I każdą głośną sprawę...

W tonie „Petra” zadźwięczał hamulec, może strach, a może tylko czujność:

- Owszem...

- W sześćdziesiątym piątym przy Brzeskiej truła się dziewczyna... Pamiętasz?

„Petro” skupił się, lub udawał, marszcząc brwi, na koniec mruknął:

- Kilka podfruwajek o złamanym sercu...

- Nie cierpiała na to. Została zgwałcona przez bandę ze swej ulicy, można powiedzieć przez sąsiadów!

W ślepiach starego błysnął ogień pamięci i natychmiast eksplodował:

- Już! Coś sobie przypominam... Więc to takie buty?!... Przypomniałem sobie...

Ja też. Blade światelko. Mieszkała trzy domy od nas. Nie mogłem jej pamiętać, byłem szczył - policjant, kowboj, wódz Apaczów.

Miałem dziewięć lat. Gienio czternaście, klepał mi piąte przez dziesiąte jak treść filmu, na który nie wpuszczono gnoja do „Syreny” i „Pragi”. Detal poznałem od innych, co mieli starsze rodzeństwo. Dziewczyna była swoja, a odprowadzał ją dobiegacz z drugiego brzegu, frajerek z Żoliborza, czy Mokotowa, studencik; chłopaków pod bazarem zalewała krew. Ostrzegli dziewczynę, bez skutku. Zaczepili ich, dziewczyna coś im warknęła, dostała w twarz, i wówczas on uniósł się tą rycerską odwagą inteligentika, którego jeszcze nikt w życiu nie skopał butami. Zrobili z niego futbolówkę, normalnie. Pobiegnęła do glin, sypnęła i chłopców zapuszkowano. Takich rzeczy się tam nie darowuje. Kapuś wzięłby kosą po flakach, ale dziewczyna-kapuś? Wyprostowano ją żywymi majchrami. Odkręciła gaz, w szpitalu padła na rozum. Potem jej stara wymeldowała się z dzielnicy, zabierając córkę. Ludzie mówili, że do czubów, a stamtąd do grzesznej ziemi, bo poświęconej ksiądz nie dał.

„Petro”, gdyby mógł, klaskałby z zachwytu. Jego fart przekroczył szczyt marzeń; człowiek, którego szukał, nie mając żadnej gwarancji na znalezienie, a po znalezieniu na

umowę - znajdował się w jego rękach. I zgodnie z oczekiwaniem ten człowiek po raz pierwszy odezwał się doń per „pan”:

- Proszę... pana... - wymówił z trudem, jakby gardło było za wąskie dla słów - czy pan znał... to jest, czy pan wie... jak można znaleźć tych ludzi?

- Tak.

Golf pragnął więcej, ale „Petro” się nie spieszył, chciał wziąć swój mały odwet. Patrzyli sobie gęba w gębę, czekając. Po kilku sekundach mądrość starego szepnęła mu, jaką głupotą jest łowienie drobnych satysfakcji kosztem interesów. Odpuścił z uśmiechem pełnym zwycięstwa sprytu nad ambicją:

- Światem rządzi Bóg miłosierny albo król-przypadek, trzecie nie istnieje... To prawdziwy cud, moja szczęśliwa niedziela, lecz pańska również. Szukałem pana, bo tylko pan może mi pomóc. I co się okazało? Że tylko ja mogę pomóc panu. Ale nawet nie to jest najbardziej cudowne, lecz fakt, że ma pan jedną możliwość zrealizowania swych zamierzeń w sposób optymalny - kupić mój projekt, zgodzić się na przedsięwzięcie, które chcę panu zaproponować. Nasze cele uzupełniają się jak rewolwer i pocisk, jedno bez drugiego nie funkcjonuje... Wie pan, odczuwam strach, że to sen, który się skończy na rozkaz budzika, bo ta zbieżność ma w sobie coś nierealnego, z kosmosu objawień świętych lub metafizycznych...

Poniosło go; czuł, że przeholowuje, więc urwał, z pewnością zły, iż o kilka zdań za późno, bo golf to facet, którego można zrazić egzaltacją w przetyku. Lecz tamten był dziwnie nieobecny, zdawało się, że kima z otwartymi oczami; powiedział wolno, półgłosem:

- Chcę odpocząć... Moi chłopcy zawiozą pana do domu... jutro omówimy nasze sprawy. „Fokstrot” zostaje ze mną...

- Jak długo?

- Co jak długo?

- Jak długo będzie pan trzymał go u siebie, do końca życia? Oni nie zapominają i nie wybaczą, chyba że muszą.

- Człowieku, jestem zmęczony... Później się zastanowię...

- Później będzie za późno, musi pan decydować natychmiast!

- Dlaczego?

- Dlatego, mój panie, że kiedy jutro zobaczą, iż „Fokstrot” zwiął, całą wściekłość obróca przeciw jego bratu, pewni, że to on mu pomógł...

Golf rzeczywiście wyglądał na zmęczonego, coś z nim było nie tak; przed chwilą pękła jakaś sprężyna i zapatrzył się w głąb samego siebie, odpędzając muchy słowami; miał wszystkiego dość. Ale nawet w tym stanie zwisu nie przestał kojarzyć i nie przepuścił luki w zeznaniach „Petra”:

- To ładnie, że tak się pan martwi o jego rodzeństwo. Tylko że nasza randka tutaj to przypadek, którego nie mógł pan wydedukować, prolog cudu, o którym śpiewa pan jak trubadur zaczytujący się Svedenborgiem! Wziął pan ze szpitala jednego, a co z drugim?... Też chciał go pan natychmiast schować w swoim domu?... Gdyby tak było, przyjechałby pan po rekonwalescenta z jego braciszkiem!

- A dlaczego nie na odwrót? - zapytał stary. - Jego brat mieszka gdzieś koło Dworca Wileńskiego, chyba u teściów, nie wiem dokładnie, „Fokstrot” by mnie zaprowadził.

Miał odpowiedź na każdego haka, szybką i gładką jak wąż. Kto mógł sprawdzić, że blefuje? Zresztą może i nie łągał, to było teraz bez znaczenia. Zatrzęsło mną co innego: przez cały ten czas nawet nie pomyślałem o Gienku, dopiero on mi przypomniał, że mam brata. Czułem się jak Kain. Gienek budował lepsze jutro, wycinając na eksport jakąś puszcę, ale właśnie miał wrócić z delegacji, może już wrócił. Zgnoiliby go za niewinność...

Golf widać doszedł do wniosku, iż wojowanie słowami z władcą słów to główniany interes, bo spytał rzeczowo:

- Co pan radzi?

- To, co i tak musiałby pan zrobić jako dłużnik „Fokstrota”. Połamać ręce, które się zamierzają na niego. W drobny mak! Bestie należy sterroryzować według pisma: gwałt niech się gwałtem, aby sama myśl o dintojrowaniu powodowała paniczny lęk!

Golf wyzbył się wahań:

- „Fokstrot”, gdzie mieszka twój...

- To już nie będzie konieczne! - przerwał mu „Petro”. - Oni zaczną od domu „Fokstrota”. Trzeba na nich poczekać i sprawić łaźnię. Tamto mogli uznać za wypadek przy pracy. Po dwóch takich lekcjach koniec złudzeń, zapanuje w tym towarzystwie ból

głowy i krótki chaos. Nim się otrząsną, można by przygotować wielkie bang i... genesis nowego układu... Ale o tym mamy rozmawiać jutro.

Umówili się i pożegnali. Nazwiskami:

- Mieczysław Heldbaum, po matce Żendziakiewicz vulgo Żendziawer, do usług.
- Stefan Karśnicki (później usłyszałem, że w klubie zwano go „Samuraj”). Moi ludzie odwiozą pana do domu.

Rozjechaliśmy się. Jedną gablotą „Petro” i czterech, my w drugi wóz, prowadził jąkała. Golf wysiadł ze mną przy Międzynarodowej. Dwa pokoje z kuchnią, trzynaste piętro, miało się Warszawę na dłoni. Nigdy nie widziałem tylu knig w jednym domu, księgarnia, biblioteka. Rozłożył mi połówkę, dał bety i kazał się ochlapać, zanim walnę w kimono.

Nie mogłem usnąć; od zapachów po ciszę i ciemność, wszystko było obce. Słyszałem zdania, które mówili tam, nad Wisłą, wciąż od początku. Przekręciłem się, pisk sprężyn poderwał go. Dwa białka, kocie oczy, wpatrzone w moją twarz. Opadł powoli na wyro i zasnął tak samo czujnie, miał sen drapieżnika. W końcu i mnie zmógł, ale inny, ciężki jak kamień.

Pierwszy widok po przebudzeniu: on w slipach, ćwiczy pompki, głębokie, z dwóch krzeseł. Ciało tip-top, jak na wycieczce szkolnej do muzeum rzeźbiarstwa starych Greków. Zrobił po talerzu jajecznicy. Trułem o sobie, bo pytał, zełgałem nie tak dużo. Przyszedł jeden kozak, ten, co pod szpitalem zaczepił „Petra”, miał ksywę „Dżek”, Jacek Klon, później na fest się zaprzyjaźniliśmy. Złożył raport o mojej klatce schodowej. Chojraki z Różyckiego rozpląszczały się na podestach i pikowały w dół jak stare manekiny, które obsługa sklepu wali do podziemnego lamusa: zębki wyplute, gnaty złamane, chóralna modlitwa: „O, Jezuuuu!...”

Przed czwartą poszliśmy łykać mielonego w barze „Smak”. Później Karśnicki urwał się z „Dziękiem”, a mnie dał kilka stów i kazał kupić chleb, cukier, jakąś padlinę i słoik z marmoladą. Kolejka była krótka, pół godziny, tylko że ja, kurwa mać, nienawidzę kolejek od zawsze i nigdy nie pokocham, bo mi giry drętwieją i nie mogę patrzeć na tych stojaków, co im się wydaje, że jeśli kolejki za wszystkim, za żarciem, ubraniem, papierem do dupy i prawem do życia, są od kilkudziesięciu lat, to były od początku świata i będą aż po skończenie na całej Ziemi, na której byt określa świadomość. Miałem do wyboru: krakowską, serdelową i tę z norek. Wziąłem krakowską. ,

Powrót był klawy. Zgubiłem się, nie rozróżniałem bloków, w mordę plutych, podobne do siebie jak pudełka. Kutas, który to wymyślił, miał czkawkę lub pojechało mu się z kontenerami. Ludzie biorą ślub, czekają dwadzieścia lat w kolejce po kluczyki do tych kilku metrów betonu i przed emeryturą zasiedlają rodzinne gniazdko; pełny raj: drzwi z własnym numerem, własnym judaszem i własnym dzwonkiem, czynnym nawet w nocy. Pieprzę taki luksus, wrywałbym stąd na czworakach, żeby ucałować sutereny w moim domu.

Powiedział: „Dziękuję”, nastawił mi telewizor i już ani słowa, wziął się do книг. Myślałem, że zdechnę, słuchając, jaki jestem szczęśliwy, że tak ich popieram, a oni mnie jeszcze bardziej; nie wiem, kiedy na fotelu uderzyłem w kimono.

Wstałem, gdy przyszedł „Dżek”. Był już wieczór. Coś na ząb i pojechaliśmy do „Petra”, Karśnicki prowadził. Ja siedziałem z tyłu i myślałem o notatce, która dzisiaj leży wśród moich papierów, a wtedy wisiała nad jego matą (sypiał po japońsku), z napisami kaligrafowanymi tuszem. Stojąc nie dało rady czytać, ale jak wyszedł do ubikacji, klęknąłem. Odwrócona kartka z kalendarza ściennego, 8 maja 1965. Na tylnej białej stronie, którą odwrócił, żeby uczynić z niej frontową, sześć cytatów:

„Zemsta zawsze wypływa ze słabości” (La Rochefoucauld, „Maksymy”).

„To słabość sprawia, że nienawidzi się wroga i marzy o zemście” (La Bruyere, „Charaktery”).

„Nie trzeba się mścić, mściwość jest przejawem prymitywizmu” (François Truffaut, wywiad dla „L'Express”).

„Tylko frajerzy się mszczą” (Paul Newman w „The Sting”).

„Nie będziesz szukał pomsty” („Pismo Święte Starego Testamentu”, Księga Kapłanów XIX, 18).

„Miłujcie nieprzyjaciół waszych (...) Jeśli cię kto uderzy w policzek, nadstaw mu drugi” („Pismo Święte Nowego Testamentu”, według Łukasza, VI, 27, 29).

III

„Petro" miał metę przy Jagiellońskiej. Kanada! Pięć pokoi, w każdym wysoki sufit, żyrandol, gigantyczne okna, dywany jak mech, serwantki z chińszczyzną, kupa obrazów i stara broń na ścianie; oczy kłuło. Gospodarz w karminowo-srebrnym szlafroku, jak Sobieski pod Wiedniem ubrany przez Turków, nie ten człowiek, co wczoraj. „Proszę się rozgościć. Naleweczka?". Nie było chętnych. „Cygarko, camel, też nie?". Postawił słone paluchy i widząc, że Karśnicki się rozgląda, mruknął:

- Resztki dawnej świetności...
- Którą ja mam panu przywrócić, panie Heldbaum?
- Można i przywrócić, dlaczego nie, pogadamy. Szczerze, nic nie będę ukrywał...
- Pan z tych, co nigdy nie kłamią?
- Owszem, nigdy nie kłamię bez potrzeby...
- Ta gra musi panu dawać siedem szczęśliwych niedziel tygodniowo, rekompensując niepowodzenia w totku.
- Panie Kaśnicki!
- Karśnicki.
- Przepraszam. Panie Karśnicki, dajmy spokój żartom, szkoda zdrowia. Nie wiem, dlaczego przyszedł pan z rogami, wiem, że nie dałem ku temu powodów, nie okłamałem pana dotąd ani jednym słowem...
- Co dziesiąte z tych słów, Heldbaum, było rozmową. Dziewięć było proszkiem do czyszczenia zębów krasomówcy. Przymusowy rencista, pechowy totkowicz, marzyciel bez złudzeń... Ćwiczenie incognito na bilecie wizytowym.

- Nieprawda! Powiedziałem też o sobie rzeczy, których nie mówi się każdemu, nie wyciągnęłyby ich ze mnie nawet spowiedź, gdybym uprawiał ten rodzaj masochizmu. A pan? Nic nie wiem o panu...

- I prosi mnie pan o pomoc? To chyba o pożyczkę, bo o co można prosić przechodnia?

- O przeprowadzenie na drugą stronę jezdni, panie Karśnicki, kiedy słabość fizyczna, zwana starczym niedołęstwem, przeszkadza zrobić to samemu... czyli o wsparcie młodymi mięśniami. Na drugim chodniku przeprowadzającego czeka nagroda.

- To już lepiej zostanę tu, gdzie byłem. Boję się Greków i ich darów.

Poliki „Petra” czerwieniały, grożąc eksplozją:

- Panie!... - wychrypiął - pan może mi dać tylko komfort spełnionej chętki, małą rozkosz bogów. Tak, ja też chcę zostać hrabią Monte Christo, ale nie muszę, ergo - mogę się obyć bez pańskiej pomocy. A bez mojej pomocy pan będzie chorował do końca życia! Więc kto komu robi łaskę?

Karśnicki drgnął, może nawet uniósł się z krzesła, przysięgłbym, że chce wstać i wyjść. Nie mógł, bo to oznaczałoby pożegnać się z nadzieją. Stary miał go w ręku. Lecz on z kolei nie mógł zaciskać, żeby nie udusić własnych marzeń. Gdyby znał Karśnickiego, to by wiedział, że te przysrywki były jak zasłona w kung-fu: uważaj, ze mną nie tak łatwo! Ale nie wiedział, czuł strach, że kryje się za tym coś poważnego. Grał już gościnność i gniew, teraz postanowił sprawdzić karty metodą: patrz, odkrywam ci moją najgłębszą ranę:

- No i po co to wszystko? - zaśpiewał. - Dwóch ludzi mogących sobie wzajemnie pomóc, nie potrzebuje dużo, aby ubić interes. Po tamtej rozmowie byliśmy już w połowie drogi, sądziłem, że reszta to formalność. Cóż takiego stało się od wczoraj?... Być może w ciągu dnia próbował pan czegoś się o mnie dowiedzieć, i może nagadano panu jakichś kalumnii, proszę bardzo, wszystko można wyjaśnić, sprawdzić. Nie wiem, co teraz, wiem, czym obrabiano mnie dawniej. Policjant w getcie, kolaborant i w tym stylu. Hieny!

- Był pan policjantem w getcie? - zaciekało Karśnickiego.

- Nie byłem policjantem i nie byłem w getcie, bo nie mogłem być w dwóch miejscach naraz! Pół wojny przesiedziałem w obozie nad Peczorą, jako drwał, bez wyrobionej dniówki nie dawali żreć, ktoś, kto nie przeżył takiego obozu, w ogóle nie pojmuje życia, nie jest w stanie zrozumieć biologii, fizjologii i socjologii, choćby miał tuzin fakultetów.

Wyszedłem z armią Andersa, pod nazwiskiem matki, z moim musiałbym zostać. Wróciłem w czterdziestym siódmym. Do pięćdziesiątego szóstego siedziałem. Później, dzięki koledze sprzed wojny... wszedłem w układ na prawym brzegu... Mówiłem już, namiestnictwo grochowskie... Kiedy się rządzi ludźmi, zwiększa się liczba wrogów, a póki nie mogą gryźć, plują. I ta ślina potem krąży...

- Chce pan przymknąć gęby oszczercom? Potrzebny byłby wagon kulomiotów - zauważył Karśnicki.

- Nie kwalifikuję się jeszcze do Tworek! Chcę zrobić... zamach stanu.

- To już wystarczy ciężarówka... kasztaniarzy.

- Pardon?

- Młodych umięśnionych, do wyciągania kasztanów z ognia płonącego przed ołtarzem po drugiej stronie jezdni, panie Heldbaum.

- To jedyny ogień, na którym może pan upiec swoją zemstę, panie Karśnicki. Władza! Bez niej nie ma pan szans, bo trzeba rządzić całą Pragę, aby poodnajdywać ślady. Za pieniądze, za alkohol, kupi pan adres jednego, dwóch, którzy nie odlecieli w świat. A co z innymi? Jak tylko zaczniesz się pan kręcić wokół tego, pójdzie smrodek i skończy się na kilku gramach ołowiu lub hartowanej stali w pańskich plecach. Lecz jako ksiązę będzie pan mógł zlokalizować wszystkich bez trudu, cały aparat podziemia będzie na to pracował, członkowie rodzin rzucą ich na ofiarny stos.

Zdumienie Karśnickiego było punktem dla firmy Heldbaum:

- Jako ksiązę?...

- Tak, ksiązę dzielnicowy, praski kacyk, w terminologii sycylijskiej ojciec chrzestny.

- Pan chyba zwariował...

- Powiem panu to samo, jeśli wyjdzie pan stąd odrzuciwszy mój projekt.

Na razie Karśnicki nie mógł wyjść z oszołomienia, do wyjścia za drzwi było daleko.

- Myślałem... myślałem, że panu jest potrzebna bojówka z moich chłopców... że pan chce odzyskać tron, a zapłacić nazwiskami i adresami tamtych... lub nie zapłacić...

- Jeszcze kilka lat temu, tak. Teraz jestem zbyt słaby, fizycznie i psychicznie - uśmiechnął się „Petro”. - Poza tym nie mam dwóch rzeczy, które pan posiada. Takiej gwardii przybocznej, złożonej z cudownych maszynek do mielenia oporu. Nawet gdyby pan mi ich sprzedał, nie byłoby już tym samym, za pieniądze nie służy się tak wiernie jak z

miłości. Charyzmat to druga rzecz, której nie posiadam, obok talentu jedyna, której nie można się nauczyć, trzeba się z nią urodzić. Nic bardziej niż ona nie predestynuje do władzy. Zazdroszczę panu. Niech żyje król!

- Wolnego, panie Heldbaum! Niech sobie żyje niedźwiedź, na którym dzieli pan skórę! - przystopował go Karśnicki, gramoląc się z szoku. - Kandydat, któremu już pan obstalował koronę, nie pcha się na tron. Może trzeba go było najpierw spytać?

- Pytanie byłoby retoryczne, nie ma ludzi, których nie ęci jakaś władza. Brak tej żądry jest kalectwem. To atawizm, syndrom zoologiczny, genetyczny, czy jak mu tam. Maskowanie go należy do dobrego tonu, posiada pan kindersztubę. Kiedy już pan to udowodnił, przejdźmy do konkretów...

Znowu za mocno polecał, wnerwiając Karśnickiego, więc kiedy „przeszedł do konkretów”, miał zagwarantowaną obsuwę; zdążył tylko powiedzieć:

- ...Władza, którą panu proponuję, nie jest z najgorszych...

- Chwała Bogu! A już się niepokoiłem!... Tak, to jest to! Gnojówka miasta-bohatera, ściek ukochanej stolicy, praski Dziedziniec Cudów, nadwiślańskie szambo, i ja, władca mętów, oprychów, alfonsów i kurwiszonów, synów marnotrawnych i wyrzutków społeczeństwa, Wielki Koezre świńskiego hadesu, najbardziej wredny i plugawy, najbrudniejszy więc najgodniejszy, księżę bezprawia i prawodawca zbrodni, zawsze o tym marzyłem! Bóg mnie wysłuchał!

Ja kręcę, tak posunąć! Leżało mi!... Ku mojemu zdziwieniu stary to olał: nawijał spokojnie dalej, jak belfer, który wie, że trudnemu uczniowi ma powtórzyć dziesięć razy, znosząc każdy wybuch i perswadując, aż do skutku. Kapnąłem się, że już nic go nie zatrzyma... i uwierzyłem w niego. Aby mu się oprzeć, trzeba było ciachnąć mu język. Miał taką gadanę, że namówiłby psa do wyjścia z wędliniarni.

- Za pańskim pozwoleniem, skończę, co zacząłem. Władza, którą pan wyszydził, nie jest z najgorszych. Problem punktu widzenia, ale mam niejaką pewność, że referendum w tej kwestii potwierdziłoby mój. Inteligentny, o wyrafinowanej kulturze osobnik na czele barbarzyńców, to chyba lepiej, niż półidiota rządzący kulturalną społecznością?

- Ma pan do zaoferowania tylko barbarzyńców?... A nie można ludożerców, albo jakieś inne świnię?

- Ten kontakt zapewni panu każda władza, ale i każdy krok na klatkę schodową, spacerek do sklepu, urzędu, autobusu i tramwaju, przyjaźń i małżeństwo - stosunki międzyludzkie. Mówią, że ludzie zostali stworzeni na obraz i podobieństwo bogacza, więc chyba Unia produkcyjna szwankuje, bo większość wyrasta na podobieństwo świni. Dopiero jako nieboszczyk uwolni się pan od bliźniego swego... chociaż niektórzy proponują życie pozagrobowe. Natomiast jako monarcha uwolni się pan od przeklętej równości! Zostanie panu wolność i braterstwo z tymi, których pan sam wybierze. Zna pan coś piękniejszego?

- Tylko z fotografii. Nie zostałem przedstawiony Katarzynie Deneuve.

„Petro” ani myślał zwracać uwagę; interesował go własny recital, którego jakoś miała być kluczem do zwycięstwa: kpinki znajdą kres, gość się wystrzela i ucichnie, a wówczas on, pan Miecio, słowami jak taran, jak skalpel, jak księga wszelakich mądrości cięższa od baby kafaru spadającego rytmicznie na łeb, przedziurawi, posieka i zmiażdży każdy opór.

Podszedł do kredensu, otworzył buteleczkę z lekarstwami.

- Mój czas... - uśmiechnął się - ... biorę zawsze o tej porze.

„O tej porze” nie znaczyło: o tej minucie; wstał, żeby dać wyraz lekceważeniu dla „Katarzyny Deneuve”; nie powiedział, a jakby się słyszało: „kpij, kpij, mam to w dupie, czas wydorosnąć, chłopczyku!”

- Serce? - spytał Karśnicki.

- Nadciśnienie... To brinerdin, z jego pomocą znoszę i halniak, nawet taki jak w tej chwili.

- Tutaj?

„Petro” łyknął pastylkę i odpowiedział:

- Kiedy nad Tatrami wieje halny, w Gdańsku ciśnieniowiec traci przytomność albo popada w ciężką migrenę. Co dopiero w Warszawie! Ciśnieniowiec to barometr, mogę panu powiedzieć, o której dziś się zaczął halniak... półtorej godziny temu!

Sięgnął po drugą buteleczkę i znowu coś łyknął.

- Mój drugi kumpel, voltaren.

- Na co?

- Zwyrodnienie stawów i kręgosłupa, pamiątki po obozie, tym nie harcerskim... Jestem uprzywilejowany, mam dostęp do zachodnich leków, inni muszą się kontentować „Polfą”, ale nasze odpowiedniki to śmiecie.

- Czytałem, że mamy dobre lekarstwa...

- Czytałem, że mamy dziewiąte miejsce wśród potęg gospodarczych globu, panie Karśnicki, wygląda na to, że pan i ja doksztalczamy się z tych samych gazet. Ale pan dostanie telefon za osiemnaście lat, a w Białymstoku czeka się na przydział mieszkania dwadzieścia pięć lat, ćwierć wieku!... Proszę mnie nie posądzać o farmaceutyczny snobizm. Cukrzycy w tym kraju zdobywają duńską insulinę jak narkomani haszysz, bo dziewiąta potęga świata produkuje taką, która daje mordercze skutki uboczne. Znajomy lekarz, członek komisji medycznej sejmu, opowiedział mi o zakneblowaniu interpelacji poselskiej na temat witaminy D dla naszych niemowląt. Wszystkie serie tej witaminy w ciągu ostatnich dwóch lat miały aktywność biologiczną zero! Rozumie pan? Zero! Z równym efektem można było podawać oseskowi krople wody, a jeszcze lepiej nie podawać nic, bo woda z naszych kranów to istny ściek. Dwa roczniki „przyszłości narodu” mają gwarantowaną krzywicę. Mógłbym do świtu zabawiać panów podobnymi anegdotkami o epoce kamienia łupanego.

Przypalił pewexowski szlug, zaciągnął się głęboko i usiadł.

- Znajomy lekarz winien pana postraszyć aktywnością nikotyny, a nie kropel dla niemowląt, przy pańskim ciśnieniu... - rzekł Karśnicki.

- Nic nie poradzę, nie umiem zrezygnować. W obozie paliłem nawet tytoń ze sznurka, włosów i trocin. Nie był dużo gorszy od tego, co sprzedają w kioskach „Ruchu”. Pan, oczywiście, abstynent?

- Nie nauczyłem się.

- Umrze pan zdrowszy, jak mówią. Ale zanim pan umrze, chciałbym dobić z panem targu. Zrobić pana...

- Świniopasem, to już pan mówił. Królem świńskiego mocarstwa.

- Żaden powód do wstydu. Wie pan, co powiedział bardzo mądry człowiek, Talleyrand, na temat pewnego imperium? „Car Wszech Rosji jest cywilizowany, zaś jego naród nie”. Ten model wciąż święci triumfy, proszę spojrzeć na kraje Trzeciego Świata... Dawniej baronowie, hrabiowie, wychowankowie Sorbon i Oxfodów, szefowali bandom

rozbójniczym. Czy coś się zmieniło? Nie przypuszcza pan chyba, że u steru organizacji gangsterskich może dzisiaj stać gruboskórny sycylijski padrone? Ten mafijny dinozaur zachował się tylko w muzeum figur celuloidowych Hollywoodu, współczesnymi gangami kierują wielkie mózgi, generacja prawników, doktorów, speców od maszyn liczbowych i od koniunkturalnych zmian na rynku ekonomicznym. Totalne łamanie prawa, zorganizowana przestępczość, podziemne państwa zbrodni, to są rzeczy nieśmiertelne, choć ulegają przemianom jak wszystko. Największa z modernizacji dokonała się w sferze rządzenia. Socjotechnika władzy pozostała bez zmian, lecz osobowość władców musiała się zmienić. Wracają ci z Harvardów, Oxfordów i Sorbon, tym razem nie dlatego, że taki mają kaprys, ale dlatego, że taki jest wymóg postępu.

- A w więzienictwie?

- Nie rozumiem... Co w więzienictwie?

- Co się zmieniło w systemie penitencjarnym, panie Heldbaum? Oczywiście u nas. Dadzą apartament z prysznicem? Bo ja się lubię kąpać...

- Niech pan nie udaje, panie Karśnicki...

- Przysięgam panu, kąpię się każdego dnia.

- Nie o tym... Pan udaje... straaa... ach... - rozkaszał się mocno, aż mu gęba zsiniała, przepił winem i dopiero mógł polewać, trochę jeszcze chrypiąc: - Pan wie, że do pierdla idą płotki, królowie mają bezpieczeństwo zagwarantowane z różnych przyczyn, o których nie będziemy tu mówić, sam sposób działania i system powiązań na tej wysokości w praktyce wyklucza udowodnienie im czegokolwiek, prawo jest wobec nich bezsilne. Zresztą, po co ja to... Pan się wcale nie boi, pan się wstydzi! „Najbrudniejszy więc najgodniejszy”!

- Ja się nie wstydzę, jeszcze nie mam czego. Ja się brzydzę, proszę pana.

- To jest to samo! Źródło obu tych uczuć tkwi w drobnomieszczkańsko i katechetycznie pojmowanej moralności... Moralność! Paradne!... Moralność jest wymysłem przegrywających! Zresztą władza stoi poza jej obrębem. Gdyby chciano zweryfikować jakąkolwiek twórczość na podstawie moralności artystów, trzeba byłoby spalić muzea i biblioteki, bo większość arcydzieł to produkt szatana. Sztuka nie znosi oceny moralnej! A władza jest sztuką, może najtrudniejszą ze sztuk, tym bardziej godną, żeby się z nią zmierzyć. Cnoty domowe nie nadają się do jej praktykowania, potrzebny jest kult grzechu

stojącego nad moralnością i niemoralnością. Wilde słusznie zauważył: „Wrzeszczy się przeciw grzesznikowi, a przecież nie grzesznik, lecz głupiec sprowadza na nas hańbę. Nie masz grzechu nad głupotę”!

Karśnicki rozejrzał się po obrazach wiszących dookoła.

- Wszystko z ubiegłego wieku... - stwierdził zawiedziony.

- Turner czy Friedrich to nie jest, ale ja lubię ten typ romantycznego drażnienia nostalgii, dzięki niemu posądzam się o tkliwość... - bronił „Petro”. - Mam kilka szacownych olejów, pokażę panu innym razem...

- Jest wśród nich „Kuszenie świętego Antoniego”?

- Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha! - „Petro” aż się klepał po brzuchu. - Pierwszorzędny dowcip, panie Karśnicki! Spod czyjego pędzla pan preferuje?

- Może być Grünewald.

- Niestety, nie mam oryginału, tylko album z reprodukcją... A propos, czy pan oddałby „Fokstrotowi” swój garnitur i całą posiadaną gotówkę?

- Taki szczodry nie jestem.

- No to świętym Antonim też pan nie jest, ani nawet jego epigonem, bo on posłuchał Chrystusa mówiącego: „Oddaj, co masz, ubogim”. Zepsuł pan celność swego dowcipu przywiązaniem do dóbr, czyli skąpstwem.

- Ale może chociaż fizycznie go przypominam. Zajrzyjmy w ten album... tam jest biblioteka?...

Mówiąc to wstał i spojrzał w ciemność przez półotwarte drzwi do drugiego pokoju. Uśmiech na twarzy „Petra” zamienił się w grymas:

- Tam nie ma nikogo!... Nie posiadam goryli, gdybym ich miał, nie byłbym sam pod szpitalem!

- Gdyby pan z nimi był pod szpitalem, to teraz też by ich pan nie posiadał. Leżeliby w szpitalu.

- Jasne. Tylko coś mi wygląda na to, że pan się mnie bardziej boi, niż ja pana. Wziął pan aż dwóch.

- Tylko dwóch.

- Jak do ukrzyżowania, o którym pan mówił tam przed masakrą? Łotr po lewicy i łotr po prawicy...

- Nie wiedziałem, kogo spotkam na przyjęciu. „Fokstrot” jest moim talizmanem, a „Dżek” to mój anioł stróż. Gwarancja uśmiechów losu i gwarancja bezpieczeństwa osobistego. Nie musi pan się ich obawiać, to nie są łotry, to dobrzy ludzie. Przy pańskich „zdolnościach umysłowych zwanych analitycznymi” nie trudno chyba spostrzec, że to są dobrzy ludzie?

- Trudno, zwłaszcza gdy człowiek nie zna się na broni. Nie identyfikuję kalibru, jaki ma pod marynarką pan „Dżek”.

Ja i Karśnicki filujemy na „Dżeka”: gnat wypycha mu kataną! Poprawił ją, ale miał oczy złodziejowskiego. Karśnicki też się zmieszał; zalepił to tekstem na sztucznym luzie:

- Z bronią zły, bez broni dobry, szast-prast i wiadomo! Jestem pod wrażeniem pańskich metod dedukcyjnych, zwłaszcza zaś tej, dzięki której rozróżnia pan człowieka dobrego od złego. Proszę przyjąć moje gratulacje, panie Heldbaum!

Stary sięgnął po szluga, przypalił zapalniczką trochę mniejszą niż czajnik, wstał i podszedł do okna, zaciągając się głęboko. Kiedy się odwrócił, miał głos z lodu.

- Jako szczeniak sprzedawałem na ulicy miedzianą biżuterię, którą produkował ojciec... Wtedy nauczyłem się odróżniać ludzi dobrych od złych. Dobrzy byli ci, którzy kupowali mój towar!

To było jak: wte albo wewte, decyduj! Pomyślałem, że nauczyłem się też odróżniać dobry czas od kiepskiego i że wybrał git moment, bo Karśnicki zmiękł:

- Załóżmy, że przyjąłem pański plan... - powiedział i usiadł. „Petro” podbiegł do swojego krzesła i też usiadł.

- Tak?

- ...i że robimy ten przewrót...

- Tak!

- ...i wszystko się udało...

- Musi się udać!

- ...i ja zostaję księciem...

- Pierwszym po Bogu!

- ...jaka będzie wówczas pańska rola? Nie sądzę, by chciał się pan tylko zemścić na ludziach, którzy kiedyś pozbawili pana władzy, dać mi błogosławieństwo i odejść...

- Myślę, że mógłbym być pańskim doradcą, ministrem...

- A gdybym się nie zgodził?
- Pańska wola. Tylko że beze mnie miałby pan trudny żywot. Ktoś taki jak Heldbaum, znający układy i układziki na Pradze, będzie panu konieczny...
- Nie tylko Heldbaum zna Pragę...
- Tak, znajdzie pan pomagierów bez trudu, choćby wśród pokonanych. Słabo może być u nich z lojalnością, ale to pańskie zmartwienie... Co miałby pan dla biedny Żendziawer?

- Podobno nic tak dobrze nie świadczy o książętach, jak umiejętność dobierania właściwych ludzi do stanowisk...

- Zaczynam się bać. Jaki byłby ten etat?

- Powiedzmy... nadwornego błazna.

Myślałem, że stary wpadnie w gniew, a on się uśmiechnął:

- To komplement! Czy pan mnie za wysoko nie ceni? Błaznowie królów tworzyli kastę herbową i w przeciwieństwie do dworskich kłownów-rozbawiaczy cieszyli się wielkim poważaniem oraz wpływem, jako prawdomówcy! Zwano ich morosofami, to jest mędrkami, filozofami... Proszę poczekać! Panowie mi wybaczą...

Prysnął z pokoju i zaraz wrócił, trzymając książkę.

- Rwał się pan do biblioteki po wizerunek kuszonego Antoniego, lecz to była tylko nieufność. Teraz jednak biblioteka nam posłuży! Zaprezentuję mój portret w świetle oferowanego przez pana etatu...

- Czy można do ubikacji? - zapytał „Dżek”.

- Tam... - machnął „Petro” głową, nie przerywając kartkowania. - Proszę...: „Trudno przecenić rangę błaznów, jeśli się zważy... jedynie dzięki nim naga prawda docierała do tronu...”. Tak, co mamy dalej?... „Prawdziwi władcy pozwalali wielkim błaznom w specyficzny sposób dominować nad sobą, chociaż akceptacja ta była zawsze linią napiętą do ostateczności... Lecz wielkim błaznem był tylko ten, który nieustannie naciągał linię, aż trzeszczały włókna, a mądrym monarchą taki, który nie tolerował innego rodzaju błazna. Konstruowany przez obie strony mechanizm uzyskiwania przewagi nad królem...”. I jeszcze kilka zdań...

- Wystarczy, znam tę książkę - przerwał Karśnicki. - Proszę mi ją pokazać...

Otworzył, szukał i przez chwilę czytał, a potem mówił, nie podnosząc wzroku znad kartek:

- Pan... zaraz, jak pan to dzisiaj ujął, panie Heldbaum? „Nigdy nie kłamię bez potrzeby”... Mówił pan też coś o lojalności podwładnego...

- Tak, bo lojalność podwładnego to fundament każdej władzy...

- Jakaż to potrzeba kierowała selekcją tekstu, której pan dokonał? Drugie z cytowanych zdań ma końcówkę: „...dzięki nim naga prawda docierała do tronu, by smagać pomazańca”. Zgubił pan ostatnią część. Tak okaleczony cytat to prawda w ubranku cenzora...

- Przykład esencjonalności poprzez selektywność, nie chciałem pana nudzić...

Karśnicki popatrzył nań surowo i ciągnął tonem sędziego:

- Uważam to za brak lojalności. Jako fundament zapowiada się pan słabo, a słaby fundament źle wroży murom aż po dach. Nadto ja nie lubię być smaganym, nie lubię też, by ktoś dominował nade mną, minister, jak Richelieu czy Godoy, którzy kompletnie zdominowali swoich władców, albo błazen, który miałby mną kręcić.

Wrócił „Dzek”.

- Zostawmy więc nadwornego błazna, nie sięgam tak wysoko - rzekł Heldbaum. - Wystarczy mi, jeśli będę twoim Petroniuszem, Neronie.

Bombowy strzał! Widząc, że tamten kpi, „Petro” odzyskał fason, aby nie utknąć w defensywie; między nimi dwoma kto się bronił, od razu wychodził na słabszego. Wtedy nie kapowałem, jak piękny był ten ruch, ale później, gdy zaliczyłem „Quo vadis”, dotarło do mnie. Klasa! „Dzek”, który nigdy nie polubił Heldbauma, przedrzeźniał go: „Te, Petroniusz!”, ktoś to skrócił i facet został „Petrem” - tak rodzą się ksywy. Teraz „Petro” wziął drugi dech:

- Błazen umarł, potraktujmy to jako żart za pańską uszczypliwość i...

Ale Karśnicki też nie chciał siedzieć wewnątrz okopu:

- Panie Heldbaum, potraktujmy jako żart całą pańską propozycję z tym zamachem!

- Dlaczego? Pan nawet nie wysłuchał detali, nie zna pan mojego planu, który jest...

- Scenariuszem science-fiction!

- Święta niemożność! Gdyby tak zawsze i wszędzie rozumowano, biorąc władzę, hierarchię, despotyzm i legitymizm, tyranów i wybawców za prawa fizyczne, których nie

można zmienić, nigdy by nie doszło do żadnej rewolucji, nie nastąpiłby żaden przewrót, nie istniałoby pojęcie zamachu stanu, od początku cywilizowanego świata rządziłyby te same dynastie! Pan byłby dzisiaj obywatelem rzymskim!

- Cholera, mam pecha!

- To przełam go pan! Rób pan duży pieniądz zamiast pensji na chleb z marmoladą! Opowiem panu coś życiowego. Po wylądowaniu Marsjan na Ziemi wielka konferencja prasowa. Dziennikarze zadają im mnóstwo pytań. - „Czy wszyscy u was mają zieloną skórę?” - „Wszyscy”. - „Czy wszyscy mają czułki wokół głowy?” - „Wszyscy”. - „Czy wszyscy mają po cztery palce u rąk?” - „Wszyscy”. - „Czy wszyscy mają na palcach złote sygnety z rubinem?” - „Nie, tylko Żydzi”.

Zatrząśł nami śmiech, „Dziękiem” i mną. Karśnickiemu usta leciutko drgnęły, a może mi się wydawało. Tamten rozprostował trzy palce:

- Są tylko trzy źródła fortun w tym kraju... Wyliczał zginając paluchy:

- ... Ogromny spadek, prywatny biznes i żłób, to jest Polska właśnie. W złotym czepku pan się nie urodził. Badylarstwo i wyrób plastikowych gadżetów nie dla pana, trzeba mieć inny charakter. Co zostało? Żłób. Jakikolwiek żłób, ale żłób! U tego żłobu, który panu proponuję, można stawiać domek willowy raz na kwartał, kupując przy okazji trochę brylantów.

- I dlatego ci, co siedzą w żłobie, tylko czekają, żeby przyszedł pan Karśnicki i wyrzucił ich hurtem na śmietnik. Chciał pan, abym skończył żartować? Proszę bardzo. Panie Heldbaum, ja mam czternastu ludzi! Niech pan mnie dobrze słucha: czternastu moich uczniów z klubowej sekcji karate. A tamci mają legion z nożami, kastetami i łańcuchami!

Gdy tylko padła ta liczba, „Petro” zaczął kręcić głową, jakby chciał powiedzieć: skończ już!, ale dotrwał.

- Niech pan pilnie słucha, mówi przeszłość. Ja zawsze uważałem na jej lekcjach, one się zwań precedensy lub reguły, bo historia lubi mieć czkawkę. Wystar...

- Podobno nikt nie wszedł drugi raz do tej samej rzeki...

- Czyja panu przerywałem?!... Ten, kto tak powiada, ma słuszność, lecz gdy inny powie, że to jest wciąż ta sama rzeka, ma rację w dwójnasób. Woda jest wodą, nurtem rządzą te same prawa. Dzieje ludzkiej słabości i głupoty zbiorowej gatunku też płyną w

korycie stałych praw, nic nie jest wynalazkiem. Wszystko posiada reguły i wyjątki od nich, ale wyjątki są tylko wyjątkami. Mnie chodzi o regułę w odwiecznej grze konspiratorów przeciw rządowi. Regułę powtarzalności czynnika ludzkiego, nie tylko pod względem charakterologicznym, również liczbowym. Nikt dzisiaj nie pamięta jak niewiarygodną wprost mniejszością dysponowali bolszewicy, robiąc październikowy zamach! Uczeń Włodzimierz Lenin też był bardzo pilny... Mała grupa spiskowców gotowych na wszystko atakuje reżim i bardzo często osiąga cel. Jakim cudem? Żadnym. Istnieje na to przepis analogiczny do wskazań w książce kucharskiej, muszą być tylko spełnione pewne warunki po obu stronach, po stronie atakujących i po stronie atakowanych. Mając komplet niezbędnych składników można upichcić przewrót jak zupę, z podręcznikiem w dłoni...

- Teraz pan wyjmie z półki „Księcia”?

- Wstyd! Albo nie czytaliśmy tego, albo na łapu-capu!... Machiavelli pomija technologię spiskowo-zamachową, trochę jest o tym w „Rozważaniach”, w „Księciu” prawie nic. I tu i tu Nicolo straszy spiskowców wyliczaniem niebezpieczeństw...

- Mądry człowiek.

- Uhm. Na drodze do kantoru loteryjnego mogą pana załatwić: uciekinier z zoo, obłąkany sadysta, eksplodujący gaz, chuligan, funkcjonariusz, pies, samochód, tramwaj, piorun, cegła z gzymsu, dachówka, dziura w ziemi i sto innych niebezpieczeństw, dlatego nie należy ubiegać się o żadną wygraną, a najlepiej w ogóle nie wyłączyć z domu!

- To...

- Tak, wiem! To demagogia, ale pan ją wymusił, łatwiej już rozmawiać z komornikiem!... Niech pan da sobie coś powiedzieć. Rzecz jest możliwa! Przemyślałem gruntownie każdy jej aspekt i gdybym doszedł do wniosku, że jest utopią, nie porywałbym się z motyką na słońce, zwracanie kijem Wisły to nie w moim stylu. Zróbmy przegląd kart...

- Zgoda. Ja mam czternaście blotek.

- As i czternaście wysokich blotek to dużo. Każdy z tego legionu zbirów, o którym pan wspomniał, posiada mocne pięści, twarde buty, wieloletnią zaprawę i nielimitowany zasób okrucieństwa. Niektórzy nawet dobrą technikę bokserską. Przez całe lata bardzo trudno było im dorównać, przewyżzyć nie sposób. Lecz oto pojawiło się coś, co zmienia

sytuację: wschodnie techniki walki, wobec których ta hołota jest bezradna jak cep wobec karabinu! W królestwie mordobicia to grom. Jeden człowiek rozwalający bazarową gwardię jak szmaciane kukły, z taką prędkością ruchów, że tylko...

- Najszybszy karateka nie może się ścigać z najgorszym pistoletem, panie Heldbaum.

- Och! To był przypadek, rzecz absolutnie w tym środowisku nietypowa! Nóż, kastet, łańcuch, gazrurki i oprawione żyłki, to arsenał, który szefowie uznają, lecz broń palna jest wyłącznie ich przywilejem, doły mają surowo zabronione posługiwać się splotką. Wszystko, co strzela, parzy, bo zbyt łatwo powoduje śmierć, a śmierć robi hałas, alarmuje opinię publiczną, ściąga prasę, milicję, wprawia w ruch nadgorliwców. To zbyt niebezpieczne dla hierarchii, oni szanują interes, nie chcą przypominać wilkowi kury, co znosi złote jaja. Mordują bardzo rzadko, tylko gdy muszą i tylko na rozkaz z samego szczytu. Bez żadnego strzelania, jest wiele innych metod. Musieli się napocić, żeby ten, którego kręgosłup nie wytrzymał zetknięcia z pańską ręką, został puszczonej przez lekarza do grobu jako pechowy alkoholik. Orzeczenie: wlaż na mur i spadł na krawędź śmietnika. W przypadku kogoś nie z tego terenu o wiele trudniej byłoby to załatwić. A ten głupek, który do pana strzelał, poniósł karę i to taką, że chyba wolałby jeszcze raz mieć do czynienia z panem.

Nie przekonał Karśnickiego:

- Mówi pan, że taka jest reguła, tamto był wyjątek. Ale czasami wyjątek też dostaje czkawkę, nie chcę narażać moich chłopców. Ze mną to co innego, chociaż i ja ma tylko jedno zwie, które przedłużył mi „Fokstrot”. Pańskie słowa nie pomogą nikomu.

- Owszem, gwarancji nikt panu nie da, w praktyce wszystko jest możliwe. A jednak wczoraj wysłał pan swoich chłopców...

- Byłem to winien „Fokstrotowi”.

- ... i chociaż zbili tamtych na kwaśne jabłko, nikt nie wystrzelił. Bo nikt nie miał broni, nie tkną jej póki będą pamiętać jak ukarano tego, który nie szanował zakazu.

- To małe sprawy, panie Heldbaum. Pan proponuje inną walkę, a w walce o wszystko ten, komu grunt usuwa się spod nóg, użyje każdego środka, każdej broni, reguły pójdą na urlop.

Stary aż podskoczył.

- Więc pan... pan sobie wyobraża tę walkę jako bitwę dwóch oddziałów?!... Nonsens! Właśnie to chcę panu wytłumaczyć i nie mogę, bo wciąż wałkujemy jakieś duperele! Szturm Bastylia to prehistoria, szturm na Pałac Zimowy to legenda, niech pan odrzuci komiksy, nie tak dokonuje się przewrotu! Pańscy ludzie nie będą się mocować z całą armią praskich i grochowskich opryszków, to nie mecz rugby, to królewska gra, partia szachów! Musimy obalić monarchę, a więc zdjąć tylko czubek piramidy i stać się nim, zachowując jej korpus możliwie mało poobtłukiwany, z całym bogactwem inwentarza. My tę armię mamy nie pobić, lecz nią zawładnąć!... Spójrzmy w tamte karty. Piramida wygląda następująco: król, niżej szefowie branż czyli kilka „waletów”, jeszcze niżej ludzie każdego z nich czyli owa armia blotek. Król nie kontaktuje się z armią, ma do niego przystęp tylko grupa wodzów, właśnie „walety”. Bijąc je lub zgarniając załatwiamy wszystko: opanowujemy armię, a jednocześnie izolujemy króla, ten staje się nagi. Reszta jest formalnością. Wniosek: trzeba zaatakować przedostatnie piętro piramidy.

- Nie miałem pojęcia, że to takie proste.

- Jak każda rzecz genialna. Prostota jest esencją wszystkiego, co wielkie, zawiłość to prostactwo. Pan kpi, bo wciąż nie zna pan szczegółów ani elementarnych zasad. Cytuję panu przepis z tej książki kucharskiej: żeby odnieść sukces, przygotuj sobie grunt przez umiejętne zastosowanie terroru i nie pomyśl się wybierając moment uderzenia, wybierz właściwy. Terror, który wprowadza chaos, niszcząc zaufanie góry do dołu i dołu do góry, już się rozpoczął, to te dwie lekcje, jakich udzielono bandytom z Rózyckiego. Następną fazą powinna mieć charakter bardziej indywidualny: zmiękczenie „waletów” terrorem wymierzonym w nich i w to, co ich bezpośrednio otacza. Wreszcie etap końcowy: rozbięcie królewskiej straży przybocznej. Byłyby to jednostkowe akty terroru, może tylko ostatnia faza wymagałaby bitwy, ale nie jest to pewne. Zresztą mój plan zakłada, iż terror wobec „waletów” stanowiłby wspomaganie, jak w układzie hamulcowym, innych, delikatniejszych metod... Wyłuszczyć je, gdy się dogadamy... W tym środowisku, niczym w państwie duńskim za Hamleta, dzieje się źle i trzeba to nie tylko wykorzystać, lecz pogłębić. Nie ma takiego aparatu władzy, w którym wszyscy się kochają. Pokrzywdzeni, obrażeni, zawiedzeni i zazdrośni to nasz główny cel, trzeba na nich grać.

- Kto ich wytypuje?

- Mieczysław Heldbaum do usług.

- Ma pan wśród nich...

- Gdybym nie miał wśród nich nikogo i gdybym nie znał intymnie struktury układu, byłbym naciągaczem, który pcha was w wilczy dół. Od lat przygotowywałem się, czekając na kogoś takiego jak pan i dlatego teraz, w tej partii, potrafię być pańskim asem z rękawa. Dzięki mojemu rozeznaniu może pan mieć pewność, że decydujący ruch wykonamy w najwłaściwszym momencie, zmniejszając ryzyko, oraz że pogłębimy ów stan według zasady: im gorzej, tym lepiej - lepiej dla nas.

Przerwał, bo Karśnicki zrobił jakąś dziwną minę. Przez kilka sekund trwała cisza; w końcu „Petro” zagadnął, czuło się cykor w jego odezwaniu:

- Czy pan chciałby...

- Nie, nie, proszę mówić.

- Wydawało mi się, że pan chce o coś zapytać.

- No... przez zwykłą ciekawość...

- Służę panu.

- Rozumiem, że mielibyśmy pogłębiać dezintegrację do chwili, w której szansa na udany przewrót będzie miała optymalną moc, czy tak?

- Tak.

- Jak pan się orientuje, iż moment jest najwłaściwszy, że to właśnie ta chwila a nie inna, nie wczoraj, albo nie jutro?

- Po efektach naszej działalności. Zakładam, iż to będzie koniec września lub początek października, mamy dwa miesiące.

- Tak pan wydedukował? Skąd ta...

- Stąd, że intrygę pałacową należy robić, gdy monarcha jest nieobecny, wizytuje zaprzyjaźnione imperium, bądź przebywa u wód. Nasz królik wybiera się w kilkutygodniową rozkosz statkiem do portów Morza Śródziemnego, wróci w końcu września.

- A to łajdak! Domyślił się, że knujemy...

- Co?!

- Zastępować go będzie żona, a wiadomo, gdzie diabeł nie może, tam zostawi babę.

- Pan chyba kpi nawet podczas snu! Myślałem, że znam już wszystkie nałogi...

Zastępować go będzie wielki duet: szwagier-mięczak, z którym łatwo damy sobie radę, i

pan Kazio, coś w rodzaju totumfackiego, bolszoj skurwysyn, uno skurwysyno grande, zauszniak, księgowy, kasjer i prawa ręka, diablo niebezpieczny! Ale i na niego wymyśliłem hak, w moim planie on ma śmierć w dniu sądu, który my urządzimy, kiedy przyjdzie nasz moment! Powiedział to z nienawiścią, głos miał jak wężowy syk.

- Kto tu pokpiwa? - spytał Karśnicki. - Nasza działalność ma dopiero stworzyć odpowiedni moment, a pan już typuje dzień w kalendarzu?

- Jego wyjazd to nasz limit i zarazem nasze fory - odpowiedział „Petro”. - Dwa miesiące...

- A jeśli nie wystarczą?

- Będziemy się martwić od nowa i uzbroimy się w cierpliwość, pracując na kolejny termin. Tak czy inaczej musimy zamienić psychikę „waletów” w złomowisko, to podstawa. Wyjaśnię panu na przykładzie, którego już dotknąłem. Kiedy bolszewicy zajmowali Petersburg, samych oficerów carskich, czy jak kto woli szlachecko-burżuazyjnych, było w tym miasteczku kilkadziesiąt razy więcej. Mogli przepędzić czerwonych. Ale nikomu nie chciało się ruszyć ręką, białymi owładnęła choroba, mieli wszystkiego dość, a już politycznego angażowania się najbardziej. Totalne zniechęcenie, marazm, bezwład, strach i niepewność: niech będzie, co będzie, mam to w tyłku, Waśka napętnij stakany!, gaspada, nasze kawalerskie!, Sonia dawaj iszczo adin romans!...

Znowu popuścił w malownicze bajeranctwo, to był jego nałóg; zagalopował się jak tam, nad brzegiem Wisły, i jak tam raptownie zgasł, wstrzymując oddech i klnąc w myślach jęzor. Ale tym razem Karśnicki nie skorzystał ze swojego nałogu, żadnych kpin, milczał. Więc „Petro” pociągnął:

- Wywołamy stres „waletów”, może niezupełnie identyczny w przejawach, bo oni nie będą chlać pod góralskie przyspiewki, lecz napięcie musi być to samo, żeby tłukli głową o ścianę i żeby im się odechciało wszystkiego. Prosty łańcuch: terror rodzi strach, strach rodzi chaos, chaos rodzi zwątpienie, nieudane próby przełamania impasu paraliżują wolę. Sierżancka bezradność podczas bitwy, gdy generał jest daleko. Najpóźniej w połowie tego procesu możemy się wyłączyć, to maszyna, którą się tylko uruchamia i można spocząć, obserwować, liczyć przybywające punkty. Nastojaszczij samograj. W celu uruchomienia typujemy dwóch szefów branżowych. Jeden, drugi, trzeci, czwarty chłopaczek z obstawy tych „waletów” dostają manto. „Waletowi” podrzucamy informację, że konkurencja, czyli

któryś z przyjaciół, inny „walet”, wynajął karateków. Wreszcie psujemy naszym „waletom” jakiś dobry interes, albo przechwytujemy ich forszę z jakiejś transakcji, to już mój pomysłupek. Odtąd możemy przejść w stan błógiego spoczynku i tylko kontrolować automatyczny rozwój pociech z naszego małżeństwa.

- Nie byłbym taki pewien, czy weźmiemy ten ślub.

- Pan chyba mówi o nas, ja co innego miałem na myśli: małżeństwo terroru z prowokacją, które wypada skojarzyć, aby odnieść sukces. Elementy składowe tego sukcesu to właśnie pociechy ze wspomnianego małżeństwa. Nasz ślub omówimy później, teraz proszę o uwagę. Włączyliśmy już automat, który się rozpędził i odtąd działa sam. Każdy z zaatakowanych „waletów” będzie przypuszczał, iż jego koledzy wykorzystują nieobecność bossa, żeby się nażreć z cudzej miski lub wprost przechwycić cudzą działkę. Bronić się będą jak dzikie zwierzęta, a co to u nich oznacza? Że rozszaleją się dintojry, a dintojra ma to do siebie, że jedna natychmiast wywołuje drugą i to przeradza się w makabryczną eskalację. Nastąpi chaos, jakiego jeszcze nie było w tym świecie. Pan Kazik będzie pewien, że któryś „walet” rozpętał to piekło, aby pod nieobecność monarchy zawładnąć tronem i przemieni się w strażaka z czeskiego filmu, w szalejącą bezradność. Samograj! Nie ma mowy, żeby ten scenariusz się nie sprawdził, nie ma mowy, żeby ogień ugasił się sam, nie ma mowy, aby oni zdołali go ugasić. Nastąpi kryzys zaufania wszystkich do wszystkich, w pionie, to jest góry do dołu i dołu do góry, oraz w poziomie, między „waletami”. Efekt? Rozprężenie, wyczerpanie, w końcu niemoc i wszyscy będą tylko marzyć o jego powrocie. Wtedy wejdziemy do akcji znowu, żeby przygotować komitet powitalny. Zadanie: detronizacja króla środkami możliwie pokojowymi.

- To człowiek o gołębim sercu?

- To człowiek o zmęczonym sercu... Rzym upadł, bo był już przesycony i znudzony. Gdy ma się wszystko, słabnie wola, w mózgu zaczyna ryc chorobliwy kret, gangrenując zawziętość, strach przed upadkiem zamienia się w oczekiwanie upadku... On wie, że kiedyś musi nastąpić koniec... Machiavellego nie warto było cytować, ale teraz wezmę podręcznik... Tyrmand, niezgorszy psycholog, bezbłędnie zaprezentował ów stan opisując szefa warszawskiego gangu.

Mówił to, kiedy już szedł po książkę, a kiedy z nią wrócił, miała wewnątrz zakładkę, więc musiał ją wcześniej przygotować. Sprzedawał swój scenariusz według scenariusza

sprzedaży. Otwarł „Złego” i zasunął ten cytat, wolno, z powagą, jak klecha niedzielny ustęp przed kazaniem:

„Filip Merynos wiedział, że w ostępach wielkiej metropolii rozkwitają z czasem nowe, ogromne indywidualności, nowi tytani przestępstwa, młodzi, dynamiczni, silniejsi od niego właśnie tą wybuchową młodością i żądzą zwycięstwa za wszelką cenę, która daje im naturalną nad nim przewagę, żądzą zakosztowania owoców zwycięstwa, których on już zakosztował. Filip Merynos wiedział, że siła, okrucieństwo i drapieżność głodnego i płonącego pożądaniem jest stokroć większa, niż odporność sytego chwały i zdobyczy, że młodość w pogoni za zwycięstwem musi w końcu odnieść zwycięstwo...”.

Położył książkę na stole otwartą, jakby chciał rzec: do sprawdzenia! Dudliło mnie z głodu, ale paluchy się skończyły, gryźliśmy je, „Dzek” i ja, kiedy oni gryźli się między sobą. Teraz przyszła kolej na Karśnickiego. Znów zakpił, ale jakoś bez tego biglu, co przedtem:

- Moja „żądza zakosztowania owoców zwycięstwa”, moja „siła”, moja „drapieżność” i moje „okrucieństwo”, wreszcie moja „wybuchowa, płonąca pożądaniem młodość”, marzą o czymś innym, panie Heldbaum... Czytałem to arcydzieło i pozostałem zdrowy, przynajmniej na tyle, by nie marzyć o zostaniu „tytanem przestępstwa”, i jeszcze na tyle, by rozumieć, jak wytyczyło bieg pańskich marzeń.

- Że co, że kicz? Daj nam Boże więcej takich kiczów! - obruszył się „Petro”.

- Niech pan nie prosi w moim imieniu, i nie Boga, lecz Tyrmanda. Raz wysłuchał modlitw o warszawski płaszcz ze szpadą, to może machnie jeszcze jeden taki epos, w stylu ortalion z kastetem, i z panem w głównej roli.

- Pan sugeruje, że ja to wszystko wymyśliłem? Tę Pragę, tego króla, tych szefów branż? Człowieku!

- Nie, pan tylko wymyślił całe to przedsięwzięcie, które ma dużo wspólnego ze „Złym”, a mało ze zdrowym rozsądkiem i może nawet z rzeczywistością.

- Wobec tego mafię wymyślili ci z Hollywoodu, rosyjską ruletkę autor „Łowcy jeleni”, Sienkiewicz Krzyżaków, Prus kapłanów, a...

- A Fausta i Mefista kto?

- Maksym Górki! - rozeźlił się staruch. - Tyle we mnie z Mefista, ile w panu z Fausta, zejdźmy na ziemię!

- Ubitą?
 - Na tej wciąż tkwimy, dzięki pańskiemu zamiłowaniu do szyderstw! Zejdźmy z niej na stopnie ołtarza. Weźmy ten ślub, ja z kaprysu, pan z konieczności.
 - A gdzie miłość?
 - Nasza miłość, to nasza nienawiść do ludzi, których ulepiono z tego samego łąna. Naszym ślubem byłoby zrealizowanie mojego planu. Obrączkami nasze zemsty. W sumie to coś bardzo poważnego, nie warto się zgrywać.
 - Zgrywam się z konieczności, a pan z kaprysu, co jest bardziej naganne.
- „Petro” zafilował w sikor meblowy cykający pod ścianą i skojarzył, ile godzin męczy się z facetem, który winien całować mu dłoń.
- Panie Karśnicki - powiedział i to zabrzmiało jak wyrok - pańska zła wola jest od początku pajacowaniem, nawet nie ze względu na formę złożoną z samych kpin, lecz dlatego, że pan nie ma wyboru, pan już wybrał! Sugerowałem to nad Wisłą, później sprawdziłem. Trudno zdobyć wiele o człowieku w ciągu jednego dnia, ale przy moich „zdolnościach umysłowych zwanych analitycznymi” wystarczy niewiele. W sześćdziesiątym piątym, po tej tragedii, nie wrócił pan ze szpitalnego łóżka na uniwersytecką ławę, lecz zapisał się do klubu, studia przestały pana interesować. Odtąd miał pan tylko jeden cel: podnoszenie swoich umiejętności w walkach wschodnioazjatyckich do stanu kompletnego mistrzostwa. W klubie można się było nauczyć judo, pan chciał więcej. Poznał pan kogoś z japońskiej ambasady i ten samuraj dawał panu początki karate, kung-fu, czy czegoś w tym rodzaju, cokolwiek to było, ważne jest, iż on był dobrym nauczycielem, a pan dobrym uczniem. Lata treningów, wyjazd do Tokio, powrót, angaż, zaczął pan pracować jako instruktor. Mówi się, że nie ma w Polsce lepszego karateki, a mistrzowie kraju to przy panu „wiejski teatr, tak usłyszałem, i jeszcze to, że z jakichś przyczyn nie interesują pana sportowe laury. Przyczyna jest jedna, ta, której pan wówczas myślał, leżąc na ziemi, na noszach, w karetce i w szpitalu, ta, przez którą zerwał pan studia. Człowiek z pańskim intelektem, podejmujący taką decyzję, jest chory. Powtarzam: tylko ja mogę pana uleczyć, dać panu to, dla czego wyrzucił pan całe swoje życie. Tym czymś jest zemsta. Pan mógłby odmówić Heldbaumowi, diabłowi i każdemu, ale nie sobie! Oto dowód, że pan się zgadza, pan mówi: tak. I to jest finał

naszego wschodnioeuropejskiego meczu na argumenty z jednej strony i dowcipy z drugiej, wasza książęca wysokość! Ledwie dosłyszałem odpowiedź:

- Ma pan rację, tak...

„Petro” zamknął powieki i osunął się w głąb fotela, jakby pytając: i po co było to wszystko?

- ...to jest finał, ma pan rację... - powtórzył Karśnicki. - „Dżek”, „Fokstrot”!

Wstał i my też.

- Żegnam pana. Skierował się ku wyjściu, my za nim.

- Raczej do widzenia - rzekł „Petro”, ziewając przez rękę. -Trzeba się umówić...

- Na Sądzie Ostatecznym, jeśli pan w to wierzy, boja nie wierzę w nic.

Skrzywdzony dzieciak nie mruga tak ślepkami jak zamrugał „Petro”.

- Pan... pan nie mówi poważnie, na Boga!

- Tym razem mówię serio, panie Heldbaum. Nie wierzę w nic. W Boga też. Gdzie był Bóg podczas Katynia i Oświęcimia?

- Co?!... O czym pan... Bóg nie interesuje się świństwami i porachunkami małpoludów, gdyby chciał to robić, już dawno by zwariował... Nie o to mi chodziło, lecz o pańską wiarę w samego siebie. Pan chce podpalić swój ołtarz, przekreślić wszystko i...

- Nie. Znajdę moich małpoludów sam.

- Tere-fere-kuku! Beze mnie nie ma pan żadnej szansy! Będzie się pan tłukł po podwórkach jak ulicznik...

- Mogę stłuc pańskich wrogów, a pan mi zapłaci informacją o tych, których szukam. To jedyny rodzaj współpracy, jaki zaakceptuję, wymiana handlowa. Władzę nad praskim podziemiem niech pan odda komu innemu.

- Tłumaczyłem, panie Karśnicki, że tylko jako wódz może pan...

- Nie mogę!

A ja nie mogłem skapować, podobnie jak Heldbaum, nie mieściło mi się w baniaku. Dałbym sobie uciąć, że Karśnicki powie: blat!, a on... Chciałem wrzeszczeć: panie, co pan robisz?!, ale dupek i ryba głosu nie mają. „Petro” podniósł się i tak zamanewrował, że odciął Karśnickiemu drogę do drzwi.

- Proszę się zastanowić, niech pan...

- Zastanowiłem się, miałem dużo czasu.

- Ale to był nerwowy czas. Niech pan się zastanowi w domu, na spokojnie, niech pan przemyśli, no... przetrawi moje słowa...

- Mam komputerową pamięć, odtworzę sobie każde z nich.

- Więc jeszcze nic straconego, może jakieś argumenty lepiej zabrzmiały w pokoju, gdzie wisi... fotografia, i może przynajmniej jeden okaże się na tyle interesujący, że...

Kretyn. Dziabnął tą fotografią jak majchrem po skórze i to go dobiło. Karśnicki wycedził:

- Jakież pański argument nie był interesujący? Zainteresowała mnie także jedna z pańskich tez, chociaż nie podparł jej pan argumentem.

- Tak?... Co takiego?

- Że spowiedź jest rodzajem masochizmu.

- Bo jest! Jest zresztą czymś gorszym, gdy uwzględnić finał. To najstraszliwszy wymysł Jezusa albo jego tłumaczy - spowiedź i rozgrzeszenie! Absolutorium, carte blanche, wolne pole dla każdego łotra. Nawet coś z zachęty do łotrostw, bo przecież „więcej radości w niebie z nawróconego grzesznika...”. Kapitalne wyczucie ludzkich potrzeb! Nie każda ludzka kurwa chce zaraz przestać być kurwą, ale każda chce mieć taką możliwość, gwarantowaną przez jakiś bank. Na tym prostym spostrzeżeniu paru mądrych Żydów zbudowało religie i miliony świątyń...

Gadał jak kulomiot, aż poczuł zimny, drwiący wzrok Karśnickiego, więc przerwał! teraz usłyszeliśmy jego szept:

- ...Właściwie... czemu akurat to pan wymienił?

- Bo przez kilka godzin spowiadał się pan.

- Co?!

- Jako zachęta do objęcia tronu w imperium łotrostw było to nieskuteczne, nie da się we mnie zbudować kościoła tej religii. Jako zbiór intymnych wyznań - było czymś fascynującym. Za pozwoleniem...

Minął „Petra” i wyszliśmy, zostawiając go w karnawałowej masce: twarz z papieru i szerokie, niewidome otwory.

Można było skręcić kark na schodach, czarno jak u murzynów. W podwórku „Dżek” wyjął zza pazuchy gnata, co mu rozpychał katanę. Ale to nie był gnat, lecz... tyci

magnetofon, niby portfel. Pierwszy raz widziałem coś takiego. Moje oczy sprawiły, że zachichotał:

- „Komputerowa pamięć”, brachu! Myślałeś, że to spluweńka, co?
- No bo... taki mały... Szpiegowski?
- Jakbyś z takim szpiegował, nakryłby cię ślepiec, prawdziwe szpiegowskie mieszczą się w zegarku. Ten można kupić, koleś przywiózł z Wiednia. Automacik dublowany, dwie kasetowe.

- Wszystko? - zapytał Karśnicki.
- Chyba tak. Zmieniłem obie w sraczu, kiedy do końca drugiej brakowało parę minut, ale była okazja, bo on czytał. Rozmówkę mam całą. To skurwiel!
- Gdybyś miał ćwierć tego rozumu, co on, już byłbyś mądry. Zazdrość, ale nie pluj na lepszego od siebie.

- Lepszy, bo taki mundral?! - zaperzył się „Dżek”. - To łobuz jakich mało, tylko umie odstawiać świątka. Pozer!

Karśnicki wziął od niego magnetofon, kładąc drugą dłoń na Jackowym ramieniu.

- Poza nie jest zaprzeczeniem prawdy, „Dżek”. Jest programem. Każdy pozuje na to, kim chce być, to ściganie własnego ideału.

Włożył do ust zapalną. U niego zapalną w zębach znaczyła, że ma dość rozmawiania, bo kiedy rozmawiał, to nie gryzł zapalną, a kiedy gryzł, to nie rozmawiał, chyba że musiał udzielić jakiejś krótkiej odpowiedzi swojemu. Nigdy w kontaktach z obcym.

Wyszliśmy na ulicę. Niebo traciło kolor, bladło, świat ogarniała szarzyzna. Z dali dochodził terkot tramwaju, klekotały wózki mleczarzy, gwizdał pociąg na przejeździe przy Radzymińskiej. Mimo tych głosów była cisza od wielkiego spokoju wiszącego nad miastem.

IV

Przez dwa miechy kiblowałem u „Księcia” jak u Pana Boga za piecem. Bazar mnie nie szukał, bo akurat przyfrunęło na Brzeską wezwanie do woja dla „obywatela Józefa Glinki” i matka rozpuściła lewiznę, że poszedłem w mundur. Szukał mnie dzielnicowy: nachodził dom raz w tygodniu, strasząc, że „za uchylanie się” dają wycisk. Strugać dezertera nie trudno, kiedy meta ciepła, było mi dobrze.

Zapoznałem wtedy innych chłopaków z „batalionu” Karśnickiego. Roberta „Nóżkę” (strzelając girą potrafił musnąć żyrandol!), Wieka „Magistra” (to był ten jakała, ale kopyto miał nie jākające się), Marka „Uważaj” (bo ostrzegał klientów: „Uważaj!”), Ludwika „Ludka”, Tomka „Walentino”, drugiego Tomka „Wuja”, Jędrka „Kuśkę”, Mariusza „Świętego” (nigdy nie przeklął i nie lubił jak inni rzucają miechem), Stefka (on jeden nie miał żadnej ksywy), Konrada „Szpinaka” albo „Hindusa” (był jarozsem), Marcina „Moskita”, Jurka „Szwagra” i Heńka „Pelego” (bo kibicował kopanej). Studenciaki, artychy, wolne ptactwo, forsa od starych lub z doskoku (kreślenie, malowanie, mycie okien, te rzeczy). Ubranka po byku: dzinsownia, bajery motocyklowe, koszulki „Japan”, faramuchy spod gruchy, cymes! Paznokcie jak u noworodka, pucowane ząbki, sitowie bez zarzutu, czy to przedział, czy grzywka, czy fala. Hobby: spacer późną nocą ulicami, gdzie ostatni raz widziano glinę przed wojną; trzech lub czterech, biały mankiet, krawacik, chusteczki w butonierkach, lalusie cacane, czerwona płachta dla urkowni spod bram i krzaków, w których frajer traci portfel, frajerka cnotę, a oboje życzliwość dla własnego plemienia.

- Zdzichu, dołożymy cwelom?

- A jak!
- No to startuj.
- Te, cwel chono tu!... Słyszałeś, kurwa twoja!?
- Przepraszam, pan do mnie mówi?
- A do kogo, kurwa?... Widzisz go, Zenek?...

I łubudu! Żulia kwiczy, smarka juchą, użyźnia padół, a lalusle otrzepują grabulki i płyną spacerowym krokiem, filując, czy ktoś jeszcze się nie naprasza. Im więcej żuli na jednego, tym lepiej. Zabawa w szeryfów, w społeczną żandarmerię, w karzący kułak Pana Boga; leczenie własnych kompleksów bańkami karate.

Dowodził „Dżek”. Miał posłuch, choć przezywali go „faworyt” (bo prawa ręka Karśnickiego). Karśnicki to nie był wódz, tylko Budda, który zszedł na Ziemię. Skąd nazwa „batalion” załapałem w jego urodziny. Przynieśli mu białe kimono z wielkim czarnym smokiem na plecach i śpiewali pod melodię „Pierwszej Brygady”:

„My, batalion trzeci,
Karśnickiego dzieci!...”

Korciła mnie gęba, żeby dołączyć do tego chóru; na „dziecko Karśnickiego” awansowałem ratując mu życie, który mógł się równać? Ale czułem obcość, nie znałem ich, więc mieli dwóch słuchaczy.

Mieszkając u niego zaliczyłem lepszy numer: zrobił mnie swoim bratem! Fakt, że tylko na parę godzin, ale „Dżeka” i cały „batalion” zazdrość skrzyła w śrubę, gdyby wiedzieli.

Któregoś dnia, tak pod wieczór, dzwonek u drzwi. Myśleliśmy, że „Dżek” albo jeden z chłopaków. Otwieram, patrzę, nieznajomy typ.

- Czy to?... Ja do pana Karśnickiego! - gada.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo Karśnicki zjawił się w korytarzu.

- Słucham!

Tamten nic, tylko patrzyłki mu się śmieją. „Książę” podszedł bliżej, ustąpiłem na bok.

- Pan w jakiej sprawie?

- W jakiej sprawie?!... Stefcu, Stefuniu, Stefulku, kochaniutki, pies ci mordę lizał! To ja muszę do ciebie ze sprawą? Po upływie marnego dziesięciolecia zapomniałeś już o „Baletmistrzu”? No nieee, kurrzczątko!... Kto holował kici-kici, kto robił miuzik, od kogo pożyczales chatę, żeby twoje królowny śnieżki miały gdzie obracać krasnoludka, Stefek, co jest?!... Kto cię przytulił na cały miesiąc w „Hybrydach” jak dałeś nogę z rodzinnych pieleszów, Stefaniutki, powiedz?... Tak, toczno, Bolek „Baletmistrz”!

- Przepraszani, nie poznałem... przytyłeś...

- Dobrobyt mamy, Stefcu, sam widzisz! Partia z narodem, naród z partią, Bolek i Lolek dostali kolek! Tysiąc kalorii na tysiąclecie. Daj pycha!

Obłąpił Karśnickiego i ślinił mu twarz z dubeltówki.

- Wiesz, jak cię nakryłem? Mój chłopak biega do twojego klubu ćwiczyć ping-pong. Mówi: tato, chcę na kung-fu, do pana Karśnickiego, ja słucham, co jest?! myślę sobie, Karśnicki nie taka znowu częsta godność, sprawdzam, Stefan!, kurrzczątko! myślę, to musi być Stefula!, no i popatrz, gol!... Urwałeś się nam, nie było mądrych! Jedni mówili, że Stefanek siedzi, bo skatował cizię, drudzy, że prysnął w Tokio, cholera, nikakich parametrów, człowiek-fantomas!

- Chodźmy do pokoju - zaproponował „Książę”.

- A ta młodzież kto? Na syna trochę przystary...

- Mój brat, Józek. Tamten wyciągnął grabę.

- Czołem, Józek! Mów mi Bolo!... Dwie krople wody! Popatrz, nic nie mówił, że ma brata!

- O kim było mówić, o szczyłu z podstawówki?

- Racja, kurrzczątko! jak ten czas pedałuje! Podeszli do stołu i „Baletmistrz” wyciągnął flakon czyściochy, cholera wie skąd, był w koszuli i w spodniach, magik.

- Kawalerskie, Stefcu! A propos... Stan cywilny?

- Wciąż kawaler.

- Prawidłowo, spoczniej! Ja też. Ochajtnąłem się trzy razy, Boh trojcu lubit, i trzy razy pogoniłem w pizdu, wolność, kurrzczątko!, nigdy więcej! Masz coś na zęba?

- Józek, zrób... - rzucił Karśnicki.

Wychodząc z pokoju słyszałem jak ten palant zasuwa:

- Hi, hi, mores! Wychowałeś braciule! Dawaj szkło.

Robiłem zakąski; ser, szynkowa, małosolniak, keczup na jaja i po szklance herbaty; otwarłem puszkę sardynek; „Baletmistrz” trajlował:

- Też nie mam dyplomu, wypieprzyli za niewinność. Kombinowało się z jednym zespołem, big-bit, kapujesz, głód speców od aparatury nagłaśniającej, bo gnojki umiały tylko wyć w mikrofon. Chałturologia prowincjonalna, za to jaki szmalec, człowieku! No i te wieczory po koncertach, Stefan, wierz mi, kurrzczątko!, pół żeńskiego narodu między Gubałówką a Sopotem pod nóż, wsiochy wyskakiwały z majtek jak kulki z kałasznikowa, żeby to jeszcze z koronkowych. Barchany, Stefuś, barchany, noc w noc! Człowiek formalnie nie mógł przerobić!... Później załapałem się na urząd, monopol szołbiznesu, „Estrada”! Teraz jestem wielki puryc, wicedyrektor. Nade mną tylko gudłaj, za to pode mną!... Nie uwierzysz, brachu, robię w tym samym, co na studiach, baletmistrz jestem! Powołanie, przeznaczenie, horoskop spod znaku biustonosza, taki los, kurrzczątko! Miss Polonie, festiwale, licencje, wyjazdy, testy, próby, zespoły, kabaret, striptiz i co chcesz w damskiej rozrywce, to wszystko ja! Przeglądałam panienki czy się nadają. Niektóre osobiście, nachalnie-namacalnie, w gabinecie dyrektorskim, od razu, jak leci, na żywca, na stojaka, biurko, dywan, kanapa, nawet fotel, tapicerkę zmieniłem na skórzaną, bo ile razy można zmieniać? Chciałbym mieć tyle złociszów, co pup przeegzaminowałem! Skąd u człowieka to zdrowie?... Ty się nie dziw, tutaj żadna Ofelia nie podskoczy głosem czy talentem, to dobre dla gazet, baju-baju będziesz w raj! Dupsko, tylko dupsko, bez tego ani-ani. Myślisz, że w „Modzie Polskiej” albo w filmie jest inaczej? Na ekran przez łóżka reżyserów, kierowników produkcji, asystentów, operatorów i innych zaganiaczy, a nie, to poszła do domu, kotlety mężowi panierować! Wszędzie to samo. Selekcja naturalna, centralizacja, odpowiedzialność jednoosobowa, Stefan. Gwiazdy estrady kreuje pan Bolek swoim Lolkiem na dywanie gabinetu...

Słuchając tych paplań, przez cały czas słyszałem Karśnickiego: „Mój brat, Józek...” i wypełniała mnie gorącość. Skończywszy krajanie, zaniósłem im po talerzu, a wtedy tamten ryknął:

- No to polewaj, Stef!... Zaraz, co jest, gdzie trzeci kielonek?
- Brat nie będzie pił.
- Dlaczego?
- Nie będzie pił z nami.

- Aaaa... chyba że tak... Rozumiem, przepraszam. Wróciłem do kuchni po cukier. „Baletmistrz” komenderował:

- Chluśniem, bo uśniem, Stefek!

Zamknąłem się w drugim pokoju i włączyłem tranzystor; dobiegało kolejkowanie „Baletmistrza” („No to cyk!”, „Jan Sebastian Bach!”, „Zdrowko!”, „Prosit!” itp.), resztę kasował Michael Jackson. Krótki pobyt w sraczu przestawił mnie na odbiór gościa:

- Ty pewno myślisz, Stefek, że zrobiłem to dla kariery, co?... No powiedz. Powiesz, że jestem świnia, tak? A widzisz, wcale nie! Tu się pomyliłeś, kurrzczątko, nawet nie wiesz jak!... Zrobiłem to świadomie, brachu, z poczucia... tego, no... z poczucia, rozumiesz? Zagłówkowałem i doszłem, że powinniśmy wstępować! Właśnie my, chłopaki w porządku. A wiesz dlaczego? Bo jak my nie będziemy wstępować, zostanie tam same gówno i co? A jak będziemy wstępować, to ich przeważymy, przekombinujemy, znaczy... tego... odsuniemy, bracie, oczyścimy, kapujesz?... Mówię ci, tak trzeba, żeby było, wiesz, no... w porządku, w porządeczku, żeby... żeby ta Polska stanęła, jak Boga kocham, a nie tego... Człowiek by chciał tę ojczyznę, no... Polej, Stefuś, za tę Polskę naszą kochaną wypijemy kielonka...

Monolog, na okrągło. Karśnicki bez ruchu, tylko dłoń z kieliszkiem, twarz pokerzysty, kamień. Wzrok, od którego tamten dostałby sraczkę, gdyby umiał czytać po oczach. Ale kiedyś dopomógł, więc nie groził mu kop za drzwi i sturlanie się dupą aż na parter. Wyszedł jak minęła północ. Chciał do swojego wozu, machał kluczykami:

- Stefuś, kurrzczątko, zrozum, ouupp!... pardon... mnie glina nie bierze, a jakby co, dam muzyka, odwiozą do domciu... ouupp!... czekaj... i tego... odwiozą i jeszcze pocałują w rękę... o w tą, widzisz, w tą! Ouupp!

Wezwałem radio-taxi. Przy windzie padł na Karśnickiego i szeptał poprzez czkawkę:

- Zadzwonisz, Stefulka, no powiedz, zadzwonisz? Ouupp! Pardon... Stefek, coś ci powiem, między nami, okej? Jakbyś miał jakąś nieprzyjemność, nieprzyzwoitość... jakąś, kurrzczątko, to dzwoń, tego... jak w dym, sekretarka chuj, powiedz jej, że koleś, a ona od razu, ouupp!... Każdą sprawę ci załatwię, jak Boga kocham! Widzisz, człowiek ma dojścia i te... no, układy, ouupp! Nasi mężowie stanu, rozumiesz, wielcy ludzie, wszystko chuj, potrzebują czasami, kapujesz, ouupp!, coś wydmuchać, balecik jakiś... albo ten, no... przyjeżdża delegacja z Paragwaju, kurrzczątko, brudasy jakieś, albo Francuzy, albo

bankiery-ogierzy, trzeba im dać piczek na noc, ouupp!... elegancja, bracie, nie jakieś miety, żeby naszego syfa towarzystwo nie zawlokło do oenzetu, a kto ma takie lalki szprechen zi dojcz? Bolo!... Kapujesz, ouupp?

Nie sądziłem, że zobaczę go po raz drugi, a jednak... Opowiem, gdy przyjdzie pora. Tamtej nocy „Książę” wziął prysznic, ja tylko mycie łap, żadnych rozmów, dopiero jak chciałem sprzątnąć, rzekł:

- Zostaw, jutro posprzątam.

Zgasił. Leżałem nie mogąc kimać przez te trzy słowa: „Mój brat, Józek...”. Nagle dosięgnął mnie od maty jego głos, niczym sierp, który wybija przeponę:

- Powiedziałem tak, żeby nie wziął nas za pedałów.

Braterstwo zdechło i tamte trzy słowa rozpląnęły się w ciemności. Z kima nadeszła myśl, że on ma granitowy łeb: tyle obciągnął, a nie widać; jakby w ogóle nie brał do ust. Przez kimę usłyszałem, co jeszcze gada:

- Gdyby ten człowiek przyszedł lub dzwonił, nie ma mnie! Dobranoc.

„Ten człowiek” nie przyszedł i nie zadzwonił, to my - dużo później - zadzwoniliśmy, żeby deptać dywan, na którym debiutantki rozkładały podania o przyjęcie do zespołu gwiazd. Ale mógł dzwonić! Telefon założono „Księciu” dwa dni przed wizytą „Baletmistrza”! To był tydzień „cudów”, czary-mary!

Najpierw w środę „Dżek” podjechał starą simcą, akurat gdy wracałem ze spożywczego. Przy wejściu do windy pytam, jak się rusza ten grat, a on: czy umiem prowadzić?

- Umie.

- Gdzie jeździłeś?

- U brata, służbówką, terenówką, nawet ciężarowym. Brat robi w tartaku.

Dojeżdżamy, a Klon nie wysiada, tylko... naciska „parter” i... każe mi usiąść za kierownicą! Rundka: Walecznych, Aldony i Zwycięzców do Międzynarodowej.

- Wał rozrządu na szmelc - zauważyłem, oddając kluczyk.

- Jutro możesz machnąć z nami większy kurs - powiedział.

- Z wami, to znaczy z kim?

- Ze mną, „Szpinakiem” i z „Nóżką”.

- O co biega?

- Jedziemy na Wolę. Jak element podskoczy, damy mu w kość. Ty będziesz nas ubezpieczał z zapalonym silnikiem, żebyśmy mogli prysnąć, gdyby przypadkowo nadjechał mundur.

- Dlaczego to robicie?

- Bo milicja tego nie robi.

- Jak to nie?

- Tak to. Czasami owszem, żeby w gazetach można było napisać, iż chroni spokojnych ludzi, ale naprawdę... „Samuraj” (klubowa ksywka Karśnickiego) mówi, iż popuszczają bandziorstwu, żeby ludzie się bali i tęsknili do glin i żeby przez ten strach nie główkowali za dużo.

- Czy on wie, że wy...

- On wie wszystko.

- I to on wam kazał?

- Nie, to mój pomysł. Przeczytałem, że grupa kozaków bawi się tak, patrolując w nowojorskim metrze. „Anioły metra”... Dzięki nim ludzie nie boją się jeździć.

Chciałem spytać: a wasz patrol kogo uleczył ze strachu? Przymknąłem japę. No i debiut: pierwszy raz jako współnik i jako szofer. Egipskie ciemności, bo oszczędzając na ludziach, nie włączano latarni. Wóz miał reflektory, ale chodzić po mieście, niby podziemną rurą, średnia przyjemność, chyba że latarkę w zęby. Nic nie widziałem zza rogu, gdzie kazano mi czekać; krzyk, tupot, trzask drzwiczek i gaz! Potem przechwałki, japońska kraina (nazwy łomotów ręką lub girą), wzajemny podziw, bohaterski szpan. Dwieście takich trójek w każdą noc - może miałyby trochę sensu. Pomyślałem, że ja chyba jestem normalny.

To była noc czwartkowo-piątkowa. Rano stuk do drzwi; kto tam?, pan monter, w którym pokoju instalować telefon? „Książę” nie wiedział: sen, omyłka czy prima aprilis? Jak złożył podanie w dyrekcji telefonów, to mu obiecano za kilkanaście lat. Teraz podpisał facetowi dokument bez zmrużenia oka, buląc górką (bo cwaniaczek przynosi od razu aparat), lecz wciąż za cholereę nie kapował, jakim cudem. Facio wychodzi, minął kwadrans, dzwonek. Telefonu! Karśnicki cap za słuchawkę, mruknął tylko: „Dzień dobry”, słuchał, „Tak... proszę bardzo”. I od razu do mnie:

- Ściągnij „Dzeka”, na błysk! Ma zabrać swoje śrubokręty, powiedz, że telefon.

„Dżek" mi nie uwierzył. Jak wszedł, to aż zagwizdał:

- Fiuuuuuuuuu!... Taki prezent?!... Albo Komsomoł, żeby mógł się pan łączyć z proletariuszami wszystkich krajów, albo Gwiazdor Mikołaj w delirium, bo to nie wigilia...

- Jeśli ty gadasz ludzkim głosem, znaczy, że wigilia - odwinął mu Karśnicki.

- Skąd to?

- Prezent, mówiłem.

- Czyj?

- Od faceta, którego zaczynasz naśladować.

- Naśladować?...

- Ummm. Ten Gwiazdor i Komsomoł udały ci się w jego stylu.

To nie była prawda, tylko półprawda. Heldbaumowy styl, owszem, lecz styl Karśnickiego niewiele się różnił, bliźniaki, chociaż u „Księcia" nigdy (no, prawie nigdy) dla samego picu, zawsze z potrzeby, zimno, mordującym szyderstwem, a Heldbaum po profesorsku (lubił długie przemowy); jeden: genialny amator, naturszczyk, drugi: genialny komediant, co posiadał wszystką wiedzę; jak nie patrzeć: zamienił stryjek siekierkę na kijek. Chłopaki z „batalionu" małpowali „Księcia", a Klon miał robić co innego? Ja też. Karśnicki nie narzucał stylu, jego styl narzucał się sam, atakował podświadomość, gwałcił cechy indywidualne i upodabniał nas do menażerii szympanów, które ścigają ideał ze skutkiem szympana grającego nokturn metalową miską o kraty. Dostrzegam to dzisiaj, przesłuchując kupę taśm, wyciskając pamięć z dawno odegranych słów, a najbardziej, gdy czytam samego siebie: w moich bazgrołach brzmią echa tej maskarady, weszła mi w krew. Czemu tylko nędzny pogłos stylu „Księcia", a nie jego charakter zaraził moją duszę?

„Dżek" się kapnął:

- Pan Petroniusz?

- Zgadłeś - powiedział „Książę".

- Spryziula!... No, no!... Ale co ja mam...

- To, co się robi z prezentami. Rozpakowuje się. Zobacz, czy wewnątrz nie ma podsłuchu.

- Tak jest!

Zdemontował i przejrzał, meldując:

- Czyścioch!

- Bóg zapłać.
- Ku chwale ojczyzny!
- Ku chwale przezorności.
- Tak jest, szefie! Boję się Greków i ich darów! - zażartował Klon odżywką, której

Karśnicki użył w rozmowie z Heldbaumem.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże... - wtrąciłem, żeby przestać być niemową.
- A telefonicznego Służba Bezpieczeństwa! - palnął „Dżek”. - Dzisiaj są takie możliwości, że nie trzeba wkładać do aparatu, podsłuch przez centralę. To jest drobiazg, jeśli tylko telefonując nie pierniczysz, ale wyobraź sobie inny numer: podsłuch w mieszkaniu przez słuchawkę leżącą na widełkach!

- Mówisz serio, czy propagujesz turniej młodych racjonalizatorów? - spytał Karśnicki.
- Serio.
- Gdzie się o tym dowiedziałeś?
- Od ludzi.
- Od jakich ludzi?
- No... zwyczajnie... ludzie gadają...
- Ludzie! Baby klozetowe, koniki, ćpuny i wujek Ziutek, emeryt!

Od wzroku „Księcia” chłopuś stracił fason:

- No... nie wiem...
- Widzę, że nie wiesz! Dowiedz się, ale nie w tramwaju i nie w kawiarni.

Kilka głupich sekund; „Dżek” jak ten gówniarz postawiony do kąta, ja bym najchętniej spleynał, a Karśnicki luzak:

- Umiesz podłączyć magnetofon tak, żeby nie było śladu?
- Zrobi się. „Walentino” jest orzeł, sam naprawia hi-fi, szarpniemy we dwóch. Gdzie będzie stał ten magnet?
- W drugim pokoju.
- To trzeba więcej kabla, puścimy pod listwą przy podłodze. A termin?
- Na wczoraj. Wydatki rozlicz u „Świętego”. Ile jest w kasie?
- Nie wiem, ale dość.

Mieli wspólną kasę ze zrzutek. Trzymał ją Mariusz Chomicz („Święty” lub „Templar”). W ten deseń, przypadkowo, poznawałem większość tajemnic „batalionu”.

Nikt mi niczego nie wyjaśniał z góry, trzeba było usłyszeć i zapytać, wówczas proszę bardzo, a jeszcze lepiej wziąć w czymś udział, jak w tej wyprawie na żułów. Sztamę z „dziećmi Karśnickiego” może mógłbym mieć, nawet przyjaźń, wystarczyło poprosić o legitymację klubową, biegać do ich sekcji kung-fu, łamać kantem dłoni piramidę cegieł i umacniać „duchowe braterstwo, jakie łączy adeptów”, bo „istota wschodnioazjatyckich technik walki zawiera się nie w samej walce, lecz w filozofii życiowej, którą rozwijają ćwiczenia...”, sralis mazgalis. Lecz ja nie chciałem być karateką. Ani członkiem wschodnioazjatyckiej ochotniczej rezerwy milicji, tego nocnego ormo, które budziło mój śmiech. Ani jednym z bachorów „książęcego” przedszkola. Chciałem być jedynakiem, faworytem i pieszczochem, nie wśród nich - obok nich a jakby się dało: nad nimi! Tylko Jacuś był mój kumpel.

Wieczorem przyszedł „Petro”, bo się umówił podczas pierwszej rozmowy przez drut. „Dzień dobry, dzień dobry”, parasol w wannę, żeby ściekł, szmaty pod skoki, żeby dywanu nie zafajdać, „co za paskudne deszczysko!” itp. Rzucił okiem na regał z książkami i zdziwił się dla pucu:

- Jack London jest, ale... nie widzę pana „Dzeka”...
- Raził pański gust złym krojem marynarki, więc wyprosiłem go - odpowiedział „Książę”.
- Pan jest niepoprawny!... No jak tam, „Fokstrot”, dobrze ci tutaj?
- Dobrze. Czy moja...
- Byłem u twojej matki, w porządku.
- A brat?
- Poza dość swobodną interpretacją lojalności przez szanowną małżonkę pana Eugeniusza pan Eugeniusz nie ma innych kłopotów.
- Dziękuję.
- I ja panu dziękuję - włączył się Karśnicki.
- Za co?
- Za prezent.
- Prezent zrobiłem sobie. Jestem zbyt stary, żeby biegać kiedy wystarczą dwa słowa przez telefon.
- Normalnie dostałbym go w pańskim wieku.

- Normalnie nic nie ma, niech pan spróbuje kupić żarówkę, firankę, bieliznę pościelową, mebel, czy choćby papier do maszyny lub do tyłka. To folklor systemu: kupno podlega eliminacji na rzecz „załatwiania”, łapownictwem, jak w społeczeństwach dekadentkich, i wymianą towarową, jak w społeczeństwach pierwotnych. Nie masz układów, należysz do dziadów! I jeszcze bardziej tracisz godność, próbując w jakiś układ wejść, coś wyżebrać, coś wyprosić. To jest w ogóle szerszy temat, panie Karśnicki, socjologowie i politolodzy winni się już tym zająć, a historycy w przyszłości zajmą się na pewno. Chodzi o mimowolny geniusz komunizmu, o to bolszewickie szczęście w nieszczęściu, o ten ich sukces, który narodził się z ich klęski. Bo przecież to jest klęska i wydaje się, że klęska kompletna, całkowita, absolutna. Miał być sukces duchowy i materialny, miała być wyższość komunizmu nad kapitalizmem, miało być szczęście powszechne i euforia, wyzwolenie ludów itd., a nie ma z tego nic, wszystko na odwrót! Rzecz zwykła, w historii wiele dążeń przeobraziło się w ich odwrotność, to się zwie złośliwością historii. Hitler chciał panowania Niemców nad światem, a finał tego dążenia to podział Niemiec na dwa kadłuby. Joanna d'Arc chciała katolickiej Francji, a rezultatem jest Francja laicka i radykalna. Socjaliści obiecywali ludom sprawiedliwość, a efekt ich działań to nowe formy totalitaryzmu i niewolnictwa, gorsze od dawnych. Idealiści komunistyczni, nienawidzący elit oraz elitarnych przywilejów, zbudowali ucisk czerwonych elit partyjnych, z ich bandyckimi przywilejami, bandyckim sądownictwem, ludobójstwem i niewolniczą pracą. Wszystko na odwrót, więc jak można wierzyć w ów Heglowski najwyższy rozum, rozum historii, która ma zawsze rację? Ten rozum jest dziwnie przewrotny, tragiczny i absurdalny. Z dobra rodzi się zło, z miłości nienawiść, z sukcesu klęska, i na odwrót. Wróćmy teraz do naszych „układów”, do tego „załatwiania”, o którym wspomniałem. Komunizm poniósł klęskę, zamiast wzbogacić, spauperyzował społeczeństwo, zamiast uszczęśliwić, unieszczęśliwił, zamiast dać, odebrał i tak dalej. Paradoksalnie zapewnił sobie tym wszystkim trwałość, długowieczność, siłę! Bo odebrał ludziom godność! Naiwniak wyobraża sobie, iż można zachować godność osobistą w ramach komunizmu. W jaki sposób? Poprzez jego negowanie. Nie wstępując do partii lub jej przybudówek, nie głosując, nie klaskając, nie uczestnicząc et cetera. Grubo się myli. Godność odbierana mu jest codziennie za pomocą tak zwanych realiów życiowych, przez konieczność owych „załatwiania”, dzięki brakowi wszystkiego i w konsekwencji

przymusowi załatwienia wszystkiego drogą tysięcznych, poniżających zabiegów, podchodów, lizusowskich uśmiechów, pokornych ukłonów i podłych kompromisików, łapówek, kłamstewek, usług i donosów, i czego tam jeszcze! Wszyscy zamieniają się w stado cwaniaczków-żebraków, pełzające na kolanach za elementarnymi rzeczami, bez których nie można żyć, od jedzenia do hydraulicznej uszczelki, od ubrania do miejsca w szpitalu, i w końcu wszyscy przyzwyczajają się do tego, koszmar staje się normalką. I to już jest pełna eksterminacja ludzkiej godności, nawet krzyż honoru - honoru nie można położyć na talerzu dziecka, żeby je nakarmić. Komunizm, łamiący wszystko, co obiecywał, przegrywając wszystko, co miało być wygrane, legitymujący się klęską - zabierając ludziom godność odnosi sukces, bo istota bez godności jest istotą bez siły, i społeczeństwo bez godności jest społeczeństwem bez siły, nie zostaje mu dość sił na zerwanie kajdan.

- Pan się nie boi tego mówić? - spytał „Książę”.

- Kogo mam się bać, pana?

- Telefonu.

- Telefonu nie należy się bać, należy się nim cieszyć. Przyjaciel z obozu pracuje w branży telekomunikacyjnej, stąd mogłem panu wyświadczyć radość. Niech panu służy na zdrowie ten prezencik.

- Chciałbym, aby mi służył na zdrowie.

- Do licha, jakie ma pan obawy?

- Zastanawiam się tylko, czy taki prezent może służyć kontroli rozmów w mieszkaniu przez słuchawkę leżącą na widelkach.

- Kto pana tak wystraszył?

- Ludzie gadają...

- Owszem, niektórzy do dziś gadają, że Ziemia jest płaska jak patelnia.

- Kiedyś tych, którzy gadali, że nie jest, uważano za idiotów.

- Ale wówczas po stronie tak uważających był rozsądek. Odkąd to łatwowierność należy do cnót, panie Karśnicki? Kopernikiada była tylko spekulacją! Czy pan wie, że do końca osiemnastego wieku nie istniało rozstrzygające doświadczenie dyskwalifikujące... cholera, ące ące, król rymów!... dyskwalifikujące system geocentryczny? Sam Galileusz

powiedział coś takiego: „Bezgraniczny jest mój podziw dla tych, którzy zaakceptowali system heliocentryczny wbrew oczywistym świadectwom zmysłów”.

- Czy rozsądek i wiedza są wrogami w sprawie, którą poruszyłem?
- W sprawie tego, co ludzie gadają? Nie. Według obu tych źródeł ludzie kochają pieprzyć bzdury. Dzięki temu Konrad Lorenz może pisać w swoich książkach o „niebываłej głupocie zbiorowej gatunku ludzkiego”.

Król rymów? Gówno. Król uników. Karśnicki miał dość:

- Podziwiam pańską erudycję i pańską elokwencję, panie Heldbaum. Gdyby zechciał je pan ożenić, nie zapominając o moim pytaniu, to może spłodziłyby odpowiedź.

- Już jej udzieliłem: nie!
- Opierając się na informacji?
- Na dedukcji, która jest też matką informacji.
- Proszę mi opisać ten połów, traktując to jako... lekcję funkcjonowania „zdolności umysłowych zwanych analitycznymi”...

- Służę panu. Punkt wyjścia znajdujemy w faktach. Pewien nie zidentyfikowany procent szczęśliwych posiadaczy aparatu telefonicznego, pragnąc przystąpić, czy to w gronie familijnym, czy z gośćmi, do trudnych rozmów ułatwionych nieskrępowaną wolnością słowa, wynikającą z praw człowieka gwarantowanych przez konstytucję, robi dziwne rzeczy. Nakrywają telefon poduszkami, kocami, futrami i cholera wie czym jeszcze, albo włączają obok telefonu radio lub magnetofon na cały głos. To jest fakt. Z czego ten fakt wynika? Po pierwsze z tego, że nienawidzą komunistów...

- To tak jak pan.
- Co jak ja?
- Pan też nienawidzi komunistów, pański wykład był tego dowodem.
- Ależ skąd. Mój wykład był tylko analizą pewnych zjawisk. Wie pan, może gdybym miał dzieci? Dzieci są jak czarnoksiężskie okulary, jak pryzmat, który zmienia kąt spojrzeń; poprzez ten kawałek własnego ciała, jakim jest dziecko, człowiek inaczej odbiera świat, poddaje się okrutnym emocjom, dziecko wyzwala w nim stos uczuć, które bez dziecka może by nie zaistniały, a jeśli, to nie w takim wyostrzeniu. Mój znajomy, rozsądny człowiek i żyjący w miarę dostatnio, bez specjalnych powodów do narzekań, wściekł się, gdy jego dziecku obniżono w szkole stopień ze sprawowania bo dziecko przyniosło z

domu tylko normatywny, to jest wymagany obowiązkowo kontyngent makulatury, dwanaście kilogramów. Na ocenę lepszą trzeba było dostarczyć ponadnormatywną ilość, dwadzieścia kilogramów. „To jest terror państwa wobec dzieci!” - ryczał. I miał rację, to jest barbarzyński terror, zwłaszcza w kraju, w którym gazety są cholerycznie drogie a pensje niskie, zaś jedyną możliwością zdobycia papieru toaletowego jest dostarczenie wielu kilogramów makulatury do punktu skupu. Szkoła, kradnąc ludziom tę makulaturę, kradnie im możliwość kulturalnego podcierania zadków. Ale ja nie mam dzieci, więc mam papier do tyłka, ergo nie mam tego akurat powodu, żeby nie lubić komunistów. To, że analizuję ich działalność, nie jest żadnym dowodem nienawiści do nich, proszę mi tego nie wmawiać.

- Więc lubi pan komunistów?

- Nie lubię, ale z zupełnie innych przyczyn. Kiedy się dobrze zna historię małpy homo i jej wynalazków społecznych, politycznych, religijnych, człowiek przestaje kierować się emocjami wobec systemów, kląć, że bocian przyniósł tu, a nie tam, stoi ponad, bo wie, że wszystko jest kopią kopii i nie warto marnować czasu na zbawianie niezbawialnego, istnieje sporo ciekawszych zajęć. „Ludzie ludziom zgotowali ten los”, zna pan? Otóż ludzie pościelili sobie tak dawno temu, że już nikt nie pamięta kiedy, i do dzisiaj taki mają sen, jak sobie pościelili, bo nie potrafią zmienić prześcieradła. Każdy uzdrowiciel kończy klęską lub zamienia się w bydlę gorsze od poprzedniego. Może to kwestia biologii i zoologii? W takim wypadku tylko manipulacja genetyczna na skalę masową mogłaby przywrócić utracony raj. Wyjaśniłem panu, dlaczego obcy mi jest antykomunizm. Tak jak antyimperializm, antymonarchizm „i każda rzecz, która jego jest”, każda, która cuchnie polityką. Nie przepadam za komunistami, bo to kaleki duchowe, lecz tylko z tego powodu...

- Tak, wytłumaczył pan, tylko trochę przydługo.

- Możliwe, ale to już moja sprawa, jak mam tłumaczyć, krasomówstwo jest rzeczą intymną, panie Karśnicki, stawiać za to zły stopień to również terror! Wracani do tematu i do dedukowania. Nasi przykrywacze słuchawek nienawidzą komunistów, ale nie potrafią walczyć w obronie swej nienawiści. Potrafią tylko gadać przeciw. To ich ersatz wolnego bytu, szczyt bohaterstwa, teatrzyk książąt niezłomnych, alibi impotentów!... Tak więc fakt, iż na słuchawkach leżą futra, wynika: raz ze wspomnianej nienawiści, dwa z jej

artykułowania we własnym mieszkaniu, trzy z obaw przed karą za te popisy domowe, lub też z chęci zrobienia na złość podsłuchującym. No i oczywiście z wiary w ów rodzaj podsłuchu, bez tego problem by nie zaistniał. Dodając to wszystko do siebie, otrzymujemy ów fakt, który możemy nazwać generalnym skutkiem. A jako że nie ma skutku bez przyczyny, to zgodnie z logiką przyczyna generalna musi istnieć. Ergo - podsłuch taki istnieje! Teraz kontra: popełniliśmy błąd, gdyż suma czterech przyczyn podrzędnych daje skutek generalny, ale nie dowodzi istnienia przyczyny generalnej. Gdzie jest słabe ogniwo? Czwórka: antypodsłuchowe działanie to efekt wiary w ten rodzaj podsłuchu. Miliardy ludzi modlą się do Boga, ale to nie dowodzi, że Bóg istnieje. Bez względu na to, ilu osobników wierzy w taki podsłuch - ta wiara nie jest dowodem! Możemy oczywiście zapytać o przyczynę przyczyny, to jest o alternatywne źródło obaw, zakładając, iż podsłuch nie istnieje. Odpowiedź brzmi: plotka. Być może nawet plotka centralnie sterowana, według dobrze sprawdzonej metody. Reputację nazbyt już znieawidzonych prominentów poprawiano emitując „przeciek” o ich, na przykład, zadarciu z Moskwą, i o tym jakie przykrości spotkały tego dobrego Polaka za ochronę narodowych interesów. W kilka dni szepcze o tym cały kraj, z tą naiwną wiarą, która nie dopuszcza jedynej logicznej myśli: gdyby zadarł z Kremlem, dostałby kopa i po krzyku. Albo „regulacje cenowe”. Jak były zaskoczeniem, to od razu awantury, strajki, pardon: „przerwy w pracy”, demonstracje, krew. Teraz puszcza się z góry cichą „absolutnie pewną wiadomość”, że za taki a taki czas będzie podwyżka tego i owego o trzydzieści procent i całą Polskę trafia szlag. W naznaczonym terminie władze ogłaszają dziesięcioprocentową „regulację cen” i każdy oddycha z ulgą: tylko dziesięć! Rozumie pan?

- Nie za bardzo w przypadku telefonów.

- Panie Karśnicki, ja tylko spekuluję. Może chodzi o to, żeby gadając po domach nie nastrajać się w rebelianckim duchu, żeby dzieciak nie słuchał zbyt często iż to, co pani w szkole nazywa pionowym, jest poziome, któż lepiej jak rodzina potrafi wykrzywić światopogląd? Zresztą, bo ja wiem? Strach to świetny organizator karności. Plus telefon jako żandarm... Niegłupie... Ale dajmy spokój. Końcówka - dowód dedukcyjny na to, że ten rodzaj podsłuchu to mit. Niech pan spojrzy - telefon ma bardzo niewielu Polaków, ludzie zabijają się, żeby go zdobyć, nawet takie luksusy jak mieszkanie czy samochód można osiągnąć łatwiej. Gdyby telefon mógł posłużyć...

- Wiem, do czego pan zmierza. Ale to problem braku środków, braku nowoczesnej infrastruktury, pieniędzy w systemie, w którym panuje ciągły kryzys...

- Nie, nie, nie, nie, nie! - przerwał „Petro”, krzyżąc. - Nonsens! W takich sprawach cel uświęca środki o tyle, że je wymusza i robi to kosztem wszystkiego innego, nawet kosztem rzeczy elementarnych! Rosja za carów eksportowała zboże, a teraz musi importować, bo inaczej zdechłaby z głodu, ale ma takie same rakiety jak Amerykanie i pierwsza wystrzeliła sputnik! Kwestia priorytetów. Telefonu nie ma nawet co dwudziesty dom, ale telewizor stoi w każdym mieszkaniu, w każdej kurnej chacie, na zabitych dechami wsiach, bo nie istnieje lepszy instrument propagandy. Kluczem jest użyteczność - telewizor to magiczna różdżka rządu dusz, katarynka dzień i noc bębniąca psalm „jedynie słusznej linii”, fenomenalna pralka mózgów! A telefon? Jaka korzyść dla nich, że pan ma aparat? Pustynię telefoniczną tłumaczy się brakiem środków, ale w rozwój telewizji wpakowano sumy bająnskie, kilka fabryk, gigantyczna licencja Thomsona, stały import z Rosji i z Zachodu, żadnych ograniczeń inwestycyjnych. Gdyby można było zrealizować orwellowską wizję o podglądaniu wewnątrz przez szklany ekran, to posiadanie telewizora stanowiłoby prymus, proletariacki dyktat, czyli „patriotyczny obowiązek”. Za wyłączenie lub uszkodzenie kara na mocy paragrafu! Gdyby podsłuch, o jakim pan myśli, był możliwy, wówczas telefon stałby się czymś łatwo dostępnym i tanim jak barszcz. Oto wynik procesu dedukcyjnego, argument, którego nie uda się panu odeprzeć, a zatem coś, czego pan pragnął - absolutnie pewna informacja!

Wystarczyłoby tych kilka ostatnich zdań, a pieprzył pół godziny. Jezu, nigdy nie widziałem faceta, któremu sprawiałoby to podobną radochę. Filował na Karśnickiego pełen niepokoju, iż tamten czymś go zdzieli, kpinką albo wątpliwością, lecz „Książę” najzwyczajniej rzekł:

- Przekonał mnie pan.

„Petro” chuchnął w grabki „na szczęście”, pokazując oba garnitury sztucznych kłów:

- W końcu raz mi się udało! Pierwszy, mam nadzieję nie ostatni.

Rozejrzał się, bez uśmiechu, który mu nagle zgasł, jakby pod wpływem przypomnień o „miłych złego początkach” i o tym, co mówią karciarze: „pierwszy fart gównu wart”.

- Ładny pokój, kawaler ma tu przestrzeń. Ten drugi to sypialny?

- Nie, biblioteka.

- Więc gdzie śpicie?

- Tu.

„Petro” zrobił „oczy”:

- A łóżka?

- „Fokstrot” śpi na połówce, ja na tym - odpowiedział Karśnicki, wskazując głową rulon przystawiony do regału.

- Co to jest?

- Mata.

- Ale pod nią...

- Klepki podłogowe.

- Wobec tego na niej...

- Prześcieradło.

- No i poduszka...

- Obywam się bez.

- Ach tak...

„Petro” chrząknął, jakby wschodnioazjatyckie maty zamiast czteronożnych wyr leżały w co drugim polskim domu, normalka.

- Przyszedłem z pewną sprawą... - zagał.

- Czy ta sprawa ma coś wspólnego z tamtą, dzięki której spędziliśmy u pana białą noc?

- Tak, i jest to mój kolejny prezent.

- Otrzymywanie prezentów to moje hobby, ale zechce się pan wstrzymać... jedną chwilę - rzekł Karśnicki. - „Fokstrot”! Nakryj telefon poduszką i puść przy nim ciężkiego rocka!

Zrobiłem to w mig, a on:

- Jestem gotów, panie Heldbaum.

Gdybyście mogli zobaczyć wtedy dziób starego! Przykurczył się i tylko sapnął jak rozzłoszczony mamut. Karśnicki, niby nie widząc:

- Co ze mnie za gospodarz! Pardon! (nigdy do tej pory nie mówił „pardon”, potem też nie, więc chyba dziabnął Heldbaumowi po heldbaumowsku, ale tamten tego nie wyczuł).
Kawa, herbata?

Napili się czarnej, „Petroszczak” nerwowo, zły. Potem zaczął, jak zwykle nie od końca, ani od początku, tylko bokiem, bo sprzedać sedno w dwóch zdaniach to byłoby dlań tak, jak dla faceta, który chce romans i flirt, a musi zerznąć kobitę na łapu-capu, bez żadnych podejść i gruchań:

- Pan jest człowiekiem wyjątkowym, panie Karśnicki...
- To samo mówiła moja matka, byłem „cudownym dzieckiem”.
- Chodzi mi o to, że pan jako Polak ma nietypowy stosunek do odwetu...
- To już coś bardziej oryginalnego, zamieniam się w słuch.
- Nie mogłem wczoraj usnąć i trochę o tym myślałem, porównując nas obu jako mścicieli. To, co różni moją zemstę od pańskiej to fakt, że moja jest tylko kaprysem i ewentualnie środkiem do osiągnięcia celu, pańska natomiast jest przemożną obsesją i celem samym w sobie.

- Tak jakbym to już słyszał z pańskich ust, pan się powtarza... Maniakiem jestem, w porządku, gdzie tu wyjątkowość?

- Polak nie kocha zemsty, nie potrafi nią żyć, chęć jej dokonania przechodzi mu prędko, nie szuka odwetu maniakalnie. Południowiec rzekłby, iż to rodzaj kalectwa, na które cierpi cały naród. Polacy się nie mszczą.

- O Armii Krajowej pan słyszał?

- Co to ma do rzeczy? Wojna jest stanem wyjątkowym, odwet jej rytuałem, żołnierską powinnością. Ale to nie jest korsykańska „vendetta” ani prywatny rewanż sycylijski „oko za oko, krew za krew”. Rzucając takim kontrargumentem pan dokonał oszczerstwa, podobnie jak ci, którzy bluźnią, że Armia Krajowa była „polskim ruchem oporu”. „Ruch oporu” to robili na przykład Francuzi, my mieliśmy państwo podziemne, ze wszystkimi jego instytucjami, rządem, sądownictwem, systemem administracyjnym i oświatowym, i z siłą zbrojną, którą była armia, a nie żaden ruch oporu.

- Semantyka, panie Heldbaum.

- Niech pan to powie akowskim weteranom.

- Mój dziad i mój ojciec byli akowcami, walczyli w Powstaniu.

- Tym bardziej dziwią mnie pańskie słowa.

- A mnie pańskie popisy patriotyczne. I kiepska pamięć. Pamięta pan: „Pawiak pomścimy!”?

- Owszem, ale komórki egzekucyjne AK nie uprawiały porachunków. To byli żołnierze regularnej armii, o to mi chodziło, a nie o popisy patriotyczne. Zamach na Niemca był wykonaniem sądowego wyroku, ustalonego i zatwierdzonego przez podziemne organy państwowe, działające zgodnie z polskim prawem. Prywatne zemsty zdarzały się, lecz była to patologia wojenna. Wojnę odrzucimy, zajmijmy się czasem pokoju. Odrzucimy też męty społeczne z ich dintojrą. Wreszcie odrzucimy umysłowo chorych. W normalnym czasie normalny Polak nie szuka krwi krzywdziciela, choćby najgorszego. We wszystkich ośrodkach prowincjonalnych tego kraju, we wsiach i w miasteczkach, w gminach i powiatach, rządzą kliki złożone z małych, tępych, butnych, zachłannych i bezlitosnych kacyków, potworne mafie tak zwanego średniego szczebla, niedouczone i niedomyte chamy, paroby, które przez wybryk Historii zamiast roztrząsać gnój w oborze świadczą dobrodziejstwa swemu otoczeniu i całej reszcie krzywdy, roztrząsają dolę ludzką z wysokości swych stanowisk i przywilejów. Ileż skromnych oczekiwań, ileż małych ludzkich szczęść pogrzebali, ile wyroków łamiących los człowieka bezkarnie ferują! Czy pan słyszał, żeby ktoś dał takiemu pięścią w mordę, jeśli już nie siekierą przez wypomadowany łeb?

- A to nie kwestia strachu, panie Heldbaum?

- Pan idziesz mówić o strachu u Polaka? Panie Karśnicki! Ja mam panu przypominać historię Rzeczypospolitej? Polak to nie Pepik, glina z innych atomów. Polak, gdy się zeźli albo musi, te wariat, z gołymi rękami na tygrysa i żywcem zdejmie mu futro. Ale trzeba mieć wojnę, powstanie, świętą sprawę, bo Polak jest bohater wojenny. A w czas pokoju to on nie jest bohater. Tchórzem nie podszyty, ale nie będzie zabijał czy nawet się szarpał, bo ma w dupie, a jeśli nawet w sercu, to ogień prędko mu się spala, brak wytrzymałości. Jest jak jest, trudno. Curiosum: zachodni chrześcijanin i wschodni fatalista w jednym ciele. Ci, co nakrywają 'telefony poduszkami, też nie ze strachu. Niektórzy przez ostrożność, po cholere mieć kłopoty za samo gadanie? Ale gros na przekór tym wyimaginowanym podsłuchiwachom: gównu będziecie słyszeć, taka wasza mać! Chce pan przykład bardziej dobitny?

- Na to, że Polacy się nie boją? Nie trzeba. Ja akurat się boję, panie Heldbaum, ale ponieważ jestem człowiekiem wyjątkowym, to tylko potwierdzam regułę.

- Na to, że Polacy się nie niszczą.

- Nie anektują Leningradu i Moskwy za Wilno i Lwów, fakt.

- Nie tkną palcem kata własnej matki, to jest fakt! Do pięćdziesiątego szóstego w ubeckich lochach działy się takie rzeczy, iż Gestapo mogłoby brać tam korepetycje. Jakiż repertuar zwyrodnialstwa! Tortury praktykowane przez sadystów natchnionych okrucieństwem, bestialskie orgie, ucieleśniony koszmar, tysiące zamęczonych, okaleczonych i zeszmaceonych, piekło! W Październiku ci panowie dostali dymisje, no, niektórzy z nich, i z oprawców przemienili się w zwykłych mieszczan, w emerytów. Władza winna dać im ochronę, obstawę, uzbrojonych goryli, ale władza niczego podobnego nie zrobiła i miała rację - nie było takiej konieczności. Przez następne dziesięć, dwadzieścia lat, każdy z owych krwiopicjów żył sobie w spokoju, szwendał się po ulicach w dzień i wieczorem, robił zakupy, wygrzewał na ławeczce w parku, wyprowadzał pieska, mijał tłumy przechodniów. Wśród tych, co go mijali, były rodziny ofiar. Mężowie kobiet zakopanych na śmierć szpicami butów w ciężarny brzuch. Synowie ojców, których genitalia splaszczono. Bracia zamienionych w transformatory elektryczne. Nikt nie pomyślał, żeby rąbnąć kata! Znano adresy - nikt nie zapukał, przynosząc śmierć za śmierć! Widywano ich, mówiono: o, popatrz, to Berman, lub: widzisz, Różański! Zamiast odwetu groziła im tylko starość, wypadek lub jedna z chorób. Na zdrowy umysł to się nie mieści w głowie, ale to fakt! Jak można to wytłumaczyć?

- Dalej strachem, lub przekonaniem synów ofiar, iż zabijając ukarałoby się narzędzia.

- Co pan powie! Proszę jeszcze dodać motyw religijny, chrześcijańską łagodność pogrążonych w nieskończonym miłosierdziu wedle słów Pisma: „Jak ktoś ci kamieniem, to ty mu chlebem”, lub innych słów Przedwiecznego: „Zemsta jest moja”, a będzie komplet!... Służby represyjne nigdy nie są tylko narzędziami, to państwa w państwie, w wielu krajach najwyższy tajny organ władz, prawdziwy rząd albo ster rządu. Berman, Różański, Ajseman, Fejgin, Siedlecki, Światło czy Radkiewicz, nawiasem mówiąc co do jednego Żydzi, których Stalin tu przysłał, to byli królowie cierpień, racjonalizatorzy mąk, ale nie marionetki. Berman rządził Polską bardziej niż Bierut! I każdy, kto powinien był o tym wiedzieć, wiedział, synowie zamęczonych mieli najlepszą tego świadomość. Gdyby nie wolta na Kremlu, zadławienie Berii i dojście do władzy Chruszczowa, te swojskie berioszczaki rządziłyby dalej Polską, mafia sama nie prosi o dymisję... Strach? Proszę pana, Światło uciekł na Zachód, gdzie też były rodziny ofiar, i nikt go nie tknął, chociaż

tam nie trzeba się było bać komunistów. A więc nie strach. Mentalność, panie Karśnicki, mentalność, lub niech pan to nazwie inaczej, cechą charakterologiczną, syndromem poniechania odwetu, czymkolwiek, ale to jest coś, co tkwi głęboko w psychice. Polak nie szuka prywatnej zemsty. Weź pan Żydów, już trzydzieści lat bawią się w myśliwych. Zorganizowali specjalne komanda, ścigają, wyłapują lub mordują cichcem zbrodniarzy hitlerowskich w każdym zakątku globu, najprawdziwsi łowcy głów. Polakom nie przeszłoby to przez myśl, zdają się na urzędowe ekstradycje, sądy i porozumienia, a przecież wśród polskich emigrantów są milionerzy, którym SS zaszlachtowało ojca i matkę. Cóż łatwiejszego, jak opłacić kilku profesjonalnych morderców i kropnąć Hauptsturmführera, o którym wiadomo, że dokonał egzekucji? Ale skąd, Herr Hauptsturmführer zejdzie mając dziewiąty krzyżyk i grzech odpuszczony na śmiertelnym wyroku, Polakom nic do tego, żaden nie zagra pieśni „O podrzynaniu gardła”. I nie przez szacunek do praw czy miłość do legalnych form, lecz przez taką a nie inną strukturę duszy, osobowości, mentalności, jak to nazwać? Taki charakter.

Mówił nerwowo, chwilami krzyczał, ręce mu fruwały pomagając. Skończywszy wstał i znowu odemknął dziób. Nic nie powiedział, trzymał japę bezgłośnie otwartą; pomyślałem, że chce tylko rozprostować giry i że mu się wątek urwał, ale to nie było to. Nagle zapytał innym, nie swoim głosem, jakby mu czegoś zrobiło się żal:

- Zemsta jest emanacją prymitywizmu, nędzą ducha, głupotą, czy pan wie?
- Tak - kiwnął głową Karśnicki.

„Petro” wsunął łapę w kieszeń, wyjął świstek papieru i rzucił na blat.

- Tu ma pan rodzinę i adres ówczesnego „księcia” czterech ulic. Bez jego zgody nic się nie działo na Ząbkowskiej, Kijowskiej, Markowskiej i Brzeskiej. Gdyby nie zezwolił, dziewczynie nie zrobiono by krzywdy. Ale zezwolił. Do widzenia panu. Cześć, „Fokstrot”.

Wyszedł. Schowałem się w mniejszym pokoju, bo „Książę” stał, nieruchomy jak jakiś posąg, że wolałem zostawić go samego.

Po dwóch dniach przyszedł „Dzek” z kablami i kupą sprzętu. Dętka kompletna, bladzioc, oczy przekrwione, schudł, widać mało kimał; wapno jakiejś panienki lub jego starzy musieli wyjechać, zostawiając wolną chatę i Jacuś wpadł w seks.

- „Walentino” dziś nie da rady, ale od jutra... - mruknął, filując na dywan.

„Książę”, zamiast go opieprzyć, podał mu kartonik z treścią Heldbaumowego „prezentu”.

- Sprawdź czy nazwisko i adres pasują do siebie. Gdzie on chodzi, z kim się spotyka, czy zamieszkuje sam. Przydziel chłopakom dyżury i nie spuszczać go z oczu, aż będziesz wiedział wszystko.

„Dżek” wziął tekturkę i... zakrył nią dziób, bo mu się tak chciało ziewać! Też od razu ziewnąłem, jakby mnie zaraził. Pofilował na tekst.

- Śmierdzi panem H...
- Masz dobry nos. Przedwczoraj pan H. złożył nam rewizytę.
- Towarzyski człowiek!
- Było mu smutno, że ciebie nie ma, stęsknił się za tobą.
- Kochany Petroniusz! Jak znam życie, wymyślił nowy haczyk i próbował pana bajerować...

- To właśnie ten haczyk. Ale nie namawiał jak wówczas, jest sprytny.
- Szefie...
- Tak?
- Myślałem nad tą sprawą...
- Rewelacja!...- Nie to, nad jaką sprawą, ale że myślałeś! Ja już myślałem, że potrafisz tylko bić, choć zawsze starałem się nauczyć was myśleć, zanim cokolwiek zrobisz lub gadasz! Teraz powiedz nad jaką sprawą.

- Może to nie byłoby takie głupie...
- Co?
- Zadziałać z nim.
- Przecież go nie znosisz.
- Uczucia uczuciami, a interesy swoją drogą.
- Nie bawią mnie jego interesy.
- Więc zrobmy, żeby były nasze. W końcu... ma pan w tym i swój interes...
- Słusznie zauważyłeś, iż jest on mój, a nie twój!
- Ja się nie wtrącam, ale...
- Ale nie rozumiesz, czym to grozi! Zamiast „Robin Hooda” i „Zorro” poczytaj coś o diabłach kusicielach. Na końcu oni biorą łup, reszta leży w piachu.

- Można zacząć, a potem go spławić...

- Można nie dożyć tego „potem”. Wejść z nim do spółki, to tak jak wejść do wody na wspólną kąpiel z rekinem.

Kilka dni później nastąpił dramat. W ciągu tych kilku dni nie działo się nic szczególnego: „Dżek” i „Walentino” załączyli magnetofon do aparatu, „Książę” dwa razy wychodził pod wieczór i późno wracał (przedtem też tak wychodził, chyba do swojej kobity, ale teraz nie do niej, bo zadzwoniła, gdy był nieobecny) - mnie to wszystko było ganc egal, miałem łeb zapaćkany czymś innym.

Poznałem dziewczynę. Przypadek. „Książę”, jak sam nie mógł, to prosił, żeby machnąć zakupy. Biegałem do dużego sklepu przy rogu Walecznych. Ona tam robiła w cukierniczym. Powiedziałem „Księżciu”, że zakupy związane z michą biorę na siebie i od tej pory zaiwaniałem tam rano i wieczór, modląc się, żeby ją przenieśli na inny dział, bo ile razy można kupować cukier? Żeby był nie pakowany, tylko luźny, to bym chyba brał po dziesięć deko. Jacek skoczył do mojej chaty, przywiózł mi z łachów, co miałem. Niewiele miałem, ale zawsze. Szczotka, mydło i grzebień szły w ruch jak nigdy; sitowie a la konkurs fryzjerów, wciąż od nowa; ząbki do glancu trzy razy dziennie; a kiedy zacząłem się lać perfumą, „Książę” strzelił:

- Mam nadzieję, że to kierowniczką. Królestwo za szynkę! „Fokstrot”, pamiętaj, że masz przyjaciół!

Ocipiałem.

- Co, nie kierowniczką?... - drwił. - Może chociaż wicekierowniczką?

- Dziewczyna zza lady - mruknąłem.

- Nie dla nas sznur baleronów... - westchnął, przekręcając słowa piosenki. - „Fokstrot”, w twoim wieku trzeba wzlatywać nad poziomy, gdzie masz ambicję?

Usłyszałem swój własny pisk rozwścieczonego knypa:

- Pan też odmówił staremu! Mógł pan zafarcieć Pragę, być tym... no... co on mówił...

- Ba! Ja nie jestem taki młodzieniaszek. Ale gdyby Heldbaum zaoferował mi rękę jakiejś księżniczki, to bym się zgodził od razu, królestwo za posag!

Dziewczyny, które znałem dotąd... Dzisiaj już nawet nie pamiętam imion, ich facjaty rozmazują się jak przez szybę brudną od deszczu i zlewają w jedną obcą twarz, która nie wywołuje żadnych uczuć, ani złości, ani przyjemnego wzruszenia, nic. Dupeczki rżnięte

mechanicznie, absolwentki dyskotek, chodników, parków i specyficznej atmosfery, którą ta dzielnica zaraża swoich, praskie luźne piczki, tak mało podobne do dziewcząt z knig i z filmów, gdzie każda baba ma najpierw dusze, potem rumieniec, łyzy w ślepiach albo drżące wargi, a reszta jest tam u dołu, lecz po co o tym truć, łapy na koldrę, psiakrew!; niepodobne również do luksusowego kurewstwa, tego ze śródmiejskich kawiarni, czy ze zdjęć porno, czy z tych nowych filmów, gdzie aktorki upychają w obiektyw swój goły cyc lub dupę, lub mleczarnię i dupę naraz. Były inne od wszystkich, swojackie, do rąbania w piwnicy na węglu, na cementowych workach za śmietnikiem, w stróżówkach, windach, kotłowniach, na ławkach parku Skaryszewskiego i na poręczach schodów, chętnie albo po walnięciu w pysk, żeby nie pajacowały za długo, kiedy kutas swędzi aż do bólu. Tylko że one lubiły, kiedy facet trzaśnie w dziób, bo co to za chłop, który nie potrafi pierdyknąć - samiec bez jaj. Mnie to nie brało za cholere, nigdy nie uderzyłem, po dobremu lub ciao bambina! A jeszcze bardziej nie - modne sporty: sztafety, balety, rozbierane prywatki, kiedy dziesięciu pieprzy jedną napitą rurę, albo wszyscy dymają wszystkich na krzyż. Raz wziąłem w tym udział, byłem niemożliwy szczył; jak towary zaczęły strzelać na dystans ogórkami spomiędzy ud, dałem nogę, powstrzymując pawia. Sztafety też nie dla mnie, pies je trącał, to jak sracz na dworcu, kolejka do jednej dziury, chromołem taki wyczyn, nie znalazłem kapucyna w śmieciach. Lubilem sam na sam, bez świadków. A potem zachciało mi się innych dziewczyn, takich jak na filmie lub w knidze „Pan Wołodyjowski”. Żeby nie wyskakiwały z majtek na gwizd, po jednym tańcu czy kieliszku, i żeby się wstydziły, kurwa mać, tak jak Ania z Zielonego Wzgórza i ta Oleńka, co ją zarwał Kmicic, ale wytentegować z marszu nie mógł. Wiedziałem, że jeśli takie są w knigach, to muszą być i w życiu, tylko nie umiałem trafić i to mnie gnębiło. A tu proszę, Dank!

Przymierzyłem się kilka razy na wieczór, kiedy zamykali interes. Lecz ona wychodziła z cholernym babsztyłem o końskich zębach i razem szorowały do autobusu. Kombinowałem, że kiedyś wyjdzie sama. Jak wreszcie wyszła bez tamtej ropuchy, to się okazało, że nie tylko ja kombinowałem. Z ciemności podskoczył aparat w moim wieku, naflekowany, bo źle trzymał pion. Zastąpił jej drogę. Zrobiła unik, ale dwóch innych modeli wystartowało, barykadując odwrót. Jeden gwizdnął i zaseplenił:

- Pierwsza liga, co Maniek?
- Sie widzi... Psiepraszam panią, pani samotna w ten wieczór?

Chciała ominąć, ale pierwszy chwycił ją za rękaw i przytrzymał.

- Wolnego, laluniu! Edek jestem. Szarpnęła się, ale mocno trzymał.

- Po co te nerwy, kotuś? Ja jestem Edek, to jest Maniek, a to Krzych. Trzej przyjaciele z boiska, znaczy trio, można wybierać...

Podszedł ten nalany, ona nic, rozgląda się wokoło, szukając ratunku.

- Jak pragnę Boga, co jest, nie bądź taka, siostró...

Wtedy kopnąłem go w dupę, albo ciut. poniżej, bo zawył i przykucnął, miętosząc jaja. Tamci dwaj do mnie, ale charakter w nóżkach to ja mam od takiego; obejrzeni mój flek, a ona chodu. Kapowałem, że znów zrobią podejście, więc przysła koza do woza: „Jacenty, pomóż!”, a on na to jak na lato:

- Okey. Ale uprzedzam, „Fokstrot”, ty możesz wyjść z tego najbardziej poszkodowany. Żebyś mi potem nie wnosił pretensyjów!

- O co?

- O zły charakter teściowej! - zarżał na cały regulator; tak głośno ludzie śmieją się tylko z własnych kpin.

Kolejnego wieczoru „Dżek” puścił tę trójkę w rynsztok, wybijając zęby, ale to było preludium, bo jeden z nich leżąc zaszczekał:

- O kurwaaaa!... Jeszcze zobaczysz!... Jak przyjdzie „Ogień”, to zobaczysz, tyyy!... „Dżek” się odwrócił i huknął, aż poniosło głos między domy:

- Powiedz mu, że czekam! Jutro o tej porze!

Czekaliśmy w sześciu, ja, Klon, Tomek „Walentino”, Robert „Nóżka”, „Szpinak” i „Wuj”; spóźnił się „Moskit”, dołączając podczas gry. Ta szła ostro, bo łobuzów było z dziesięciu i mieli łańcuszki, które psuły chłopcom ubrania, lecz stało się jak myślałem - co raz to któryś z tamtych dymał w krzaki koło parkingu i już nie wracał, lub grzał płyty chodnikowe, fałszując mezzosopranem bolesnym. Kocia muzyka z dwóch stron, gdyż „dzieci Karśnickiego” wyprowadzały uderzenia rycząc bojowy okrzyk kung-fu.

Ja stałem obok niej; mogła odejść, lecz nie odeszła. Dwoje milczących widzów, grano tylko dla nas; czekaliśmy na zwycięstwo, to zbliża. Wydawało mi się, że słychać łomot naszych serc i że mój nerwowy oddech wylatuje z jej ust.

Gdy już było po wszystkim, „Dżek” otrzepał ręce w teatralny sposób, zapytując nie wiadomo kogo.

- No i gdzie ten „Ogień”?

Robert „Nóżka” mu odpowiedział:

- Pewnie jeden z tych, co leżą i kwiczą, albo z tych, co dali chodu... Wielki boss, postrach dzielnicy! Słomiany ogień!

Wszyscy ryknęli śmiechem i wówczas z ciemności, spomiędzy parkujących gablot wyszedł młody typ, ubrany w szmelcowaną kurtkę. Szedł w stronę „Dzeka”, wolno, bez nerwów, twarz pełna spokoju, jakby chciał tylko pytać o czas. Zastąpił mu drogę „Wuj”.

- Odpłyn - rzekł tamten.

„Wuj” trzasnął dwa razy, oba w powietrze, bo „Ogień” miał git unik, a kiedy sam ruszył ręką, „Wuj” fiknął na maskę Opla i zjechał w błoto niczym wiosenny śnieg, który zjeżdża z dachówek. Po chwili to samo przeżył „Szpinak”. Żadne karate czy kung-fu; facet po prostu bił pięścią i był lepszy - w ringu uznano by go za genialnego technika, miał siódmy zmysł, z tym trzeba się urodzić.

„Dzek” ruszył mu naprzeciw, żeby tamten nie tłukł więcej chłopaków, ale tamten, gdy już stali nos w nos, powiedział:

- Chcesz się łąć?

- Nie chcę się łąć. Chcę ciebie łąć.

- Masz w tym jakiś interes?

- Mam. Chcę ci udowodnić, że przy mnie wysiadasz.

- Nie truj. Sobie chcesz udowodnić własne chojractwo. Tak robią gówniarze.

- Gówniarze napastują bezbronne dziewczyny. Przyszedłem tu po to, żeby gówniarze przestali to robić.

- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek coś takiego robił...

- A twoi kolesie, którzy wezwali cię na pomoc, kiedy ich przyhamowano? Pętaki!

- Gra, to pętaki, żadni moi kumple. Znają mnie tu, więc przyszli prosić, żebym im pomógł, ale jak zobaczyłem, o co idzie...

- Bujasz, bo wziął cię cykor.

- Straszny! Z tego pietra przewróciłem dwóch twoich smoków, karate im się poplątało. Będzie trzeba, to i ciebie położę obok nich.

- Proszę bardzo... - uśmiechnął się „Dzek” z jakimś okrutnym błyskiem w ślepiach. - Daj mi popalić, panie „Ogień”!

Tamten wyjął... paczkę szlugów.

- Proszę bardzo.

Filowali na siebie, nikt nie wiedział, który rąbnie pierwszy, a oni... w śmiech, aż ich zakołysało od chichotu! „Ogień” wyciągnął grabę:

- Niech będzie blat między nami.

„Dżek” podał mu rękę. Odwróciłem się do dziewczyny i zapytałem luźno:

- Czy mogę panią odprowadzić?

Nic nie rzekła, poszła ulicą do przystanku, ale gdy zrównałem swój krok z jej krokiem, nie próbowała przyśpieszyć, dreptaliśmy wolno w ten sam takt.

Wróciłem pogwizdując, bo dała się umówić na film w niedzielę. Karśnickiego nie było, włączyłem TV. Szedł ruski obraz, pełen szczęścia ludzi stawiających słup z betonu pod elektrykę na Dalekiej Północy, więc lekko przykimałem. Obudził mnie trzask zamka. „Książę” stał w drzwiach, wsparty o futrynę, i patrzył wzrokiem filmowych upiorów, ale nic nie mówił, tylko zaczął osuwać się w dół, aż usiadł na wycieraczce. Był ubabrany we krwi. Łała się zewsząd - z czoła, z twarzy, z rąk i nóg, jakby upadł w maszynkę do mielenia miecha. Przez rozbite wargi wycharczał:

- „Foo...oookstrot”!

Wciągnąłem go do środka i zawlokłem na matę. Jęknął:

- Zaaa...dzwoń pod nu...nuumer...

Podał mi numer do swojej kobity i zadryndałem, żeby przyjechała, jak szybko może. Ona była lekarką. Chciałem mu obmyć twarz, ale nie pozwolił. Oddychał ciężko, ze świstem, nie otwierając oczu, a ja siedziałem obok maty i płakałem, myśląc, że zabiję skurwysynów, którzy mu to zrobili.

Później dowiedziałem się, że „Dżek” dał mu namiar na tego faceta, którego wskazał „Petro”, a Karśnicki zamiast wziąć obstawę, pojechał sam i wlaź w kocioł. Dopalandowali mu gazrurą w tył baniaka i półprzytomnego pod flek. Na to (na gazrurę, znienacka i od tyłu) nie ma silnych.

Nim się obejrzałem, weszła, z walizeczką lekarską, w której miała wszystko. Pomagałem zdjąć mu ubranie. Trzeba było wrywać materiał z przyschniętych ran; nawet nie drgnął, nic. Obmywała go, bandażowała, zrobiła zastrzyk; myślałem, że to się nigdy nie skończy, tyle miał dziur od zelówek, na nogach, na piersiach, czoło, barki, plecy i

dupsko - fart, że przynajmniej kutas i patrzałki w porządku. Ja gotowałem wodę, targałem co trzeba (ręcznik, miskę, żyłkę, lód z zamrażalnika), przewracałem go na bok, wstydziłem się (kiedy zdjęła mu gacie; ale numer - kapucyn „Księcia” stał!; pofilowałem nie bez radochy, że chociaż w jednym dorównuję Karśnickiemu, w koniocentymetrach) i patrzyłem na nią.

Właściwie to już wapniaczka, mogła mieć ze czterdzieć i więcej ale piękność, jak jaka Greta Garbo, kurde mol, takie nie stoją za ladą i ubierają się inaczej niż zwykłe dziewczyny; niby ta sama płęć, lecz całkiem odmienny gatunek zwierząt, z innych planet. Ciemne włosy, długi delikatny nos, maleńkie zmarszczki w kącikach ust, ale przez to wargi jeszcze bardziej rajcowne - takie usta facetom z naszych dzielnic nawet nie migną w snach, bo parobek nie dotknie księżnej, zesrałby się, cykorując na samą myśl. Miała pierońską inteligencję w spojrzeniu, profesora ulepionego z kobiecej mądrości, z przypomnień i odcisków, że coś takiego widzi się u matek, kiedy cierpią i wtedy są na wygląd mądrzejsze od stu mężczyzn, bardziej dorosłe. Tylko że ona nie była z matek, była cudowną lalką dla orłów i bez znaczenia, czy nazywali ją panią doktor, panią magister, panią taką lub siaką, nie ważne co i gdzie robiła dla szmalu, kariery lub obowiązku, posiadała jeden genialny zawód, a na pytanie o ten fach mogłaby odpowiedzieć: nie mam żadnego zawodu, wiem tylko jak być kobietą. Nic nie mówiła i nie drżały jej ręce, ale w tym milczeniu, z jakim dostawał od niej bandaż lub zastrzyk, była miłość tak mocna jak... jak... no nie wiem jak... jak cholera!

Skończywszy, rzuciła mi uśmiech krótki niczym spojrzenie przez uchylone okno, i kazała się położyć. Kimę złapałem bez trudu, tak byłem zmachany od nerw.

Rano siedziała przy nim jak wtedy, gdy burknąłem jej dobranoc, zadowolona, że „Księżę” ma równy oddech i że kima. Deszcz bębnił o szyby i mazał na nich sadze, niczym zapowiedź brudnych łez tych, którzy dali Karśnickiemu łomot. A mnie ślozy podeszły do gardła, bo chciałem być przez kogoś tak samo kochany, choćby jeden raz, przez jedną noc, właśnie taką, kiedy kobita nie daje ci dupy, ale siedzi obok zapięta pod szyję i modli się, byś przeżył, tak mocno, jakbyś był ostatnim facetem na świecie.

V

Kurewsko trudno utrafić w życiu, zawsze coś jest nie tak, a już z kobitą bezwarunkowo najtrudniej. Jak fajna z charakteru, to brzydka, a jak piękność, to nie fajna; jak ona ci podchodzi, to ty jej nie, lub na odwrót, a jak podobacie się sobie na krzyż, to inna cholera wam przeszkodzi, ona wyjedzie z rodziną lub starzy wydadzą ją za kogoś innego. I tak jest ze wszystkim, przez tyle lat nagapiłem się dość, żeby to wiedzieć. Jak masz coś do powiedzenia, to nie chcą słuchać, a gdy już chcą cię słuchać, to zapomniałeś coś miał mówić; jak jest interes do zafarcenia, to nie masz szmalu, a jak już łyknąłeś gotówkę, to okazję wziął szlag; jak jesteś samotny, pies z kulawą nogą nie przyjdzie, ale jak skołowany i chciałbyś przykimać, dzwonią do drzwi jeden po drugim. Życie jest jak loteria, na której wszystkie losy są trefne, lub jak poker: trzymasz cztery dzwonki (z asem) i asa pikowego, i główkujesz jak dobierać, do trójki lub karety, czy do koloru; kiedy odrzucisz pikowego, decydując do koloru, wtedy na pewno przyjdzie inny as, a jak zostawiasz asy, to bankowo dokupisz piątego dzwonka. „Petro” kiedyś burknął:

- Jak cię prześladowuje pech, to nawet kiedy wstajesz, żeby zatańczyć, orkiestra akurat idzie srać.

I to jest ganc-prawda. Więc jak poznałem Dankę, to miałem taką myśl, że mój niefart dostał drugi raz w ryło: najpierw spotkałem „Księcia”, a teraz lalkę na mój gust. Morowa dziewczyna: nie lubiła dużo mówić, a ja nie lubię tych, co trajlują jakby miały głowice magnetofonowe zamiast zębów. W każdą niedzielę chodziliśmy do Łazienek, bo ona najbardziej chciała tam, a i mnie się spodobało. Znałem dotąd park Skaryszewski i ten przy zoo, w Łazienkach nigdy nie byłem, nie moja dzielnica. Jak poszliśmy pierwszy raz, to mi patrzalki wyszły na wierzch, gdzie Skaryszewskiemu do niego! To był park jak z bajki, jak nie z tego kraju, w którym wszystko jest trzeciologowe. Obok był Botaniczny

Ogród, też cymes. Łaziliśmy po obydwu, mało co mówiąc, ale trzymając się za rączki - palce splecione na warkocz mówiły, co trzeba. Kiedyś w Botanicznym na górcie, w narożniku dwóch parkanów, złapał nas deszcz; dawno nie widziałem tak cholernej ulewy, moja kurtka, którą okryłem Dankę, przemokła na wylot. Tam pierwszy raz dała się pocałować, w tym deszczu, więc będę go pamiętał długo. Wszystko było mokre, moja twarz i jej twarz, i nos, i usta, całe życie, cała nasza radość i cały świat był z wody, pierwsza klasa! Dlatego lubię deszczyk w lecie, taki, od którego nie można złapać kataru - hołota biega pod parasolami i przeklina w bramach, a ja sobie idę z odkrytą głową jako „wariat” i wyświetlam tamten film.

Jest w tym filmie dużo klawych fantów (uściski, pocałunki, zwierzenia i milczenia, zrujnowany Teatr Na Wyspie, łabędzie na jeziorze, lody, ciastka i wiewiórki karmione okruchami) oraz cierń, którego nie sposób wyjąć, gdyż los się dopełnił tak jak musiał. Twarz tej Cyganichy, ni młodej, ni starej, one zawsze wyglądają staro, od młodości. Łaziła wśród alejek i naciągała ludzi na wróżby, z grabuli lub z wyświechtanych kart. Nie cierpię Cyganów, zbyt wielu ich robi na Różyckim, złodziei, kombinatorów i paserów; poznałem barachło za dobrze od dzieciństwa, żeby się dać wziąć na folklorowy sentyment („ognisko, taniec i śpiew”, „Oczy czarne” i temu podobny kit) tak jak się dają frajerki i frajerzy. A kiedy jeden Cygan ciachnął Gienka kosą po ramieniu, to już była wojna, brałbym każdego pod but. Więc jak podeszła i nie pytając przysiadła na ławce, na której siedzieliśmy trafił mnie szlag.

- Powróżyć, piękna pani, powróżyć... - zasepleniła. - ... Cyganka prawdę powie, powróżyć...

Znałem kilka wyrazów po cygańsku, więc warknąłem:

- Na!

Danka, myśląc, że wyrażam zgodę, dała jej dłoń.

- Powiedziałem: nie! Zjeżdżaj stąd!

Babsko wyszczerzyło spróchniały pysk:

- Czemu młody pan nie chce? Cyganka prawdę mówi, złociusieńki, Cyganka szczęście przynosi, powiedz dobre słowo, daj dobry pieniążek, poznasz prawdę!

Przekląłem ją:

- Łubni! Dziukli!

To były straszne wyrazy (kurwa, suka). Cyganka spojrzała na mnie wzrokiem węża, podniosła się i rzekła do Danki, nie przestając mnie świdrować.

- Ty z nim nie idź daleko, miła, bo blisko zajdziesz, oj, blisko! Nie dla ciebie kawaler, innego królewicza ty szukaj, śliczniutka! On ciebie pokrzywdzi, a szczęścia nie da, i sobie samemu zło nawarzy, a tego, który mu zaufał i otworzył serce, na pogub sprzeda, to mu pisane! Uciekaj, złotko, póki czas, uciekaj, mileńka, Cyganka wie, co mówi!

Odchodząc splunęła, a ja, gdybym nie był z dziewczyną, nakopałbym cholere. Wtenczas pierwszy raz się pokłóciliśmy.

W ogóle kłóciliśmy się rzadko i nie było między nami gniewów o macankę, przed którą Danka się broniła. Bo ja nie byłem z nią nachała, jak przedtem z każdą inną, bardzo mi to odpowiadało, że zabrania i stopuje mi paluchy; wiedziałem, że dostanę, co mam dostać, jak czas na to przyjdzie, bez kurewskiego pośpiechu, taka ona miała być. Chciałem prawdziwą miłość, spacerki, buziaki i tęsknoty, no i kiedyś ślub, bo dałem blat, że się nie rozstaniemy aż do naszych pogrzebów.

Zerwała ze mną (na krótko, ale komu krótko temu krótko, mnie się wtedy wydawało, że długo) po sylwestrze. Było tak: przed Wigilią wzięła urlop, półtora tygodnia, żeby wyjechać ze swym wapnem do jakichś kmieci, wujów czy stryjów. No i „Dżek”, jak się o tym dowiedział, trajluje:

- Słuchaj, „Fokstrot”, jest sylwestrowa balanga u Heńka „Pelego”. Kumpelka mojej dziewczyny nie ma chwilowo z kim iść, bo chłopak, który ją kropi, też wyjechał. Idź z nią, może coś przestrzelisz. Ona lubi tę robotę...

Dałem się namówić, nie chciałem w sylwestrową noc oglądać telewizora. Wziąłem od niego telefon i zadzwoniłem do tej lalki, mówiąc co i jak, a ona:

- Fajnie, masz wóz?
- Mam - palnąłem „marszowo”.
- To przyjedź po mnie o ósmej. Cześć!

Już głos miała taki, jak z wesołego krocza. W sylwester „Dżek” wziął mnie do gabloty i najpierw szus po jego panią, a następnie po moją. Stanęliśmy przy bramie i Klon gada:

- Skocz na górę po swoją miss, poczekamy aż zejdziecie, śpieszyć się nie musisz...

Wiedziałem, że nie muszę, bo jak to śpiewał, to walił już po organach taką palcówkę, że się jego pani zasapała. Dymam na trzecie piętro, wciskam guzik, otwiera przedwojenny babsztyl:

- Ach, to pan? Bardzo nam miło, proszę wejść, córka zaraz będzie gotowa, właśnie ubiera nową kreację, coś pięknego, Jolu, Jolu!, twój kolega przyszedł!,... proszę bardzo, może pan pozwoli do jej pokoju i zechce chwilę zaczekać, Jola zaraz przyjdzie! Przepraszam, muszę iść jej pomóc!

Filuję na ściany pełne plakatów z gwiazdorstwem rocka, i nagle słyszę od drzwi:

- Cześć!

Cała na lśniaco, w rybią łuskę, z cekinami we włosach, ładna, nie powiem. Lecz więcej niż urody było w niej seksu: ubrana, a jakby była boso po szyję, z cyckami, pępkiem i futrem na wierzchu. Podeszła, szczerząc ząbek:

- No co, klawy łach?

- Ujdzie - bąknąłem, wydymając wargi, że niby luzak jestem i żaden szpan nie robi na mnie wrażenia.

- Dekolt ma z tyłu...

Odwróciła się. Dekolt wycięty aż da rowka w dupie, taka moda. Stała tyłem trochę za długo, a ja za długo spacerowałem z Danką, no i jeszcze ten szybki oddech dziewczyny „Dzeka”, gdy wysiadałem z ich gabloty. Nie myśląc, gdzie jestem i co robię, położyłem dłoń na jej karku. Nic. Pchnąłem. Zgięła się i żeby nie upaść, musiała oprzeć graby na stolikowej ławie. Szarpnąłem łuskowy ciuch wzwyż... Kilkadziesiąt sekund, od tyłu, z łapami zaciśniętymi na jej biodrach, z patrzalkami w uchylonych drzwiach do przedpokoju...; faceci, którzy się chwala, że robili to w windzie, niech mi umyją buty, obok wind nie ma ojców i matek, którzy mogą nagle przejść lub wejść.

Po tygodniu pierwszy raz jestem z Danką, na ulicy, i nie mogę uwierzyć w swój niefart: kogo widzi mój szanowny wzrok?, kto nas mija, robiąc buźkę w ciup, jak do cmoknąć? Ta potrzebowska sylwestrowa owca! I szczebiocze, bawełniana jej mać:

- Wpadnij, „Fokstrot”, czekam już cały tydzień! Zrobimy powtórkę! Pa!

Dopiero za miesiąc Danką pozwoliła się skołować, wcześniej nie słyszała nawet jak mówię: „Dzień dobry”. Wstawiłem kit, że byłem z tamtą na sylwestra, bo chciał tego „Dzek”, a „powtórka” to złośliwość, żeby nas skłócić.

Danka mieszkała na Ochocie, gdzie jej ojciec miał warsztat stolarski. Żadnym autobusem nie jeździłem w życiu tyle, co C-tką, bo odprowadzałem ją każdego dnia. Byłem szczęśliwy, że chociaż mieszka na Ochocie, pracuje na Kępie, inaczej bym jej nie zapoznał, lecz swoją szosą nie mogłem rozgryźć idei, jaką posługiwała się dyrekcja „Społem” w rozdzielaniu dziewczyn do sklepów: ekspedientki, które mieszkały na Grochowie, jeździły do roboty na Mokotów, te z Woli zasuwwały na Bródno, z Bielan na Kamionek, a te z Pragi na Żoliborz, jakby komunikacja w mieście była za mało przeciążona! Dlaczego, kurcze blade, nie mogą robić tam, gdzie mieszkają, sklepów w każdej dzielnicy od jasnego gwinta! Dużo później skapowałem logikę tego systemu, przysłuchując się Heldbaumowym gadkom z Karśnickim. Przy jakiejś okazji „Petro” gdakał:

- ... A jak może nie być? Tam też kultura zesłała do psich bud! Jeśli fryzjer czy projektant mody to dla nich teraz twórca, na równi z filozofem, kompozytorem czy pisarzem, i nie jest to wygłup, lecz styl myślenia, to skąd mają brać nowych Picassów czy Heideggerów? Wszystko się sprowadza do stylu myślenia, ruina powstaje nie od bomby, lecz od stylu myślenia, który buduje i określa świat... To tak jak z naszą gospodarką. Czy pan wie, że węgiel ze Śląska jest wożony do central w Bydgoszczy, a stamtąd prosto jak strzelił do Wrocławia? Jeszcze lepszy numer mają Jasło i Będzin. Węgiel przywieziony do Jasła odtransportowuje się do Będzina, w Będzinie uwalnia się samochody od tego węgla i załadowuje ponownie taką samą ilością węgla przeznaczonego dla Jasła! Całą produkowaną w Sopocie pastę do butów wozi się do Przemyśla i Rzeszowa, natomiast sąsiadujący z Sopotem Gdańsk zaopatrywany jest w identyczną pastę przez Żywiec i Kraków! W Radomiu, gdzie jest wytwórnia kuchenek gazowych, instaluje się kuchenki z Wrocławia, a we Wrocławiu tylko radomskie! Mają chłopcy pomysłu, co? Jednocześnie wszystkie polskie dzieci, robiąc wypracowania i konkursy rysunkowe na ulubiony temat nauczycieli: „Jaki będzie nasz rok 2000?” - przedstawiają ruchome chodniki, myślące komputery, powietrzne taksówki, wakacje na planetach i szklane domy, w których jest samo słońce, zdrowie i nieróbstwo wynikające z obłądnego dostatku, nie traktując tego jako marzenie, lecz jako wizję wynikającą z przekonania! Nawet diabeł nie mógłby pojąć takiego surrealizmu, a co dopiero wymyślić!...

W pierwszych tygodniach z Danką byłem rozdarty na pół: ciągle myślałem o niej i ciągle myślałem o półzywym „Księciu”, grzała mnie miłość do dziewczyny i nienawiść do tych, którzy dali mu w pierdol. Długo nie wstawał, a jego cierpienie nie było bólem fizycznym, umiał to znosić jak nikt, męczyło go co innego: bezwolność oseska. Należał do tych, co kontrolują każdy swój gest i programują każdą chwilę swego życia, każdy krok i każdy ubytek energii, z nieludzką precyzją trenera przygotowującego kłacz do wyścigu, a teraz musiał tkwić w betach jak skrepowany łańcuchami pień i to były dla niego tortury.

Na Dankę miałem każdy wieczór, bo każdego zjawiała się ta lekarka i już nie byłem potrzebny. W niedzielę przychodziła rano. Zmieniała mu pościel na macie i „kapała” go wilgotną gazą. Któregoś niedzielnego ranka zażądał:

- Pomóż mi wejść do wanny. Zrobiła mu letnią kąpiel w wannie, pomogła się zwlec i prawie zanosła (tak jak ja „nosiłem” go, to jest prowadziłem podtrzymując, gdy chciał srać); tych parę metrów to był dla niego morderczy wysiłek. Przez drzwi do łazienki usłyszałem:

- Będę tu leżał kilka godzin.

- Będziesz tu leżał dziesięć minut - rozkazała - bo inaczej blizny się otworzą. Pójdę ci zrobić śniadanie.

- „Fokstrot” zrobi.

- Dzisiaj ja zrobię. Przyniosłam coś specjalnego, to niespodzianka.

- Zanim zrobisz, daj mi jakąś książkę.

- Tutaj chcesz czytać?

- A nie można? Elen, na miłość boską...

- Nie utrzymasz. Książki czyta się kładąc je na coś lub opierając o coś, w wannie trzeba je dźwigać w powietrzu. Nie masz jeszcze zaleczonych rąk. Po trzech minutach uczułybyś jak ciężka jest naprawdę książka, po pięciu plusnęłyby do wody. Dam ci gazetę, albo sama ci coś przeczytam.

Westchnął jak człowiek krzywdzony przez kobietę i burknął ponuro:

- Przeczytaj mi pożegnalny list Petroniusza do Nerona, pasuje, nie przeszkadza mi, że wanna nie jest z marmuru.

Najpierw wyczułem w jej głosie lęk, kiedy go skarciła:

- Przestań, ani mi się waży tak myśleć!

A potem ledwie uchwytną nutkę żalu, gdy zbyt głośno zakpiła, aby milczenie nie pogłębiło jego chandry:

- Jestem za stara na twoją Eunice.

Milczał przez kilka sekund i odszepnął:

- Jestem za mały na twojego Petroniusza, bogowie, którzy mają w swych rękach twój los, to złośliwcy!

Potem już nic nie było słyhać, tylko to milczenie, które jest samą miłością, oraz to milczenie, które jest przywiązaniem pragnącym być miłością i będącym nią, gdy na chwilę zasypiają wspomnienia.

Właśnie wtedy, jak wciąż był kaput i mało wstawał, „Dżek” przyprowadził „Ognia”.

- To jest Stasiak „Ogień” - powiedział. - Chce wstąpić do „batalionu”. Ja i każdy z chłopaków dajemy mu poręczenie.

- Usiądź - rzekł Karśnicki.

Klon dał krzesło, ale „Ogień” usiadł na podłodze, obok maty, po turecku.

- Ile masz lat? - zapytał „Książę”.

- Dwadzieścia.

- Uczysz się, czy pracujesz?

- Pracuję.

- Gdzie?

- W łózkach.

- Jak to w łózkach? Robisz łózka?

- Nie, robię w łózkach. Jestem męską kurwą dla „mamusiek”, dup po czterdziestce, pięćdziesiątce i sześćdziesiątce.

- A teraz chcesz z tym skończyć?

- Nie chcę z tym skończyć. Dzięki temu mam fiata, szmalec, klawe ciuchy i dewizowe konto.

- I ten sygnet?

- Tak.

Na paluchu „Ognia” błyszczał wielki, złoty sygnet z czarnym kamieniem. Taką zabawką można złamać serce podfruwajki i szczękę frajera.

- Lubisz to? - zapytał Karśnicki, wciąż z tym samym spokojem.

- Nie lubię - odparł przepytywany, wciąż z tym samym spokojem. - Co za różnica? W Polsce nikt nie lubi swojej roboty.

- Jest różnica. W Polsce prawie nikt nie lubi swojej roboty, ale też prawie nikt nie musi sobą gardzić z jej powodu, ci nie lubiący zasługują bardziej na współczucie, niż na obrzydzenie.

„Ogień” wzruszył ramionami.

- Teraz to rutyna. Nie brzydzę się już sobą, brzydzą mnie „mamuśki”, od których dostaję szmal. Obłeśne próchna i raszple z lubieżnymi wymaganiami! Prócz jednej. Lubię ją. To najstarsza z moich stałych, ma prawie siedemdziesiąt lat. Nie chce, żebym ją dmuchał. Siedzi w fotelu, ja stoję przed nią nago i ona tylko patrzy. A potem zamyka wzrok i tak delikatnie się uśmiecha, jakby była zawstydzona, albo, nie wiem, jakby przypominała sobie młodość... i wtedy wydaje mi się ładna... Mogę się ubrać i wyjść, ona już nie otwiera oczu, może nawet zasypia z tym uśmiechem, więc wychodzę na palcach, żeby jej nie budzić z tego snu, czy z tych wspomnień.

Zrobiło się cicho. „Książę” leżał, filując na „Ognia”, ale ten mu nie umykał gałą i „Książę” przeniósł ślip ku Jackowi:

- Poręczenie, mówisz?... Ty i reszta chłopaków?

- Skąd mogłem wiedzieć, że to męska rura!!? - krzyknął Klon, tak siny ze wstydu, jakby sam był prostytutką dla seniorek.

- A skąd ci przyszło do głowy, żeby ręczyć za kogoś, o kim nic nie wiesz?

- Wiem, że to dobry kozak, dali mu ksywkę „Ogień”, bo ma ogień w kopycie! - bronił się Klon.

„Ogień” wstał z ziemi.

- Nie chcę być powodem wewnątrzrodzinnych drak, pójdę już. A ksywka nie jest mi dana przez kogoś, sam ją sobie przybrałem, dla pamięci Józefa Kurasia. To był po wojnie król Tatr, „Ogień”. Mówili, że był bandytą. Ale on nie był bandytą...

- Tak po prostu? - przerwał mu „Książę”. - A miałeś do tego prawo?

- Do czego?

- Do kradzieży pseudonimu bohatera!

- Mój ojciec był jego łącznikiem, panie Karśnicki. A jeszcze przedtem, za Niemców, był kolegą pańskiego ojca i jego partnerem w KWC-owskiej i kedywowskiej dwójce do

egzekwowania wyroków sądowych. I chociaż dano mu rozkaz, nie rąbnął pańskiego starego, kiedy ten zdradził, tylko ostrzegł go i pozwolił mu dać dyla z Warszawy. Dzięki temu pański ojciec mógł pana zmaistrować. Nazywam się Garoń. Chciałem pana zobaczyć, dlatego tu przyszedłem. Żegnam.

Grzeczny ukłon i miękki trzask zamykanych drzwi. Teraz cisza trwała bardzo długo, aż do momentu, kiedy wychylił się Klon:

- O czym on truł, szefie? Jaki kawuceowski? Przecież za Szwaba...

Klonowi „something pojebało” (jak mówili chłopcy z „batalionu” o kimś, kto poplątał), pewnie z nerwów - myślał chyba o KW i KC, a nie wiedział, czy to „Ogień” coś przekręcił, czy może on się przesłyszał.

- KWC to było Kierownictwo Walki Cywilnej AK zanim nie powstało Kierownictwo Walki Podziemnej. Miało sądy specjalne o statusie sądów państwowych w polskim państwie podziemnym - wyjaśnił mu „Książę”. - I miało ludzi do wykonywania wyroków. Mój ojciec był jednym z nich.

- Ale Stasiek powiedział, że on zdradził! To prawda?

- Prawda.

- Dlaczego?!

- Dlatego, że był dobry z matematyki. Za jednego rozwalonego gestapowca lub renegata Niemcy rozwalali stu ludzi, albo więcej. Często branych z ulicy, jak popadło. Mój stary uznał, że to kiepski rachunek i że on ponosi odpowiedzialność za śmierć tych niewinnych, bo ile razy wystrzelił, tyle razy stu Polaków dostawało czapę. Na dobre się wkurzył, jak z wyroku sądu specjalnego rozwalono Niemca Fuldnera, jego żonę i jego dziecko. Fuldner urządził masakrę na polskim weselu, też zabijając dzieci, ale mój stary uznał, że płacenie dzieckiem za dziecko to syf. Nie wykonał kolejnego rozkazu, co było zdradą.

- Cholera, trudno było wówczas żyć, nie wiem co ja bym zrobił! - powiedział „Dżek”.

- Nie wiem, kto miał rację...

- Umierać też było trudno - rzekł Karśnicki. - Najłatwiej było mieć rację kosztem umierających.

I mruknął:

- Powiedz mu, że go przyjąłem. Na staż. Pół roku, a potem się zobaczy.

Pół roku... Przez te pół roku cały nasz świat wywinął kozła, stał się zupełnie inny, uformował się na nowo. Jakbyśmy przeskoczyli na drugi brzeg oceanu, gdzie wszystko ma odmienny kształt i zapach, nawet roślinność. Zdecydował o tym kolejny dialog „Księcia” z Heldbaumem.

Staruch przyszedł bez zapowiedzi, któregoś popołudnia. Źle trafił. „Księcia” nie było w domu, jego kobita załatwiła karetkę i wraz ze „Świętym” oraz „Pelem” powiozła go na jakieś szpitalne badania, naświetlania czy inne kurowania, dokładnie nie wiem. Mieli wrócić już przed godziną, więc powiedziałem staremu, że zaraz wrócą, jak chce, to może czekać. Chciał. Wyjrzał przez okno, zaczepił patrzalki na bibliotecę, a potem uniósł leżący obok maty tomik „Antologia poetów polskich” z roku 1887. Otworzył tam, gdzie Karśnicki wsadził zakładkę i czytał z kamienną mordą. Wiem, co czytał, bo zakładka była ciągle w tym samym miejscu i kiedyś ja również sprawdziłem, chcąc się dowiedzieć, który wierszyk tak rajcuje „Księcia”. To był jeden sercowy kawałek ze Słowackiego, na stronie 180:

„Kiedy się myślą w przeszłości zagłębie,
Nie wiem jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z rozwartymi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijiała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?...

Są łzy, co mówić na zawsze zabronią,
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie;
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nade mną litować,
I widzę usta, co mnie chcą całować,
I drzę - i znów mnie ogarną płomienie.
I nie wiem, gdzie iść i gdzie oczy schować?

I gdzie łązy ukryć? i gdzie być samotnym?

I staję blady i kreślę jej rysy,

Lub imię piszę na piasku wilgotnym;

Lub błędzę między róże i cyprysy,

Jak człowiek, który skarb drogi postrada,

Zmysły utracił, i płacząc, usiądą

Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,

Mysłąc, że groby o niej co powiedzą".

Zamknął książkę, odłożył tam, skąd ją podniósł i rozejrzał się, jakby czegoś szukając.

Wreszcie spytał, ściszym głosem konspiratorów:

- „Fokstrot”, gdzie to jest?

- Co?

- To zdjęcie.

- Jakie zdjęcie?

- Tej dziewczyny

Wiedziałem gdzie. Fotografia legitymacyjna, maleństwo pod szkłem na biurku; nie zauważył, bo akurat coś na niej leżało.

Kochanka „Księcia”, pani doktor, wtedy, gdy zostawiła go samego w kąpielni, podeszła i przyglądała się tej fotce z uwagą. Do dziś pamiętam wyraz jej facjaty, jak filowała na rywalkę, której już nie było i której nie dawało się pokonać, właśnie dlatego, że już jej nie było, a wciąż była. Patrzyły sobie w oczy i w oczach starej zauważyłem coś dalekiego od smutku, jakąś dumę, ale nie był to najczęstszy falsyfikat dumy, ten ze złością, wzdargą, uporem lub prostacką szarpaniną, gdy pojawia się ktoś niezrozumiały, lepszy, drażniący, wywołujący zazdrość czy skrywane poczucie niższości, lecz prawdziwa duma, ta, co bez wstydu, żalu czy gniewu potrafi zrozumieć, ustąpić, wybaczyć, albo się przyznać, i nie traci tym fasonu, zachowuje swój szlachetny wymiar (Matko moja, uśmiechnij się w grobie, patrz jak twój syn umie mędrkować profesorską kminą, tyle się nasłuchał i naczytał, widzisz!).

„Petrowi” burknąłem:

- Pański biznes?

Dlaczego miałbym mu pokazywać? A ten grzyb mi zasunął:

- „Fokstrot”, chcesz wiedzieć, jak się powodzi twojemu bratu?
- Jasne, że chcę! Co z nim?
- Zachorował.
- Bardzo?
- Coraz bardziej, to się będzie u niego pogłębiać. Dolegliwość tak zwana nieuleczalna.

I nie do hospitalizacji.

- Co to jest, panie Heldbaum?!
- Gdzie fotografia?

Pokazałem mu. Zapatrzył się w pynio tej dzidzi, a ja cisnę:

- No, mów pan, do cholery! Co jest z Gienkiem? Jaka to choroba?
- Zazdrość.
- Co?!
- Zazdrość, zwyczajna zazdrość. Pana Eugeniuszowa satelita zbacza mu z orbity ku

innym planetom, co go gniecie i co go może zmóc, bo zazdrość to psychiczny rak.

Skubaniec! Wyrolował mnie tak prostą sztuczką! Z tej złości obraziłem go:

- Świnia!

Nie zrozumiał, nie wziął tego do siebie, odrzekł mi:

- Z jego punktu widzenia tak, ale z jej punktu widzenia to poszukiwanie absolutu, jakim jest miłość. Ona, „Fokstrot”, szuka miłości telewizyjnej, naoglądała się filmów... to choroba tej epoki, syndrom serialu, w medycynie winna powstać nowa specjalność, seksuologów hollywoodo-ginekologicznych. Ona ma dość spółkowania w ruderze z małżonkiem mono, monosylabowym, monokoszulowym, monogarmażeryjnym. Marzy o stereo.

- Zakochała się?

- Tego nie wiem. Może tylko w swoim marzeniu, jak Murzynka, której Negr przynosi naszyjnik z kłów dzikich zwierząt, a ona pragnie mieć ze szklanych paciorków, bo widziała taki na bogatej turystce. Ona choruje na miłość do miłości.

- Miłość! - zawarczałem. - Zdradza Gienka, ścierwo!
- „Fokstrot”, widzę, że nie potrafisz się wczuć, nie znasz się na tajnikach ludzkiej psyche, gdzie wszystko się rodzi, w tym i miłość...

Zalewało mnie już krwią od tego bełgotu:

- A pan się znowu zna! Pan może wiedzieć, co to jest miłość!

Spojrzał jeszcze raz na fotografię nieboszczki i mruknął:

- Du fragts mich, Kind, was Liebe ist? Ein Stern in einem Haufen Mist.

- Co? - spytałem.

- Nic.

- Jak to nic?

- Nic, co mógłbyś zrozumieć w twoim wieku. To z Heinego.

- Z Heinego Medina?

- Nie, z Henryka Heinego. To poeta niemiecki. W którymś z wierszy napisał: „Pytasz mnie, dziecko, czym jest miłość? To gwiazda w kupie gnoju”.

Zostawiłem go, bo znowu dzwonek zadryndał. Przyszli „Ogień” i „Hindus”, byli umówieni z „Księciem”.

- Nie ma go, ale już dawno powinien być - wyjaśniłem. - Możecie zaczekać, jesteście drudzy w kolejce, pan Heldbaum też czeka.

- To ten Żyd, który wystawił Karśnickiego? - spytał „Ogień”.

- Ummm.

Stary wlaźł do przedpokoju, protestując:

- Panowie, czyście oszaleli? Pan Karśnicki sam popełnił głupstwo!

„Ogień” zbliżył się do niego i wycedził:

- Tak, popełnił głupstwo! Popełnił je, ufając panu! Dał mu pan ten adres, a tam już na niego czekano, wlaźł w kocioł! Wystawił go pan, żeby ta krew, jego własna, wzbudziła w nim większy głód krwi!

- Pan wierzy w to, co pan mówi, panie...

- Garoń.

- ... panie Garoń?

- Zawsze wierzę w to, co mówię, panie Heldbaum, nie znalazłem języka na śmietniku, staram się nie obracać nim głupio!

„Petroniusz” zrobił minę składającą się z samego politowania:

- Gdy pan jeszcze doda do tego nieobracanie głupio mózgiem, panie Garoń, to już będzie można powiedzieć, że z wierzchołka drzewa do ziemi ma pan kilka kroków.

Pomogę panu. W przypadku tej afery, którą pan mnie obarcza, myślenie jest bardzo proste...

- Jest! - przerwał mu Staś. - To była prowokacja obliczona na to, że niepowodzenie i ból doprowadzą Karśnickiego do szału , w efekcie czego przyjmie pańską propozycję. Pańska uporczywa chęć zmuszenia go do współpracy...

Teraz stary przerwał jemu:

- Właśnie ona jest moim alibi i to na ten pomysł chciałem przed chwilą skierować pański mózg! Jeżeli tak bardzo zależy mi na panu Karśnickim, to czy narażałbym go na niebezpieczeństwo, które mogło zakończyć się zgonem? Ma mnie pan za takiego debila? Przez myśl by mi nie przeszło, że polezie tam bez obstawy, jak harcerz! To, iż pan sobie wbił do głowy „wystawienie” go przez Heldbauma, świadczy o tym, że logiczne myślenie jest panu obce!

- Jest mi obca talmudyczna dialektyka myślenia, według której należy być etycznie w porządku tylko wobec swoich, natomiast goja można oszukać lub okraść bez skrupułów, gdyż nie jest to grzechem! Tego uczy wasz „katechizm”!

- Mówi pan do ateusza, panie Garoń!

- Mówę do pańskich genów, panie Heldbaum!

- No to mówił dziad do obrazu. Wypieram się obciążenia tą tradycją. Natomiast od wymiany złościwości nie będę się uchylał, jeśli sprawi to panu przyjemność. Istotnie, pańska religia ma pięć z plusem za genialny chwyt reklamowy: wszystkie swe prawa moralne rozciąga na wszystkich. Kochaj każdego bliźniego swego jak siebie samego... Na marginesie: to nie Chrystus, lecz Mojżesz pierwszy wypowiedział te słowa w swoim prawie. A więc każdego, a już najbardziej wroga, bo to szczyt zasługi w niebiańskim rankingu, premiowany aureolą, rzymsko-katolickie Grand Prix! Tylko że ten etyczny uniwersalizm, równający wszystkich w kochaniu, pozostaje wyłącznie teorią, której wyznawcy w praktyce postępują dokładnie na odwrót! A wie pan dlaczego? Dlatego, że teoria jest właśnie taka. Naturalną konsekwencją zbyt wyśrubowanych ideałów jest zawsze urodzaj hipokryzji!

- Dlatego trzeba obniżać normy etyczne do poziomu, na którym każde świństwo można nie tylko logicznie uzasadnić, ale i zinterpretować jako bogobojny uczynek? Co jest naturalną konsekwencją tak odśrubowanego ideału?

- Mniej obłudy, panie Garoń! Czy jest coś wstrętniejszego niż kapłan, który gędzi o najmiłosierniejszym z Bogów, podpalając stos, żeby upiec żywcem kilku bliźnich?

- Jest. To ten nieśmiertelny arcykapłan, który za stos sprzed wieków i za komory gazowe niemieckich ludojadów dekretuje zbiorową odpowiedzialność wszystkich źle urodzonych.

- Ho, ho, ho! Panie Garoń! Pan się za późno urodził! W antyku obsypywano laurami krasomówców, dobrego retora ceniono wyżej od Fidiasza! Brakuje mi tylko w tym wykładzie jakiegoś sofizmu nie z trzema, lecz z pięcioma gwiazdkami. Na przykład, że Hitler to uczeń owego diabła, który przestudiował żydowskie święte księgi, tak nafaszerowane rasizmem jak żadne inne ludzkie pismo, i że za pomocą komór gazowych zdał egzamin z Talmudu jako prymus w szkole nietolerancji, niemiłosierdzia i tego wszystkiego, co nieludzkie... No, niech pan sobie ulży!

- Ulżę sobie wychodząc - mruknął Stasiu.

- Tak szybko? Przestraszył się pan starego Żyda, panie Garoń?

- Nie, tylko denerwuje mnie antysemityzm.

- Mój, czy w ogóle?

- Pański w szczególności, panie Heldbaum.

- Pan kpi, ale ja coś panu powiem. Ja jestem Żyd, ale ja jestem Żyd antysemita, panie Garoń. A wie pan dlaczego?... Bo nie cierpię rasizmu Żydów. Tylko że jak ktoś mnie tak obsztorcowuje, jak pan to zrobił, to ja się od razu robię wojujący Żyd!

- I to są właśnie geny, panie Heldbaum!

- Herr Garoń, proszę przyjąć oświadczenie, że jak dotąd jestem wobec pana Karśnickiego w porządku, więc pan mnie obraża!

Myślałem, że „Ogień” go uderzy, za to „Herr”. Ale tylko spojrzał na „Hindusa” i mruknął:

- Urywamy się, nie ma co czekać, bo jeszcze trochę, a spaskudzimy podłogi panu Karśnickiemu!

Nie zdążył wyjść, zatrzymało go pytanie Heldbauma:

- Pański antysemityzm, panie Garoń, jest genetyczny, czy też wyuczył się go pan od kogoś?

- Od profesora Litowskiego - rzekł „Ogień”.

- Litowskiego?... Nigdy się nie zetknąłem z...

- No to miał pan dużo fartu, panie Heldbaum!... Litowski to przybrane nazwisko. Prawdziwe: Renkes. Mój ojciec wyjął z getta całą rodzinę Renkesów i przechował ich do końca wojny w naszym domu. Po wojnie, jak starego aresztowano, bo był w oddziale „Ognia”, przesłuchiwał go Renkes-junior, wtedy już porucznik Litowski. Przesłuchiwał za pomocą butów, szuflady, kawałka gumowego węża i obietnic w rodzaju: „Waszymi łbami będziemy brukować ulice!”. Ojciec tak się przejął tą obietnicą, że na ulicy nie zobaczono go przez kilka lat.

- To przykre - powiedział „Petro” - ale ja nie będę pana przepraszać. Sam wtedy siedziałem, za andersowanie.

„Ogień” i „Hindus” wyszli nie burknawszy do widzenia. „Petroniusz” wrócił do pokoju i łaził nerwowo, nic nie mówiąc. Potem zamknął się w kiblu. Wtedy lekarka, „Pele” i „Święty” wnieśli do mieszkania Karśnickiego. Ona się zaraz zmyła, chłopcy też. Powiedziałem mu, że w sraczu jest stary. Zapytał:

- A Konrad i „Ogień”?

- Byli, ale „Ogień” się poprzytykał z Heldbaumem, więc poszli.

- O co?

- Stasiu mu rąbnął, że pan został wystawiony.

- Bzdura!

- W ogóle to ładnie nawijał, nie gorzej od starego, był remis. Zobaczysz pan, włączyłem magnet...

- Nagrałeś?... Brawo, zaczynasz działać sam i to w prawidłowy sposób. Tak trzymać, „Fokstrot”!

Usłyszeliśmy huk wody, wylazł Heldbaum i przywitał się.

- Słyszałem, że stoczył pan przed chwilą bój - rzekł Karśnicki.

- Ach! - parsknął staruch. - Ten pański Garoń to nie Garoń tylko Gamoń!

- To tak jak ja, panie Heldbaum, pańskie argumenty nie trafiają do mnie. Ale i pan robi dziwne rzeczy... No niech pan sam powie, czy jest sens zmuszać słabiaka, który się broni, boi, wzdryga, nie chce, nie ma ambicji?... Panie Heldbaum! Jaki miałby pan pożytek z takiego księcia lichy niezłomnego w ciernistej koronie ze skrupułów, z obrzydzeń i z wahań?...

„Petro” podniósł swój łeb jeszcze pełen gniewu i mruknął:

- Historia zna słabych, którzy osiągając władzę zamieniali się w potwory energii i mocy. Robespierre na przykład. Łagodność, tkliwość, melancholijność i pedantyczna nieprzekupność bakalarza. Marzenie o arkadyjskiej ludzkości Rousseau. Z tym obrazem sennym w oczach szedł przez tłum, nie troszcząc się o to, co stopy jego miażdżą. Nie był już człowiekiem, ale upiorem cnoty, potworem somnambulicznym, któremu brakło zmysłu odczuwania potworności. Sentymentalizm przemienił się w sadyzm, papierowe idee w stal obcęgow... Lecz to, co pan gada, jest nieprawdą, pan nie należy do słabych. Słabego ciągnie do rządów, tak jak astmatyka do dmuchania w trąbkę, daltonistę do sztalug...

- A kuternogę Goebbelsa do maszerujących kolumn SS! - wtrącił Karśnicki. - Tylko czemu maszerujących przez Pragę? To najgorsza z dzielnic. Dawniej był jeszcze przywiślański „Dół” na lewym brzegu, dziś Praga ma monopol na tak zwany margines. Chce mnie pan zepchnąć na margines?

„Petro” zamyślił się, jakby nie dosłyszał. Jego twarz była zmęczona od gniewu, lecz już bez gniewu, model: zwisa mi to, co mówisz, mam dość.

- Pan wie, iż nie taki był mój zamiar - rzekł łagodnie. - Ale teraz to już... Przelewamy z pustego do próżnego i trzeba skończyć, wszystko ma kres...

Poszedł ku drzwiom, zapinając przeciwdeszczowy płaszcz. Odwrócił się, jakby do pożegnalnego ukłonu, spojrzął z wysoka na matę, gdzie leżał Karśnicki, i rzekł:

- Nie umiem pojąć...

- Może jest pan za stary, żeby zrozumieć - odparł gospodarz.

- Może mam stare mięśnie, stare kości i stare serduszko, ale też może umysł mam młodszy od pańskiego. Cesare Zavattini powiedział, że młodość jest stanem umysłu, który osiąga się wkraczając w późny wiek. Jeszcze nie przyszedł u mnie ten czas, kiedy ręczki zaczynają się trząść i zawodzi pamięć, to jest kiedy mózg zaczyna ulegać rozmiękczeniu. Wie pan, jak spostrzegłem, iż moja babcia traci samodzielność? Ciasta zaczęły jej nie wychodzić. Mnie moje torty wciąż się udają... do dzisiaj... Wracam na tę moją Pragę, której tak pan nie lubi, nie będę się więcej narzucał, zdrowia życzę, bywaj „Fokstrot”.

Nie depnął nawet trzech kroków i znów się odwrócił.

- Aha, może to drobiazg, lecz chciałbym, żeby się panu chociaż w tym wyjaśniło...
Wie pan, kiedy Piłsudski nie mógł już wytrzymać, że jego partia, PPS, coraz to bardziej dostaje się pod wpływ zawodowych internacjonalistów, tych spod znaku największych wrogów niepodległości Polski, Waryńskiego i Róży Luksemburg, kiedy ci uczniowie towarzysza Ludwika i towarzyszkę Róży, podczas zamętów rewolucyjnych 1906, uczyli tłumy robotnicze na ulicach wyć: „Precz z Polską!” i „Precz z białą gęsią!”, to Piłsudski wystąpił z owej bandy renegatów i założył niepodległościową PPS-Frakcja Rewolucyjna. Masy robotnicze stanęły przed wyborem, musiały się opowiedzieć albo za komunizującą PPS-Lewicą, albo za Frakcją Piłsudskiego. W Warszawie tumanione przez prowokatorów dzielnice opowiedziały się za Lewicą. Z dwoma wyjątkami: tylko Praga i „Dół” opowiedziały się za Frakcją, za Piłsudskim!

„Książę” skontrował:

- Lecz po wyzwoleniu klasa robotnicza zdechła w trybie zaprogramowanej reinkarnacji, proletariat przepoczwarzył się w stadninę robotów, nie dość, że tłamszoną, to jeszcze ośmieszoną hasłem: dyktatura proletariatu. Pan przywołuje duchy.

Nie wiem, czy „Petro” słyszał, był już w korytarzu, odwrócony plecami, miał dość wzajemnych wymądrzań.

- „Fokstrot” - powiedział Karśnicki - idź do „Dzeka”, niech zbierze wszystkich chłopców i niech tu przyjdą.

- Dziś?

- Dziś lub jutro, może wybierać. Ale nie później niż jutro.

I wsadził zapalkę w zęby na znak, że przestał mówić. „Dzek” odwiózł mnie z powrotem i włożył do „Książęcego” mieszkania.

- Jutro, szefie - zameldował w progu - dziś już nie da rady złapać wszystkich. Czy to ma związek i wizytą pana „Petroniusza”?

- Pośredni.

- Co jest grane?

- Dowiesz się jutro.

- Znowu wykreślił jakiś trick?

- To jego pasja. Zarzucił mi młodzieńczy uwiad.

- Że co?!

- Że on jest pershing, a ja spróchniały bambus.

„Dżek” gwizdnął (to jego gwizdanie, kiedy był zaskoczony lub podrajcowany, miało coś z żydowskiego „Aj-waj!”):

- Ładnie! W ten sposób chce pana kręcić?

- Ummm.

- I nakręci?

- Sam się nakręcam, kiedy chcę. Kiedy nie chcę, to można kręcić korbą do...

- Do usranej śmierci! - zarżał Jacuś. - Biedny Petrolot, wciąż nisko lata...

Lecz Jacuś był w błędzie. Kiedy już wszyscy usiedli po turecku wokół maty, jak synowie wokół betów umierającego ojca, Karśnicki rzekł:

- Podjąłem decyzję. Gram. Ale to sport tylko dla ochotników-idiotów, można nie dobiec, nie dorzucić, nie doskoczyć... To jest impreza, która pachnie śmiercią...

Zawiesił głos, a ponieważ nikt się nie odezwał, on przemówił znowu:

- Zgodzę się na to, żeby dwóch, najwyżej trzech z was, poszło ze mną. Jak już powiedziałem, ochotników-idiotów, bo trzeba być przy chorych zmysłach...

- Szefie - wjechał mu w słowo Klon - ten numer nie przechodzi! Mamy to już obgadane, nie idziemy na to!

Zdębiałem, a Karśnickiego ucieszyło:

- Dla mnie to kamień z serca, chłopcy. Zaczynacie myśleć głową, a nie ręką...

- Pan źle zrozumiał, szefie, nie przechodzi numer z dwoma-trzema! - wkitrał mu się znowu Klon. - Grają wszyscy z nas, albo nikt!

- Jacek! Takie ultimatum to możesz sobie!... Klon przerwał mu po raz trzeci:

- Wynik głosowania, szefie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Żaden inny układ nie przechodzi. Zbierając się, „Dżek” zapytał:

- Jak pan jest umówiony z „Petroniuszem”?

- W ogóle nie jestem z nim umówiony. On jeszcze nie wie, że ja się zgadzam.

- Co?!

- Nie zdążyłem mu powiedzieć, gdy wychodził.

- To niech mu pan powie teraz, zna pan numer jego telefonu.

- Ale nie znam tych, którzy mogą znać numery telefonów. Jak mi stanie cebula, to zadzwonię do zegarynki. Ty do mnie też nie dzwoń w żadnej z ważnych spraw. Do niego ktoś musi pójść.

- Ja to zrobię.

- Za tobą Heldbaum nie przepada. Pójdzie „Fokstrot”. Ty, „Dżek”, wręczysz prezesowi klubu moją prośbę o zwolnienie z pracy.

Był wieczór, kiedy poszedłem do Heldbauma (wpierw musiałem odholować Dankę). Błysnęło w judaszu i dobiegł mnie jego szept:

- Ach, to ty...

Otwarł.

- Wejdz.

W korytarzu było ciemno. W salonie świeciła jedna lampa. Stary zwałił się na swój fotel i skurczył; siedział w białym szlafroku z czerwonymi lamówkami, założywszy jedną nogę na drugą (ta druga była obandażowana); miał pomarszczone ryło, wpadnięte policzki i puste gały, pełne jakiegoś bólu; wyglądał jak smutny niemowa.

- Po co przylazłeś? - szepnął.

- Pan Stefan kazał mi przyjść.

- W celu?

- Że jest blat w tej sprawie. On się zgadza.

Powinien zawyć z radości. Ani drgnął. Filował martwo w jakąś stronę, czort wie w jaką, bo lampa świeciła zza jego plechów i twarz tonęła mu w cieniach.

- Kim ty chciałbyś być, „Fokstrot”? - mruknął tak, że ledwie dosłyszałem.

- Kim?

- Tak. Jaki chciałbyś mieć zawód?

- Bogacza.

Bogactwo otaczało nas ze wszystkich stron, wisiało na każdej ścianie, było w serwantkach, kryształach, dywanach i obrazach, promieniowało z owej lampy w starym stylu, takiej, co w sklepach za cholerę nie uświadczysz. Chciałem mieć to wszystko, taki mająt i taki szpan, owijać się identycznym szlafrokiem, zaciągać king sizem, jeździć BMW, być kimś, nadzianym gościową, żeby innych zalewała krew, a mnie szmal niczym potop z nieba. W takim domu obracałbym Dankę jak lord i robiłbym jej pewexowskie

dzieci. Gienek miał to samo w bańce i dlatego grał w totka. Bezsens. Żeby się nie zadreżczać w nieskończoność, wybór miało się prosty: kraść lub przestać o tym myśleć, bo praca i pensją było do bogactwa jak stąd do Kamczatki. „Cholera! - pomyślałem - można się zabić własną pięścią!”.

- Łatwe życie... - uśmiechnął się Heldbaum.

Łatwe życie?... Tak, wtedy marzyłem o łatwym szmalu, co łatwo przychodzi i łatwo wybywa, i nigdy go człowiekowi nie brakuje. Czegóż nie zrobiłem, żeby go zafarcić; bez skutku - mam siwe włosy i pustą kieszeń. I wcale mi nie żal. Dziś, gdy jestem rupieć bez jaj i bez honoru, chciałbym być już tylko Cyganem na karuzeli. Nim poznałem „Księcia”, w każdą niedzielę chodziłem skasować parę stów „u Biernackiego”. To był git facet, dawał zarobić Gienkowi, a potem mnie. Prowadził Wesołe Miasteczko między Stadionem Dziesięciolecia a dworcem autobusowym. Obsługiwałem kolejkę dla dzieciaków. Była tam też karuzela dla dorosłych: krzeselka na łańcuchach, fruujące wysoko, trzeba było mieć fest nerwy, żeby nie dostawać pietra i nie zamykać oczu na takim krześle. Którejś niedzieli przyszedł Cygan z Cyganką. On młody i ona młoda. Nie wiem, jak on to robił, ale potrafił wyrzucić jej i swoje siodełko nad karuzelę, nie siedział, tylko leżał, frunął niczym ptak pod niebiosami, siodełko, miast obejmować mu tyłek, nakrywało mu grzbiet, kręcił w tym wirowisku łamańce, salta, kozły, jakby prawo przyciągania go nie dotyczyło, matko, jakież to było fantastyczne! Wszyscy w Wesołym Miasteczku podnieśli wzrok i wstrzymali oddech. Przerażony „Biernat” zatrzymał motor i zrugął Cygana. Cygan przyrzekł, że więcej nie będzie tego robił. Karuzela ruszyła i po chwili ów szatan zaczął znowu swój podniebny cyrk, i znowu wszystkich ogarnęła zazdrość: tam w chmurach, nad karuzelą, pobłyskiwał w cudownym tańcu roześmiany, białozębny pysk człowieka wolnego, choć przecież na łańcuchu przytwierdzonym do pośladek. Cygan mi nie kumpel, ale to nie był Cygan, tylko ptak. Każdy z nas jest „modelem latającym na uwięzi”, lecz ilu da radę tak wydłużyć łańcuch?

- Dolce vita... - powtórzył „Petro”. - Wiesz, synu... znam tylko dwa adresy, gdzie trzeba pójść, żeby tak żyć w komunizmie, jeśli się nie ma kilku zer na fundament badyłami. Pierwsze z tych przedsięwzięć nazywa się Zjednoczone Zespoły Filmowe. Wstąpić do filmu, to prawdziwy raj, to jest właśnie branża dla tego, kto chce być bon

wiwerem. Jak nie wierzysz, to idź do „Atlantyku”, uwierzysz. Dają tam bardzo ładny kolorowy obraz rodzimy reżysera Zarzyckiego, „Pogoń za Adamem”. A może już...

- Nie... nie lubię polskich.

- To idź, polubisz ten fach. Film jest gniot, słowo kicz byłoby dlań komplementem, straszne gówno! Ale to jest film o gościu, który kilkadziesiąt lat po wojnie szuka za granicą kolegi z Powstania Warszawskiego. Kilku panów reżyserów, panów asystentów i pomocników asystentów, oraz kilka pań-materaców, jeździ po metropoliach na kilku kontynentach, żeby w każdej zrobić jedno ujęcie na ulicy. Półroczny rejs dookoła świata za państwowe pieniądze, plus pensyjki z premiami, żyć nie umierać, jak ci się to podoba?

- Obłeci, ale nie mam szans na ten balet, panie Heldbaum.

- To trzeba wstąpić do innego. Zapalisz?

Przesiedziałem u starucha godzinę. Rano, po śniadaniu, wpadł do nas. Miał dobry humor. Już w drzwiach świergolił:

- Cześć, „Fokstrot”! Zapomniałem ci wczoraj coś powiedzieć!

- Co takiego?

- Że masz ładną dmuchawkę. Widziałem cię z tą dzidzią na ulicy, kilka dni temu.

- Wcale jej nie dmucham! - wkurzyło mnie.

- To co z nią robisz?

- Chodzę na spacer, albo do kina.

- Tylko? Nie bujaj, znam was młodziaków!

- Nie bujam, nic jeszcze nie było między nami.

- Nic nie było między nimi prócz prześcieradła! - zadrwił rechotem, wkraczając do pokoju. - Dzień dobry, jak zdrówko?

- Nie narzekam - odpowiedział Karśnicki. - Proszę spocząć, kawę, herbatę?

- Nic, tylko nektar dialogu.

- Byle nie o dziewczynach „Fokstrota”.

- Panie Karśnicki, jako szef będzie się pan musiał zająć problemem dziewczyn, chcąc mieć spokój na ulicach pańskiego księstwa.: Według starej recepty z Syrakuz. Tyran Syrakuz, Arystodemos, bardzo inteligentnie rozwiązał problem niesfornej młodzieży. Ogłosił dekret, na mocy którego młodzieniaszkowie nie mogli chodzić po ulicach sami, każdy musiał mieć u boku dziewczynę. Natychmiast zmaląła agresywność ówczesnych

chuliganów. Wątpię, czy muzyka, jak mówią, łagodzi obyczaje, zwłaszcza rock, towarzystwo kobiet natomiast...

- Jeśli chce się pan pokłócić, „Fokstrot” sprowadzi panu jakąś.

- My się już nie będziemy kłócić, panie Karśnicki. Chyba że źle zrozumiałem wczorajszy przekaz...

- Zrozumiał pan dobrze. Teraz niech pan dobrze zaspokoi moją ciekawość.

- Jestem gotów.

- Pierwsza rzecz: ilu ludzi liczy gang w obu dzielnicach, na Pradze i na Grochowie.

Heldbaum zrobił minę człowieka bezradnego.

- Nie ustawiałem ich w szeregu i nie kazałem odliczać, panie Karśnicki! Na to pytanie nie można odpowiedzieć cyfrą. Pomijam już fakt, że liczby są tam płynne, wszystko wciąż się zmienia, ludzie przybywają, odchodzą, giną, siedzą...

- Więc niech pan odpowie dwoma słowami: czy to duża banda, czy mała?

- To niech mi pan najpierw powie, co jest dla pana dużo, a co mało. To są pojęcia względne. Jaki mam zastosować punkt odniesienia?... Jest pan sportowcem, zna pan „Przegląd Sportowy”. Dziennikarz z „Przeglądu”, chcąc obejrzeć stadion Maracana, akurat zamknięty, poszedł do strażników, prosząc, aby mu otwarto. Pokazał legitymację i dał im egzemplarz „Przeglądu”, mówiąc, że jest przedstawicielem największej gazety sportowej w Polsce. Nie skłamał. Jeden z odźwiernych pobiegł spytać o zgodę prezesa czy sekretarza klubu, wszystko jedno. Po chwili zjawił się dygnitarz, uścisnął naszemu chłopcu rękę, kazał otworzyć i pokazać cały stadion, a rzuciwszy okiem na te cztery stronicie „Przeglądu”, zapytał zdziwiony: jak wygląda najmniejsza gazeta sportowa w Polsce, jeśli ta jest największa. W Brazylii największa liczy około stu stron...

„Książę” milczał. „Petro” chciał pociągnąć dalej, lecz coś go tknęło:

- Pan nie nakrył telefonu i nie puścił przy nim muzyki... Zapomniał pan?

- Bynajmniej.

- Więc już pan nie wierzy w podsłuch?

- Już nie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jeden z moich ludzi przerobił ten aparat, uniemożliwiając jakikolwiek podsłuch.

- Aha... No dobrze, wróćmy do tego, o co pan zapytał. Nie ma sensu przejmować się taką czy inną liczbą, bryła piramidy to bezwolna mierzwa, nas interesuje wierzchołek i jego cokół, czyli przedostatnie piętro, czyli szefowie branż. Jest trzynastu takich „waletów”, w tym czterech bazarowych i dziewięciu pozabazarowych. Ta dziewiątka to... zaraz, żebym się nie pomylił... kieszonkowcy raz, włamywacze i paserzy dwa, cinkciarze pozabazarowi trzy, lewa sprzedaż alkoholu i meliniarstwo wódczane cztery, prostytutka uliczna i tajne burdeliki pięć, kasyna gry sześć, kradzieże samochodów i warsztaty kosmetyczne dla kradzionych gablot siedem, obróbka wagonów na bocznicach kolejowych Wileńskiego i Wschodniego osiem, wreszcie dziewięć: handel artykułami deficytowymi z kradzieży na placach budów, głównie cementem i klinkierem. Bazar Różyckiego to strefa wydzielona, ma cztery branże: cinkciarstwo, hazard, przede wszystkim w trzy karty lub trzy lusterka, handel każdego rodzaju, od futer do ryb, z wyjątkiem sfalszowanych dokumentów, to jest osobna branża, matury, dyplomy, prawa jazdy i temu podobne.

- Zna pan każdego z „waletów”?

- Znam fizys, nazwisko, adres, charakter, słabe i mocne punkty, całą przeszłość i terażniejszość każdego z nich, wiem jaki lubią alkohol, jaki mają numer kołnierzyka i pod jakim kątem muszą im nadstawiać dupsko ich kochanki.

- A wyżej?

- Wódz u samego czuba, lecz między nim a „waletami” dwaj ludzie, o których już miałem przyjemność wspominać panu. Pierwszy z nich to szwagier bossa, typ trzeciej kategorii, alkoholik zniszczony wódą, nigdy nie dożyje tylu lat, na ile już wygląda. Szczytem jego inteligencji jest umiejętność przybierania min człowieka inteligentnego. Formalnie jemu podlega bazar, jemu składają meldunki i rachunki czterej szefowie bazarowych przedsiębiorstw. W praktyce jest ignorowany, statysta. Ręką jego królewskiej mości, buchalterem, treserem i dyrygentem, który zarządza wszystkim, jest „pan Kazio”, Kazimierz Grausz, pseudo „Szpikulec”. Bydlak, że podobnego można szukać z laserem w dłoni! Ich mózg, nasz jedyny rywal...

Coś mu zdusiło krtań. Odchrząknął. Potarł brodę, szukając słów, czy epitetów. Karśnicki go uprzedził:

- Miłość i nienawiść, jak Paweł i Gaweł...

- Paweł i Gaweł? - zdumiał się „Petro”.
- „Paweł i Gaweł w jednym stali domu...”. Za co pan go tak admiruje?

Dla starego, inteligentnego człowieka, w którego inteligencji tkwiła też umiejętność przybierania wszelakich min, masek głupków i geniuszów, zwycięzców i pokonanych, niewiniątek i czarowników -to pytanie było tak wielką niespodzianką, że zachował własną minę faceta bez pożyczonej maski, naturalną minę zaskoczonego, i tylko językiem dał sobie szansę na złapanie drugiego oddechu, jak bokser, który klinczuje, żeby przetrzymać:

- To nie jest taką prostą sprawą...
- Rozdwojenie uczuć nigdy nie jest prostą sprawą - zgodził się Karśnicki. - Więc?...

Niech pan mi powie.

Heldbaum spojrział w sufit, jakby stamtąd miała przyjść pomoc.

- Żeby tak powiedzieć prawdę, a zarazem nie skłamać... Nie kocham go, to absurd, lecz go podziwiam... Podziwiam tych, co są takimi cwaniakami, iż nie wiadomo, czy ich przebiegłość to tylko inteligencja, czy już mądrość.

- A za co go pan nienawidzi? Bo nienawidzi pan go bardziej, niż go pan kocha.

- Może za to, że nigdy nie potrafiłem mu przebaczyć. Przebaczenie nie jest moją mocną stroną.

- To mamy już coś wspólnego, panie Heldbaum... A konkretny powód? Jako boss muszę wiedzieć o wszystkim. Staruch kiwnął głową na znak zgody.

- Miałem domek po ojcu. On mi go ukradł, wraz z całą zawartością, nie wyłączając biżuterii rodzinnej.

- Jak to ukradł? W jaki sposób można ukraść dom?

- Wiedziałem, iż zostanę aresztowany, bo byłem u Andersa, i że mogą mi skonfiskować majątek. To należało do represyjnego rytuału. Przełałem prawo własności na przyjaciela, do którego miałem zaufanie. Wie pan, fikcyjna umowa kupna i sprzedaży, z drugą, tajną umową, u zaufanego notariusza, że przyjaciel zwróci mi wszystko, kiedy tego zechcę.

- Mówi pan o nim?

- O nim. Po wypadkach pięćdziesiątego szóstego zostałem amnestionowany i zażądałem, by oddał mi moją własność. Lecz on mi nie oddał.

- Trzeba było iść do sądu!

Stary uśmiechnął się:

- Do sądu? Mój panie, w sprawach sądownictwa jestem zupełnym ateuszem, nie wierzę w istnienie bogini Temidy. Zakres jego wpływów dawał mi taką szansę, jaką miałbym dziś przeciw panu walcząc na pięści.

- Miał pan dokument! Istnieje przecież prawo...

- Owszem - rzekł Heldbaum - istnieje w tym kraju prawo, ale nie ma sprawiedliwości.

Tak jak nie ma demokracji, bo demokracja na bacność to zupełnie inna para butów.

Gospodarz (wyciągnięty na macie, z rękami pod głową) gapił się w szyby okienne.

- Kogo ma pan w tym gangu? - spytał.

- Płotki, od nich mam informacje. Konrada Wallenroda niestety nie mam.

- Tak, to przykreść - rzekł Karśnicki. - Z Wallenrodem pańskiego chowu byłoby nam trochę mniej trudno.

- Po co zaraz ten pesymizm, wcale nie musi być tak trudno, jak pan przypuszcza... Jeśli już jesteśmy przy Mickiewiczu, to sprzedam najnowszy wic. Breżniew z wizytą w Polsce. Żegnając się, mówi do Gierka: „Słuchaj, Edek, ogólnie wszystko tu u was jest w porządku, podoba mi i się. Tylko dlaczego jeden z waszych poetów napisał: «Litwo, ojczyzno moja»?!». Na to Gierek: „Ale to był Mickiewicz, już dawno nie żyje”. Breżniew się rozpromienia: „I za to cię lubię, Edziu, za to cię lubię!”.

Usta Karśnickiego nie drgnęły, lecz w oczach mignął mu śmiech. O to staremu chodziło: żeby rozluźnić, bo chociaż tort już się udał, miał być tortem ze słodkimi bakaliami, bez kwasów.

Powtórzyłem Dance ten kawał.

- Za co? - pyta mnie.

- Co, za co?

- Za co go lubi?

Jak pragnę szmalu! Klawo jest nie być najgłupszym zwierzęciem w przyrodzie. Kiedyś Heldbaum zacytował taki wierszyk:

„Głos mi blednie, włos mi rzednie,

Psują mi się zęby przednie”.

I wyjaśnił, że to wszystko robi mu się nie ze starzenia, tylko jak ma okoliczność z kimś, komu brak poczucia humoru. Ale ja byłem w niej zabujany.

VI

Szef doliniarzy imperium prasko-grochowsko-targówkowego miał dom. Ludziska różnie kojarzą dom. Jest dom-czynszowa, dom-chałupa, dom-barak i dom, który się wabi blok. W bloku mieszka za karę większość. I są wille, które ta sama większość hołubi w marzeniu, a mniejszość w rzeczywistości, lecz byłoby głupotą truć, iż owa mniejszość nie ma już marzeń na temat domu, bo prawie każdy chce więcej i prawie każdy żyje zamiast swojego życia, które sobie wymarzył i o którym śni. Ta mniejszość pragnie willowych pałaców (z sauną, basenem, kortem itp.), takich, jakie ma najmniejsza mniejszość Obozu Ludowej Demokracji. Zbigniew Rosuń miał ten fart, że posiadał taki dom, superwillę.

Fart, wiadomo, miewa ten feler, iż jest śmiertelny, jak istota ludzka. Jesiennąnocką w pana Rosuniowym domu wybuchł pożar i dom się sfajczył aż po fundament. Właściciela akurat nie było (przedłużyła mu się kolacja w lokalu eksportowym), lecz był stróż, członek Rosuniowej bandy. Zanim stracił przytomność po walnięciu deską w bak, usłyszał to, co koniecznie miał usłyszeć: „Szef nie chce sztywnych, mamy tylko sfajczyć «Małpiarza». Przywał mu znów, ale nie za mocno...”. Po drugim przywaleniu strażnik odpłynął w krainę ciszy.

„Małpiarzem” przezywał Rosunia szef biznesu samochodowego, Zdunkiewicz („Traktor”). Rosuń wypowiedział mu wojnę: zdemolował dwa warsztaty, pobił kilku chłopaków i chciał przetrącić samego Zdunkiewicza, ale tamten był pod dobrą ochroną. Za Rosuniem ujął się wódz cinkciarzy niebazarowych, Ludwik Kiersnicz („Kiermasz”), a za „Traktorem” wódz kasyn, Nowicki („Lolo”), i wojna rozgorzała na dobre, wciągając coraz to nowych „waletów” w swój wir. „Pan Kazio” szalał, godził, napominał, wzywał, karał,

wyznaczał grzywny, prowadził mediacje i rozdawał obietnice, wszystko do luzu, bo każdej doby zdarzała się komuś nowa przykrość, od której pokrzywdzony „walet” z pianą na pysku leciał się mścić. A to jakieś typy zakosiły transport maszyn do szycia wydmuchany z wagonów na Wschodnim, a to drzwi burdelików zostały oblane cuchnącą mazią, której nie dawało się zmyć; gwardia wódczana wzięła łomot od jakichś karateków, a później gwardia cementowa (po czym tajny magazyn cementu skąpano w wodzie). Kataklizm dotykał branżę za branżą, jak sztorm, co szarpie każdego, u każdego zalewała krew.

Moja znajomość tych pierwszych działań jest kiepska, wiem tyle, co usłyszałem, nie włączano mnie do akcji. Wciąż robiłem przy „Księżu”, który sam się już mył, pompkował, odzyskiwał dawną sprawność. Było z nim coraz lepiej. Któregoś dnia przyszedł Heldbaum i mówi:

- Spirala jest u szczytu, piekło. Czas na dociśnięcie śrub, na perswazje i pertraktacje, panie Karśnicki. Zacząłbym od Zdunkiewicza.

- Dlaczego?

- Potrzebujemy samochodów. Nocny dziad w jego warsztacie na Radzymińskiej to osobliwość, trzeba z nim pogadać. Były zakonnik, potem złodziej, zresztą i dziś złodziej, w dzień grabarz, w nocy stróż, nazywają go „Mnich” albo „Święty”.

- U nas też jest „Święty”! - wtrącił Klon.

- Tamtego nazywają „Świętym”, bo nie znosi przekleństw - rzekł Heldbaum. - Za sanacji na każdym więziennym korytarzu wisiała tabliczka z przestroga: „Bądź moralny, będziesz szczęśliwy. Używanie słów niemoralnych będzie surowo karane”. Wziął to sobie do serca, taka wrażliwość...

„Dżek” rozwarł dziób w uśmiechu i zagwizdał.

- Mariusz kupił ksywkę przez to samo, nie kocha mięsnych dialogów! Taka moralność!

Teraz uśmiechnął się stary:

- To mi coś przypomina. Przed aresztowaniem jakiś czas dekowałem się na wsi, w Przemyskiem, był tam znajomy sołtys, przedwojenny komuch, dusza człek, ale straszny młot. Zrobili go sekretarzem POP i musiał wystawić każdemu z członków „świadcstwo ideowoproletariackiej moralności”. Nie bardzo to rozumiał, ale na wszelki wypadek, chcąc

uchronić znajomków, kaligrafował na blankietach dla UB o każdym: „Z moralnością się nie zadawał”! ... Cudowne rzeczy się tam działy. Funkcjonowało już wtedy Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, zakładano ludowe uniwersytety. Przyjechał jakiś docent, żeby wygłosić dla chłopów odczyt: „Galileusz wierny uczeń Kopernika”. Ale powiatowe UB się wściekło, zmieniło mu temat, a do centrali wysłano telegram: „Uniemożliwiliśmy reakcji odczyt o Galilejczyku”. No więc docencina mówił o samym Koperniku, ale i to się skończyło źle, bo jak tłumaczył teorię heliocentryczną, to całą salę wkurzył, chłopcy zaczęli wrzeszczeć: „Jakże to, Ziemia wokół Słońca i ciurkiem wokoło siebie, jak ta piłka!? Nie bedziewa wierzyć w te komunistyczne bzdury! Głupoty czerwone nam wciskają! Chłopy, toż woda by się wylała, a ludzie by pospadały, niech same próbują łazić do góry trepami, to obaczą!”. Kapitalne!

„Dżek” też sobie coś przypomniał:

- To chyba z tej samej wsi był pański porucznik, szefie, ten od Balzaca!

- Porucznik od Balzaca? - zaciekał się „Petro”.

- Opowiedziałem im kiedyś o mojej służbie w wojsku - wyjaśnił Karśnicki. - Na poligonie porucznik spytał: „Wiedziecie, co to jest wojna?”, wyrwało mi się: „Wojna to nonsens”, on ryczy: „Kto to powiedział?!”, więc ja znów: „Balzac”, a on: „Balzak, wystap!”... Poszedłem za to do karceru. Ale wróćmy do tego wersalczyka, którego tak razi przeklinanie...

- Przywiozę go tu - rzekł „Petro”.

- Żeby mój adres poznał?

- Proszę być spokojnym.

Przywieźli go w ciemnych okularach na mordzie, tak ciemnych, że widział tylko ciemność. Zdjęli mu jak wszedł do pokoju. Policzki miał szare niczym ziemia i kinol czerwony. Ujrawszy leżącego na macie, zasepnił jakąś cudaczną wiejską kminą:

- Jezusiczku kochany, zdrowaś Maryja, łaskiś pełna!...

- „Mnich”, tu nie kościół! - przyhamował go „Petro”.

- Świnty Józefie, opiekunie, nie krzycz na mnie!

Heldbaum podniósł głos:

- „Mnichu”!

- Świnty... świnty... zaro, jakiego to ja mom patrona, bo się chce pomodlić do niego - sepleniał dalej cudak. - Jak najświntszemu patronowi mojemu? Mozie Ignacy, mozie Bonifacy...

- Stul pysk, do cholery! - zdenerwował się „Petro”.

- Świnty Serafinie, nie gniwaj się na mnie bidnego, niszczęśliwego, patrz zie ti na mnie, ja ledwo żije, wybaw mnie z tyj cinżkiej męki, procha marnego, już ja wytrzymać nie mogie, Świnty mój wielki patronie i opiekunie, nie daj mnie męczyć, już ci za to Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi, a ja zmówię za dusze twojom zdrowaś...

- Jaki z ciebie „Święty”, kiedy tak bluźnisz? - zapytał cicho „Książę”. - I jaki z ciebie „Święty”, kiedy ludzi okradasz, złodzieju?

Cudak przyjrzał mu się z uwagą i poniechawszy skomlenia, twardo odsepleniał;

- Złodziju, złodziju! A cóż to, złodziej nie człowik? Słoń afrykański na świat go widał? Jak każdygo innygo Pan Bóg go stworzył! A zie Pan Bóg bez wibranego narodu istnąć nie mozie, a żydy mu się sprzeniewierzyły, bo mu syna ukrzyżowały, tak bez to wibranym narodem Pan Bóg uczinił złodziei. Kto burżiujom zabierający a biednym rozdający, jak przikazuje Ewangelija świnta? Wiadumo, zie złodziej.

- I ty to robisz, rozdajesz biedakom? - zapytał Karśnicki.

- Nie rozdawam. Ja jezdem złodziej bidny, bez to co zabiram, to nikomu nie daje, ino zabiram la siebie.

- To powinieneś już być bogaty, a wyglądasz, jakby cię wzięto ze śmietnika. Chowasz to, co ukradniesz?

- Bozie broń! Widam wszistko.

- Na co wydajesz?

- Na wódkie. Nie ziebim jo lubił, ino ziebim nie był bogaty. Nie chce być burżiujem, bo przecie wim, zie łatwij wilbładowi przietrnić się prziez ucho igielne, niż burżiujowi wstąpić do Królestwa Niebiskiego. To ja te forszę widaji od razu i znów jezdem gołi. Wipełniam słowa Ewangeliji świntej.

- Ewangelia nie każe kraść.

- Jak bi Pan Bóg nie chcioł, ziebim ja kradł, to ja bim nie kradł, bo czy nie jezd powidziane, zie na tij ziemi nic bez Jigo woli dziać się nie mozie? Ja jezdem tilko

narzędziem w rinku Boga, spełniam Jego wolę! Zdrowaś Marijo, łaskiś pełna, błogosławionaś Ti, Pan z tobą...

Karśnicki spojrział na chłopaków i powiedział:

- Dajcie mu w dupsko tak, żeby nie miał na czym siedzieć!

Zakneblowawszy cudaka, posmarowali go git i rura zmięła mu; później tak śpiewał, że palce lizać.

Nocą „Mnich” zadzwonił do swego pracodawcy z alarmem, że koło warsztatu kręci się podejrzanе towarzystwo. Zdunkiewicz przyjechał w dwa samochody, ośmiu chłopów. Trwało minutę, może półtorej, i było po wszystkim. Tych ośmiu, zbitych jak szczenięta, zamknięto w lakierni. „Dżek” zajął się „Traktorem”: położył mu dłoń na ramieniu, pilnując. „Traktor” spytał:

- Kto jesteście? Rosuniowi? Z mroku dobiegł go głos:

- Rusz bańką, Zdunkiewicz, co ty pleciesz! Chłopcy Rosunia nie skasowaliby twoich tak szybko.

- Więc kim jesteście?!

- Jesteśmy grabarzami, portierami, którzy otwierają bramy do świata ciemności... - rzekł ten sam głos. - Chcemy porozmawiać o twojej żonie, którą pochowałeś nie szczedząc wieńców, szarf i światełek, ojej marmurowym nagrobku, o twoim nieutulonym żalu...

Z mroku wyłonił się Heldbaum.

- Ach, to ty! - rzekł Zdunkiewicz.

- Na „ty” to ja jestem z tobą, Zdunkiewicz, ale ty nie jesteś ze mną na „ty”. Popraw się!

„Traktor” się nie poprawił i dostał od „Dżeka” w bambuch, aż go zgięło.

- Słyszałeś, co ten pan kazał ci powiedzieć?

- Tak... tak, proszę pana...

Heldbaum uśmiechnął się.

- Brawo, pojętny chłopczyk. Dookoła masz panów, więc zwracaj się do nich, jak do panów, kiedy będziesz mówił, a chcemy, żebyś nam mówił o pani, którą pogrzebał „Mnich”, bo zawadzała nowej damie twego fiuta... Powspominamy tę zmarłą damę.

„Mnich” wylazł z ciemności i stanął obok nas jak cmentarne widmo.

- Judaszu! - zachrypiał Zdunkiewicz.
- O nie! - rzekł „Mnich”, patrząc mu w ryło. - Judasz się powiesił, ja tego nie uczynie!
- Uważaj, żeby ci ktoś w tym nie pomógł! - szepnął Zdunkiewicz.

Ale zamiast przstraszyć, wkurzył:

- Ty chamiu! - warknął dziad. - Przez ciebie Pan Bóg odebrał mi swojom łaskawość, bom się mu sprzeniewierzył zakopawszi te niewiastę, coś ją utłukł! Piąte nie ubijaj! Będziesz się w piekle smażył!

- Otwórz biuro, „Traktor” - rzekł Heldbaum - tam dokończymy dialogu.

Dialog był krótki. Najpierw monolog Heldbaurna:

- Posłuchaj, „Traktor”. Zabawiliśmy się już w detektywów. Dwaj świadkowie, w tym lekarz, którego posmarowałeś zieloną walutą za akt zgonu, będą śpiewać, bo są w naszej grabulce. Możemy się jeszcze zabawić w archeologów, ekshumacja, autopsja zwłok, te rzeczy, I na koniec możemy się zabawić w wymiar, w zblatowanych sędziów, którzy miast dożywocia dają czapę w każdej instancji. Resztą zająłby się kat lub grono jego pomocników. Wszystko to razem dla nas pestka. Ty jesteś jak piosenkowy Antoś, żywy trup.

I zanucił mu to jedno zdanie z knajackiego hymnu:

- „A kat Maciejewski tam pod szubienicą na Antosia czeka już!...”
- O co idzie? - szepnął Zdunkiewicz chropawo, jakby miał ból trzonowych.
- Żebyś zrozumiał fakt i ucieszył się z faktu - wyjaśnił mu Heldbaum. - Fakt jest taki: „Basior” kaput, „Pan Kazimierz” kaput, szwagroszczak kaput, wszyscy trzej na śmietnik! I jeszcze kilku innych baranów. Ty masz szansę zostać, bo jesteś łebski model. Wybieraj, co ci bardziej pasuje: własny krawat czy szubieniczny?

- Kto to nakręca? - spytał „Traktor”.
- Ktoś, przy kim oni są bez szans. Powiedziałem: kaput! Finito! Decyduj, bo szkoda czasu, chciałbym się zdrzemnąć troszeczkę. Wchodzisz do gry?
- A mam jakiś wybór?
- Nie masz.
- No to wchodzę.
- Wchodząc, zamknij za sobą drzwi i wyrzuć klucz, bo jeśli skrewisz, prokuratura dzielnicowa urządzi ekshumację!

- W porządku, jestem wasz. Od czego mam zacząć?
- Potrzebujemy kilka dobrych wozów.
- Z szoferami?
- Bez.
- To wszystko?
- Na razie wszystko.
- Jutro będą gotowe. Ale... chciałbym o coś spytać...
- Pytaj.
- Czy Rosuń wchodzi do tego układu?
- A chciałbyś, żeby wszedł?
- Nienawidzę skurwysyna!
- Masz coś na niego? Ale coś git, coś jak z twoim rozwodem.
- Mam!
- No tolu!
- Tak za nic, za friko?
- A za co chcesz?
- Za wykop „Małpiarza” z tego układu, który chcecie zrobić.
- Mam ci to obiecać?
- Na mur beton!
- Obiecuję, jeśli to jest dobry numer, skąd mogę wiedzieć? Mów, a zobaczymy, wal prosto z mostu.

Na twarzy Zdunkiewicza pojawiło się wahanie. Przez kilka sekund się łamał, aż wypluł:

- No więc... on jest cholernym antykomunistą!
- Wszyscy są antykomunistami - prychnął Heldbaum. - Komuniści też.
- Tak, ale... on ma układ na przejściu jednej z granic, gdzie...
- Gdyby nie było zblatowanych celników na każdym przejściu, dziewięćdziesiąt procent tych dóbr, które trafiają na wewnętrzny jarmark, nie mogłoby nań trafić.
- Tak, ale on ma córkę, no i zięcia...

- Jak ktoś ma córkę, to albo miał, albo ma, albo będzie miał zięcia, nic nowego pod słońcem, chyba że dziewczyna wstąpi do zakonu lub jest lesbijką - przeszkodził mu po raz trzeci Heldbaum.

- Dajcie skończyć, do cholery! - zdenerwował się „Traktor” . - W piwnicach ich domu jest tajna drukarnia i melina dysydentów!

- Gdzie?

W ich daczach, w daczach zięciowej, Rosuń im postawił. Otwock, Parkowa dwa. Sprzęt, farby i kupa nielegalnych książek z Zachodu idą przez tę zblatowaną granicę.

Heldbaum zamilkł. Główkował. Wreszcie spytał, już bez kpiarskiego tonu:

- Skąd to wszystko...

- Mam u nich człowieka - odparł Zdunkiewicz. - Rosuń mój wróg, musiałem go mieć pod kontrolą.

- Mogłeś go załatwić sam...

- Nie mogłem, za duży ryzyk. „Pan Kazio” ma udział na tym samym przejściu, zwykła kontrabanda. Bałem się z nim drzeć, Grausz to nie Rosuń!

- „Pan Kazio”... - wycedził Heldbaum, mrużąc oczy. - Już jest po „Panu Kaziu”, a o Rosunia się nie kłopotcz, jego też wyrzucimy na out!

„Petro” przydzielił sobie jeden wóz, a „Książę” przydzielił mu szofera. Ja nim zostałem. Karśnicki jeszcze nie wychodził z domu, ale jego stan już był taki, że nie musiałem być wciąż pod ręką, sam dawał sobie radę ze wszystkim.

Na ogół jeździło się w trzy gabloty, tylko że mnie zostawiali w wozie, nie widziałem jak „Petro” chwyta ryby w sak. Dzień w dzień blatował któregoś z „waletów” lub z podwładnych, nie patyczkując się, a fizyczny opór łamał wschodnią sztuką „dzieciarni” Karśnickiego. Nie patyczkował się nawet z kobitami. Dupę „Lola” (tego od hazardu) wciągnęli do mojej gabloty i Heldbaum bez wstępnego gadania rzekł:

- Dzidziu, kochasz swoją mamusię? To jej pomóż. Meldunek się jej zmienił przed godziną, ale pod tym nowym adresem nie ma lekarstw. Jak długo wytrzyma bez insuliny, co? I jak ty dasz radę bez cycków, gdyby ktoś obciął ci je brzytwą?

Śpiewała, że hej! Byłem przerażony. Spytałem, prowadząc wóz do Zalewu Zegrzyńskiego:

- Zrobiłby pan to naprawdę? .

- Synu - obruszył się „Petroniusz” - co ty mówisz! Jestem człowiekiem gołębiego serca, wszyscy o tym wiedzą. Nie skrzywdziłbym nawet muchy, idąc patrzę pod but, żeby nie nadepnąć któregoś z bożych stworzeń. Używam strachu, bo strach zmiękcza człowieka, jak wysokie temperatury zmiękczejają plastik.

Jechaliśmy nad Zalew, „Lolo” miał tam przystań i łódź. Adres podała nam Dwidzia. Okazało się, że ma dwie łódki, motorową i żaglową. Ta pierwsza stała przy małym molu, drugą wypłynął w rejs. Poczekaliśmy. Jak dopłynął, zobaczył Heldbauma. Uśmiechnął się szeroko:

- Cześć, Mosiek.

- Z czego on tak się cieszy? - spytał Jacuś.

- Z niczego. Cieszy się jak świnia - odparł „Petroniusz”. – Albo udaje, że się cieszy, bo on nie lubi Żydów. Mosiek to dla niego brudny gudłaj. On sam jest czysty aryjczyk, ale teraz się wybrudził, bo zmieniał żagle, powinien się wykapać. To mu dobrze zrobi.

„Dżek” dotknął wzrokiem Tomka „Walentino”, Jędrka „Kuśke” i resztę chłopaków. Weszli na pomost i wrzucili Nowickiego w Zalew. Goryłatka króla kasyn, chłopcy na schwał, każdy jak worek mięs, też fiknęli do wody. Pozwolono im z niej wyleźć i kazano maszerować do domku koło przystani, a tam czekać. Nowickiemu nie pozwolono. Stał przy brzegu w wodzie powyżej pasa i trząsał się, bo było zimno. Nic nie mówił. Mówił Heldbaum:

- „Loluś”, ty zawsze wiedziałeś, z której strony chleb posmarowano czymś dobrym. To i teraz wyczuwaj, co jest grane. Ta wojna, ten zamieszanie, ta niepewność, nie wiadomo kto, komu, kiedy i za co, to wszystko źle tobie działa na nerwy, jak zresztą każdemu. Ludzie idą na odstrzał, a ci, których jeszcze nie odstrzelono, robią w portki i marzą, żeby znowu zrobiło się spokojnie. Zrobi się spokojnie, już niedługo, ale nie dla wszystkich. Są przegrani i są wybrani, wybrani mają fart, dostają szansę. Kapewu? Rusz łebkiem, po co ja tu przybywam, kontemplować Zalew, uprawiać relaks, nurkować? Nie. Ja tu jestem, żeby cię uszczęśliwić.

„Lolo” wypłuł trochę wody, charknął i spytał:

- A „Szpiculec”?

- Fru! Na śmietnik!

- A „Basior”?

- „Basior”, jak wiesz, pływa po Morzu Śródziemnym. Już tu nie wróci. Za dwa tygodnie jego łajba osiąga Hamburg. Tam będzie ktoś na niego czekał, ktoś, kto mu poradzi, żeby zszedł na ląd i za pomocą sejfów, jakie ma w zachodnich instytucjach bankowych, ułożył sobie nieskrępowany żywot w wolnym systemie, jaki oferuje ten świat, bo w przypadku powrotu ja go przeniosę na tamten świat!

- Ty go zastąpisz?

- Nie jesteśmy na „ty”, chłopczyku!

„Lolo” się zatrzęsł, coraz bardziej kostniał w zimnej wodzie.

- Przepraszam... Czy pan go zastąpi?

- Ja jestem marionetką, „Lolo”, wypełniam rozkaz. Ten, kto teraz przejmuje władzę, to ktoś, przy kim „Basior” jest mała rybka, pęta, nikt. Za kilka, kilkanaście dzionków będzie po balu. Zdunkiewicz, Meller, Krzywosz, Siennicki, Tomaszewski, Forynt, Belak i Kryś są już z nami. Czekam na twoją odpowiedź.

Tak załatwiał każdego. I każdy musiał od razu bulić „składkę na fotel dla nowego cara”. Za taką składkę można było mieć dom willowy, lub kilka fest gablot. „Książę” tylko przyjmował meldunki i omawiał z Heldbaumem kolejne posunięcia. Ja jeździłem i czekałem przy kółku, aż Danka zaczęła mówić, że chyba mam inną. Słyszałem jeszcze dwie rozmowy w tych przedbiegach: z Lewakiem (to był wódz od „trzech benkli” na Różyckim; „Petro” obiecał mu cały interes pozabazarowy, z kasynami włącznie, tak jak wcześniej obiecał Nowickiemu cały hazard, bazarowy też) i z tym, którego miano wyrzucić na out. Biedny Rosuń! Jego pech polegał na fackie, że „Petro” i on się nie znali.

To była operetka, czułem się jak aktor! Heldbaum sobie zażyczył, żeby wskoczyć w chomąta a la ubek, garniturki, sweterki, płaszczyki na smutno. Fałszywe legitymacje dał nam zblatowany już szef od lewych dokumentów z Różyckiego, Meller. Pukamy do Rosunia skoro świt:

- Obywatel Zbigniew Rosuń?

- Tak... O co chodzi?

- Służba Bezpieczeństwa.

Pokazujemy legitymacje i pchamy go do wewnątrz. Rosuń pytluje, łapki mu drżą, oczka latają, pyńcio jak burak.

- Panowie, o co chodzi?!... Co to ma znaczyć, o co jestem...

- Siadaj! - mówi Klon.

My też siadamy i rozpoczyna się czekanie. Po dziesięciu minutach kompletnej ciszy Rosuń otwiera dziób:

- Na co panowie czekają? Co to wszystko ma...

- Stul pysk! - warczy Jacuś.

Marek „Uważaj” szepcze do „Dzeka”:

- Co jest? Pułkownik miał być zaraz po nas...

- Do cholery, skąd mogę wiedzieć, co!? - odszeptuje mu „Dzek” (ale tak, że słyhać). -

Idź do wozu i spytaj przez radio! Niech powie, czy rozpoczynać rewizję, czy dalej czekamy.

- Tak jest!

Kiedy zjawił się Heldbaum, wszyscy poderwali się na baczność. - Wyjdźcie, chłopcy, do tamtego pokoju - rozkazał. - Chcę mieć małe tetatet z panem Rosuniem. Poruczniku, tamta dacza...

- Obstawiona, panie pułkowniku! - strzelił butami Klon.

- Na razie nie wkraczamy!

- Tak jest! Przez uchylone drzwi słyhać było o czym gadają. „Petro” założył taką mowę:

- Panie R., żeby oszczędzić panu zbędnego wysiłku mięśni w szczękach, a sobie słuchania głupot na temat nieporozumień, niezrozumień, niewinności, nieświadomości i temu podobnych, przejdę od razu do paragrafów. Z kilku pierwszych ma pan piętnastaka za występy doliniarskie pańskiej trzódki. To się nazywa zorganizowana przestępczość. Z kilku innych, drugiego piętnastaka za wielomilionowe łapownictwo, demoralizowanie służby celnej i przemyt. Trzeci wyrok za tajną drukarnię i punkt kontaktowy w piwnicach domu, który był prezentem dla córeczki i zięcia. Tutaj jeszcze można wlepić szpiegostwo. Zsumujmy: wielopiętrowe działanie przeciw państwu i ustrojowi, bandytyzm, łapownictwo, kontrabanda i zdrada, ile to będzie razem?

Potem Rosuń płakał. Potem dostał hysterii, krzyczał: „Gównno! Możecie mnie zakatować! Nienawidzę was czerwonych, bydlaki, nienawidzę was!”. Potem się uspokoił. Gwizdał jakąś melodię w taki sposób, jak człowiek, co przeczuwa własną śmierć i

przygotowuje się do niej. Potem zaczął śpiewać na inną melodię, którą wszyscy znali, bo to była piosenka z piłkarskich mistrzostw globu i nucił ją cały kraj:

„Po zielonej trawie piłka goni,
Albo my wygramy, albo oni,
Albo będzie dobrze, albo będzie źle,
Piłka jest okrągła, a bramki są dwie!”.

Tylko że on to śpiewał z innym tekstem:

„Na wschodniej granicy Polak Ruska goni,
Albo my wygramy, albo czerwoni,
Albo będzie dobrze, albo będzie źle,
Albo biały orzeł, albo młot i sierp!”.

W końcu zamilkł. Heldbaum odczekał to wszystko niby rzeźba w parku i powiedział:

- Słuchajcie R., macie prawo do obrony, lecz nie macie prawa lżyć funkcjonariuszy państwowych na służbie! To grozi wam karą z kolejnego paragrafu!

- Prawo do obrony! Hi, hi, hi, hi, hi, hi, hi, hi! - zapiał Rosuń. - Prawo do obrony!

- Tak, prawo do obrony, żyjemy, Rosuń, w praworządnym państwie, którego praworządność próbują podważyć wywrotowcy i rewizjoniści waszego pokroju, na szczęście bez powodzenia. Społeczeństwo nie pójdzie za wami, a wy pójdziecie do cel!

Nazajutrz, gdy Karśnicki odtwarzał taśmę z tym zgrywem (kazał rejestrować łamanie „waletów”), „Petroniusz” dorzucił:

- To prawda, że społeczeństwo nie mogłoby iść za wojującymi antykomunistami do cel, chyba żeby przerobić mieszkania na cele, lecz skąd wziąć tylu klawiszów? Ten Rosuń był głupi, ale był dobrą papugą. Nasłuchał się od zięcia zgrabnych szyderstw i naczytał bibuły, bo odwinął mi ładnie.

Tak, Rosuń odwinął mu git. Spoważniał i rzekł:

- Niech mi pan nie mówi o prawach, pułkowniku! Każdy wie, że w tym kraju nie ma się żadnych praw! Nad wszystkie obywatelskie prawa, za które ludzie umierali od stuleci, komunizm przedłożył to jedno: prawo do przechodzenia przy czerwonym świetle!

- Przestańcie bajdurzyć, Rosuń! - machnął ręką Heldbaum. - Polityka naszych władz...

- Nie ma żadnej polityki naszych władz, władza jest na Kremlu, wy musicie być grzecznymi wykonawcami tego, co wam każą! Jak robicie coś na własną rękę, coś, co im nie leży, to was kasują! Jak w tym żarciku: „Strzeliliśmy ruskim do siatki, ale radziecki bramkarz nie uznał gola”!

Heldbaum założył na pysio maskę z politowaniem:

- Takich dowcipów, to ja wam mogę powtórzyć setki, u nas się je wymyśla, dla motłochu kolejkowego, żeby rozładowywać złość śmiechem. Chcesz najnowszy? „Komunizm ma przyszłość... za sobą”. Dobrze, prawda? Nauczcie się na pamięć i już będziecie silniejsi. Będziecie mogli lepiej obalać komunizm! Najlepszy dowcip w całym komunizmie, to wy, wzbudzacie nasz śmiech. Wszystko, na co was stać, to opluwanie zasad ustrojowych i oczernianie naszych mężów stanu. Korzystacie z tego, że są przejściowe trudności z gospodarką i dystrybucją dóbr. Ale przecież każdy w tym kraju ma co włożyć do garnka! Każdy ma spodnie! Wam nienawiść przestawia klepki. Wiecie, w Indiach mówią, że polityków o czystych rękach można policzyć na palcach jednej dłoni trędowatego. Czy widzieliście u nas trędowatych? Czy widzieliście bezdomnych, koczujących na ulicach, umierających z głodu? Nie, nie ma u nas tych wszystkich okropieństw, które są plagą tylu krajów świata. I nie ma polityków o brudnym sumieniu. Komunizm nie toleruje ani brudu, ani głodu, ani bezprawia! Lecz wam, ślepym dysydemtom, marzy się Zachód! Nie dostrzegacie, że zachodnia cywilizacja jest próchnem, że jest znarkotyzowana dwoma swoimi fetyszami, mechaniką za cenę ducha i rozrywką za wszelką cenę. Są to, Rosuń, dwa piekielne koła tamtego świata, w którym ludzie coraz mniej są ludźmi, coraz bardziej bezdusznymi zwierzętami! Ale wam się marzy być tam, tylko tam, Rosuń!

- Żebyście wiedzieli, za każdą cenę!

- Po co zaraz każdą? - zdumiał się „Petro”. - Wystarczy trzydzieści milionów.

- Co?!!

- To, co słyszycie. Nie musi być gotówka, Rosuń. Przepisz swoje domy na tych, których ci wskażę. Jak zrobisz to dziś, jutro możesz wziąć zięcia, córkę i cały mająt, i opuścić ten kraj kanałem, który masz na granicy. Albo posiedzisz tu do końca życia, też nie w tym domku.

„Książę” zatrzymał magnetofon, pytając:

- A paszporty?

- Meller - odrzekł Heldbaum. - To geniusz dokumentów. Gdyby potrzebował pan wizę do rajy lub bilet na prywatne spotkanie z papieżem, załatwi. Pestka dla niego.

Rosuń zrobił się bardziej blady, niż był przedtem. Miał wzrok świra.

- A pańscy ludzie? - szepnął.

- Moi ludzie są moimi ludźmi! - uspokoił go Heldbaum. - No więc?

Nagranie trwało jeszcze kilka minut.

- Kiedy wyjedzą? - spytał Karśnicki.

- Pojutrze.

- Dziwny typ, gangster i opozycjonista...

- Partyzant ze spalonego lasu! - rzekł „Petro” wzgardliwie. - Trzeba się go było pozbyć, ta drukarnia to wilczy dół, wszyscy moglibyśmy wpaść.

- Co z nią?

- Dwa dni na przeprowadzkę, tak jak pan sobie życzył. Majtki pełne gówna ze strachu i niezrozumienia, lecz wkrótce znowu rozpoczną druk. Aż kiedyś wpadną, tylko że wówczas pułkownik będzie Autentyczny.

- Oby nie prędko - rzekł „Książę” - dzięki nim można czytać.

I podał Heldbaumowi książkę robioną na powielaczu.

- Forsyth, „Diabelska alternatywa”... nawet nie wiedziałem, że to wyszło w podziemiu - zdziwił się Heldbaum. - Brawo, są szybcy!

- Nie zna pan?

- Znam wersję oryginalną. Bardzo ciekawa rzecz z jednego punktu widzenia. Nic tak dobrze jak to czytadełko nie ukazuje przepaści między świadomością polityczną społeczeństw naszego obozu, a całą resztą świata. Błąd, który Forsyth popełnił budując, rozwijając i zamykając intrygę, dla nas błąd wprost komiczny, czyniący treść piramidalnym głupstwem, to w kategoriach wyższych niż literackie jego atut, słabość

okazała się siłą, zresztą w sposób całkowicie mimowolny, Forsyth pewnie do dziś nie ma o tym pojęcia, chyba że jakiś Polak, Węgier czy Litwin już popukał mu w czoło. Przez kilkaset stron zachodni czytelnik pasjonuje się okropnie niebezpiecznym, konspiracyjnym romansem brytyjskiego dyplomaty z radziecką dziewczyną, która jest sekretarką na Kremlu i z miłości do swego Romea oraz z nienawiści do swego reżimu wynosi z Kremla dla ukochanego sterty najtajniejszych dokumentów. Co będzie, jeśli ta dzielna Julia wpadnie, KGB rozerwie ją na strzępy! Ponieważ każdy przyzwoity dreszczowiec musi mieć zaskakujący finał, im bardziej zaskakujący, tym książka lepsza, w ostatnim akapicie ów czytelnik dowiaduje się ze zgrozą, z osłupieniem, z szeroko otwartymi oczami, że ów czuły bohaterski kwiatusek był od początku agentką KGB i do łóżka z Brytyjczykiem wskakiwał służbowo! Dla każdego mieszkańca Obozu Demokracji Ludowej, nawet dla nieletnich, jest to od pierwszego spotkania kochanków tak oczywiste, iż cały „romans” tylko ich bawi, o żadnym napięciu, strachu i zaskoczeniu mowy nie ma, autorski chwyt poległ już na starcie, klops! Percepcja tej książki obnaża ów przedział rozumu, w którym wschodnioeuropejski nastolatek deklaruje zachodnioeuropejskiego profesora, to jej wartość.

- Co z aktem kupna-sprzedaży dla tych domów? - spytał „Książę”.
- Dostaniemy go jutro. Potem możemy je sprzedać lub zasiedlić, lecz niech najpierw wyklaruje się sytuacja. Poczekajmy na finał...
- Który, jak w każdym przyzwoitym dreszczowcu, może nam zgotować dużą niespodziankę...
- Nie nam, tylko im. Wszystko ku temu zmierza, jeszcze pan nie zauważył, jak gładko nam idzie? Bóg jest z nami.
- Zbyt gładko, panie Heldbaum. Nie mogę się oprzeć dziwnemu wrażeniu, iż to, co teraz robię, co pan robi i co robi mój „batalion”, to gangsterski film, powtórka z jakichś snów, z ekranów, z tandetnych czytadeł...

Heldbaum kiwnął głową i zębkiem odsłoniętym w zrozumieniu.

- Ależ tak! To jest wrażenie całkowicie słuszne, panie Karśnicki. Jesteśmy bandą kopistów, naśladowców, powtórkowców! Uprawiamy plagiat! A wie pan dlaczego? Bo żyjemy w takiej epoce. Jaką nowość można tu wymyślić? Zagrane zostało już wszystko, nasze pokolenia to pokolenia odtwarzaczy czerpiących z lektur i z żywych obrazów.

Weźmy nawet coś tak intymnego jak miłość oraz zespół jej atrybutów, jej symbolikę. Kiedyś pocałunek to był tajemniczy ład, który trzeba było odkryć z drżeniem serca, na granicy euforycznego zawąłu. Dziś każdy szczeniak już od lat dziecięcych tyle razy przypatrywał się pocałunkom na ekranie telewizora, że kiedy wreszcie to robi, małpuje swych bohaterów! I często ma wrażenie powtórki. To może zepsuć smak.

Później robiłem herbatę i nie słyszałem, co mówią, ale została taśma z tej rozmowy (jak ze wszystkich, lub prawie wszystkich, bo „Książę” kazał wszystko nagrywać, a „Dżek” i „Walentino” zmajstrowali cichociemną aparaturę). Warto zacytować coś z tego. Jedną rzecz, cymes. Heldbaum wkładał na pysk różne maski, o tym już była mowa, i one się powtarzały, lecz ta, którą założył podczas tego dialogu, była unikatem, bo zrobił to pierwszy i ostatni raz, potem już nigdy, a pasowała do niego jak portret Chrystusa nad łóżkiem w pokoju, gdzie kurwison przyjmuje pijaną klientelę - włożył maskę księdza, proroka, świętego! Mówili akurat o Grauszu („Pan Kazio”) i stary dostał odbicia, jakby go ktoś wyniósł na ambonę. W jego oczach zawsze było drugie dno, fałsz, śmiech, przebiegłość, kpiarska wyższość lub tajemnica, a teraz nic, nic ponad to, co gadał, bezlitosna świętość fanatyka (o, to jest klawe słowo, nie jestem taki młotek, jak moglibyście sądzić, trafiłem w punkt, bił z niego fanatyzm podpalacza stosu):

- Panie Karśnicki! Pan go nie zna, proszę mi wierzyć! A ja znam go na wylot, to król potworów z baśni o potworach. Wszystko, co wzbudza uzasadnioną pogardę, wstręt i nienawiść, wszystko to osiąga w nim doskonałą zgodność, nikt, żaden człowiek i żaden szatan nie stanął tak blisko ideału zła! Może bywali ludzie podlejszego serca niż on, okrutniejsi, nikczemniejsi, bezczelniejsi, bardziej przewrotni i bardziej zdradliwi, bywali może i tak wielcy kłamcy jak on, lecz on jest wszystkimi równocześnie. Zebrać to do kupy: podłość, okrucieństwo, zuchwalstwo, barbarzyństwo i przewrotność, a wychodzi zbój, jakiego nawet w literaturze nazwalibyśmy karykaturą! Przy czym on nie jest prostak, cham, kołek, zbrodniarz z natury, lecz to tylko pogarsza jego winę i jego odpowiedzialność! Są zbrodniarze skłonni od kolebki do potwornych czynów, ludzie, których krew to sama żółć, którym podłości i okrucieństwa są wrodzone, jak zajadłemu psu warczenie i kąsanie. Przyjść na świat takim kaleką, to gorzej niż urodzić się głuchym i ślepym, współczuję ludziom tego pokroju. Lecz człowiek, który wchłonał wykształcenie i kulturę z mlekiem ogniska rodzinnego, a lubi się znęcać, deptać, męczyć bliźnich,

wyrządzać wszelaką krzywdę z radością, w upojeniu, zasługuje tylko na najgorsze. Nic go nie broni, nie ma w nim żadnych cnót, nie ma cnoty choć jednej, nie ma w nim nawet pozoru cnoty!

- Zaś w panu największą z cnót jest słowo, pan już prześcignął księdza Skargę! - zniecierpliwiał się Karśnicki.

Dziób starego wykrzywiła żałość, a do jego głosu wdarło się rozgoryczenie:

- Proszę pana! Wiem, że jestem człowiekiem złym. Jestem złym Żydem, złym Polakiem, i nawet złym samotnikiem, bo czuję odrazę do melodramatyzowania samotności. Jeśli mam w sobie coś boskiego, a podobno każdy ma w sobie coś z Boga, to tym czymś jest u mnie słowo. Bóg dał mi swoją mowę, a pan mnie za to wciąż karci, to tak, jakby chciał mi pan odebrać ten prezent, mój jedyny skarb!... Prócz tego, aby pan przestał to robić, nie mam wielu życzeń, ale jedno mam wielkie. Jak już się skończy ten bój, może mnie pan wyrzucić, zwolnić, pożegnać, proszę bardzo. Nie chcę pieniędzy, nie chcę nawet żadnego z tych domów za mój ukradziony dom. Chcę tego człowieka!

- I kto to mówił, że tylko ja muszę dokonać zemsty, że choruję na nią, żyję nią, jestem niewolnik odwetu? A propos: jak się miewa pan Durowicz?

Durowicz był pomocnikiem Grausza, taki „do specjalnych poruczeń”, na przykład do ściągania długów, do interesów zawarszawskich i do niezbędnych kontaktów z gliną, lecz nie to miało znaczenie, tylko fakt, że ów gość był tym, co o mało nie zrobił z „Księcia” nawozu; to jego chłopcy wzięli Karśnickiego pod skok.

- Durowicz ma się lepiej niż pan, chociaż jest starszy ode mnie... Wciąż nie możemy go ruszyć, bo mogłaby zainteresować się milicja...

- Dając mi numer jego domu nie wiedział pan, że on ma kontakty z glinolandem, panie Heldbaum?

- Nie wiedziałem, skąd mogłem wiedzieć?! Teraz wiem, od „waletów”, których łamiemy.

- Więc trzeba go zostawić w spokoju, bo nad nim jest milicyjny parasol?... Jeśli nad nim, to i nad Grauszem...

- Małe piwo, panie Karśnicki. Oficerek z komendy na Cyryla.

- Jego przełożeni o tym wiedzą?

- Wiedzą, lubią, potrzebują. Naoglądali się zachodnich filmów, gdzie każdy komisarz lub inspektor ma wtyczkę w środowisku przestępczym. Jak góra żąda od nich nagłego cynku, Durowicz musi im podkablować. W zamian przymykają na coś oko, plus jakieś skasowane mandaty, szybsze zwolnienia... A z kolei w zamian za to jakiś bakszysz, jakiś prezent... Kółeczko koegzystencji, wszyscy chcą żyć w spokoju i dobrze zjeść, nerwy robią kiepsko na zdrowie, na premie, na zarobki i interesy... Durowicz jest kaput, obiecuję to, będzie pański, gdy tylko delikatnie zdejmę zeń ów parasol...

- Żeby zawisł nad którymś z nas?

- Tego nie można zupełnie uniknąć, Cyryl i Metody muszą mieć swoją przyjemność i swój zysk. Dostaną i nie będą nam przeszkadzać, niech pana o to nie boli mózg, biorę na siebie załatwienie tej sprawy.

Długo trwała pogaducha. Karśnicki chciał, żeby trwała długo, więc pytał ile wlezie, a „Petro” tłumaczył, przekonywał i nawijał do późnej nocy. W tym czasie w jego mieszkaniu bobrowali Klon, „Ogień”, Jędrak „Kuśka” i Marek „Uważaj”. Staś „Ogień” miał znajomego, który był geniuszem w otwieraniu wszystkich zamków, od kas pancernych, poprzez samochody, do torebek - on ich wpuścił. „Dżek” dostał prikaz:

- Nic, ale to nic, najmniejszy drobiazg, najmniejszy karteluszek czy szpilka, nie może zmienić swej pozycji, pamiętaj! I żeby mi któryś nie wziął papierosa do ust, albo nie chciał korzystać z klozetu! Uwaga na frędzle, nie wolno ich ruszyć, pod dywany nie zaglądamy, tacy ludzie jak on niczego nie chowają pod dywanem. To samo z bielizną. Wszyscy w rękawiczkach!

Kapcie (by nie zafajdać podłóg), rękawiczki, latarki i „Canon” z fleszem - Jacuś natrzaskał od groma zdjęć różnych papierków, jak leci, nie przeglądając, bo czasu nie było, a klisz miał dość. Wszystko do śmietnika, nic podejrzanego; pełne rozczarowanie, gdyby nie dwa drobiazgi. Wśród odręcznych zapisków na biurku ten mamrot:

„Waleczność to emanacja drapieżności i krwiożerczości pierwotnego instynktu, folgującego potrzebie niszczenia i zadawania bólu, a dziś maskowanego heroizmem lub sportem. Bohaterowie prastarych sag, którzy przy homeryckim wrzasku rozłukują hełmy, kości i tkanki takich samych zwierząt, parobczaki z bawarskich gór, nie wyobrażające sobie ludowego festynu bez siarczystego mordobicia, i współcześni mistrzowie karate, którzy słuchają hymnów stojąc z medalami na piersiach i z wciąż nie ugaszoną gorączką

bicia w piersiach - niczym się nie różnią dla psychologii, biologii oraz pokrewnych dziedzin. Lecz ważniejszy jest mianownik socjopolityczny u zabijaków wszystkich epok. Łączy ich to, że bez nich niczego nie można dokonać w podziemnej lub prywatnej wojnie - stanowią sól małych kampanii, lokalnych gwałtów, przewrotów, zamachów i kontrzamachów; tam gdzie pułk to zbyt dużo, a intryga zbyt mało, tam ich miejsce. Myśl zaborcza bez pięści jest tylko mrzonką, orgią marzeń, bezorężni prorocy zawsze ponosili klęskę. Wniosek numer jeden: niezbędność tego typu natur. Wniosek numer dwa: trudność w hodowli natur zbójceckich, a przy tym nie zdegenerowanych, czyni każdą z takich grup unikatem - posiąść ją, to posiąść skarb. Zuchwałe ryzykanctwo należy do atawizmów, lecz większość ludzi poprzestaje na ersatzach, zastępczo wynagradzając sobie niemożność krwawych bojów hazardem o wysokie stawki, kibicowaniem, sportem etc., zaś tak zwany margines daje ujście atawizmom w myśl ideologii typu: «dupa, sznaps i kop». Dziesięciu wyszkolonych do perfekcji, zdyscyplinowanych łamignatów, to w świecie armijno-policyjnym nicość, lecz w świecie przestępczyni, w którym zadżumiona jest broń palna, a prostactwo, cwaniactwo i alkoholizm osłabiły sprawność fizyczną, to potęga, która złamie każdy opór...".

- Typowe dla filozofii, pseudopsychologiczny bełkot z banalnym słusznym wnioskiem - rzekł Karśnicki. - W zachodnich państewkach przestępczych wystrzelano by was w jedną noc. Ale tu się nie strzela, dlatego tak gładko wam idzie. Oto jeszcze jedna wyższość socjalizmu.

- To było o nas - mruknął „Dżek”. - A teraz coś o panu, proszę bardzo.

I podał odbitkę z drugim tekstem.

- Tyż pikną laurka!

Tak, to też był śliczny brech, Heldbaumowy bezwarunkowo, nawet gdybym nie wiedział, że wyjęli to z Heldbaumowej chaty, poznałbym fason:

„Marzenie poetów i epików, umiłowana postać literatów, pupil dramatopisarzy i scenarzystów - wódz idealny, nadczyłowiek, super-władca (władca swych myśli, emocji i popędów oraz władca tłumów), geniusz czynu, którego Bóg albo los obdarzył «wolą mocy» - nigdy nie istniał, nie istnieje i nie będzie istniał, chyba że kiedyś spłodzą takie monstrum elektronik z cybernetyczką. Jako «nadczyłowiek» czasów współczesnych, ideał przyszłego rozwoju ludzkości, jest to wymysł Nietzschego. Heroiczny ideał Nietzschego

jednoczy w osobniku najwyższe zdrowie i najwyższą mądrość. Nie ma takiej kombinacji, biologicznie to absurd. Nie można jej stworzyć, tak jak nie można wyhodować superwysięgowego konia, który będzie też superpociągowcem.

Jakże dalecy od ideału Nietzschego są najwięksi z wodzów i władców! Cezar, Fryderyk, Napoleon czy Bismarck to mechanizmy rozchwiane, pełne psychicznych powikłań, depresji, sprzeczności, skłócone ze sobą, wciąż zmagające się z upiorami swych dusz. Było tylu obdarzonych silniejszą «wolą mocy» i nie mniej ambitnych, a nie przypadła im żadna z historycznych ról, podczas gdy przypadły one znerwicowanym zamyśleńcom, których w początkach trzeba było popychać do czynu (jak w Brumaire'owym dniu pchnął roztrzęsionego Napoleona brat), a dopiero później władza była dla nich źródłem duchowej potęgi. Można rzec o tych naturach rozdieranych koszmarem i nienawiścią, wątpliwościami i hamulcami, że nie wygrywają wolą mocy, lecz zaszczeponą im mocą wbrew woli. Jest to zjawisko równie bliskie historii, co neurologii. Gest mocnego człowieka jako ochronny puklerz, mimikra kompleksów, nadkompensacja słabości, przewycięzanie samego siebie, aż do krasomówczego ideału jękały Demostenesa.

Nie można wszakże na tym tłumaczeniu skończyć, nie można wyczerpać wszystkiego jednolitą formułą historyczną bądź neurotyczną, nie można wszystkich zagadnień osobowości rozstrzygać według szablonu potrzeby nadkompensowania u pozornie silnego słabego. A irracjonalizm? Los, szczęście, dziedziczność, cała astrologia genetyczna i metafizyka czyli nierozpoznawalność rozumem? Tysiące spragnionych nerwicowców dokonują ogromnych nadkompensacyjnych wysiłków przeciw swej słabości, dochodząc tylko do nerwic, do pustego teatralizmu lub do przeciętnych osiągnięć, bez względu na pomoc, jakiej się im udziela, na siłę, z jaką ich pcha pomocna dłoń. Gdzie jest klucz? Gdzieś poza sceną musi być zawsze Archimedesowy punkt oparcia, dzięki któremu maszyna przeobrazi się w sukces...".

- Freudyzm dla ubogich! - skomentował to „Książę”. - Dżyngis-chan był mocarzem, bo w dzieciństwie się trząsł, gdy usłyszał szczekanie psów, w młodości siusiał w majtki, miał kompleks Edypa, nerwicę epileptyczną i klaustrofobię, a brat przywiązywał go do siodła, żeby w bitwie nie spadł ze strachu! Teoria impotencji arcytwórczej, syndrom karła zwycięzcy!... Dlaczego myślisz, że to o mnie, Klon?

- Bo ten typ chce mieć superksięcia z retorty - odparł Jacuś. - To alchemik...
- Rozwijasz się, brawo - rzekł Karśnicki. - Ale nie ty wymyśliłeś tego alchemika.
- „Ogień” tak powiedział. Co pan o tym sądzi?
- Że inteligencję ma większą niż na to wygląda.
- Kto, Heldbaum?
- Nie, Garoń. Jest inteligentniejszy w słowach niż w oczach. Oczy Heldbauma są inteligentniejsze od słów.
- Właśnie pytam o te słowa... Tak naprawdę, to co o tym myśleć?
- Nie musisz o tym myśleć.
- Ja tylko pytam...

Karśnicki sięgnął po pudełko z zapawkami, znak, że zaraz jedną wyjmie, wsadzi do ust i tym da sygnał: stop, możecie iść!

- Nie chcę myśleć, „Dżek”. Musiałbym uznać, że któryś z was zdradził, gdybym pomyślał, że to zostało napisane tylko w tym celu, abym ja to ukradł i przeczytał. Więc wolę tak nie myśleć, chociaż to wygląda jak napisane dla mnie, tuż przed rewizją u niego.

- Nikt z nas nie zdradził! - krzyknął Jacuś. - On mógł przewidzieć nasz skok!
- Mógł. Ma „zdolności umysłowe zwane analitycznymi” - rzekł komendant „batalionu” i wsadził zapawkę w zęby.

Tydzień później odbyła się konferencja „waletów”, którą zwołał „Pan Kazio”, czyli Grausz wel „Szpikulec”. Chodziło mu o konferencję pojednawczą, żeby wyjaśnić spory, zakończyć wojnę i ustalić nowy ład. Ale kilku szefów nie przyjęło zaproszeń do chatki „Pana Kazia”, stwierdzili, że boją się podsłuchu. Chcąc nie chcąc, musiał wyrazić zgodę na spotkanie w starej cegielni koło Miedzeszyna, gdzie gang cementowy Siennickiego miał swój magazyn.

W noc przed tym dniem kimałem bardzo do luftu. Śniła mi się Danka na golasa. Robiła takie numery, że się wnerwiłem i wstałem. Filuję na sikor, trzecia! Łyknąłem mineralną w kuchni i znowu w bet. I co widzę. Danka oraz Heldbaum ćwiczą seksualne judo! Staruch ma taki gnata jak lufa w mózdzierzu, a na czubie... wyszczerzone zęby! Śmiał się i od tego śmiechu wziął mnie straszny cykor. Znowu otwieram patrzyłki, żeby przegnać marę. I tak do rana!

Spotkanie miało miejsce po południu. Wszyscy punktualni jak przedwojenna PKP. Wszyscy w ciepłych katanach, bo był chłód. Wszyscy z obstawą. Goryłtka zostawili na zewnątrz, a „waletów” Grausz zaprosił do stołu, który był niegdyś ozdobą jadalni ceglanego przedsiębiorstwa.

- Gdzie Rosuń? - spytał Zdunkiewicz, udając głupiego.
- Rosuń zwiął za granicę, na saksy - odburknął „Pan Kazio”.
- Jak to zwiął?

- Zwiął, bo miał dość tego, co wyprawiacie! Dostał pietra! Wywiózł cały mająt, chałupy opylił i ma nas gdzieś! Nie mógł wytrzymać nerwowo tej wojny! Właśnie o tym chcę z wami porozmawiać, durnie! Wyjaśnimy wszystko od początku. Tu, teraz! O co poszło, jak się zaczęło, kto do kogo ma jakie pretensje... To nie może dłużej trwać, bo wykończy nas wszystkich, rozpieprzy cały system! Źle wam było, gnoje, tak jak dotąd?! Gwiazdki z nieba wam brakowało! Po co ta wojna? Każda wojna przynosi tylko trupy, kłopoty i straty, z wojny nie ma żadnego pożytku, nikt się nie nażre! Wojna potrafi grzebać i niszczyć, ale nie rodzić...

- Nie pierdol, Kaziu! - odezwał się ciepły bas zza pleców nawijającego. - Dwójka z historii!

Pod dachem wielkiego pieca do wypalania cegieł ukazał się „Petro”. „Szpikulec” nie przetarł oczu, ale miał ryj kogoś, o kim się mówi, że „tarł oczy ze zdumienia”. A „Petroniusz” ciągnął:

- Przez trzydzieści lat, gdy rządili Medyceusze i Borgiowie, nie było dnia bez wojny, terroru, przelewu krwi. Włochy wydały wówczas Leonarda, Rafaela i Michała Anioła. Przez pięćset lat nieustannego pokoju, dobrobytu, demokracji i braterskiej miłości, Szwajcarzy stworzyli zegar z kukułką! A ty trujesz, że wojna to grób. Dla jednych tak, a dla innych wojna to odrodzenie. Piłsudski nie zerwałby łańcuchów z polskich rąk, gdyby nie wojna światowa. Wojna buduje. Coś się kończy, a coś się rodzi na gruzach starego. Ty jesteś ten gruz, Kaziu. Idzie nowe!

- Cooooo!!! - zasyczał „Kaziu” jak wąż, który robi stójkę. - Ty tutaj, Heldbaum?!... Skąd?

- Ja tu jestem wodzirej ceremonii, która ma rozpocząć nową kadencję demokratycznych władz - odparł „Petro”. - A ci panowie są gronem elektorским, które w

zgodzie z procedurą wyborczą, jaka obowiązuje w systemach demokratycznych, dokonają wyboru. Stajesz w szranki, czy składasz dymisję?

Grausz zrozumiał, że nie można traktować serio podobnych wygłupów i się uspokoił:

- Z tobą chyba źle, dziadzia, na starość ci walnęło. Nie wiem, kto cię powiadomił i kto cię tu wpuścił. Wiem, kto ci pomoże stąd odpłynąć.

I wyjął z kieszeni gwizdek, taki, jaki mają sędziowie na meczu. Wsadził do ust, zagwizdał i czekał na swoje pieski, ale się nie doczekał. Gwizdnął znowu, trzykrotnie, ostro, przywołując: do nogi, już! Nikt z podwórka nie wbiegł, wszyscy wewnątrz spoglądali na Grausza, a jemu robiło się tyso coraz bardziej - wyglądał jak samotny kretyn z gwizdkiem na środku stadionu. Heldbaum podszedł, stanął blisko niego i pokiwał głową:

- Dokładnie tak, Kaziula, masz odruch prawidłowy, możesz mi nagwizdać. Zagwizdź sobie jeszcze, jeśli to ci sprawia przyjemność. Ale swoich gorylków nie oczekuj, oni się nie zjawiają.

Grausz wyjął gwizdek z ust.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że ktoś im zakazał. Ktoś lepszy od nich w każdej dziedzinie, nie tylko w myśleniu, o co nie byłoby trudno, lecz i w biciu. Zainkasowali po pupciach i do kąta! Będą w nim stać, aż się skończą wybory.

- Jakie wybory, co ty chcesz, Heldbaum?!

- Demokratyczne. To znaczy jawne i nieskrępowane - wyjaśnił „Petro”. - Bać się chyba nie musisz, Kaziu, sam skompletowałeś grono elektorskie i sam je tu zaprosiłeś, oni będą głosować.

- Za czym głosować?

- Za tym, czy tobie i „Basiorowi” przedłuża się mandat na tak zwany ster rządów. Czas to pieniądz, nie warto go mitrzyć. Przystępujemy do głosowania. Panowie, który z was jest za starą ekipą, rączka do góry.

Ani jedna graba nie frunęła nad stół.

- Nie widzę - podliczył „Petro”. - A teraz kto jest za odstawką dotychczasowych wodzów?

Wszystkie „walety” podniosły dłoń - dwanaście grabul zawisło nad blatem.

- Aklamacja - stwierdził „Petro”.

„Szpikulec" sięgnął pod płaszcz, ale zza jego pleców rozległ się szcęk broni - skąd mógł wiedzieć, że to tylko straszak?

- Wyjmij i rzuć! - krzyknął „Hindus". - Albo dostaniesz w plechy! No!

Spluwa powędrowała na cement.

- Odkopnij! Daleko!

Grausz kopnął pistolet. „Petroniusz" zapytał:

- Masz pozwolenie na broń, Kaziu? Nie masz! Jak można tak łamać prawo, czy ci nie wstyd? Człowiek z lordowską prezencją, a przestępca! Nieładnie... A teraz przystąpimy do wolnych wniosków, kto...

Z boku rozległ się- przepity głos „Basiorowego" szwagra, o którym wszyscy zapomnieli:

- Po jego powrocie będziecie gorzko żałować! On się z wami porachuje! Już on wam da!... On... on z wami zatańczy!

- Stul pysk, gnido! - rzekł Heldbaum i szwagier stulił dziób. - Byliśmy przy wolnych wnioskach. Proszę składać propozycje co do sposobu ukarania obywatela Grausza za nielegalność, to jest za brak papierów na broń i na organizowanie zebrań o charakterze konspiracyjnym. Słucham panów.

- Dać mu w dupsko! - powiedział Zdunkiewicz.

- Kto za?

Wszyscy byli za. Kapowałem, że cały cyrk z góry ustalono, ale nie wiedziałem, że wytną taki numer: Grausz dostał chłostę w gołego dupała! Położyli go na stół, dupą do góry, i ściągnęli gać. Każdy przywalał mu dłonią, aż huk szedł po sali. Bolało go, krzyczał jak szczenię. W ten sposób Heldbaum odebrał mu godność. A potem rzekł:

- Idź! Możecie jechać, ty, kierowca i pan szwagier. Jak się pospieszysz, to ugasisz swój dom, cosik się tamój zajęło...

Jechali do oporu szybkościomierza, żeby zdążyć. Zdążyli na swój pogrzeb, wyjmowano ich palnikiem, po kawałku, z gabloty rozpieprzonej w drobny mak o beton. Ktoś im wcześniej „zreperował" system hamulcowy i nie mieli hamulców. Przy stukilkudziesięciu na godzinę bez hamulców nikt nie wyrobi, nie ma silnego, silna jest tylko śmierć.

Do tej pory wiedziałem, że Heldbaum nie posiada hamulców w języku, a odtąd, że w ogóle nie posiada hamulców, gdy ma w sercu nienawiść. Nigdy nikogo się tak nie bałem, jak jego.

Cyrk wciąż szedł, teraz był drugi akt. Maestro-wodzirej zapowiedział gwiazdę wieczoru:

- Dach kościoła, tak jak w przyrodzie, nie znosi próżni. Pan Bóg chce mieć nowego papieża, a wy stanowicie konklawe. Nie ma kandydatów, jest kandydat!

Wszedł Karśnicki. Jak duch, nie wiadomo skąd, z półmroku. Zamiast twarzy miał czarną maskę o trzech wycięciach: na oczy i na pysk. Staruch odwrócił się do niego, lecz odezwał do „waletów”:

- Kto przeciw, w górę dłoń!

Nikt nie uniósł.

Heldbaum, stojąc do nich tyłem i nie widząc, podliczył:

- Werdykt jednogłośnie. Amen!... Nie słyszę braw!

Grzmot oklasków. Kiedy umilkły, Heldbaum powiedział:

- Całuj rękę, której nie możesz obciąć, tak mówi któreś z przysłów wschodnich.

Kolejno!

Podchodzili kolejno do „Księcia”, żeby ucałować go w czarną zamszową rękawiczkę, i wracali do stołu, nie wiedząc już, czy to oni śnią palmę jawy, czy to jawa kpi sobie z nich. Heca była cyrkiem, filmem i snem naraz, szajbą na kółkach, tylko że jakoś nikt się nie zaniósł od śmiechu. Heldbaum chciał wstawić kolejną mowę:

- A teraz...

- Teraz zamilcz! - przerwał mu człowiek z czarną maską. Powiedział to szeptem, który odbił się od ścian i uzyskał cmentarny pogłos.

- ...Zamilcz! Nie lubię cyrku! Ale jeśli już zrobiłeś z tego cyrk, to niech tak będzie, wytresuj ich jak cyrkowe zwierzęta! Niedźwiedź był przyuczony do tańców na rozpalonej płycie, tygrysy i lamparty zmuszono do siadania na tyłkach dżgając rozżarzoną szpikulcem pod gardło, pawiany przez pół roku okładano batem, aby przyzwycząić do naśladowania ludzi. Do posłuszeństwa! Nieposłusznych zabij. Nie lubię nieposłusznych. I fajtlapów. Gdybyś spostrzegł, że nie dajesz sobie rady, zabij sam siebie, żebym ja cię nie musiał zabijać, gdyż to byłaby gorsza śmierć!... To samo was tyczy! Nauczcie swych

chłopców posłuszeństwa zwierząt, albo do piachu! Ten burdel, który trwał, nie będzie trwać! Koniec! Heldbaum przekaże wam nowy regulamin. Na razie: pa!

Odwrócił się i zniknął w ciemnościach. To „pa!” zabrzmiało jak huk wystrzału. I wszystko to był pic. „Książę” nie lubił picować, lecz do odegrania tej komedii uprosił go „Petro”. Wiedział, że jeśli nawet któryś z „waletów” zbyt poważnie nie zechce tego traktować, to nazajutrz, gdy dostanie wiadomość o śmierci Grausza, zrobi się bardzo poważny. I tak było: poruta, błądy strach, koniec żartów i głupich myśli. Komedie zamieniła się w tragedię. Wszyscy musieli grać serio.

Odwiozłem „Księcia” do domu, myśląc cały czas: to już, tak łatwo, po wszystkim? Jakbym poszedł do kina, a teraz wracał z kina, jeden seans, dziewięćdziesiąt minut. Niesamowite wrażenie. To był Meksyk!

W tę noc „Książę” dał mi samochód, żebym sobie pojeździł sam. Umówiłem się z Danką na ranny spacer. Była piąta jak przyjechałem pod jej blok. Puściutkie miasto, pan i pani w swoim wózku, cisza, półmrok, mrugające latarnie, asfalt lepki od niziutkiej mgły, można jechać z każdą szybkością nie zważając na światła, można parkować gdzie się chce, można czuć, że wszystko należy tylko do dwojga ludzi - tę nieziemską radochę, której, gdy sfajczy się młodość, nie zakosisz, nawet kiedy zgarniasz miliony dolców, setki dup i dziesiątki chat.

Na szóstą odwozłem ją do roboty. Ciemność trochę zbladła. Lato już wygasło, poranki utraciły swój blask, przeszły w szarość i wilgoć, w światła palące się za oknami tych, którzy wstają na ranną zmianę i w przemarznienia tych, co formują kolejki do sklepów na kilka godzin przed otwarciem, żeby kupić kilogram łożu sprzedawanego jako mięso.

Zaczynał się jeszcze jeden, ten sam dzień. Tylko na Pradze rodził się nowy świt. Ale nie nowy ustrój. Bo to nie była rewolucja, lecz zmiana warty.

VII

Stary miał „zdjąć delikatnie parasol” znad Durowicza i w dzień po tym, jak „Książę” stał się „Księciem”, zameldował, że fertig. Delikatność tego numeru nie dawała się skontrolować, bo nikogo z nas nie było przy tym. „Książę” spytał:

- Gdzie pan prowadził rozmowy z milicją?
- W ogóle z nimi nie rozmawiałem. Rozmawiał z nimi Tołpik, przyjaciel Durowicza. Tołpik miał w ręku kontakt z Cyrylem i Methodym i dalej go ma, ale już dla kogoś innego, dawny boss przestał go obchodzić.

- Przyjaciel!
- Nikt tak pięknie nie zdradza jak przyjaciel, panie Karśnicki, żadna nowość - uśmiechnął się Heldbaum.

- Czego oni żądają?
- Kto?
- Milicja!
- Niczego nowego. Chcą, żeby było po staremu.
- To znaczy jak? Chcą mieć kontrolę?!
- Jaką kontrolę? Coś takiego nigdy nie istniało. Chcą mieć spokój.
- Zaraz, panie Heldbaum! Czy mam rozumieć, że możemy bawić się we wszystko, co nam się żywnie podoba?

- W granicach rozsądku.
- A kto wyznacza te granice?
- Nasza inteligencja oraz nasz instynkt samozachowawczy.
- A jeśli nam zabraknie obu tych cnót?

- To może nas kosztować drożej niż regularny haracz w postaci „odpisu dewizowego” dla stróżów moralności.

- Krótko mówiąc: aparat ścigania przestępstw nie wtrąca się do przestępstw?

- Wtrąca się w wymiarach koniecznych dla statystyki i dla gazet.

- I ja mam w to uwierzyć?

„Petro” nie wytrzymał i wyszedł z nerwów:

- Przecież to jest tak oczywiste, że nawet dzieci to widzą raz tylko ujrzawszy bazar!

Dziwię się, że przy pańskim mózgu, który jest grubo ponad przeciętnym ilorazem... Niech pan spojrzysz na bazar! Każdego dnia spekulanci wystawiają deficytowe dobra, koszone spod ład i z zapleczy państwowych sklepów, z państwowych magazynów, z państwowych hurtowni, z państwowego transportu, od szynek do skarpetek, poprzez wszystko, ale to dosłownie wszystko, czego w sklepach brak i co podlega reglamentacji. Jest to wciąż chłostane na łamach dzienników i ekranach telewizorów, a spekulant bez żadnych przeszkód uprawia swój proceder, krzykiem reklamując towary! Jednocześnie w tych samych gazetach czyta pan, że za kradzież dwóch butelek alkoholu skazano kogoś na rok, dwa lub trzy, plus przepadek całego mienia! Taki sam wyrok dostaje babcia, która w swoim mieszkaniu handluje wódką. Wniosek? Babcia i ten pijak, co rąbnął dwie flaszki, robili to, co robili, pokątnie, a ich działalność nie przynosiła pożytku propagandowego. Spekulantów można byłoby skasować w mig, wyrznać w pień, jak to mówią, ale trzeba byłoby najpierw chcieć to zrobić. Dlaczego władza nie chce? Bo w to, że nie może, nie uwierzy nikt, kto ma ciut oleju. Może, może, psów jest dość. Nie chce. Straciłaby alibi. W sklepach wszystkiego brak, bo wykupiły te cholerne spekulanty! Gdyby nie oni, wszystkiego byłoby w bród! Błogosławiona spekulacja! Nie kasuje się sprzymierzeńców...

- To rozumowanie głupich!

- Głupi są zawsze i wszędzie ogromną większością, a demokracja ma za podstawę większość.

- To samo powie mi pan o rozbojach, kradzieżach, wszelakich bandytyzmach... o grubej przestępczości.

- Co mam powiedzieć?

- Że też błogosławiona.

- Po trzykroć błogosławiona! Proszę sobie wyobrazić AIDS antykryminalny, pomór przestępców, wyginęli do ostatniego! Trzeba rozwiązać milicję! Zostałaby tylko drogówka. A nie żartując: jak przy drastycznym spadku przestępczości można byłoby tłumaczyć utrzymywanie armii milicyjnej, która jest podporą dyktatury proletariatu? Cóż lepiej wywołuje tęsknotę za twarzą milicjanta, niż gęba przestępcy? Społeczeństwo permanentnie nękanie przestępczością nie musi kochać milicjanta, wystarczy, że pragnie go mieć. Powyżej pewnego progu przestępczości siły represyjne to nie banda zamordystów, lecz obrońców. I o to chodzi. Przestępca jest dla MO tym, czym diabeł dla egzorcysty - partnerem warunkującym sens bytu. Nie kasuje się współnika...

- Wszystko to jest rzeczą oczywistą, ale dotyczy gwałtów, rozbojów i włamań! Zorganizowana przestępczość...

- Zorganizowana przestępczość ma też dużo zalet, bez których socjotechnika władz ludowo-demokratycznych nie może, lub nie chce, funkcjonować. Nie jestem władzą, więc nie znam wszystkich sekretów i wszystkich odpowiedzi. Ale mam wzrok. Widzę na przykład, że przed każdym z „Pewexów” i banków roją się hordy cinkciarzy. Działają tak otwarcie, że wprost legalnie! Jest to przestępczość zorganizowana w pełni, nie ma tam miejsca dla wolnych strzelców spoza hierarchicznego układu, wszyscy o tym wiedzą. Wiedzą, że jeśli nawet, z rzadka, ktoś zostanie aresztowany, to był amator spoza układu, lub dureń, który podpadł szefom. Proceder jest jawny, uliczny i niedotykalny! Nie karane codzienne przestępstwo na oczach tłumów! Wniosek? Wniosek wyciągnij pan sobie sam.

Wniosek... Jak już poznaliśmy wszystko, do spodu (trochę miesięcy to zabrało), przyszedł i taki wniosek, że prawie każda przestępczość jest „przestępczością w pełni zorganizowaną”. Spekulacja również. Ta gruba - telewizory, pralki, lodówki, maszyny do szycia, każdy Meksyk na elektryczność. Kierownik sklepu i ekspedient nie wie, kiedy przyjdą charakterne towary, to samo informacja handlowa, pełny burdel, nikt nic nie wie, wiedzą tylko spekulanci, których szefostwo ma zblatowaną służbę zbytu u producentów. Jest cynk i jest rozkaz, po którym zawodowi „stacze” formują kolejkowy ordnung, ze „społeczną listą”, frajer rzadko na nią trafi.

A jak wtenczas zapanowała cisza po ostatnim zdaniu starego, to nasz wódz miał już ostatni, najostatniejszy czas, żeby wyciągnąć wniosek: olewam taki układ, beze mnie, cześć wam panowie magnaci! Bałem się, że tak zareaguje. W jego milczeniu ta myśl była.

Ale zaszedł już zbyt daleko, już nie mógł, bo wcześniej zdecydował i nastawił swój organizm jak sikor na tę grę; chciał to zagrać, chciał, żeby szara nuda zamieniła się w coś nierealne, szajbnięte, filmowe, kto by nie chciał? I może to, co powinno było go odrzucić, cień glinolandu, może to go właśnie rajcowało: zatańczyć z każdym, z nimi też!

Heldbaum, bojąc się owej ciszy, z tego właśnie powodu, że wniosek mógł być: pas! - przerwał ją:

- Durowicz jest mój. Gdzie go panu przywieźć?
- Do tej cegielni. Bardzo ładna scenografia. Głos ma tam echo... - rzekł „Książę”.

Pierwszym, którego zakatrupił, był Benek „Kosa”, wtedy na „mordopraniu”. Ogólny łomot i przypadek. Durowicz był drugi, ale jego nie przez przypadek. Może gdyby Durowicz błagał, to by się uchował, ale on nie tryfił, pyskująca bezczelność. Dali mu po ryju, a rura nie zmięła mu nic a nic. Gdy chcieli poprawiać, „Książę” nie dał:

- Dość! Zostawcie mnie z nim. Czekajcie przy samochodach.

Wyszliśmy przed cegielnię, na podwórko. Coś strasznego wisiało w powietrzu. Dobiegł nas skowyt, jakby ktoś dusił kota, i wyszedł Karśnicki.

- Zakopcie go! - rozkazał, po czym wsiadł do wozu.

W wozie Heldbaum zaczął mu tłumaczyć:

- Tak nie wolno, to zbyt niebezpieczne! Każdego można usunąć, lecz nie w ten sposób! Śmierć ma być naturalna! Na skutek zawału lub w kraksie samochodowej, jest wiele metod... Ale człowiek nie może zniknąć, bo potem dużo kosztuje zakłajstrowanie sprawy!

- Stać nas! - warknął „Książę”. - Masz miesiąc! Za miesiąc chcę mieć nazwiska i adresy tych, którzy dokonali gwałtu! Powiedziałaś, że kiedy Praga stanie się moja, nie będzie z tym trudności. Praga jest moja. Miesiąc!

Listę nazwisk Heldbaum przyniósł po tygodniu. Z adresami był kłopot, chłopcy już zmienili adresy. Prócz jednego. Ten nie miał kulasa, oberwał sobie, grzebiąc przy znalezionym pocisku. Na rozkaz „Księcia” wrzucono go w Jeziorko Kamionkowskie. Utonął, nie umiał pływać, a do tego z jedną girą... Pozostałych adresów trzeba było szukać. Miesiąc.

Przez ten miesiąc Karśnicki też zmienił adres: Rosuniowa willa stała się jego willą, wszystko po legalnemu, papierki, stempelki, żadne Mellerowe fałszywki - saskołęski

pałac dla „Księcia”. „Petro” załatwiał to od A do Z; „Petro” coraz więcej załatwiał, był w ciągłym ruchu i to go odmładzało, promieniował z satysfakcji. Cieszył się, że szef tak mało się wtrąca, jakby nie wiedział, że to tylko do czasu...

Karśnicki zajął się chatą. Dwóch kierowników „Desy” dostało w łapę i willa przemieniła się w muzeum: antyki, obrazy w starych ramach, „persy” i „afgany” na podłogę, Matko Boska jaki Meksyk, Heldbaumowy Sezam był przy tym rudera! Troje mieszkańców: on, 'służąca i ja. Dostałem własny pokój! Kilka było też dla chłopców z „batalionu”, jak któryś chciał albo musiał przenocować, lub pomieszkać kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt dni. Zawsze ktoś się znalazł, ktoś czekał w kolejce, nawet nie za potrzebą, lecz radością, to był szpan z nim mieszkać.

Służącą naraił „Ogień”. Była ze wsi (co się dawało spostrzec po łydach, tylko u wiejskich dup jest taka słoniowa gicz), ale mieszkała w Warszawie, bo tu się przeniósł jej stary, aktywista ZMS, teraz urzędnik w Dzielnicowej Radzie Narodowej. Tyranizował ją, prawie nie wypuszczając z domu, który mu prowadziła. Wolno jej było chodzić tylko na mszę i do spowiedzi, to był jej ukochany świat, pobożność zastępująca seks. Seksu nienawidziła, może przez jakąś palmę (są takie kobity, co się rodzą bez tego chcenia do chłopów), a może przez to, że ojciec sprowadzał to kurwę, to urzędniczkę z DRN, i rypał na jej oczach, a one traktowały dziewczynę jak pomiotło: „daj!, weź!, wyjdź!”. Gdyby nie konfesjonał i Pan Jezus na ołtarzu, zadźgałaby tatusia nożem kuchennym, tak był kochany przez nią. Miała lat trzydzieści sześć i nie miała dokąd uciekać. Aż Stasiu, który ją zaczepił, jak zobaczył dławiącą się łzami pod kościołem św. Floriana, wskazał jej możliwość:

- Chodź pracować do lepszego człowieka, będziesz miała i na sukienkę i na tacę podczas mszy!

„Petro” chciał dać „Księciu” jakąś inną, swoją, więc tamta mu nie podchodziła. Sprawdził co i jak z tatusiem.

- Homunculus robotniczo-chłopski, ćwierćinteligent w pełnym tego słowa znaczeniu!
- zawyrokował. - Model klasyczny dla naszych czasów, o bardzo małych wrodzonych talentach i wielkich żądaniach, snuty na wybujałym poczuciu praw i małym zrozumieniu obowiązków. Urzędnik-dyktator, zamordysta w pracy i w chałupie. Przez takich jak on, na wszystkich szczeblach, aż do najwyższego, ten kraj jest źle rządzony, ale

jeśli takich się obsadza, to widocznie komuś zależy, aby tak było, widać ten kraj ma być rządzony źle. Miniatura Gierka, nawet prezencję ma niezłą. Groźny przeciwnik, bo uparciuch, złośliwiec i pieniacz, jak odbierzemy mu jego własność, to się wścieknie...

- Więc go uspokój! - przerwał Karśnicki. - Uspokój go tak, żeby mu się odechciało walczyć, pokaż mu kto jest panem! Albo zwińmy nasz kramik, uznając, że pierwszy lepszy gnój może nam mieszać tylko dlatego, iż nad jego biurkiem wisi ptak państwowy!

Heldbaum milczał przez parę chwil, a potem mruknął:

- Będzie zrobione, szefie!

I Mańka Dorot zamieszkała w pałacu. Kobieta-anioł, wszyscy ją polubili od pierwszego spojrzenia. Ją i jej wieczny uśmiech, bo ciągle się śmiała - tak ją to bawiło, że czyściec ma już odpracowany, a teraz nastał raj w nagrodę.

- Uczciwy tłumok, skarb! Uczciwa gosposia to dziś cholerna rzadkość! - chwalił sam „Petroniusz”.

- Skąd pan wie, że uczciwa? - zdziwił się „Dżek”. - Bo wciąż obraca różańcem? Czy dlatego, że jeszcze nie zdążyła rąbnąć sztućców?

- Dlatego, że wciąż się śmieje! „In risu veritas”! Śmiech jest uczciwością! - zaśmiał się „Petro” od małżowiny do małżowiny.

Polubiła ją też pani doktor. Jak pierwszy raz weszła, „Książę” ucałował ją w dłoń i rzekł:

- Pachniesz psami.

- Bo ja jestem psiara.

- Znowu ci przybyło?

- Kundelek. Żebyś wiedział jaki mądry!

- Jak kundel.

- Jak kundel, to najmądrzejsze z psów.

- Więc i ja jestem kundel.

- Chciałbyś! Megaloman!... Boże, ile tu metrów, to prawdziwe zamczysko! Fajnie jest mieć stryjów za oceanem!

Karśnicki jej nabajerował, że spadek od stryja w Chicago! Jakby powiedział, że od ciotki na Marsie, to mogłaby mieć wątpliwość, ale u nas co drugi ma amerykańskich wujów, więc dlaczego on miałby nie mieć?

- Skropimy dziś ten pałacyk! - zakomenderował. - Klubowy kumpel przywiózł wicemistrzostwo stamtąd, gdzie ślimak i żaba pływają w winie. I przywiózł jeszcze coś, coś dla nas. Cudo! Beaujolais, zbiór z zeszłego roku!

- Nie szkoda? Taki młodzik, niech poleży! Za sto lat zrobisz nim furorę, podając paniom, których dziadkowie już żyją, ale rodzice nie przyszli jeszcze na ten padół.

- Im młodszy rocznik Beaujolais tym smaczniejszy, to osobliwość tego wina! Głupcy żądają starych roczników, nie wiedząc, że ono z wiekiem traci swoje zalety...

- Widzisz, jaka jestem głupia! Im starsza, tym głupsza.

- I dlatego z wiekiem zyskujesz, mądrość to kalectwo dam! Płoszą tym samców! A ja przy tobie czuję się bezpiecznie! Jak już do końca się ogłupisz na starość, wezmę z tobą ślub.

- To dlatego, że trzeba być zupełnie głupią, żeby za ciebie wyjść?

- Zgadłaś.

Uśmiechnęła się oczami.

- Teraz, gdy masz dom, powinieneś już kogoś sobie znaleźć i mieć...

Zamknął jej dłonią usta.

- Ożeń mnie z którymś ze swoich pupilów. Przyda się w takiej chałupie. Będę miał wciąż twój zapach... Tylko nie z suczką, bo lubię inteligentne dialogi!

To był wilczur, czwarty lokator. Wybredniak! Jednych lubił, a drugich nie lubił. Karśnickiego lubił, „Ognia” lubił, Mańkę lubił i „Dżeka” też. Heldbauma nie znosił, na „Moskita” i Jędrka „Kuśkę” warczał, Heńka „Pelego” dziabnął zębem. Mnie nie lubił, skurwysyn! Ale to mi wisiało jak kilo kitu, jak nać, paszoł won! Przy Karśnickim był mus udawać, że kocham zwierzę, i się martwić: „Dlaczego Cyc na mnie kły wyszczerza?, kochany piesiulek!...”. Cyc to był skrót od Cyceron, „Książę” tak go ochrzcił.

Największa zgaga zesłała mi wtenczas z życiorysu: wojo! Dostałem kategorię D! Heldbaum to załatwił, miał wejścia. Potem załatwił innym chłopakom, nikt z nas nie poszedł w mundur. Lecz jeden poszedł w habit, a to jest też mundur i szereg, tylko na inną melodię się śpiewa, kolędy zamiast marszów. Dla mnie to nie był szok, ale panowie karatecy długo nie mogli się wyprostować. „Templar” wyciął im ten numer.

Mariusz „Templar” („Święty”) to był dziwny zawodnik, świrus. Najmował się do nocnych prac w szpitalach; jak przyjeżdżał do naszego kraju ten magik-uzdrowiciel,

Harris, to przy nim się pocił; krew oddawał za friko, i takie różne. Nie chciał robić przedstawienia ze swej sprawy, nie powiadomił kolegów (może się bał, iż będą naciskać, prosić, kombinować) - przyszedł wieczorem do Karśnickiego, aby zdać kasę „batalionu” i oznajmić, że wycofuje się od zaraz. Moja i Heldbaumowa obecność mu nie przeszkadzały.

- Masz prawo - powiedział „Książę”. - I masz powód. Jaki on jest?

- Wyjeżdżam, wstępuję do klasztoru, daleko, nie w Warszawie. Mam pociąg dzisiaj w nocy.

- To skutek, mnie interesuje przyczyna.

- Było dużo przyczyn. Planowałem to od długiego czasu, ale nie potrafiłem się zdecydować. Teraz się zdecydowałem.

- Jeśli tak dużo, to wymień kilka.

Chomicz spuścił wzrok.

- Muszę?

- Nie musisz. Proszę cię o to, „Święty”. Ale nie musisz.

- Wie pan... mój charakter... on był jedną z przyczyn. Moja psychika. We mnie zawsze był zakonnik, zawsze śnił mi się klasztor, ja chcę tam być... Gdybym mógł, to bym naśladował świętego Franciszka z Asyżu, ale do tego trzeba być świętym nie tylko z nazwy. I w tych czasach się nie da, bo by mnie zamknięto w domu wariatów. A ja nie chcę być w domu wariatów. Chcę być za murem, świat to wielkie zło, które mnie odrzuca. Ale nie w domu wariatów i nie w więzieniu... Potrzebuję ciszy, żeby móc usłyszeć Jezusa, bo jak dotąd mi się to nie udało.

- Mówisz o wielu powodach. Czy wśród nich i ja jestem?

- Jest pan wśród nich. Kiedy zapatrzyłem się w pana, chciało mi się jeszcze biegać na zewnątrz muru. Ale pan już nie jest tą osobą, w której się kochałem. Pan zabija! Może i ja bym zabił, gdyby skrzywdzono kogoś mi bliskiego, może, bo w amoku łatwiej jest zabić, niż nie zabić. Ale minęło tyle lat! A pan to robi, jakby minęło dziesięć minut. I czerpie pan z tego rozkosz. Jest pan okrutny. To się panu podoba, więc będzie pan coraz bardziej okrutny. Nie mógłbym na to patrzeć... Będę się modlił za pana. I za chłopaków.

- Oni wiedzą? - spytał Karśnicki.

- Nie wiedzą. Nie chcę się z nimi żegnać, bo musiałbym tłumaczyć, a tłumaczyć, to agitować. Nie chcę ich agitować przeciw panu.

- Zostaw adres.
- Na co?
- Może po latach któryś zechce cię odwiedzić...
- Nie życzę sobie, by mnie odwiedzali.
- A przyjaźń?
- Wolność jest ważniejsza niż przyjaźń.

Odszedł i zostaliśmy w milczeniu, którego ja nie ośmieliłbym się przerwać, ale „Petro” bał się takich milczeń, skracał je, gdy tylko mógł. Teraz wyjął z biblioteki któraś z книг, otworzył, gmerał i znalazł to, co chciał znaleźć, a jak znalazł, to zaczął głośno czytać, lecz nim znalazł, gmerając mówił:

- Sloganiarstwo! Dureń!... Wolność jest ważniejsza niż przyjaźń!... Jak z kabaretu, o wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkanocnymi!... Gdyby mu chodziło o przyjaźń z ZSRR, to owszem, wolność jest ważniejsza, ale w jego przypadku?... Mam! Czegóż to naucza mędrzec Machiavelli? Tak pisze!

I przeczytał:

- „Powiadam, że pragnieniem każdego księcia powinno być, aby rządy jego sływały z ludzkości, nie zaś z okrucieństwa. Niemniej wszakże księżę musi się strzec, aby tej ludzkości źle nie używać. Cezar Borgia uchodził za okrutnego, lecz to właśnie okrucieństwo jego przyczyniło się do zjednoczenia Romanii, do zachowania jej całej w pokoju i w lojalności. Gdy się postępowanie jego zważy w skutkach, okaże się, że było ono o wiele bardziej ludzkie, niż polityka Florencji, która, aby uniknąć miana okrutnej, dopuściła się zburzenia Pistoii. Nie ma tedy co lękać się księżę miana okrutnika, jeśli chce poddanych utrzymać w posłuszeństwie i jedności. Łagodniej postąpi kilka wymierzając kar srogich, niżli przez niewczesne pobbłażanie dopuszczając do rozruchów... Pośród wszystkich ksiąząt najtrudniej bywa uniknąć sławy okrutnika temu, kto nowe państwo buduje, gdyż położenie zmusza go do łamania mnóstwa niebezpieczeństw... Księżciu na świeżym tronie nie wolno przestrzegać reguł li-tylko dobroci. Co jest dla księcia lepsze? Czy to, by go kochano, czy też to, aby się lękano? Odpowiedź brzmi, że i jedno i drugie jest pożądane. Ponieważ jednak trudno sprawić, ażeby miłość szła w parze ze strachem, to o wiele bezpieczniej jest być przedmiotem strachu niż miłości, skoro jedno z tych dwu uczuć ma nie dopisać. O ludziach bowiem da się to w ogólności powiedzieć, że bywają

niewdzięczni, zmienni i obłudni. Póki im świadczysz dobrodziejstwa, są tobie oddani, lecz ta wdzięczność w godzinie próby kruszy się łatwo na skutek złych skłonności człowieka, mocniej utrzymuje niesłabnąca groźba kary. Jeśli ksiązę stoi na czele wojska, wówczas obowiązkiem jego bywa nie cofać się przed opinią człowieka okrutnego, gdyż bez takiej opinii nie podobna wojskowych utrzymać w karbach posłuszeństwa. Wszelako budząc postrach nie powinien ksiązę budzić przeciw sobie nienawiści, gdyż można być przedmiotem strachu nie stając się przedmiotem nienawiści... Streszczając rozumowanie powyższe zamykam je wnioskiem następującym: skoro sympatie ludzi zależą od ich skłonności, zaś postrach spoczywa w ręku księcia, rozumny tedy ksiązę polegać będzie na tym, co należy do niego, nie zaś na tym, co należy do świętych, unikać tylko będzie ściągania na siebie nienawiści, jak wyżej powiedziano".

Dziś, gdy to przepisuję (z „Księcia” w tłumaczeniu Wincentego Rzymowskiego), zauważam, iż stary znowu dał fałszywkę. Tu napisano: „co należy do innych”, on zaś zmienił na: „do świętych”, żeby Mariuszowe nie było na wierzchu, to jest, żeby racja Mariuszowa została tylko Mariuszowa i żeby Karśnicki nie brał jej pod uwagę. On wciąż milczał, więc „Petro” dorzucił:

- To najmądrzejszy z poradników i w ogóle ozdoba literatury. Przy tej książce większość książek winna mieć za motto zdanie, od którego w 1760 roku Imci Pan Michał Słoński zaczął wstęp do swego dzieła: „Czytelniku łaskawy, to idyotyczne y nikczemne Dzieło moje...”. Szkoda, iż styl przekładu jest nędzny, językowe niechlujstwo Rzymowskiego...

Karśnicki podniósł nań wzrok, jakby dopiero usłyszał, i rzekł:

- A co mówi ów poradnik o książęcym ministrze, panie Heldbaum? Proszę mi dać...

„Petroniusz” podał książkę Karśnickiemu, a ten, szukając krótko, znalazł i przeczytał:

- „Jeśli tylko ksiązę potrafi odróżnić, co jest dobre, a co złe, to nie będąc nawet geniuszem słusznie ocenić jest w możności postępowanie swych ministrów... Lecz w jaki sposób ksiązę poznać się może na wartości ministra? Oto sposób jeden, niezawodny. Zwróć uwagę na to, czy nie zajmuje się on więcej sprawami własnymi niż sprawami księcia. Jeśli w swym postępowaniu dba on o własną tylko korzyść, to nie może być dobrym doradcą i nie zasługuje na zaufanie”.

Skończył i oddał staremu, ale „Petro” nie włożył jej na półkę, tylko sięgnął po kolejny cytat:

- „Rzeczą już księcia jest pomyśleć o losie ministra, kiedy minister sam nie dba o siebie, wyposażyć go w dobra i *zaszczyty*. W ten sposób książę odejmie mi wszelką chęć poszukiwania na innej drodze bogactw i *zaszczytów*, przede wszystkim zaś zaszczepi mu strach przed jakimkolwiek przewrotem w państwie niebezpiecznym dla księcia, któremu służy. Jest to jedyny sposób nawiązania między księciem a ministrem jego zaufania, które dla obu stron zarówno jest korzystne i *zaszczytne*”.

Jakby chcieli, to by mogli bez końca gadać nie mówiąc, lecz czytając, zupełnie jak Marcin „Moskit” i Tomek „Wuj”, obaj wielbicieli Presleya i obaj twierdzący, że Elvis powiedział wszystko tekstami kilkuset piosenek (czasami robili taki zgryw: trzeba im było dać temat, nieważne jaki, od seksu do samochodów, a oni przez kwadrans prowadzili dialog na ten temat cytując tylko kawałki z piosenek Elvise; nazywali to „presleyowaniem”).

Karśnicki wrósł w fotel. Nie wstawał, gryzł zapałkę za zapałką, czekał? Nikt nie miał przyjść, więc na co mógł czekać? „Petro” bał się go zostawić w tym nastroju i nie odchodził. Mańka Dorot podała kolację (zaczęły się cymes kolacje, śniadanka i obiadki, jej menu było uuuuch!). Jedliśmy we trzech, ale jak trzech szama i wszyscy milczą, to nic nie smakuje. Spytałem, czy można zapalić telewizor. Przez cały wieczór gapiliśmy się w ekran, aż do hymnu! Cuda chodzą po ludziach, bo „Książę” był wróg telewizji, a nie wstawał! Siedział, międlil zapałkę i filował, jakby to go rajcowało. Nigdy przedtem i nigdy potem, tylko tego wieczoru! Nic nie mówił. Czasami tokował „Petro”, te swoje trele-mądrele, bez których by umarł, jak wąż nie mogący wysuwać języka poza pysk.

Najpierw był polski serial. Tytuł zapomniałem (ja zapomniałem!, ja, chociaż mógłbym powtórzyć słowo w słowo setkę dialogów z tamtych lat, niczym gość, który recytuje „Pana Tadeusza” pod konkursowe jury!). Pierdolec, bezdenne dno, kuku na muniu! Redaktor Maj załatwia element imperialistyczno-faszystowski w dewizowych krajach, piąchą, girą i spluwą, seryjnie oraz indywidualnie.

- Kurwa, kto to zrobił?! - jęknąłem przy kolejnym takim numerze jak „być albo nie być” w szkolnym przedstawieniu „Hamleta” na sali gimnastycznej.

- To nie robi ktoś, tylko coś. To coś nazywa się społecznym zapotrzebowaniem, synku - rzekł „Petro”. - Ale tak jest nie tylko u nas. Tak musi być. Filmy są coraz gorsze, książki są coraz gorsze, dziewięćdziesiąt procent ludzi w cywilizowanych krajach czyta tylko komiksy, ogląda seriale dla przygłupów i gapi się w wideo. Poziom trzeba obniżyć, gdyż liczba głupich niepowstrzymanie wzrasta, a wzrasta, bo beztrudno mnożą się tylko biedni i tępi, warstwy oświecone cechuje lenistwo na polu rozrodczości, przez co wciąż zwiększa się dysproporcja...

Po filmie szedł program kulturalny, z różnych kawałków („Pegaz” mu było), a w nim dyskusja o „rozwoju marksistowskich koncepcji waloryzowania struktur artystycznych”.

- To też serial. Pycha! - cmoknął „Petro”. - Codzienny odcinek „Dyskutantów”, każdego wieczoru biją jakąś pianę, udając myślicieli. Myślenie obowiązkowo dialektyczne! Nieustanna konfrontacja między fanatykami a kretynami, pojedynki tych, którzy mają to samo zdanie na zadany temat.

A kiedy w tej „dyskusji” ktoś napomknął bez entuzjazmu o jakimś przedwojennym facecie, już nie pamiętam, chodziło chyba o twórczość teatralną, czy „rozwój życia teatralnego”, „Petro” zauważył:

- Jakby był Żydem, to miałby już kilka pomników!

Nie mogłem się powstrzymać:

- I pan to mówi?

- A kto ma mówić? Goje tak myślą, ale mówić im wstyd. A ja mogę.

- Dlaczego wstyd? Wielu tak mówi, słyszałem nie raz...

- Mnie chodziło o gojów-intelektualistów, „Fokstrot”. Prostak głośno przeklina Żyda. A nieprostak tylko w myśli, bo panicznie się obawia, żeby go nie posądzono o rasizm. Nikt wykształcony nie chce być antysemitą. Ze wszystkich wynalazków, jakich Żyd dokonał, z Einsteinowskimi włącznie, ten knebel jest wynalazkiem najsprytniejszym. Autoknebel. Racja i prawda mogą być po stronie gojów, a ci założą sobie ów knebel, bo się wstydzą. My was możemy nie lubić, a wy nas nie, antysemityzm rzecz wstrętna!... Piękny numer!

Mańka, sprząając ze stołu po kolacji, wtrąciła swój głos:

- Żydy są psie krwie, proszę panów, Chrystusa zamordowały!

- A co miały robić z Chińczykiem? - mruknął Heldbaum.

- Niech pan nie będzie taki mądry! Ja wiem, że Chrystus też był Żyd! Ale to był inny Żyd!

- Finezja interpretacyjna i geniusz retoryczny soborów mówi przez ciebie, niewiasto. Wniebowstąpisz! Pod warunkiem, że przyniesiesz nam teraz kawę.

Odtąd Heldbaum nie miał już czego szukać u służącej Karśnickiego.

Na końcu były ostatnie wiadomości, Dziennik przed północą. O Gierku. Gierek mówi. Gierek patrzy, Gierek zwiedza. Sztymarzy biją mu brawo i skandują. Ziewający dyskretnie (grabula na dziobek) Heldbaum przyłożył:

- Kolekcja zbawicieli ludu! Najpierw nikomu nie znany agent, potem nawiedzony asceta, teraz głupi górnik. Następny powinien być strażakiem!... Edzio to największy farciarz z dotychczasowych, potworny głupek, ma typowy fart głupiego, nawet w tym systemie jest to Nikodem Dyzma wśród czerwonych wodzów!

No i hymn.

- Wstań, „Fokstrot” - rzekł Heldbaum.

- Dlaczego? Jak dają przez telewizję, to nie mus...

- Wstań, odwieziesz mnie do łóżka.

„Książę” kiwnął nam głową i został w fotelu z zapalną między zębami.

Teraz, kiedy mundur miałem ze łba, mogłem chodzić, gdzie chciałem, na Brzeską, na stare śmiecie, do mamuli i do Gienkowej chaty. Byłem czyścioch, glina mnie nie mogła brać. Poczuję się jakiś bardziej wolny, nawet Danka to zauważyła, choć przed nią dziób trzymałem na kłódkę; nie należy babom mówić o takich sprawach, głupie są, niejeden, który im zaufał, wyszedł na rąbniętego w czoło. Jak Karśnicki dał mi pierwszą pensję, duży szmal, przyniosłem do domu i kładę na stół, a matka w krzyk:

- Skąd tyle grosza?! Święta Maryjo, ukradłeś?!

- Zarobiłem, mamusiu. .

- Gdzie zarobiłeś?

- Jako szofer, u jednego prywaciarza. Strasznie nadziany gość.

- Jako szofer? A to on sam...

- On sam lubi siedzieć na tylnym siedzeniu.

- Józek!

- Pod chajrem, mammo!

- Jak się nazywa ten gość?
- Nazywa się Pan Stefan.
- A ubezpieczenie masz u niego?
- On ma lepszych konowałów.

Przeliczyła pieniądze, usiadła na stołku i w płacz. Z radochy, że synuś wystartował pionowo.

Karśnicki co miesiąc zwiększał mi dołę, a ja puchłem od dumy. Panisko! Danke zacząłem ubierać w eksportowy ciuch. To jest frajda, być dla swojej dziewczyny kawalerem ze złotą kieszenią, niby królewicz dla Kopciuszka z bajki! Ma się ten gest i to człowieka unosi w niebo... No dobra, ale zamiast o tym truć, powiem o „Książęcej” Pradze.

Heldbaum w kilka tygodni załatwił rzecz cholernie ważną: wtyki u każdego z „waletów”. Dobre wtyki, nie płotki, prawice szefostwa każdej z branż. A to braciszek, a to zaufany wspólnik, a to przyjaciel („Nikt tak pięknie nie zdradza jak przyjaciel!”) musiał kablować, czy jego szef nie robi nas w bólu.

Pierwszy wpadł Forynt, wódz od seksu. „Petro” chciał iść do Forynta z paru chłopakami, lecz „Książę” nie dał się wyreczyć. Przypomniał:

- „Obowiązkiem księcia jest nie cofać się przed opinią człowieka okrutnego, gdyż bez takiej opinii nie podobna wojskowych utrzymać w korbach...”

Złożyliśmy mu wizytę o północy, budząc. Forynt był kawaler (jak się uprawia taki zawód, to trudno być żonatym), w domu tylko on, jego przyboczny goryl, służąca i cizia do „manicure” (tak się wyrażał „Petro” o damskiej umiejętności robienia chłopom dobrze). Gospodarz musiał zejść do garażu, który był kiepsko ogrzewany, więc Foryntowa piżama równie kiepsko broniła go przed zimnem. Wlażł bosy, przy drzwiach otwartych, na zewnątrz było kilka stopni mrozu, pod girami cementowa posadzka, a przed nim typ w czarnej masce, którego już raz widział, w cegielni.

- Przyszedłem po dług, panie Forynt - rzekł „Książę”.
- Jaki dług?!
- Te trzydzieści tysięcy, których w zeszłym tygodniu nie dopłaciłeś zdając utarg. Jak widzisz, nie tracę do ciebie zaufania, bo nie mówię, żeś złodziej, tylko dłużnik, nie mówię,

że ukradłeś mi ten pieniądz, tylko że go ode mnie pożyczyłeś, aczkolwiek bez mojej wiedzy i zgody. Przyszedłem prosić o zwrot. Jeśli to możliwe...

Forynt zrozumiał, że został sypnięty, więc kłamstwo o „niedopatrzaniu” lub „pomyłce” można rozbić o kant dupała.

- Tak jest, proszę bardzo... zaraz przyniosę... - szepnął.
- Ile przyniesiesz?
- Jak to ile? No... pan powiedział, że trzydzieści tysięcy...
- Trzydzieści tysięcy to była pożyczka. A gdzie procent od długu?
- Tak, oczywiście... - szczęknął zębami Forynt. - Ile mam dać?
- Boję się, Forynt, że tyle, ile powinienesz dać, to ty nie masz, bo procent jest za duży.

Pożyczka była na milion procent! No ale jak nie możesz spłacić wszystkiego, to oddasz wszystko, co masz, spłacisz przynajmniej część długu. Wszystko, ze skarpetkami i chustkami do nosa włącznie! Zatrzymaj to, w czym stoisz.

Stał, trzęsąc się od strachu i od zimna - mróz, który chłostał przez otwarte drzwi i pełzył z cementu bosą girą w ciało, robił go sinym, a trzęsionkę zamieniał w drgawkę; Forynt miał już trudności z utrzymaniem pionu.

- I jeszcze coś - powiedział „Książę”. - My, to znaczy ja oraz kilku tutaj obecnych, nie lubimy pracować nocą. A to jest nocna zmiana. Mówi się: nocna praca, nocna płaca. Dodatek nocny. Ty nam go dasz!

- Z cze... czego... jak... wszyst... ko... mi... wzię... wzię... liście! - zaszczekały zęby Forynta.

- Coś jeszcze ci zostało.
- C... c... cooo?!
- Życie. I ręce. I hak, o ten, tutaj. A tam leży sznur. Za pracę nocną należy się nam widowisko, popatrzymy, jak ty to zrobisz, jak ci pójdzie z pętlą, słowem jak się wieszasz! Zrób to, a będziemy skwitowani.

Nie wiem, czy chciał go zamordować, czy tylko wzmóc w nim cykor. Nie tknęli go palcem. Forynt sam się przewrócił na zdrtwiałych girach, jak popchnięty manekin, wyrznął łbem o żelazny próg i oddał ducha. Czysty przypadek. W protokóle milicyjnym stało, że miał poślizg na plamie oleju. Pechowiec!

Strach wśród „waletów” od tej pory się zwiększył, pilnowano rachunkowości jak żrenicy oka, nikt nie pragnął pójść za Grauszem, Foryntem i Rosuniem, o którym Heldbaum rozrzucił plotki, że też wacha trawę od spodu.

Stary ubił na tym jeszcze jeden interes, przycisnął Karśnickiego, bo miał pewien pomysł:

- Tam w garażu mówił pan o procentach...
- Jakich procentach? Procentach od pożyczek.
- A tak, coś takiego było - przypomniał sobie Karśnicki.
- To świetna idea. Jest wielu takich, co mają duży pieniądź, lecz brak im trochę do dużego interesu, albo żeby w coś dużego zainwestować, albo potrzebują na szybką spłatę, albo ze stu innych powodów. Bank im nie da, a my...

- Co my?
- Rośnie nam góra szmalu, z którego zainwestowaniem mamy kłopot. Moglibyśmy pożyczać na duży procent, pieniądź się wówczas sam rozmnaża. Oczywiście z gwarancjami, zastawami i z poborcami, którzy potrafią przemówić niesumiennym dłużnikom do rozsądku... Stwórzmy nową branżę.

- Spółdzielnia lichwiarska Heldbaum-Karśnicki and Co.?
- Bank, prywatny bank dla prywatnej inicjatywy - zaproponował „Petroniusz”.
- Heldbaum, to jest lichwa.
- Lichwa, lichwa! I co z tego, panie Karśnicki! Znowu ogarnął pana wstręt? We mnie wstręt budzi klepanie stereotypów. Lichwa to be, synonim złego, gardzi się lichwiarzami. Nikt nie zada sobie trudu pomyślenia, że zawsze i wszędzie, w czasach dobrych i złych, wzmaga się inflacja. Mniejsza lub większa, ale nieustanna, wciąż kroczy naprzód, zżerając pensje, oszczędności, kapitały. I że procent, który bierze lichwiarz, jest czymś uzasadnionym, bo goni, lub przegania inflację. Lichwiarz, który brałby procent zbyt niski, zbankrutowałby po kilku miesiącach, byłby filantropem i samobójcą finansowym, i już nie byłoby od kogo pożyczać... Stówka pożyczona dziś, jutro warta jest osiemdziesiąt, więc co, mam pożyczać stówę, a odbierać osiemdziesiąt? Nie ten jest oszustem, kto pożycza na procent, ale ten, kto żąda pożyczek bez procentu, bo żądając tego żąda darowizny! Lecz taki skurwiel nigdy nie nazwie się żebrakiem, to obraza, nie, on tylko chce pożyczyć tysiąc i oddać za rok równy tysiąc! I to ma być w porządku?

- Zgoda - powiedział Karśnicki. - Masz rację, nic nie jest w porządku. Jeśli trzymamy patronat nad prostytutką, to dlaczego ma mnie zawstydząć lichwa?...

- Tu nie ma się czego wstydić - ucieszył się stary - bo wbrew pańskim słowom wszystko jest w porządku. Prowadzimy działalność charytatywną. Prostitution ewidentnie zmniejsza liczbę gwałtów i zbrodni seksualnych, jak choćby seksualne nadużycia w stosunku do dzieci. Lichwa daje ludziom szansę pożyczkową. Cinkciarstwo daje im możliwość sprzedania lub kupienia dewiz w kraju, w którym coś przyzwoitego można kupić tylko za waluty obce w specjalnych sklepach dla posiadaczy tych walut. Hazard to sposób na nudę komunistycznej wegetacji. Lewy alkohol po zamknięciu sklepów to przecież ów łyk, którego komuś zabrakło do szczęścia. Lewy cement i lewe samochody uzupełniają lukę rynkową. Fałszywa matura i fałszywe prawo jazdy wyrównują natomiast niesprawiedliwość genetyczną u osobników poszkodowanych przez biologię brakiem utalentowania do nauki, to wyrównywanie krzywd...

- Zostało jeszcze złodziejstwo - odpowiedział „Książę”.

- Do diabła, jedno przestępstwo wśród tylu dobrych uczynków! Nie bądźmy drobiazgowi...

- Ma pan kogoś na szefa?

- Jest taki zawodnik w bazarowym cinkciarstwie. Bardzo inteligentny, duży mózg. Z wykształcenia matematyk, z zamiłowania poeta. Mam na niego oko.

- Jeśli taki mózg, to czemu wybrał bazar, a nie naukową karierę, lub sławę poety?

- Bo nie kocha topionych serków i drobnych banknotów!... Pan ciągle widzi to środowisko jako zwyrodniałą, pijaną, pozbawioną wyższych uczuć mierzwę. Ma pan coś z owego Chińczyka, który się dziwił, że wszystkie kobiety europejskie są brzydkie, podczas gdy Chinkom brzydota przytrafia się tylko czasami.

- Jak mu?

- „Bankier”, pomocnik Mikułowicza. Ideał na szefa nowej branży. Ręczę za niego.

- Dobrze, damy mu ten awans, wierzę panu. Gdyby kiedyś, przynosząc utarg i raport, przyniósł też poemat, sonet lub odę do lichwy, proszę mi to bezzwłocznie pokazać.

Byłem też przy spotkaniu „Bankiera” z Karśnickim. „Bankier” się nazywał Drozd, Ludwik Drozd, ale mózg miał rzeczywiście większy niż drozd. Sprawę przyniósł taką: część jego klientów chce pożyczać dewizy, do tego potrzebna jest współpraca obu branż

cinkciarskich, bazarowej i pozabazarowej, a „Turek” (Mikułowicz) i „Kiemasz” (Kiersnicz) nie idą na to, chcą, żeby im dawać kontakty, to sami udziela pożyczek. Podobnie „Lolo” Nowicki, w którego kasynach gracze zostawiają furę walut.

- Dlaczego Heldbaum nie mógł tego załatwić? - spytała czarna małpka.

- Nie wiem, czy mógł, czy nie mógł. Może mógł, ale nie chciał. Kazał mi mówić z panem.

- Widocznie chciał, abym się zachwycił twoją inteligencją.

- Co proszę?

- Powiedział, że jesteś bardzo inteligentny. Czy to prawda, że jesteś bardzo inteligentny?

- Prawda - odpowiedział Drozd. - Wiem, że mieszkańcy starożytnego Egiptu nazywali się mumie, że David walczył z Filatelistami, że barok to barbarzyńska odmiana muzyki rockowej w średniowieczu, że koń zalicza się do parzystokopytnych bo ma cztery kopyta, że Gutenberg wymyślił Biblię, że prawo wielu krajów nie pozwala nikogo powiesić drugi raz za tę samą zbrodnię i że komunizm to raj przedgrobowy.

- Co masz do komunizmu? - spytał Karśnicki. - Źle ci w komunizmie?

- Dobrze. A mam do niego tylko dziadka, który zwiął z sanacyjnej Polski. Był tak ideowym komunistą, że gdyby mógł, to robiłby cukier z czerwonych buraków. Stalin mu podziękował kulą w potylicę.

Wątpliwość Karśnickiego się rozwiała:

- Jesteś inteligentny. Wkrótce dostaniesz odpowiedź w swojej sprawie, a teraz chciałbym cię wykorzystać. Czy oprócz tego, co tobie przeszkadza w twojej branży, widzisz, lub znasz coś, co jest zawadą w innych branżach, lub na ich styku? Może widzisz jakąś potrzebę zmian lub usprawnień?

- Nie ma rzeczy, której nie można usprawnić...

- To banał. Konkretnie! Drozd się zastanowił.

- No... widzę taki szczegół... Można się lepiej chronić przed milicją, bo nawet gdy zblatowana...

- Skąd wiesz, że zblatowana?... Czekaj, cofam pytanie, ty przecież robiłeś u cinkciarzy!

- Nawet gdybym nie robił, też bym wiedział. Moja matka, chociaż nie interesuje się tym, nie zna mojego prawdziwego fachu, jak przeczytała artykuł w „Expressie”, zrozumiała wszystko. To był wywiad z oficerem milicji, tytuł „Benklarnia”, o bazarowych „trzech benklach”. Ten oficer się skarżył, że benklarzy nie można złapać na gorącym uczynku, bo mają straż we wszystkich bramach Różyckiego, więc jak tylko zbliża się mundur dają nogę. Mama na to: „Kłamczuch, czy on myśli, że ludzie nie wiedzą o tajniakach?”. Komando świeżych, nie opatrzonych tajniaków, załatwiłoby benkle jak ogień załatwia siano. Nawet stara kobieta wie, o co tu chodzi.

- W porządku. A teraz daj to, co miałeś dać.

- To nic wielkiego...

- Bóg jest w szczegółach.

- Mówią, że diabeł też... Pomyślałem o czymś takim: praska milicja ma za dobry przegląd...

- Ale większość aresztowań dotyczy płotki spoza naszego układu!

- Ale i naszych ludzi.

- Ale gdzie drwa rąbią, to normalka. „Bankier”, zrozum, mógłbym to ograniczyć do stanu właściwie zerowego. Lecz za jaką cenę? Kontrola milicji, kontrola, spod której nie można się wymknąć, dotyczy tylko cinkciarstwa. W nagrodę mamy jeszcze bazar w spokoju. Cała reszta nie podlega ich kontroli, jest działalnością autentycznie tajną. Jasne, że i to można byłoby rozgryźć, ale na to oni nie mają środków, a w niektórych przypadkach i chęci, społeczeństwo musi być ciut sterroryzowane. Gdybym zażądał pełnego luzu w wynegocjowanych granicach, i nie dotykania lub wypuszczania wszystkich naszych chłopców, których aresztowano, musiałbym wszystko odsłonić, a więc wszystko oddać pod kontrolę. I to już byłby cyrk, lalkowy teatr, miałbym linki u rąk i nóg, i musiałbym tańczyć tak, jak oni zagrają, to jest tak, jak wy musicie tańczyć na moje rozkazy. Nie nadaję się na Pinokia, nie idę na to. Zachowujcie większą ostrożność, to aresztowań będzie mniej!

- Chodzi właśnie o ostrożność, za dużo mamy haftów.

- Jak?

- Hafty to tatuaże ze specjalnościami. Kropka między kciukiem a wskazującym palcem oznacza kieszonkowców. Kropka z półksiężycem - złodziei nocnych. Kotwica -

włamywaczy. Kobieta w koro- nie z kart plus kilka akcesoriów to „Królowa złodziei”. Układ liter "PTCK", Pamiętaj tuliła cię krata, to godło recydywistów. Motyl, ryba, nóż, gwiazdki i kropki, szyfr z ogromną symboliką, nie znam wszystkich znaczeń. Ale glina ma to w małym palcu. Nosić te rzeczy, to tak jak nosić napis: Jestem przestępcą! To im ułatwia pracę.

- Racja. Lecz co można zrobić? Tatuowanych won?
- Zostałoby niewielu. Trzeba usunąć haft - rzekł „Bankier”.
- Tego podobno nie można usunąć.
- Można. Na Zachodzie są takie środki. Trzeba je przywieźć, wywabić chłopcom hafty i kategorycznie zakazać haftowania.

I tak zrobiono. „Bankier” spodobał się „Księżciu”, miał otwartą drogę do dalszej kariery.

Następna audyencja to był popis „Jednorękiego” („Jednoręki”, Marcin Legur, szefował kieszonkowcom po tym, jak Rosuń wysiadł). Szło o draki uliczne i bazarowe i o protesty kilku „waletów”.

- Uspokój swoich! - rozkazał człowiek z zakrytą twarzą. - Czy to są doliniarze, czy bokserzy? Wprowadzasz chaos, przez ciebie inni nie mogą w spokoju pracować! Doszło już do tego, że nawet cmentarz zamieniliście w chuligański ring!

Cmentarz był obok bazaru, PDT-u i kilku handlowych ulic głównym polem działalności Legurowego stadka. Ale ten, zamiast się skulić, wybuchnął, siny na pysku:

- To nie moja wina!! Mówiłem Heldbaumowi...
- Panu Heldbaumowi!
- ...Tak, panu Heldbaumowi, że szlus! Dłużej tego znosić nie mogę, nie będę powstrzymywał moich chłopaków! Niech leją skurwielstwo, gdzie popadnie, nawet przy kościołach i cmentarzach! Prosiłem o pomoc, wiele razy prosiłem, i co mam z tego? Nic! Nikt mi, kurwa, nie pomógł! Jeden z drugim tylko umie kablować, że to Legur zaprowadza bajzel w dzielnicy, że jego ludzie to chuliganeria, że zamiach, że nie ma spokoju do roboty! A my to nie mamy prawa do spokojnej roboty?! Pierdolę taki układ, nie będę go znosił, dość!

- Ja nie będę znosił twoich krzyków. Mów grzecznie, nie mówisz do głuchego. Nigdy już nie podnoś przy mnie głosu - szepnął „Książę”. - Chyba że chcesz spotkać Grausza, on lubił wysoki ton...

Legur obtarł krople potu, które mu wylazły na dziób i zaskamlał:

- Panie szef, ja jestem posłuszny, ale tak już dalej nie może być! Za starych czasów doliniarstwo to był fach! Niektórzy myślą, że ćwiczenia z manekinem ubranym w dzwoneczki to bujda do gazet. Nie, to nie bujda, tak jeszcze jazem trenowałem. I ja jeszcze mam takich orłów. Mam aż pięć chłopca, co robią w stylu włoskim, w całej Warszawie nie znajdzie się drugich pięć...

- Co to jest styl włoski?

- To jest sztuka. Obrabia się klienta stojąc tyłem do niego...

- Mów dalej.

- Mam takich, co metodą zza parkanu zrobią najostrożniejszego gościa... Zza parkanu to jest wyjmowanie z wewnętrznych kieszeni... Mam szpeców, co wyjmą babie fant, choćby wkłamała go już nie w cyc i nie w majtki, ale w podpaszkę! Mam...

- Dobra, wiem już, że masz artystów - przerwał Karśnicki. - Dlaczego biją?

- Klientów nie biją, to nie są bandyci, to doliniarze, zawodowcy! Biją pieprzonych amatorów! Tak się tego namnożyło, że na ulicach co drugi przechodzień robi za kieszonkowca! Nawet dziewczyny z liceów się w to bawią! Ale najgorsza swolocz to przyjezdni. Tysiące jakichś kmiotów, prowincjałów, szpeniów z miasteczek, gdzie wszyscy się znają, więc trudno kraść. Pół Polski zjeżdża, na stolicę, żeby tu zafarcić. I farcą, dziś to łatwizna. Przynajmniej tak im się wydaje... Za dawnych czasów nie noszono wszystkiego w torebkach jak worki na ramieniu, albo w plastikowych reklamówkach, bo modne. Tylko brać, pakować graby od góry, wszystko na wierzchu! No i tak atakują, metodą z wiercha. Albo tną po chamsku żyłką. Bazar i Bródno to ich ukochane deptaki po prawej stronie, po lewej Domy „Centrum”, Rutkowskiego, „Pewexy”, pawilony, no i dworce po obu stronach. My już przy nich to kropla w morzu. Nie chodzi o to, że zarabia się mniej. Się zarabia. Ale to bydło atakuje wszystkich, biednych i naćpanych...

- A wy nie ruszacie biednych?

- Pan zakazał. Tylko że nie było po co zakazywać, bo biednych nie ma po co okradać. A matki z dzieckiem na rękę zawodowiec nie ruszy, honorny zawodowiec, przynajmniej u

mnie, bo gang z Rutkowskiego to uwielbia. I amator też. Matka filuje na dziecko, wystarczy. Ta hołota ma dużo rabunków i dużo wpadunków, ludzie robią się nerwowi, biegają po glinach, gliny też muszą biegać, zamiach! Moim chłopakom przez to coraz trudniej, wyszli z nerwów. Człowiek się męczy gryząc czosnek, mówią, a taka łachudra, kmiot, wali bez przygotowania, bez wstępów, i na swoje też wychodzi...

- Jaki czosnek?

- Stara szkoła lwowska. Trzeba przegryźć kilka ząbków czosnku i zapić setką. Metoda prima! Chuch taki, że klient odwraca nos, a jak nos, to i patrzyłki, i już zginął mu portfel!... Panie prezesie, no to co ja mam robić?!

- Rób, co do ciebie należy, amatorów ja wydmucham - rzekł „Książę”. - Masz moje słowo.

Słowo „Księcia” to było fest słowo, żaden bajer, szybko się o tym przekonali. Utworzył naczelny organ koordynacyjny, złożony z „waletów”, nazywając go zgrywnie: Radą Przystępczego Związku Pragi. Szefem mianował Heldbauma. Coś jak rząd, a Heldbaum był premierem. W skład wchodził jeszcze „Dżek” jako kapitan przybocznej gwardii „Księcia”. Na pierwszym posiedzeniu (miejscem obrad był magazyn starej cegielni, miał duży piec na koks) „Książę” powołał dwa organy policyjne: policję uliczną, do eliminowania wszelkich „gości”, napływowych konkurentów itp., gaszenia burd i rozrób ściągających MO (szefem został „Ogień”) i policję wewnętrzną, organ kontrolny działania branż (szefem został „Bankier” Drozd). Posiedzenia odbywały się raz w miesiącu (w ostatni piątek miesiąca), chyba że Karśnicki zwołał zebranie alarmowo. Na każdym rozpatrywano skargi i wnioski, dokonywano bilansu działań, łagodzone waśnie, karano i obsztorcowywano, wreszcie programowano kolejny miesiąc. Heldbaum przewodniczył zawsze, „Książę” asystował czasami.

Wszystko rozkręcało się w dobrym kierunku, u nas, bo w kraju było coraz gorzej. Zbliżał się osiemdziesiąty, a banda Ślązaków, co zawładnęła czerwonym żłobem, jakby nie dostrzegała, że ma już dym pod dupą. Nie ogień, wulkan! Edziowi bito nieustannie brawa w gazetach, radiach i telewizorach, lecz swąd się zwiększał, wierciło w kinolu...

Gierek zaczął swego gema asem serwisowym za szmalec, który mu wstawili zachodni cinkciarze; sklepy kilka lat temu pękały od fantów, od luksusowych czekolad i maszynek na elektryczność do mrożenia, prania, gotowania i srania, do wszystkiego. Ale tylko

barany mogły myśleć, że to potrwa. Kalece można dać taki zastrzyk, że będzie się czuł jak ptak, i co, poleci? Podskoczy i spierniczy się na ryło. Ten system nie dawał szans. On jest jak ten samochód ze lśniąca karoserią, bajeranckim silnikiem, shellowskim olejem, wysokooktanową benzyną i tapicerką na wysoki połysk, a nie chce, kurwa, jechać. Bo nie ma kół!

Od buntu robotniczego w Radomiu (1976) wszystko zaczęło się walić. Kół nie było dalej, „to jest ustrojowe kalectwo, które wynika z samej istoty systemu” (Heldbaum), lecz w dodatku zaczęło brakować forsy na ten lakier, olej, benzynę i tapicerkę z Zachodu. To, co już sprowadzono, zostało zmarnowane, skorodowane i rozkradzione, zaczął się cienki śpiew, coraz cieńszy, im cieńszy, tym głośniejszy było w gazetach i mikrofonach, że jest jak w raj. „Dziewiąta potęga przemysłowa na świecie”! Bajki bajki zdechniesz w raj. Obłąd!

Teraz to się tak dobrze widzi, ale wówczas, choć kapowałem dużo, co innego miałem w patrzakach. Danke, Danke, Danke! Świat wokół był szary, a dla mnie ganc-kolorowy. Szary to on był też dlatego, że w tę zimę nie było śniegu. To znaczy był, tyle co kot napłakał. Deszcz i deszcz!

Nie ma nic smutniejszego niż Warszawa w deszczu. Ona i tak jest smutna, nudna, szara, odłóg Europy, a kiedy jeszcze bramkarz Piotruś spuszcza niebieską wannę na ten glob... Gwałtowne podmuchy wiatru zmiatają ulice. Wiatr nawiewa ciężkie, burzowe chmury, po nich przychodzi zimna ulewa, a po niej ciężkie myśli. Deszcz siecze z nieubłaganą zaciętością, wiatr zrywa parasole, tłum kuli się w bramach; tylko najodważniejsi i ci, którym mus, przemykają wskroś ulic, z gwizdem wiatru w uszach i z wodą w oczach. Wilgotny zaduch czepia się ludzi i wszystkich miejsc. Krople spływają po policzkach do ust nie mogących się oderwać w pocałunku...

Moje myśli nie były ciężkie, wszystko mi grało jak ta lala! Powinien był mnie toczyć robak, powinienem był mieć zgryz w sercu, wyrzut na sumieniu, ale traktowałem swoją podłość lekko, nie główkując w tych kategoriach, bo byłem skurwysyn, a skurwysyn nie ma wstydu.

Tylko te sny... Zawsze kima była u mnie charakterna, mocna jak kamień i bez dzikich snów, poza tym jednym, szpitalnym, z wieżowcem. A tak to spokój, kimałem „ślepo”. I naraz to zaczęło mi się pieprzyć. Dostawałem koszmarów. Wpierw raz na jakiś czas,

rzadko, a potem coraz częściej... To mój organizm buntował się przeciw mojej podłości, gdy zasypiała moja skurwysyńska świadomość.

VIII

Człowieka trzeba widzieć takim, jakim on jest, a nie takim, jakim by się chciało, żeby był. Ale na to trzeba zjeść ząbki, trzeba długo pożyć. Młodziak, kiedy się rozgorączkuje do kogoś, to ślepiec. A już najgorzej z kobitą...

Dziewczyna „Nóżki” dała się zarwać innemu i Robert dostał wymówienie z jej majątek. W takiej sytuacji musiał powinien warknąć: „pies cię trącał!” i znaleźć sobie inną cizję, albo to mało biega chętnych towarów, ale on był zajebany w niej po uszy i chciał się z nią ochajtnąć, więc mu padło na mózg. Znalazł tego klienta, co go wykolegował, i spuścił mu łomot, publicznie, na ulicy, od groma świadków. No i zamkli go, a potem stanął przed sądem. Karśnicki chciał szukać dobrego adwokata, ale „Petroniusz” rzekł, iż nie potrzeba, więc Robert dostał obrońcę z urzędu.

Wszyscyśmy poszli na rozprawę, z wyjątkiem „Księcia”. Sąd rejonowy warszawski Praga-Północ. Roberta wprowadziło dwóch gliniaków; po ziemi świdrował, ja myślałem, że to cykor. Przeczytano mu akt i sędzia się zapytał, czy się do winy przyznaje. „Nóżka” pofilował ku Heldbaumowi i gada:

- Nie, proszę Wysokiego Sądu.

No to dawaj świadków. Pierwszy świadek mówi:

- Nie, to nie ten...

- Jak to nie ten?! - zdziwił się prokurator. - Podczas konfrontacji świadek wskazał oskarżonego jako sprawcę!

- Tak? Widocznie tam było złe światło. A teraz ja dokładniej spoglądam. Nie ten.

Drugi świadek, baba, to samo:

- Nie, to nie ten pan. Tamten był rudy.

- Przecież w śledztwie wskazała pani tego! - zdenerwował się prokurator.

- W śledztwie to ja byłam zaskoczona, proszę Wysokiego Sądu. Funkcjonariusz jeden z drugim mnie napytlował, to ja wyciągam rękę jak leci, żeby mieć spokój. No i widzę, że pokrzywdziłam niewinnego, bo to całkiem nie ten. Tamten był rudy i cham, źle mu z oczów patrzyło, a ten to bardzo grzeczny kawaler, żeby choć ciut był do tamtego podobny, ale gdzie, nic a nic, złego słowa nie mogę przeciw niemu powiedzieć.

Trzeci świadek, stary ślusarz, jeszcze lepiej nawinał:

- Może być, że tego pokazałem, kiedy człowiek naflekowany, to słonia za żyrafę weźmie w zoologu.

- Jak to naflekowany?! Czy świadek chce nam wmówić, że zgłosił się do MO...

- Kto by się tam zgłosił - przerwał ślusarz - czy ja wyglądam na kopniętego, Wysoki Sądzie? Wezwali.

- I świadek zjawił się po pijanemu?!

- Tak, bo mi wolno. Nie wolno być urzędnym za kółkiem, ale jak się idzie w gości, to wolno. Na piechotę szedłem, zachlany, swoje prawa znam. Może nie było widać, człowiek trzyma fason, lata praktyki, ale mi się obraz rozdwajał, z całym szacunkiem dla Wysokiego Sądu. Tego gościa nie znam, to frajerek, tamten był kozak z Pragi.

- Za fałszywe zeznania grożą świadkowi surowe konsekwencje! - ryknął prokurator.

- No to mnie, dzięki Bogu, nic nie grozi - ucieszył się ślusarz.

Gwoździem do trumny prokuratorskiej okazał się facio, któremu „Nóżka” dał łomot; staje i mówi:

- Nie, to nie ten. Ja byłem w szoku, więc mi się myliło.

I zwolnili Roberta. Prawo prawem, a Heldbaum Heldbaumem - Heldbaum był lepszy. Zrobił ten cyrk jak maestro, mucha nie siada!

Gdzieś w tym samym czasie Karśnicki przystąpił do polowania na łobuzów, co mu przejechali jego miłość. W pół roku zabił czterech. I to tak, że nie wiedzieli o tym chłopcy z „batalionu”! Jakby się ich wstydził po wygaworze, który mu dał „Templar”. Coś a la drugi „batalion” rodziło się z członków „policji” Drozdowej i „Ogniowej” (ci dwaj bardzo szybko weszli na czub ulubieńców „Księcia”). Zabijał sam, asystowali przy tym Polek (ze Stasiowej paczki) i „Żbik” (od „Bankiera”), obaj kochali krew. Ja byłem raz, ale to był najważniejszy raz.

Tołpik dowiedział się od swojego gliniarza, że szef tych, co zgwałcili dziewczynę, ma wyrok (na skutek Heldbaumowego domysłu, że jeśli nigdzie nie można go znaleźć, to może jest gdzieś zapuszkowany). Siedział we Wronkach. Wyjąć go „za dobre sprawowanie” było pestką dla starego. Przed pudłem czekał samochód. Ja u kierownicy, obok Stasio, na tylnym on między Pólkiem a „Żbikiem”.

- Dokąd panowie mnie zabierają? - spytał.

- Do rajy - rzekł „Ogień”. - Wymurujemy ci twój własny dom, gdzie nikt ci się nie będzie wtrącał. Żadnych klawiszów, judaszów, czy żarcia z metalowej miski. Zapalisz?

Dał mu całą paczkę i ten typ sztachał się, przypalając jednego od drugiego, przez całą drogę do Warszawy, aż mnie dusiło. Metą była cegielnia, tam czekał „Książę”. Rozebrali chłopczyka do rosołu, oplastrowali mu pysk, żeby nie mógł krzyczeć, skuli mu ręce na plecach za pomocą obrączek i zamknęli go w pustej piwnicy, a następnie wymieszali wapno i cement, i zamurowali odrzwia! Trzy doby później, przed północą, „Książę” mnie zbudził:

- Wstań i wyprowadź wóz!

Kazał do cegielni. Tam wziął latarkę, podszedł do świeżego muru, przyłożył ucho i stał bez końca. A jak się cofnął, to ja przyłożyłem. Nie umiem tego opisać, tych jęków, makabryczny charkot. Facet zdychał z głodu, straszna śmierć.

Odtąd „Książę” nie założył już maski, pokazywał wszystkim swoją twarz. Lekarce też się wygadał, jakby miał w tym przyjemność. Nie wiem, co mu odbiło, ale powiedział jej skąd ma dom i co robi. Powiedział jej to w tym domu.

- Chcesz być dobrym Janosikiem? - zapytała.

- Nie, Elen, nie chcę być dobroczyńcą.

- Więc chcesz być złoczyńcą?

- Już nim jestem. Ale nie roztrząsam tego w kategoriach moralnych. Jestem, jaki jestem, a to, co się stało, już się stało.

- Myślę, że stało się przez przypadek, gdyby nie ta dziewczyna...

- Nie, Elen. Wszystko jest prawidłowością, przypadek też. Zresztą to nie ma znaczenia, nie byłbym ja, byłby kto inny. Życie ma szeroki oddech, los jednostki to nieistotny szczegół, wielka suma tych szczegółów to dopiero coś. Dla przyszłych, dalekich

pokoleń wszystkie nasze kultury, od Sumerów i Greków do Picassa, będą pewnie jedną kulturą, jesteśmy tylko pyłem historii.

- Bardzo ładnie mówisz, poczułam się studentką. Osiemnastoletniej dziewczynie możesz pleść te bzdury, one lubią, jak im się tak zawraca w głowach, czują się wtedy inteligentne!

- Niektóre nigdy nie czują się inteligentne, nie mają do tego powołania! - warknął. - Nie chcesz, mogę nic nie mówić. W ogóle nie musimy rozmawiać!!

- Nie będziemy już mieli okazji! - rzekła wstając. - Mogłabym chodzić z bandytą do łóżka, bo to bardzo podniecające, ale nie mogłabym go kochać. Z obcym bandytą. Z tobą czułabym do siebie wstręt!

- Nikt cię nie zmusza!

- Dzięki choć i za to! Mógłbyś przecież kazać swoim łotrzykom, żeby trzymali mnie za ręce i nogi...

- Przestań, Elen!

- To ty winienesz przestać!!... Bawisz się w szeroki oddech życia, bo dotąd było ci zbyt ciasno...

- Dokładnie tak!

- Boże mój, a mnie się zdawało, że znam ciebie! To prawda, kobiety są idiotkami!

Wychodząc pogłaskała Cyca, który się łąsił do niej.

- Jemu nie rób krzywd!

I tyle ją było widać. Heldbaum przyszedł wkrótce potem.

- Jak leci? - spytał wesoło od progu.

- Jak kurwie w deszcz! - odparł gospodarz wyszczerzonymi zębami.

- Co się stało?!

- Nie twój zasrany interes, panie H! Czemu mam przyjemność?

- Jest kilka interesów, wcale nie zasranych. I jedna grubsza sprawa, którą chcę z panem omówić, bo to pana dotyczy.

- Wszystko mnie dotyczy!

- Jasne.

- O co chodzi?

- O to, że już wszyscy pana znają...

- Uuu, przesada! Jeszcze nie znają! Dopiero zaczną!
 - Może ja jutro przyjdę...
 - A teraz chcesz wyjść?
 - Chyba tak będzie lepiej.
 - Panie Heldbaum, to ja decyduję, co jest lepiej! Mów!
- „Petro” tarł dwoma palcami skroń, jakby go swędziało.
- Po co się tak afiszować, panie Karśnicki? To niebezpieczne...
 - Dla księcia? Lud winien znać swojego księcia, panie ochmistru dworu, czy tam kanclerzu, jak pan woli, pchnąłem pana w górę. Minister to za mało dla takiej grubej ryby, jaką pan jest.

Heldbaum odszczeknął:

- Gdybym wiedział, że jak pan już się zemści, to przestanie panu zależeć, nie znalazłbym ich tak szybko!

- To byłby błąd, panie H! Pchnąłbym pana w dół za karę!... Proszę się uspokoić, nie chcę zepsuć balu, tańczę na całego, tylko że akurat sam, bo właśnie partnerka mi zwiąła, a wie pan, jak chłop niewyżyty, to nerwus. Gdyby miał pan pod ręką jakiś odpoczynek wojownika... O ile wiem, do zadań ochmistrzów dworu należy i to.

- Mam - rzekł „ochmistrz”.

- Domyślam się! - prychnął Karśnicki. - Jak się nie udało wepchnąć mi pod bok służącej własnego chowu, to została już tylko metresa. Pan jest niczym karaluch, zawsze się pan wtryni, jak nie przez kuchnię, to przez sypialnię. Kto to jest?

- Młodziutka biurwa z dyrekcji kolejowej, przedstawicielka Pragi w warszawskich eliminacjach do konkursu na polską Miss.

- I co?

- Zajęła trzecie miejsce i odpadła.

- Słowem towar trzeciorzędny. Ale cóż!... Może ją pan tu przywieźć?

- Nawet zaraz.

- To na co pan czeka?

W dwie godziny Heldbaum wrócił z lalką.

- Więc to jest ta Mata Hari? - rzekł „Książę”.

- Niech pan da spokój, nikt jej nie kazał szpiegować! - mruknął „Petro”.

- Och, to była tylko gra słów! Zapomniał pan, że ja sypiam na macie?... Jak się wabisz?

- Jola.

- A robiłaś to już na japońskiej pleciance zwanej matą, która leży na ziemi i uwiera w pupcię?

- Z panem mogę spróbować!

Kiedy wstawiała jakiś tekst, to się zdawało, że nie ustami truje, tylko szminką, co na nich była. Miała wygląd nastolatki („demoniczna nimfetka, dziadek Nabokov dostałby wypieków” - mówił o niej Heldbaum). Alabastrową skórę, włosy koloru miodu, piskliwy głos, smukłe giry, wilgotne usta (rano, nim zdążyła się podmalować) i zamglony wzrok z niebieskimi cieniami od tuszu. Była piękna jak jej wargi w kształcie serduszka i ruchliwa jak jej „koński ogon”.

Królowała trochę ponad pół roku. Moje wyrzuty sumienia przez nią się nie zwiększyły, bo ich w ogóle nie miałem - gdybym miał, to by się zwiększyły. Jak kiedyś szef wyjechał z Klonem i „Bankierem”, a Mańka wyszła na miasto po zakup - to ścierwo łaps mnie za rozporek.

- Szoruj, bo cię stuknę! - powiadam.

- Co ty, nie lubisz? Czy nie możesz? - roześmiała się, tak ją to ubawiło.

- Nie chcę!

- To się zmuś, bo ja akurat chcę, a jak ja chcę, to masz mnie słuchać!

- Taki pałak! - pokazałem jej na zgiętym łokciu. - Weź sobie marchew, ruro!

Podeszła do mnie, zła jak osa, patrzyła rozpalone wściekłością.

- Słuchaj, gnojku, bierz się do roboty, bo powiem, żeś mnie napastował!

- Powiedz, on ci nie uwierzy!

- A w to, że się sama cięłam, uwierzy? O tak, tu...

I rozorała sobie pazurem pierś, aż do krwi, ja kręcę!

- Co ty robisz, zwariowałaś?!

- Nie bój nic, „Fokstrotku”, i chodź tutaj, zobaczysz, jak to smakuje ze mną. Zawsze miałeś na to ochotę, myślisz, że ja nie wiem o tym? A ty mi się też podobasz. Chodź, zobaczymy, czy jesteś menem... No chodź, nie stój jak ta dupa!

Spuściłem łeb, mamrocząc:

- Ja tak na wariata nie... nie tego... nie mogę.

- Zaraz zobaczysz, że możesz, tylko pozwól mi się nim zająć. Ze mną nie ma „nie mogę”. Mój dyrektor miał coś około sześćdziesiątki, grzyb, i też nie mógł, a postawiłam mu tak, że sobie przypomniał młodość. Z wami to jest różnie, ale to nigdy nie jest wasza wina, tylko dziewczyny, rozumiesz „Fokstrot”?

- Nalej mi haka - powiedziałem.

Wypiliśmy. Jak pragnę szmalu, udowodniła mi, że u baby jest siedem miejsc, w które można pchać. Siedem!

- Robiłam to już z pięcioma naraz, „Fokstrot”, a mogłabym z siedmioma! Ten, który mnie tego nauczył, powiedział mi, że dopiero wówczas jest się Królową Śnieżką, królową kobiet!

Drugiej takiej artystki nie widziałem w życiu.

- Szefowi też o tym powiedziałaś? - spytałem, jak braliśmy prysznic.

- Nie jestem głupia! Jemu by się to nie podobało.

Więc niby była mądra, a zrobiła taką głupotę, że się nie chce wierzyć, głupotę kończąca. Na Różyckim znał ją każdy z kupców, z „Panem Stefanem” ją widywali, więc kiedy coś jej się podobało, dostawała „w prezencie”. No i przyjechał jakiś koczkodan z prowincji, kumpelka lub kuzynka (mówiła, że kuzynka, ale kto tam wie), a nasza „szefowa” zrobiła jej popis dla szpanu. Poszły w bazar i przez godzinę zdejmowały, co tylko się dało, kiecka to kiecka, futro to futro, bluzki, buty - hurt! Kilka walizek! Za friko! Nikt nie odmówił, bo jak, jemu? Kiedy „Książę” się o tym dowiedział, kazał wszystko zwrócić, a ją pogonił w ciry nie maty, won!

Starego omal nie trafił szlag Zawieźliśmy mu tę wiadomość (ja z „Dziękiem” i „Ogniem”) przy okazji, bo nas szef wysłał po pieniądze (miał kupić obraz znanego malarza).

- To płęć! - westchnął „Petroniusz”. - Płęć, sucza jucha!

I zaczął się rozwodzić, jakie durne są baby. A potem sprzedał nam kilka wiców z tego podwórka, że przykładowo: mózgojad głoduje w damskim łebku („Co robi mózgojad w damskim łebku? Odpowiedź: głoduje”). Mnie to podszedł taki wic: „Spotyka się facet z babą, która najpierw była facetem, ale zrobiła sobie operację i stała się kobitą. No i facet ją

pyta: bolało cię, jak ci zmieniali? Bolało. A później, jak ci piersi rosły? Też bolało. Ale najbardziej mnie bolało jak mi się kurczył mózg".

O Jolce słyszałem, że kiedy ją wygruził Karśnicki, to chciała robić za modelkę w jakimś towarowym domu, ale lubiła pójść w cug z gołdą, więc i stamtąd ją wygruzili, i szybko spadła z lepszych knajp do gorszych, na ulicę. Przewisko: „Mroczna cipa". Niedawno się z nią minąłem na Szembekowym placu. Śmieć, aż żal.

- Pięknie było, „Fokstrot", co? - zachrypiąta mi w dziób chuchem gorzały.

Pięknie było... To prawda. Nigdy nie jest pięknie, zawsze było Chyba od tysięcy lat, dla wszystkich.

Ja to nie po kolei opowiadam, bo mi się już miesiące tamte mylą i przestawiają, ale tu nie o kolejność chodzi, żeby doba szła za doba, no nie? Niby każdy szczegół jest ważny, ale jeden mniej ważny, a drugi bardziej, jakbym chciał opisać wszystko, to bym zakończyć nie mógł. Od kronik to są kronikarze, ja tylko wspominam.

Wtenczas, kiedy już wszyscy znali Karśnickiego, naród zaczął się doń zwracać po prośbie. Z początku nieliczni, później kupa luda. Skargi i żebraniny, słuszne lub idiotyczne, do płaczu i do śmiechu, prawdziwa tragedia i prawdziwe cudactwo. Zaczepił nas pod bazarem chłopak z ferajny „Turka" i mówi, żeby mu pomóc, bo on już nie daje rady z babcią, której odbiło. „Książę" miał akurat czas, no to lu do sędziwej damy, na Targową. A ona, że prawie wcale nie sypia, bo skierowano na nią promieniowanie z kosmosu! Karśnicki okiem nie mrugnął:

- Czy zgłosiła to pani na milicję?

- Na milicję, proszę pana?... To oni się tym zajmują?

- Tak, mają specjalne aparaty. Proszę czekać do jutra. Jutro mój człowiek pojedzie z panią.

Nazajutrz ja i Tołpik (który już wszystko nagrał ze swoim gliniarzem) zabraliśmy starszą panią na Cyryla i Metodego. Wprowadzono nas do gabinetu, funkcjonariusz ją wysłuchał, pogrzebał w kartotece, wyjął fiszkę, włączył głośnik i mikrofon. Z głośnika dobiegło:

- Dział antykosmiczny, słucham!

- Podaję namiar: obywatelka Łucja Paweł, Targowa 83 mieszkania 101, jedenaste piętro - odczytał z fiszki funkcjonariusz. - Promieniowanie kosmiczne. Proszę włączyć kontrpromieniowanie! Odbiór!

- Zrozumiałem! Targowa 83 mieszkania 101, włączyć kontrpromieniowanie!

Od tej pory nic nie zakłócało babci snu.

Ale w wielu sprawach żadnym trikiem nie można było pomóc ludziom. Można było wziąć za mordę urzędasz-łapownika, nastraszyć lub wykopać kierownictwo sklepu, gdzie rencistom waży się ochłap pół na pół z łojem, zmusić ciecia, żeby sprzątał klatkę schodową, a młodociany gang, żeby przestał wydłubywać psom i kotom oczy (szefowi tego gangu, siedemnastoletniemu, ludzie „Ognia” skasowali jedną patrzalę), można było nawet pogonić hydraulików, żeby przyszli nie za miesiąc, tylko za dzień. Ale jak wejść w cudze łóżko? Zwłaszcza gdy ten, co prosi o pomoc, sam winien, choć nie ma o tym pojęcia, bo ma za mało rozumu? Jeden murarz się skarżył, że mu żona utrzymuje stosunki płciowe z koleżanką, a on przecież dobry, nie bije, nie zdradza, kocha. „Niech pan prezes coś zrobi, żeby tak nie było!”. I co miał „Książę” zrobić? Nic nie mógł, rozłożył ręce.

- Dzisiaj to częsta przypadłość - rzekł „Petroniusz”. - Nic na to nie poradzimy.

- Te z lepszych sfer robią to dla szpanu, dla odmiany, z nudy, perwersji, zblazowania, ale te tutaj? - zdziwił się „Książę”.

- Te tutaj robią to dlatego, bo ich mężowie nigdy się nie nauczyli, że istnieje różnica między miłością, co zajmuje cztery godziny, a stosunkiem płciowym, na który potrzeba czterech minut. Dla żadnej z bab, a te tutaj różnią się od innych tylko tańszym łańchem i podniejszymi gatunkami perfum, dla żadnej nie jest frajdą zajście w ciążę po pospiesznym stosunku na rogu kuchennego stołu z niedomytym mężczyzną, który nawet nie zadał sobie trudu, żeby zdjąć ubranie, a jednocześnie usiłował wyjąć piwo z lodówki.

- A skłonność genetyczna?

- Na pewno też, choć... - stary począł się głowić. - Wie pan, co ja myślę? Dziś najsilniejsza jest skłonność, którą bym uznał za plemienną. Silniejsza od państwowej, historycznej, rodzinnej, nawet płciowej, tak się nam świat zmienił. Solidarność bab już nie jest płciowa, tylko plemienna, ich reakcje są żałami czy stresami uciśnionych szczepów. To tak jak młodzież. Na całym świecie młodzież w stopniu coraz mniejszym utożsamia się ze swą ojczyzną i swoją płcią, a w coraz większym z grupą kulturową. Nie jest

Holendrem, Polakiem, Amerykańcem czy Włochem, Rumunką czy Brazylijką, tylko punkiem, rockersem, hippisem, skinem lub wielbicielem określonego rodzaju muzyki. Czyż to nie jest nową identyfikacją plemienną? Dzięki niej wszędzie zanika patriotyzm, bibelot z rzadko odwiedzanego muzeum. Młodzież ma w dupie bohaterstwo herosów narodowych, kocha sprawność idola estradowego. Nawet w Polsce, gdzie historia jest czymś ważniejszym niż w wielu innych krajach. Bunt „Polaka małego” nie wyraża się zawieszaniem portretów tych, co walczyli z Rosją i zdychali na Sybirze, chociaż on nosi w żyłach krew tamtych straceńców, tylko zawieszaniem mord idoli pop-music, więc co z tą genetyką?... A starzy? Też. Patriotyzm brzmi jak szowinizm. Ponadpaństwowe więzy plemion, na przykład: fizyków atomowych, biologów, filmowców, aktorów... Jesteśmy świadkami wschodzenia nowej ery lodowcowej, myślę o zlodowaceniu sentymentów narodowych i geograficznych, to zwycięstwo kosmopolityzmu. Przed nim przyszłość, panie Karśnicki.

Najważniejszą z prośb była prośba właścicieli budek z Różyckiego, żeby obronić bazar. I bez proszenia „Książę” by na to nie zezwolił - bazar był nasz! Jak tylko rozeszła się wieść o projekcie likwidacji targowiska, szef wypowiedział wojnę naczelnikowi Pałachowi - opisałem to zwycięstwo w pierwszym rozdziale. Lecz ono nie gwarantowało sukcesu, ciągle ktoś pluł na bazar („Wrzód Pragi-Północ”). Główną szczekaczką był wtorkowy program telewizyjny, a w nim ta redaktorka, gwiazda TVP. Karśnicki dał jej popalić, ale to wciąż nie był koniec, bo tak za Pałachem, jak i za babsztylem, stał Departament Drobnego Handlu w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego. Dyrektor (w randze wiceministra) tego departamentu, Henryk Latosz, to nie był dupek, którego można skompromitować cytatami z jakich* книг. Mowę pogrzebową bazaru (i nie tylko bazaru, całej prywatnej inicjatywy) zostawił sobie na duże święto. Była nim akademie rocznicowa Centralnej Rady Związków Zawodowych (CRZZ). Zaczął od gratulacji dla zebranych związkowców-aparatczyków, potem walnął piętnastominutowy komplement dla „władz partyjnych i państwowych” (jedno i to samo, ale zawsze mówili: „partyjne i państwowe” lub: „partia i rząd”), a jak już odwalił te rytuały, to wziął nahaj:

- Szanowni towarzysze! Zarówno dla przodującej części mas robotniczych, jak i dla uświadomionych kadr aktywu związkowego i partyjnego, jest rzeczą z gruntu oczywistą, że rozwój w socjalistycznym państwie tak zwanego sektora prywatnego, rzemiosł, usług,

drobnego handlu i drobnej wytwórczości, nie tylko mija się z celem, nie tylko podważa zasady ustrojowe zbudowane przez klasę robotniczo-chłopską na bazie marksizmu-leninizmu, lecz i przynosi wymierne szkody ekonomiczne, które osłabiają dynamiczny rozwój naszej gospodarki. Jest to, jak wszyscy wiemy, gospodarka planowa, stawiająca sobie cele dalekosiężne, cele humanistyczne, demokratyczne oraz internacjonalistyczne, łączące w swej istocie dobrobyt mas z zapewnieniem bezpieczeństwa całego obozu socjalistycznego. Z tej drogi nie wolno nam zejść i nigdy z niej nie zejdziemy!

Tu dostał tzw. huragan braw. Nawijał dalej, bez kartki, sam z siebie, pierwszoklasny pytlus, żywy magnetofon:

- Szanowni towarzysze! Prywatny przedsiębiorca, prywatny rzemieślnik, prywatny handlowiec, lub raczej, że użyję właściwego terminu, handlarz, nie tylko nie jest w stanie wtopić się aktywnie w nurt socjalistycznych przeobrażeń, czy choćby je poprzeć, lecz wprost nie chce i nie zamierza tego robić, a dlaczego? Dlatego, że jego działalność, przesiąknięta pazerną żądzą zysku, obca jest proletariackim pryncypiom obywatelskiego myślenia! Obca jest dążeniu do przekształcania w praktykę woli mas! Obca jest zbiorowemu wysiłkowi społeczeństwa, którego celem jest przekuwanie marksistowskiej myśli w stal czynów! Powiedzcie mi, towarzysze, czy możemy taką postawę tolerować?

Oklaski.

- Szanowni towarzysze! Wszyscy pamiętamy, bądź to z czasów walki, bądź to z lektur weteranów tej walki o ład i sprawiedliwość społeczną, jaką była Polska w okresie sanacyjnym. Polska prywatnego przemysłu, prywatnego handlu, prywatnych wszystkich środków produkcji. Polska kapitału, słowem kapitalistyczna Polska. Ucisk i niesprawiedliwość, wyzysk i policyjny terror, sklepikarze i pałkarze, niedola i łzy pracującego ludu, pot i krew proletariatu, kajdany dla najlepszych synów tej ziemi! Masy pracujące zrzuciły ów ciężar z piersi ojczyzny, wznosząc nowy, demokratyczny gmach przemian ustrojowych, od których nie ma odwrotu. W tej nowej budowli nie może być miejsca na kryptokapitalizm, zawoalowany terminologią, która wytwarza złudzenie, że mamy do czynienia z marginesem życia gospodarczego: „drobna wytwórczość”, „rzemiosło” i temu podobne. Od rzemyczka do koniczka, towarzysze. Choroba zaczyna się od jednego małego wrzodu, który toczy organizm. O tym musimy pamiętać,

wysłuchując rozlegających się tu i ówdzie apeli o tak zwane zielone światło dla rzemiosła, apeli podyktowanych...

Tu musiał przerwać. Kilkadziesiąt sekund wcześniej do krańca stołu prezydialnego zbliżył się młody człowiek o prezencji młodego aktywisty, podał siedzącemu na skraju towarzyszowi kartkę i szepnął:

- Przekażcie do referenta. Z MHW-u.

Łańcuch rąk przeniósł kartkę pod stołem, aż dostał ją Latosz. Zawierała kilka zdań wystukanych maszynowo na firmowym (z nadrukiem) papierze Ministerstwa Handlu Wewnętrznego:

„Ł. odstawka, złożył dymisję na posiedzeniu. W KC ustalili J. Mur”.

Minister Ł. był wrogiem prywaciarstwa i rzemiosła. Pewniak, który miał go zastąpić, dokładnie na odwrót, związany z SD popierał „drobną wytwórczość” i „zielone światło”.

Referent złożył kartkę, schował, napił się wody i odchrząknął.

- Darujcie, towarzysze. Zostałem właśnie powiadomiony o zwołanym w trybie pilnym posiedzeniu w ministerstwie. Mam wziąć udział.

Spojrzał na sikor.

- Ale to dopiero za półtorej godziny, zdążę więc skończyć mój referat, a potem, jeśli pozwolicie, będę musiał was opuścić... Tak więc, kontynuując... Szanowni towarzysze! Wszystko, co powiedziałem do tej pory, to, rzecz jasna, demagogiczny bełkot, jakim posługują się wciąż jeszcze wrogowie usprawniania naszych mechanizmów ekonomicznych, dla żadnego z was, towarzysze, nie ulega to chyba kwestii. Zacytowałem obszernie ten rodzaj argumentowania, pokrętny, fałszywy i woluntarystyczny, odsłania on bowiem z nieubłaganą ostrością prymitywizm tych, którzy próbują sypać piasek w tryby demokracji socjalistycznej, a przede wszystkim w jej mechanizmy gospodarcze. Stawianie znaku równości między jak najbardziej pożądanym rozwojem rzemiosła i drobnej wytwórczości a kapitalizmem, negowanie pluralizmu form rynkowych w żadnym stopniu nie dyskwalifikującego centralnego planowania, a tylko wzbogacającego asortyment branżowy handlu i usług, obarczanie rzemiosła i innych form przedsiębiorczości obywatelskiej winą za skutki nieudolności jednostek decyzyjnych w gospodarce planowej - wszystko to na odległość pachnie demagogią, która winna być obca demokratyzmowi myślenia socjalistycznego. Przypomnijmy sobie, towarzysze, leninowski NEP, z jego

zielonym światłem dla spółdzielczości i z jego liberalizacją rynkową, której wciąż nie mogą zrozumieć i zaakceptować obrońcy zwulgaryzowanego marksizmu, marksizmu przepoczwarzonego przez tych pozał się Boże ekonomistów w bezduszny instrument do zadawania ciosów dynamicznemu rozwojowi gospodarki socjalistycznej. Marksizm - tak, pseudomarksizm - nie!

Oklaski.

- Szanowni towarzysze! Najwyższy czas, abyśmy, wsłuchując się w głos od dołu, w opinie społeczne, w tezy prawdziwych ekonomistów, a zarazem dostrzegając wcześniejsze błędy i wypaczenia w sferze gospodarczej, uczynili krok ku reformie, dając autentyczne zielone światło rzemiosłu i innym drobnym formom wytwórczości, handlu oraz usług, traktując to jako prawidłowe, zgodne nie tylko z duchem czasu, lecz i ze zdrowym rozsądkiem elementy gospodarki socjalistycznej. Socjalistyczny system ekonomiczno-rynkowy nie jest bowiem strukturą zamkniętą, skostniałą, nieprzyswajalną, lecz przeciwnie, demokratyczną i otwartą na te wszystkie wartości, które wzmacniają i wzbogacają socjalizm, a zarazem czynią świat człowieka pracy jeszcze bardziej radosnym. W zwycięskim pochodzie ku...

Jeszcze tego samego dnia się dowiedział, że kartka to był czyjś wyglup „prowokatorski”, a minister Ł. jest wciąż ministrem. I że ten minister nie chce go nawet przyjąć, tylko każe mu (przez sekretariat) złożyć natychmiastową dymisję i wynieść się do Białegostoku na dyrektora szkoły podstawowej.

Gdy przesłuchiwałam u Karśnickiego taśmę z tym tekstem (nagrał Tołpik z sali), „Książę” odezwał się do „Petroniusza”:

- Moje najwyższe uznanie, kanclerzu, imponujący cios. Gdyby pan potrafił tak budować, jak pan umie niszczyć, głosowałbym, żeby oddano panu władzę nad światem.

- Wasza książęca wysokość jest niesprawiedliwy, umiem budować. Wniosłem księstwo - pochwalił się Heldbaum. - A marzy mi się imperium i dałbym radę, z pomocą waszej książęcej wysokości.

Wtedy po raz pierwszy o tym wspomniał, lecz „Książę” się nie kapnął, że to na serio.

- Twoja samotność tak ci doskwiera, że potrzebujesz zwiększonego areału i większej liczby sług?

- Wasza książęca wysokość!... Myśliciele i filozofowie nigdy nie mają towarzystwa, gdyż są nieskłonni do zgody z otoczeniem i zawsze krytyczni. Ale przez to ich samotność nigdy nie jest bolesna, gdyż opiera się na wierze, iż świat tkwi w nas samych, a my jesteśmy Bogiem i życiem, wiecznością i marnością. I na harmonii z wyrokami własnego mózgu, nie zaś losu. Zresztą, pana o tym przekonywać, to jak uczyć księdza pater noster.

Nie ma co jego pieprzeń dalej snuć, mundral i komplementarz; ważną rzeczą było, iż bazar został obroniony. Latosz kaput i na długo spokój.

Teraz przejdę do prośby, dzięki której pojawił się w naszym życiu człowiek bez ciała i bez oblicza, ale ze straszną władzą - wszystko mógł zrobić. Rozdawał prezent za prezentem, rzeczy, których nawet za forszę nie było, Święty Mikołaj wysiada.

Najdziwniejszym jest tu fakt, że tej prośby nikt nie przedłożył - była prośbą, co nie padła z żadnych ust, nie zaistniała w ogóle! Ot, „Bankier” wspomniał kiedyś, że jednego profesora z Polibudy wywalono za niewinność i że matka tego wygruzzonego powiedziała swemu chłopakowi, iż tylko „Pan Stefan” mógłby mu pomóc, bo „Pan Stefan” wszystko może, sąsiad jej mówił; sąsiad rzekł: „Idź pan poproś Pana Stefana”, ale ten profesorek na to: „SB-ków nie będę o nic prosił!”, więc sąsiad: „Dlaczego SB-ków?”, a ten synuś: „Bo tylko SB-ek może wszystko, a jak nie SB-ek, to nie może mi pomóc”, i matce zagroził, by nie ważyła się sama zwracać z prośbą w jego sprawie „do żadnych Panów Stefanów!”.

Heldbaum parsknął:

- I dobrze! Jakbyśmy mieli zajmować się każdym zredukowanym...

Karśnicki mu przerwał:

- Drozd! Zbierz mi wszystko, co można, o tym profesorku. Tydzień ci wystarczy?

- Zostanie zrobione, szefie!

- Użyj wszystkich, których będziesz potrzebował, z panem Heldbaumem włącznie!

Gdyby ktoś ci odmówił, to go zredukuj, w moim imieniu!

- Z panem Heldbaumem włącznie?

Karśnicki nie odpowiedział, a tamci się roześmieli, że to niby fajny żart, ale „Petro” dostał kwasu w limie. Drozd zdobył gites cynk, wszystko, co trza.

- Od kogo? - spytał Karśnicki.

- Od wielu osób, szefie. Bibliotekarz Wydziału Architektury, sekretarka z dziekanatu, brat i dwaj koleżkowie wypieprzonego. Starczy.

- Śpiewaj.
- Jest, to znaczy był wykładowcą na tym wydziale. Młodziak, trzydzieści pięć lat...
- I już profesor?
- Formalnie doktor, ale od trzydziestego roku życia szef katedry, duża rzadkość.
- Członek partii?
- Ani partii, ani ZMS-u, ani nigdy niczego. Outsajder.
- Więc skąd taki awans?
- Ma w małym palcu historię sztuki od kamienia łupanego do współczesnych prądów.

Też rzadkość w dobie wąskiej specjalizacji.

- I takiego geniusza wywalają?
- Pracował na to od dłuższego czasu. Ma parszywy charakter, jednostka kompletnie aspołeczna. Bezczelny, arogancki, niezdyscyplinowany, konfliktowy...

Drozd wyliczał to zgrywnym tonem, więc szef zrobił mu szlaban:

- Nie truj! Co z nim jest?
- Nie kłania się po japońsku, nie bierze udziału w pochodach pierwszomajowych i w pochodach gabinetowych, a prawdę wali prosto w twarz, każdemu. Już jako student zrugął wielkiego profesora za „brak naukowej etyki”, chodziło o jakieś sprawy związane z odbudową czegoś tam, zamku czy ratusza...

- I dostał dyplom?
- Innym profesorom, kochającym tamtego profesora, ten numer przypadł do gustu. Wie pan, profesor profesorowi profesorem... No i przymusostwo, się uczył, musieli mu dać dyplom.

- A teraz?
- Teraz zrobił trzecią sztukę w ciągu kilku lat, więc do trzech razy sztuka, adieu! Pierwszą było wykrycie fałszerstw podczas egzaminów wstępnych na wydział, drugą...

- Stój! Znasz szczegóły tej pierwszej?
- Uhm. To było tak. Kilkuset kandydatów siedzących w kilkunastu salach i czekających na przywiezienie z gmachu głównego Politechniki zalakowanych kopert z tematami na egzamin z rysunku. W każdej sali po dwóch asystentów pilnujących. W jego sali kilka kandydatek zaczęło żartować, iż wiedzą, jaki będzie temat: dworek z Mickiewicza". Przyniesiono koperty, otwarto, temat brzmiał: „Narysuj dworek z «Pana

Tadeusza»". Mogło być milion rzeczy, od żelazka do okrętu, nikt nie mógł zgadnąć, więc musiał być przeciek. Nasz chłopczyka zameldował to komisji egzaminacyjnej, i tu poruta! Okazało się, że tematy na polecenie rektora wymyślił, przepisał, zalakował i zamknął w schowku, wszystko osobiście, bez niczyjej pomocy, żeby była pełna tajność, szef instytutu, w którym chłopczyka zatrudniano, a więc jego bezpośredni przełożony. Nie ma cudów, przeciek musiał być robotą tego profesora. Ale pan profesor stwierdził, iż to absurd, chłopczyk fantazjuje, i uwierzono panu profesorowi, nawet nie wszczynając dochodzeń, choć było wielu świadków. Sprawę zatuszowano, a chłopczyk drugi raz podpadł temu profesorowi, wcześniej mu podpadł jako student.

- To jemu wytknął brak naukowej etyki?

- Innemu. Ale tego skompromitował podczas wykładu. Pan profesor, mówiąc o egiptologii, pomylił historyka sztuki Denona z rewolucjonistą Dantonem, oświadczył, że Danton należał do grupy naukowców, których Bonaparte wziął nad Nil, i żeby studenci mogli to zapamiętać, wykaligrafował kredą na tablicy: DANTON.

„Książę" spojrział na niego jak na wariata:

- Drozd, czy ty...

- To fakt!

- To niemożliwe, profesor na wyższej uczelni?!

- To jest polska wyższa uczelnia i Polska Ludowa, szkolnictwo jest zdemokratyzowane i wyzwolone, w przeciwieństwie do sanacyjnego, więc czymże jest mylenie Corteza z Cortazarem za taki luksus, drobiazg. Nasz chłopczyk nie rozumiał tego, więc podniósł dłoń i zwrócił panu profesorowi uwagę, że przywódca Rewolucji Francuskiej, Danton, nie mógł jechać z Bonapartem do Egiptu, bo kilka lat wcześniej umarł w objęciach gilotyny. Pan profesor wkrótce wyjechał na gospodarstwo, a jak wrócił, to został mianowany szefem tego instytutu, w którym chłopczyk dostał angaż. Dwa razy próbował go wyrzucić i dwa razy studenci zagrozili strajkiem, więc trzeba było cofnąć zwolnienie, bo nie chciano rozruchów na uczelni.

- Tak go lubią?

- Lubią to mało, jest przez nich... to znaczy był traktowany jak guru... Tam obowiązkowe są ćwiczenia, wykłady nie są obowiązkowe, student nie musi na nie chodzić, wykładowcom nie wolno sprawdzać list podczas wykładów. A student jak to

student, nie lubi się przemęczać, więc na wykłady nie chodzą, niejeden profesor przemawia do pięciu, sześciu osób, prawie do pustych ścian. Na jego wykłady dostać się było trudno, tłum, frekwencja dwustuprocentowa, bo przychodzili też z innych uczelni, na przykład z Uniwerku, i nawet z innych miast. Jeździli z Wrocławia, Poznania, Krakowa czy Szczecina, tylko po to, żeby posłuchać, co on mówi.

- To inni profesorowie muszą go kochać!
- Właśnie! Mogą się tłuc między sobą, ale w jednym sztafa, to jest solidarność w nienawiści ku niemu. Dlatego teraz nikt go nie bronił.

- A studenci?
- Wymówienie wręczono mu po rozjechaniu się studentów na wakacje. Dopiero za kwartał studenci wrócą. Cwany chwyt.

- Jak uzasadniono?
- Awanturnictwem, rozrabiactwem, te rzeczy.
- Musiał być powód.
- Były dwa. To są właśnie te dwie sztuki, o których jeszcze nie powiedziałem.
- Więc mów.
- Rok temu chciano zmusić chłopczyka, żeby zaliczył swój przedmiot studentowi, który w ogóle nie uczęszczał, nie przystąpił do egzaminu, nic. Chłopczyk odmówił, twierdząc, że byłoby to niemoralne wobec innych studentów, tych, którzy musieli chodzić i zdawać. Ale...

- Moment, nie tak szybko, kto go zmuszał?
- Dziekanat wydziału, potem rektorat, kilku profesorów, wreszcie nawet ministerstwo. Jasna rzecz, że nic oficjalnie czy formalnie. Uprzejme prośby, życzliwe rady, delikatne naciski, słodkie obietnice i odpowiednia dawka zawołanych gróźb. Wszystko na nic, nie zaliczył protegowanemu tyłu person, zawział się. Lecz oni wycięli numer pierwsza klasa. Dali tamtemu absolutorium i dyplom bez jednego zaliczonego przedmiotu, tłumacząc po fakcie, iż dziekanat ów brak przeoczył!

- Kto jest ten pupil?
- Synalek jednego profesora, ogromne plechy, studia bez studiów.
- No i co?

- I nic, za tę niesubordynację walnąć go nie było można, bo prawo było z nim, a z nimi bezprawie, gdyby wybuchła afera, zrobiłby się smród na cały kraj, łebki jakichś kozłów ofiarnych mogłyby polecieć. Trzeba było odczekać. Czekali na okazję. No i teraz doczekali się. Wziął udział w posiedzeniu, na którym prezentowano doktorat jakiegoś Syryjczyka. Nie lubi takich imprez, ale chciano cudzoziemcowi zapewnić duże audytorium i wprowadzono obecność obowiązkową. Syryjczyk zrobił pracę na szczelbu naszej podstawówki, nie przyjęto by go za nią do liceum, a miał to być doktorat! Nikt z utytułowanych dyskutantów nie ośmielił się tego wytknąć, więc zrobił to on, powiedział, że to, co tu widzi i słyszy, obraża i jego i uczelnię, że jest hańbą, by robiono farsy z doktoratów, tylko dlatego, że niektórzy panowie chcą wyjechać do egzotycznych państw na wycieczki. Rzucono się na niego z wrzaskiem, a wtedy eksplodował, wygarnął im, co o nich wie i co o nich myśli. Że na wydziale, którego zadaniem głównym jest dydaktyka, zepchnięto ją na koniec w hierarchii celów, bo królują takie sprawy jak: kto kogo wykoleguje i kto więcej razy chapnie zagraniczny wojaż - dołki, intryganctwo i przekupstwo. Że zagraniczni studenci korumpują nie tylko polskich studentów, lecz i kadre dydaktyczną, to znaczy kupują za zielone projekty, rysunki, dyplomy, zaliczenia, wszystko. Że... zresztą, co ja będę powtarzał... no, ogólnie, że syf. Później, jak mu wręczali wymówionko, to usłyszał, że jest „ptakiem, co własne gniazdo kala”. Na to on, że radiotelegrafista, który z tonącego okrętu śle sygnały SOS, to też ptak, co własne gniazdo kala.

- Umie się odszczeknąć - rzekł Karśnicki.

- I to jak! Miesiąc wcześniej była u nich telewizja, podsuwano dydaktykom mikrofonik pod nos z pytaniem: „Co by pan powiedział pierwszemu sekretarzowi KC KPZR, towarzyszowi Breżniewowi, gdyby mógł pan z nim osobiście rozmawiać?”. Każdy truł gładko: „Życzyłbym mu dalszych, wielkich sukcesów...”, „Podziękowałbym mu za...”, „Poprosiłbym go o nie ustawianie w wysiłkach na rzecz światowego...” i tak dalej. Jego też zapytali, co by powiedział, jakby Breżniew przed nim stanął. „Powiedziałbym: oddaj Lwów!” - rzekł ten chłopczyk.

- Dlaczego mówisz o nim: chłopczyk? - spytał „Książę”.

- Tak mi się zaczęło, przepraszam. Pan użył wyrazu profesorek...

- Też przepraszam, Drozd... Co można zrobić, aby odzyskał etat? Może kanałem Związków?

- On nie należy do Związków, zresztą Związki palcem nie kiwną, wie pan...
- No to co można zrobić?
- Chyba nic nie można zrobić, od POP do ministerstwa wszyscy są przeciwko niemu.
- Każdego można kupić! A już za zielone...
- Zbyt dużo zielonych by to kosztowało, zbyt wielu draniom trzeba byłoby dać.
- Więc dasz! Mamy dolców jak lodu, uruchom to już dziś.
- Dziś nie mamy dolców, ani jednego dolca.
- Co ty pleciesz?
- Wczoraj „Petro” wypłacił cały nasz sezam, „Turek” i „Lolo” pozbyli się nawet drobnych, od innych „waletów” pożyczali ich własne, była jakaś nagła sprawa.
- Jaka sprawa, komu wypłacił?!
- Tego nie wiem, myślałem, że to na pański rozkaz...

Szef podszedł do telefonu.

To był właśnie ten moment, kiedy śmierć w jego patrzalkach robiła każdego miękkiem - tobie nic nie groziło, a cykoria oblepiała cię w gęsią skórkę. Heldbaum się zjawił, przywitał i usiadł, a „Książę” jak gdyby nigdy nic:

- Panie Heldbaum, czy jest coś, o czym nie wiem, coś, co pan zataił przede mną?
- Ten staruch był jak radar, wyczuł pismo nosem, dlatego nic nie kręcił, powiedział:
- Jest, panie Karśnicki.
 - To niech mi pan o tym złoży raport, z uzasadnieniem, tak bym pojął, bo pojąć to wybaczyć, a nie pojąć, to nie wybaczyć.
 - Dobrze, wasza książęca wysokość...
 - Bez tych żartów, Heldbaum, żarty się skończyły!
 - Dobrze, szefie.

„Petro” miał drżący głos, pierwszy raz miał taki głos od czasu rozmów w kajakowym hangarze nad Wisłą; czuł kalendarz i krzyżyk.

- Otóż... jak panu wiadomo, w tym kraju są dwie oficjalnie uznawane waluty, złotówka i dolar, czyli śmieć i pieniądz. Mówię, że oficjalnie, bo w końcu mamy dużo sklepów, w których można kupować tylko za dolary. Cinkciarstwo, rzecz prawem

zabroniona, nie jest represjonowane. Powód? Jest kilka powodów. Najpierw fakt, iż czarny kurs zielonego to nieodzowny barometr ekonomiczny, pozwala orientować się w funkcjonowaniu rynku, bez tej ściągawki ich ślepotą byłaby jeszcze większa. Po drugie przyszedł czas, by płacić odsetki od zmarnowanych pożyczek. Z tym jest kłopot, bo cały ten system gospodarczy to taniec w kajdanach, szanse nie widać. I wreszcie występująca czasami konieczność interwencyjnych zakupów, gdy trzeba płacić gotówką natychmiast, z dnia na dzień. Taka konieczność wystąpiła trzy dni temu, musieli zapłacić Duńczykom. Zużyli na to forszę z dolarowych kont A, lecz bank nie może przestać wypłacać posiadaczom wkładów, więc część brakujących rezerw uzupełniono zakupem u nas. Tu nie można się sprzeciwić, bo cinkciarz jest ich dolarową strażą pożarną, dlatego jest tolerowany i kontrolowany. Musimy się temu poddać, albo musimy odejść. Finansowo nie tracimy na tym, bo...

- A prestiżowo, panie Heldbaum?

- Prestiżowo?... To nie jest sprawa prestiżu, lecz taktyki, guma gdzieś się ugnie po to, by gdzieś indziej się wyrzucić. Musimy coś akceptować, chcąc iść do przodu.

- Do przodu pod cudzą komendą!

- Do przodu pod własną dalekowzrocznością, a przy cudzej pomocy. Jest to pomoc szczególnie ważna dla pana, panie Karśnicki, dla innego na pańskim miejscu nie byłoby to aż tak istotne.

- A czemuż to ja się tak wyróżniam?

- Bo pan jest filantrop, pan lubi pomagać, jak Robin Hood, taką terapię pan sobie wybrał na kompleksy. Pańska rzecz. Lecz idzie panu cienko, nawet forsa nie robi cudów tam, gdzie są bariery administracyjne. Załatwił pan dotąd czternaście telefonów, wyremontował osiem ruder, kupił dwanaście mieszkań, w tym siedem za dolce. Takich, którym należałoby pomóc, którym pan chce pomóc, są dziesiątki i setki. Chorych staruszków bez aparatu telefonicznego, małżeństw wielodzietnych w jednym pokoju, inwalidów bez szans na wózek inwalidzki... Szefie, ten ktoś, komu nie mogłem wczoraj odmówić, dał nam wybór: zapłata w złotówkach po czarnorynkowym kursie, albo czterdzieści mieszkań, w tym dziesięć czteropokojowych, pięćdziesiąt telefonów i osiemnaście wózków inwalidzkich. Co pan na to?... Aha, z tym profesorem to drobiazg, przywrócą go i przeproszą.

- Cudotwórca, psiakrew! - westchnął Karśnicki. - Brawo, panie Heldbaum! To rozumiem, to jest prawdziwa solidarność. Jak pan to mówił? Solidarność plemienna? Plemienna solidarność SB-ków?

- Nie jestem SB-kiem, panie Karśnicki. Jestem wyznawcą rozsądku, to wszystko.
„Książę” odwrócił się do „Bankiera”.

- Widzisz, Drozd, miałem rację. Każdego można kupić, łącznie ze mną.

I spytał Heldbauma:

- Kiedy będą kluczyki do tych lokalów, te aparaty i te wózki?

- Mogą być jutro, szefie.

Były nazajutrz. I tak się zaczęło. Ten nieznany typ, gdy tylko występowała potrzeba, robił każdy prezent, głównie z mieszkań, telefonów, koncesji, lekarstw, miejsc w sanatoriach i innych różności. „Batalion”, co do jednego, otrzymał po M-5 i po talonie na Ladę.

- To dobry gość! - rzekł Jacuś, odbierając swoje kluczyki.

- Fakt, dobry człowiek, ma gest! - zawtórował „Walentino”.

I odtąd mówiliśmy o nim: Dobry; „Dobry dał”, „Dobry zrobił”, „Trzeba Dobremu nadać tę sprawę” itp. Ja moje mieszkanko przepisałem dla Danki, tam miałem z nią zamieszkać, jak już weźmiemy ślub. Ale nic z tego nie wyszło, nigdy się nie ochajtnąłem. Jeszcze mógłbym, stary, lecz nie staruch, nie grzyb, tylko po co? Takiej kobity, co ja bym chciał, to chyba nie ma na tej ziemi. Widziałem tyle małżeństw i żebym choć jedno klawe widział. W „Przekroju” był niedawno taki rysunek: dwóch facetów popija przy barze i jeden mówi do drugiego: „Cały dzień chodziło mi po głowie, żeby zadzwonić do żony i powiedzieć: «A może byśmy tak zjedli wieczorem jakąś kolacyjkę na mieście?», ale później pomyślałem sobie: a na cholerę mi to...”.

Kiedy już o tym wspominam, to opowiem, żeby mieć z głowy i nie wracać więcej do zakichanego romansu gówniarza „Fokstrota”, co myślał, iż nie jest frajer, a był. Stara baśń: jeden tokuje, trajluje, całuje rączki, funduje kolczyki i wuzetki, dżentelmena odwala pod delikatność, a drugi rypie z doskoku, partyzant-ogier, i już ci zdmuchnął twój towar. Bo dla kobity delikatność, grzeczność, nienachalność i kulturalność, to kupa słówek, one lubią mówić, że tylko to lubią, a jeszcze bardziej lubią, żebyś ty w to wierzył, i frajer w to wierzy. Ale życie to nie kino, tylko na filmach jest od cholery bab, które mają orgazmy z

samych pocałunków, spojrzeń i uśmiechów. Te na widowni myślą lub nie myślą, bez znaczenia, bo równocześnie myślą ich tyłki, ich ciała, ich krew, i tego nie można oszukać, uciszyć, zamknąć - nie można wykiwać natury. Trafi się poeta, klawo, trochę bajeru robi nastrój, ale bez przesady, samo gadanie to ni pies, ni wydra. Jak się tryniesz w majtki takiej delikatnej, toś łobuz, bo obrażasz jej cnotę, jej przyzwoitość i moralność, ale jak tego nie robisz, toś dureń, bo obrażasz jej kobiecość, a tego ci ona nie wybaczy. Tym ćwierkaniem, tym kwiatkiem, tymi hamulcami, grzeszkami bez jaj, bez macanek, bez nachalstwa, wykopałeś sobie grób. Uwierzyłeś rytualnym piskom („Jak możesz, ja nie jestem taka!"), i książkom oraz filmom, w których sukami są wyłącznie dziwki, a obok są jeszcze „przyzwoite kobiety", i jedne od drugich tak sakramencko się różnią, jakby tylko te pierwsze stworzył chłop za pomocą kutasa, a te drugie Pan Bóg ze swojej gliny.

Trzeba dorosnąć, ale jak przeskoczyć czas? Dorosnąć możesz na kopach, im więcej kopów zainkasujesz, tym bardziej jesteś dorosły, lecz na to trzeba czasu. A ja byłem szczyl. Szczylem można być w szkołach i po szkołach i po trzydziestu latach, na to nie ma wymiaru, zależy od tego, co ci pisane. Heldbaum kiedyś rzekł, iż do bab nadają się tacy, na których kobita działa uspokajająco, a nie faceci, co się pocą z nerwów, skaczą, podniecają, wkurzają i ślinią. Ja tam się nie ślinię i nie narywam, ale wśród tych nadających się nie jestem - lubię przerznąć, ale nie lubię bab. To od czasu Danki, wszystkie wydają mi się wredne.

Pojechała na urlop (wczasy z funduszu zakładowego „Społem"); wraca i cyrk: chce się ze mną kocić! Zwąchałem, że coś tu nie tego, smród, no i miałem nos, a ona miała niefart, była w ciąży. Skatowałem ją tak, że do dziś mi wstyd. Wybiegłem z jej mieszkania i przy pierwszym skrzyżowaniu rozbiłem talonik od Dobrego na złom. Leżąc w szpitalu beczałem po nocach. A potem zacząłem pić - matko, jak ja chlałem, na umór! I Karśnicki zrobił mi kiblowego odwyka, to już znacie. Dwa razy w tygodniu musiałem chodzić na introligatorstwo, uczyć się, w domu czytać, taki reżim. Po trzech miesiącach sam umiałem oprawić książkę, Biruk mówił, że talent mam, i dobrze mówił. A czas robił swoje, potrafiłem się znowu uśmiechnąć.

Danka urodziła, „Moskit" widział ją z wózkiem. Ominęło mnie jajo: gdybym na nią wtedy wlaź, po jej powrocie z wczasów, wierzyłbym, że to moje! I chowałbym,

karmiłbym, pieściłbym cudzego bachora! Tak jak „Książę”, ale „Książę” z innego powodu - tak, to i ja mógłbym.

Była na Grochowie „rodzina zastępcza”, której pomagał. Nazwisko: Głazek. Mieli dwanaścioro dzieciaków z Domu Dziecka, sierot i porzuconych (najpierw mieli pięcioro, ale jak im kupił domek z ogródkiem, to jeszcze siedmioro adoptowali). Rząd na wychowanie coś tam dawał, lecz z tego trudno wyżyć, fest pieniądź bulił „Książę”. Nawet mleko dzięki niemu każdego dnia było ze wsi, bo sklepowe syf, pół na pół z brudną wodą, dawać to dziecku, to tak jak dawać pijakowi borygo („Ja rozumiem, że maszyn nowoczesnych nie potrafią wyprodukować, ale żeby po trzydziestu latach nie umieli dać ludziom mleka, to ja tego nie mieszczę na mózgu!” - mówił Drozd). Potem Karśnicki założył jeszcze kilka takich rodzin, kilkadziesiąt dzieciaków się załapało.

No i przychodzi Boże Narodzenie, a Karśnicki się odzywa:

- Zaproszono mnie do Głazków na wieczór wigilijny. Pójdę wraz ze Świętym Mikołajem. Panie Heldbaum, proszę zorganizować odpowiedni strój. Czerwony płaszcz, czapkę, brodę, wąsy, wszystko.

- Pan będzie Świętym Mikołajem? - spytał „Petroniusz” . .

- Jestem za młody. Ale mam kandydata.

- Kogo?

- Święty Mikołaj musi być kimś, kto lubi rozdawać prezenty i kto jest z gruntu dobrym człowiekiem. Dobry by się nadawał.

- Pan żartuje!

- Ależ skąd!

Heldbaum pokręcił łbem.

- Nic z tego, on też jest za młody.

- No to zostaje już tylko pan!

I tak „Petro”, ku swojemu zdziwieniu, został Świętym Mikołajem. Taką maską nie grał nigdy dotąd. Byłem tam z nimi; pięć worków zabawek!; dzieciaki oszalały ze szczęścia.

- Boże mój - wyrwało się pani Głazkowej - trzeba było to dać do Domu Dziecka, tam jest tyle tych bidul...

- Posłaliśmy im pełną furgonetkę - rzekł „Książę”. - Po trzy zabawki na każdego.

- To o trzy za dużo. Bartuś nawet jednej nie zechce wziąć - rzucił gospodarz.

- Czemu? - zdziwił się Karśnicki. - Kto to jest?

- Chłopaczek, sierota. Piękne dziecko, ale inne.

- Co to znaczy inne?

- Inne, niż reszta dzieci... Wie pan, tam każde dziecko garnie się do tych, co przychodzą, chce być tulone, całowane, pieszczone, szuka rodziców, raczki wyciąga, płacze... Tylko nie on. On nie prosi o nic. Dużo razy chciano go adoptować, bo to sama śliczność, ale on nie chce, ucieka, nie chce się garnąć, nie wyciąga rączek, nie daje się całować, to zraża chętnych. Ma takie wielkie oczy, dziewczęce, ale w tych oczach jest jakaś wrogość, jakby wszyscy zrobili mu krzywdę - mówiła gospodyni. - I nie przyjmuje żadnych prezentów.

- Trzech latek nie skończył, a twardy jak chłop, nie zapłacze nawet, jak się uderzy o coś - dodał gospodarz. - Dziwne dziecko.

Trzeba było aż dwóch tygodni i fury szmalu, bo adopcja to nie pestka, ale kupić można wszystko i „Petroniusz” to załatwił. Opiekunki zblatowane jak trza nagadały dziecku, że jego tatuś przyjedzie. Zawiozłem Karśnickiego i chciałem czekać.

- Wejdz ze mną - rzekł - fart będzie mi bardzo potrzebny. Zbliżył się do chłopaczka i przywitał:

- Cześć, Bartek! Nie było mnie długo, ale już wróciłem. Jedziemy do domu.

Maluch stał i filował na niego ogromnymi patrzalkami, w których była jakaś dziwna poważność i jakiś smutek, ale nie płaczliwy, tylko mądry. Miał prawie trzy latka. Powiedział:

- Ty nie jesteś moim tatusiem!

- Jestem, synku, tylko twarz mi się zmieniła.

- Po co?

Bartek nie znał jeszcze słowa „dlaczego”, na wszystko, o co pytał, mówił: „po co?” („Po co nie możesz tego zrobić?”, „Po co mama dziś nie przyjedzie?” itp.).

- Bo mieliśmy wypadek samochodowy, pamiętasz? - rzekł „Książę”. - Moja buzia się wtedy popsuła, dostałem nową.

- Ty nie miałeś buzi... A mamusia miała buzię, ale spała. A mnie bolało. I było dużo dymu.

- Już cię chyba nie boli?

- Już nie.
- Mnie już też nie boli. Teraz mam nową twarz...
- Kto ci dał taką, Bozia?
- Bozia.
- Po co tak długo nie byłeś?
- Bo do Bozi jest bardzo daleko. Zawieźli mnie tam, żeby mnie wyleczyć, a teraz wróciłem do ciebie, żeby cię zabrać do domu.

A mama już nie śpi?

- Jeszcze śpi.
- Po co ona się nie obudzi?
- Kiedyś się obudzi i do nas przyjdzie. Dlatego musimy czekać na nią w domu, bo jakbyśmy czekali tutaj, to nie wiedziałyby gdzie nas odnaleźć, no chodź, idziemy, synku.

Wyciągnął rękę, mały podał mu swoją i ruszyli do wyjścia. Lecz nim doszli, „Książę” szepnął:

- Pożegnaj się, zrób pa-pa.
- Nie! - pokiwał głową maluch.
- Dlaczego nie chcesz zrobić im pa-pa?
- Bo oni nie są moją mamą, nie lubię ich. Chodźmy szybko do domu, będziemy czekać na mamę, żeby się przebudziła. Napiszemy do niej list, dobrze tato?
- Napiszemy, synku.

Zwariował dla niego. Co wieczór go usypiał, opowiadając mu bajkę (zawsze o tych samych czterech krasnoludkach, których wymyślił, o Gapciu, Pipeuszu, Bobaczku i Bimbaku, którzy mieli w lesie domek i przyjaźnili się z kupą zwierząt, z jeżem, krecikiem, zajączkiem, wróbelkiem Ćwirkiem, borsukiem, misiem Uszatkiem, słonikiem - „Książę” mówił: „słoninkiem” - bobrem, ślimakiem Chichą i wiewiórką), kąpał go, bawił się z nim i wybierał na spacer. Kupował mu zabawki, książeczki, ekstra ciuchy i takie żarła, iż bachory milionerów na Zachodzie lepszego nie szamają (banan, pomarańcza i mandarynka to były u nas jak marchew i ziemniaki, można się było nażreć i w końcu znudzić), wszystko „Pewex” i bazar, prosto z kapitalizmu. Mocowali się na dywanie i Bartek zawsze odnosił zwycięstwa, „zwalczał” Karśnickiego i „przywalał” do ziemi, a ten nawijał lub śpiewał rymem:

„Było nas kowbojów dwóch,
jeden dzielny, drugi zuch,
a ten trzeci zrobił buuuch!”.

Albo krócej:

„Było dwóch, w tym jeden zuch,
a ten trzeci zrobił buuuch!”.

I tu zgrywnie się przewracał, a Bartek hop! na niego. I śmiał się, a przedtem, w Domu Dziecka, nie śmiał się nigdy. Albo taki wierszyk:

„Bo był bardzo dzielnym zuszkiem,
drugi był to z brudnym uszkiem,
trzeci to był z grubym brzuszkiem,
czwarty z łysym był pępuszkiem,
piąty skaramuszkiem był i rozrabiał ile sił!”.

Zapytałem kiedyś, co to jest „skaramuszek”, czy to od much?

- Nie, to od pajaca z komedii włoskiej kilkaset lat temu - wyklarował mi „Książę”. -
Coś jak arlekin.

Pogrzebałem w encyklopediach i znalazłem. Bartuś mnie nie lubił, nie chciał się ze mną pracować, lub ganiać. Lubił Mańkę, a Mańka lubiła jego, opiekowała się nim jak własnym. Śpiewała mu:

„Na Bartusia z popielnika
iskiereczka mruga,
chodź opowiem ci bajeczkę,
bajka będzie długa.

Żyła sobie raz królewna,
pokochała grajka.
Król wyprawił im wesele,
cyt! - skończona bajka".

I jeszcze jedną: „Aaa, kotki dwa, szare bure obydwu...”. Karśnicki przekręcał to, mówiąc do Bartka: „my dwa, szare buranki obydwu!”, lub: „szare buraczki obydwu!”, i mały paplał wciąż: „My dwa!”.

Po śmierci Karśnickiego Dorota wzięła chłopca na wieś, miała tam kogoś z rodziny. Widziałem ich zeszłego roku przy grobie „Księcia”. Znów ma te gały jak dwie studnie z trucizną. Nawiewało wśród grobów, wiatr niósł suchy pył i kawałek tamtej melodyjki, w której było proroctwo: „...a ten trzeci zrobił buuuuch!”

IX

Dobry był dla nas dobry, ale trzeba było być dobrym dla Dobrego. Dawał i żądał. Lecz po prawdzie dawał dużo więcej, niż prosił, żeby jemu dać, dawał na kredę - tak, to był normalny kredyt do spłacenia w przyszłości, dziś to już jasne. O co mu wówczas chodziło? O drobiazgi. Jakaś niemożliwa zbrodnia na pierwszej stronie „Kurierów” i „Expressiaków”, władze i ludność patrzy glinom na ręce i glina musi się szybko wyrobić - idzie cynk do nas: znajdźcie! Kilka razy tak było. „Ogień” był w tym dobry, jego banda jak najlepsza policja łowiła delikwentów, szła nawet w teren, za Warszawę. Znaleźli morderców jednego księdza, znaleźli „wampira z Falent”, zabójcę pedałów na Kamionku i uciekiniera spod celi, co miał paru sztywnych na koncie. Dobry niczego więcej nie pragnął, chyba że papierów, lecz szmałem zajmowali się Heldbaum i Drozd, Karśnicki przestał im bruździć.

Czasem Dobry nie musiał nadawać cynku, wyprzedzaliśmy go. Taka rzecz się zdarzyła, jak pijani zarabali siekierą stróża na bazarze. Karśnicki sam by ich wykończył, lecz prasa już o tym nachlapała, trzeba ich było wydać (zbitych jak kotlety). Ale udawało się i prasę przegonić - wówczas wyrok był nasz. Gwałcicielom ze Skaryszewskiego parku, co gwałcąc przypalali dziewczynom i kobitom piersi i brzuchy petami, „Książę” kazał urznąć jaja i sam ich odwiózł pod szpital przy Świętym Florianie, a dopiero jak ich zaleczono, wzięła ich glina. Wtedy, jak odwiózł, dyżur w szpitalu miała jego eks-miłość, ta Elen. Spytała:

- Tyś to zrobił?
- Nie.

- Więc kto to zrobił?
- Moi chłopcy, na mój rozkaz. Ja przyglądałem się wykonaniu.

Zatrzęsło ją:

- Stefan, ty się powinieneś leczyć! Jesteś szaleńcem, okaleczasz ludzi jak...
- Nie tylko, zabijam również. Prowodyr nie został tu przywieziony, bo tu jest szpital, a

nie cementarz.

Ni z gruszki, ni z pietruszki pojawił się „Petroniusz”. Szarpnął „Księcia” za grabę, ku drzwiom.

- Chodźmy, pan tu nie może zostać, milicja przyjedzie za kilka minut! I może prasa!
- Niech przyjeżdża, mnie się nie spieszy, rozmawiam z damą. A ty skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Drozd mi nadał, a jemu Garoń. Panie Karśnicki, lepiej...
- Lepiej uciekaj, zbrodniarzu, bo cię złapią i powieszają! - warknęła pani doktor?
- Nie jestem zbrodniarzem, Elen! Już raczej sędzią i katem, feruję i wykonuję wyroki na zbrodniarzach. Wyroki śmierci również, gdy ktoś zasłuży. Nie jestem mordercą, tylko łowcą morderców! - odrzekł.

Przez hali obok nas przebiegło do windy kilka glin, dwóch w cywilu i trzech w mundurach.

- Chodźmy! - syknął „Petroniusz”.

Ale Karśnicki nie posłuchał.

- Jakie masz prawo zadawać śmierć?! - spytała go pani doktor. - Nawet państwo, kiedy zabija, sankcjonując taki odwet paragrafami, nie jest w porządku, bo zabijanie to barbarzyństwo, i nazywanie tego sprawiedliwością to też barbarzyństwo! W cywilizowanych krajach zniesiono karę śmierci, brzydząc się nią, i słusznie! Czy można nie brzydzić się czymś, co obraża człowieczeństwo, hańbi człowieka, jest ahumanitarne, bydlęce...

- Powiem pani coś, jeśli zechce mnie pani wysłuchać - przerwał jej „Petroniusz”. - W wielu krajach zachodnich, w których karę śmierci zniesiono, morduje się bez skrępowań i bez strachu, bo...

- Kim pan jest" - zapiszczała.
- Heldbaum, współpracownik pana Karśnickiego, do usług.

- Nie potrzebuję pańskich usług, panie Heldbaum!

- Z pewnością, ale potrzebuje pani kompasu do poruszania się przez krainę współczuć, żeby mogła pani trafić do współczuć właściwych, to jest takich, na które zasługują nie ci, których pani teraz obdarza litością. W tych krajach, o których wspomniałem, bardzo często morduje się lub okalecza dzieci. Przyczyn jest bez liku, od seksualnych, poprzez kidnappingowe i sadystyczne, aż do zemst na rodzicach. Lecz główną z przyczyn jest brak strachu przed okrutną karą! Porywacz nerwowo nie wytrzymuje, lub okup się spóźnia, więc ciach, dziecko w łeb! Albo je dusi. Albo je topi! Mafia sycylijska dopiero co zastrzeliła dwóch siedmioletnich chłopców i ich matkę, bo tatuś coś przewinił panom mafiosom. W zeszłym tygodniu w Mediolanie banda porywaczy wdarła się do domu przemysłowca, żeby mu porwać córeczkę, matka ją zasłoniła i nie chciała oddać, więc kropnęli i matkę i dziecko, i poszli sobie. Pif-paf!, tak po prostu, proszę pani, czy to trudno nacisnąć cyngiel? Albo podłożyć bombę w domu towarowym? Łatwiusieńko. Takie rzeczy dzieją się w tych krajach przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. A przecież ja mówię tylko o dzieciach, dorosłych zabija się dużo częściej, dla morderców życie człowieka jest tyle warte, co życie kurczaka. Wie pani dzięki komu? Dzięki pani. I dzięki takim jak pani.

- Pan zwariował, to brednie, nie będę tego słuchać! - szepnęła.

- A czyja zmuszam panią? Proszę odwrócić się i odejść. Uciekać przed prawdami, obrażać się na prawdę, tak zwanego Greka udawać, jest łatwiusieńko, nieomal tak łatwo, jak uciąć palec lub ucho porwanemu dziecku, żeby rodzice zmiękli. Umówmy się, że ja będę mówił dalej, a pani pokaże mi plecy kiedy pani zechce i już nie będzie pani musiała znosić moich słów. Będę mówił wciąż o dzieciach, bo to lepiej trafia do wyobraźni. Nawet do wyobraźni kobiet... Wie pani, co jest teraz plagą krajów, w których panuje cywilizacja? Tak zwane kampanie promocyjne mafii narkotycznych. Przed każdą ze szkół grupa bandziorów rozdaje dzieciom cukierki z kokainą i heroiną. Po kilku takich cukierkach dzieciak jest uzależnionym dożywotnio narkomanem. Albo śliczne nalepki do zeszytów. Dzieci przylepiają je liżąc klej - klej nasycony kokainą. Kilka nalepek i ma się klienta na całe jego zmarnowane życie. Działalność prawie bezkarna, bo nawet jak ktoś wpadnie, to grozi mu tylko cela z telewizorem, z której i tak kumple lub adwokaci prędzej czy później uwolnią...

Nie mogła odejść, jakby ją zaczarował. Ale wprawiało ją to w gniew:

- Co pan chce przez to udowodnić?! Że zabójstwo w odwecie to słuszny czyn?! A może to cnota?

- Chcę tylko uzasadnić to, co już pani wytknąłem. Bo pani się myli. To ludzie pani pokroju, którzy żądają zniesienia kary śmierci, lub gdzie indziej obstają przy utrzymaniu tego zniesienia, posługując się hasłkami typu: humanitaryzm, barbarzyństwo, okrucieństwo, sadyzm, deptanie ludzkiej godności i temu podobne, to oni deptają godność człowieka! Deptają godność człowieka krzywdzonego, bezkarnie mordowanego, i pozbawiają go praw, angażując się w obronę zabójców! Prawo do życia ma mieć ten, kto bez skrępowań zabiera -życie innym! Humanitaryzm dla morderców, a co dla ofiar? Prawo do nekrologu, tak? Uważam, że to właśnie jest obrażaniem człowieczeństwa, bo to jest negowanie praw do dysponowania własnym życiem, to jest deptanie ludzi pogrzebanych, którzy nie zasłużyli na śmierć okrutną, nieoczekiwaną i niezawinioną. To ten wasz selektywny humanitaryzm, przeznaczony tylko dla zbirów, podczas gdy kupa ofiar to kupa zeszlętych liści, szkoda sobie głowę zawracać, to on jest barbarzyństwem, bo tworzy cywilizację taniego życia, które można odebrać jak przedmiot! Podpisując się na swoich apelach i petycjach, podpisujecie zgody in blanco dla morderców na bezkarne mordowanie!

- To obrzydliwa demagogia, jak pan może tak mówić! Pan sam nie wierzy w to, co pan mówi! Czy pan nie wie...

- Wiem, wiem! Wiem, co piszą, znam tych mędrków z pani albumu dobrych serc! Kara śmierci nie odstrasza, tego dowodzą statystyki! Ktoś słusznie powiedział, że istnieją trzy rodzaje kłamstw: kłamstwa, cholerne kłamstwa i statystyki. Za pomocą statystyki można nawet udowodnić, że Ziemia jest płaska - większość ludzi widzi ją płaską. Albo że Słońce wędruje wokół Ziemi - miliony to widzą. Ale prawdą to nie jest. Kara odstrasza, a kara śmierci odstrasza bardzo! Nie odstraszy kogoś, kto w afekcie zabija gacha swej żony na gorącym uczynku, lecz odstraszy tych, co z zimną krwią popełniają zbrodnie - porywaczy, bandytów, sadystów, trzy razy się zastanowią, zbyt duże ryzyko. W tej dzielnicy długo nie będzie gwałciciela, mogę pani ręczyć!...

Milczała, nie mogąc, lub nie potrafiąc się odszczeknąć, a on dał akord na finał, na nokaut, chciał ją wyliczyć:

- Czas przyjrzeć się własnemu sercu, droga pani. Nigdy nie pojmę dlaczego ludzie o wielkich sercach, tacy jak pani, orędownicy zniesienia kary najsurowszej, mają tak niewiele szacunku, tak niewiele serca, tak niewiele humanitaryzmu dla czteroletniej dziewczynki zgwałconej i uduszonej, lub dla rodziny strażnika, którego zastrzelono, a tak wiele szlachetnych słów dla obrony łotra, który z braku jakiejś dziwki pod ręką skrzywdził tę dziewczynkę, lub osierocił inną, i dla handlarza narkotyków, który unieszczęśliwia całe generacje? Tacy jak wy nie bronią prawa do życia, lecz swobody okradania z życia, podtrzymują gmach strachu, a burzą gmach wolności, do której jednostka winna mieć prawo. Życzę pani wielu miłych lat bez wieczornych, nie zaplanowanych spotkań z osobnikami, na których pani głośuje!

Wyszczerzyła dziób, jakby chciała ugryźć:

- Ty skurwysynu!!

Aż zadźwięczało to rrr. „Książę” dopiero teraz się włączył:

- Twój leksykon się powiększa, Elen, gratulacje! A kondolencje z powodu przegranej sprawy, mój adwokat był dziś w lepszej formie niż pani prokurator. Obrona wygrała, zegnamy. Chodź, mecenas. Rozprawę uważam za zamkniętą.

„Petroniusz” nazwał później ten swój trel „samospełniającym się prorocstwem”. Bo się spełniło! Mówił o porwaniach i porwał. Wszystko to był film, ale teraz to już był film w filmie!

Heldbaum wtedy, w szpitalu, rzekł, iż statystyki kłamią. Jedne kłamią, a inne nie kłamią. Dopiero co przeczytałem statystykę przestępstw dla tej dzielnicy: w całym 1978 roku odnotowano na Pradze Północ 32 rozboje, tylko 32, dziś to są rocznie setki! Bo Heldbaum się nie mylił mówiąc: „kara odstrasza”. Odstrasza, i to jak! „Książę” trzymał urków żelazną pięścią, latarnie mogły nie świecić, a kobita szła spokojnie na randewu. Dopiero jak się zaczął 79-ty, śmierć kolnęła nasz świat i poczuliśmy cykorię. Nie ludziska z Pragi, na ulicach wciąż był spokój, tylko my, ferajna! Nas uderzono.

Nowicki miał na dalekim Grochowie buduar. W starym domu, przedwojennym, zewnątrz syf i malaria, niczym się to nie różniło od praskich ruder, a wewnątrz, na piętrze, dwa pokoiki luks, normalny Zachód, bombonierka. Rypał tam jakąś damę. Znalaziono go pod schodami. Dostał kilka sztuk kosą, dwie na piersiach i w szyję, wyciekła mu przez te dziury krew. Może z przypadku, trudno było dojść. Ale po kilku dniach już wiedzieliśmy,

że „Lolo” kropnął w kalendarz nie przez przypadek. „Turka” rozjechał pociąg za Wileńskim, kawałki znaleziono na szynach, rizotto w trumnie, a tej samej nocy Kiersnicz w kiblu „Oazy” tak oberwał przez łeb (może gazrurą), iż czaszka pękła jak fajans, na miejscu kaput. Trzej nasi główni producenci dewiz, dwaj wodzowie - cinkciarze (bazarowy i niebazarowy) i wódz kasyn, wišta wio w dębowych garniturkach do parku sztywnych, to nie mógł być przypadek. Odtąd każdy z „waletów” nie ruszał się bez silnej obstawy, a jak Karśnicki zadał pytanie: „co to za epidemia?”, Heldbaum rzekł:

- Na drzewku siedzi trzynaście ptasząt. Myśliwy kilka zestrzelił, powiedzmy trójkę. Ile zostało na drzewku?

- Dziesięć! - wyrwałem się z odpowiedzią.

- Nie. Żaden nie został, reszta odfrunęła... Ktoś chce nas wystraszyć!

- Kto? - spytał „Książę”. - Mój poprzednik? Miał tu nie wracać!

- On jest za granicą, spławiony na mur, ani nie wróci, ani nie wyśle tu nikogo, żeby się mścił. To nie on, to lewy brzeg. Chcą nas przegonić lub przejąć. I tak się zaczyna...

- Skąd wiesz o tym?

- Od Dobrego.

- Czy tam na lewym brzegu jest jeden wódz?

- Nie, tam nie istnieje centralizacja, tam każdy gra na swój szcnot. Król tamtejszych cinkciarzy chce połknąć naszą firmę. Szymon Borkowski, kiedyś Borek, pseudo „Borowa”. Dyrektor hotelu „Feniks”.

- To pewne?

- Pewne.

- Dobry tak mówi?

- Dobry.

- Czy ten Dobry nie mógłby być tak dobry, żeby wziąć za mordę tych sukinsynów?

Heldbaum pokręcił głową.

- W tej firmie, w której on robi za dygnitarza, jest akurat kryzys, tak zwany okres przejściowy... - zaczął wolno i z ociąganiem. - Trwa tam walka frakcyjna, personifikując: walka między nim a innym z potentatów...

- I ten inny ma lewobrzeżną Warszawę?

- Częściowo, tylko częściowo. Całym lewym brzegiem nie jest zainteresowany, nie myśli w tych kategoriach, lecz w kategoriach branż. I to jest jego błąd, facet ma krótkie horyzonty.

- Chce mieć cinkciarstwo na obu brzegach - zgadł „Książę”.

- Ummm.

Karśnicki wstał i zaczął łązić po pokoju.

- Role się odwróciły, co Heldbaum? Chodzi o to, by wesprzeć tego, który nas nie może wesprzeć? I wybór żaden, bo jak nasz dobry duch zamieni się w strąconego anioła, to i naszym udziałem stanie się piekło, musimy mu pomóc?

- Cieszę się, że pan to rozumie, panie Karśnicki.

- Od początku rozumiem więcej, niż ci się wydaje, panie Heldbaum, ale człowiek musi żyć w zgodzie z samym sobą, więc kiedy już dałem się spodlić, muszę to grać, nie umiem być wrogiem Karśnickiego, jestem skazany na przyjaźń z panem Karśnickim, chcę mu pomóc. Mów, co należy zrobić.

- Jutro, szefie. Dzisiaj mam się spotkać z wtyczką Dobrego w ich gangu.

Cynk, jaki przyniósł, to była niemożność walki bezpośredniej, gdyż u tamtych co drugi łobuz miał broń. Lecz był i promyk szansy, gdyż zastępca Borkowskiego, Pawliczak („Rum”), miał ukochaną córkę na Uniwerku Jagiellońskim (mieszkała w Krakowie, z matką). Stasiu przywiózł ją do Warszawy po dwóch dobach i „Petroniusz” wykonał telefon do prawej ręki Borkowskiego:

- „Rum”, córka się stęskniła za tobą.

- Kto mówi?! - krzyknął „Rum”.

- Ktoś, kto się zastanawia, co z niej zrobić, salceson czy pasztet. Może chciałbyś mi pomóc rozwiązać ten dylemat...

- Gdzie?!

- Zjedź ślimakiem Poniatowszczaka pod stadion, od strony Wisły, na płytę zielonych kierowców. Masz tam być w kwadrans. Jeśli nie lubisz swej córki, to weź kogoś ze sobą lub za sobą!

- Dobrze, tylko błagam...

Ale stary już odłożył słuchawkę.

Pawliczak przyjechał sam. Czterdziestka piątka na oko, niski, mądre spojrzenie, pełne niepokoju. Nie miał przy sobie nic (chodziło nie o gnat, lecz o. nadajnik sygnałowy, więc nawet skoki i slipy mu sprawdzono). Dostał wór na łeb i aż przez Grochów (dla zmylenia) pojechaliśmy na Targową 12, w podwórko. Był tam pawilon, jedna z naszych melin. Zdjęto „Rumowi” worek i ujrzał kilku zamaskowanych facetów (nawet Heldbaum skrył dziób kominiarą z trzema małymi wycięciami). „Książę” wskazał telefon:

- Dzwon do Krakowa. Powiedz żonie, iż córka jest w twoim domu i niedługo wróci.
- Pokażcie mi ją.

Była w pomieszczeniu obok, cała i zdrowa. „Rum” ją przytulił, potem zadzwonił i w końcu spytał:

- Czego chcecie?
- Chcemy cię awansować lub zabić - rzekł „Petro”. - Ty zabiłeś trzech naszych przyjaciół.

- Nie ja, lecz mój szef. Rozkaz to rozkaz.
- Więc zabijemy twojego szefa, a ty nam pomożesz.
- I co z tego będę miał?
- Swoją córkę i jego tron.

„Rum” skrzywił pysk w uśmiechu:

- Jesteście samobójcy! Gdybyście wiedzieli kto go kryje...
- Wiemy. Nas kryje kozak z tego samego zakładu, ale lepszy kozak. Ten, który kryje Borkowskiego, ma wyrok, od samej góry.

- To na cholere wam moja pomoc?
- Bo szale się ważą - wyjaśnił „Petroniusz” - jak to na wojnie. To jest ostra gra, nie ma tu zwycięstw łatwych, musisz nam pomóc. Albo czapa, będziesz pierwszym lub drugim trupem, kiedy zaczniemy rżnąć. Wybór masz prosty: duże ryzyko z szansą na duży sukces, albo pewny krzyż. Córeczka u nas jako zastaw, póki nie skończy się ten mecz.

Dobili targu. Najważniejszą rzeczą, jaką nam sprzedał, była wiadomość, że za kilka dni „Borowa” i jego mołojcy spędzą weekend nad Bugiem, będą tam chrzcic dziecko któregoś ze sztabowców. Fantastyczna gratka, „palec Boży” powiedział Drozd. „Dżek” i „Ogień” zrobili rekonesans na miejscu. Obejrzeliby daczę lornetką, inaczej nie podchodź, tak była

strzeżona. Lecz stała tuż przy rzece, a małe molo i przystań wchodziły w Bug. Sprzęt załatwił Krzywosz, i cztery, trzy, dwa, jeden, zero!

Pięciu chłopców z „batalionu” oraz „Księżę” wpłynęli na przystań, pod wodą, w strojach do nurkowania. Była północ. Od rzeki „Borowa” ustawił tylko dwóch strażników. Zgasili obydwu bez szemrań. Wewnątrz naprane koniakiem towarzyszo ciągnęło staropolski śpiew. „Wróć, ucałuj, jak za dawnych lat bywało!” bełgotnął gospodarz i zobaczył nurków z harpunami. Jakiś goryl się ruszył i od razu umarł - grot pocisku przeszył mu pierś. Po tym chłopcy spokojnie odbierali pijakom broń. Karśnicki wymierzył harpun w Borkowskiego i spytał:

- Kto jest twoim zaufanym?

„Borowa” wytrzeźwiał w sekundę.

- Co, do cholery! - szczechnął. - Co to...

„Dżek” nie dał mu skończyć; trzasnął go w pysk, wywracając z krzesłem, podniósł zakrwawionego i pouczył:

- Odpowiadaj jak w szkole!

I nie czekając kopnął pana gospodarza pod stół, znów go wyjął i chwycił za włosy.

- Kto jest tu wice, dziadziu? No!

„Borowa” wskazał. Karśnicki stanął przed „Rumem”.

- Posłuchaj, przyjacielu! Wyfrunąć stąd nie można, cały teren jest otoczony i moi ludzie będą strzelać do każdego. Nie chcę strzelaniny. Przyprowadź tu strażników. Grzecznie, z rączkami nad łebkami, wszyscy do środka! Jeden głupi ruch i on zginie! Jak masz zamiar pogrzebać szefa, to kombinuj. Ale wówczas umrzesz i ty.

Nie było żadnych numerów. Rozbroiliśmy całe towarzystwo (byliśmy już w piętnastkę, bo na dwóch łodziach przyplłynął Stasiu), zaczęło się wiązanie grab. Wtedy główny goryl, osiłek jak tur, zaczął się tłumaczyć przed „Borową”:

- Szefie, no co... co mogłem?! „Rum” kazał! Jakby nie to, to bym ich załatwił!

- Nic byś nie załatwił - powiedział nasz wódz. - Ty umiesz tylko w pięciu na jednego i od tyłu! Nie potrafisz inaczej.

- Potrafię!! - splunął byczycho. - Każ mnie rozwiązać, a zobaczysz! Spróbuj, cwaniaczku, spróbuj!

- Rozwiążcie go - rzekł Karśnicki. - Jak wygra, może odejść, nie wolno go ruszyć.
Masz moje słowo!

Stanęli naprzeciw siebie. Tamten był wyższy o pół łba. Skoczył, rąbnął girą, „Książę” zrobił unik i uderzył. Raz, koło ucha, a może w grdykę, z taką szybkością, że nie mogłem zauważyć. Poprawiać nie trzeba było, na ziemi leżał trup.

- Adijos muczaczos! - rzekł „Ogień”. - Od dziś żarty się skończyły, uważajcie na każdy swój krok! Kto mieczem walczy, mieczem dostanie w ryj! Waszego szefa pożyczamy sobie! Bez weksla, bez procentu i bezterminowo. Czas spać, przyjemnych snów!

Staś zajął się „Borową” w Warszawie, pomagał mu „Żbik”. Nie byłem przy tym, i w porządku, nie na moją wrażliwość katowanie człowieka. Wytorturowali z niego wszystko, co tylko się dało, i zamęczonego pogrzebali. Byłem przy „Księżu”, jak wbiegł Heldbaum.

- Jest coś, co może jest czymś, szefie! - krzyknął. - „Borowa” miał właśnie pchnąć kilku swoich do Londynu, do pewnego emigranta, po to, by mu odebrać jakieś cholernie ważne papiery! Nie wiem, co zawierają, ale mam...

- To skąd wiesz, że ważne?

- Bo zlecił mu to konkurent Dobrego! Dlaczego nie użył swoich orłów, firmowych?

Widocznie nie mógł! Może się bał? To pięknie śmierdzi!

- Znasz adres?

- Borkowski wyśpiewał. „Ogień” go mocno przycisnął, śpiewał jak z nut.

- Masz już paszport? i

- Mam.

- Kogo weźmiesz?

- „Dżeka” i „Ognia”.

- W porządku. Kiedy?

- Jutro.

- No to niech ci Bóg sprzyja. Diabła już dawno masz po swojej stronie.

- Wasza książęca wysokość, każdy ma jakiegoś diabła w bocznych płatach mózgu... - zauważył filozoficznie Heldbaum.

Kiedy odfrunął i mijały dni (pięć), coś dziwnego dało się czuć - czas odmierzała nam cykoria. Nagle zrozumieliśmy („Książę” chyba też), czym jest brak starego. Prawie nikt go

nie lubił, a teraz każdy tęsknił do jego powrotu, niby osierocony szczaw; jego nieobecność, to była nasza słabość, jakby nas rozebrano do goła i oślepieno; cisza bez jego paplań, to było powietrze, w którym niepokój zastąpił tlen. Bez Heldbauma byliśmy kaleką. To fakt, że on też byłby kuternogą bez naszych karateków i urków, ale same nasze pięści nie znaczyły nic, bo podziemny świat, w który wlała nasza paczka, okazał się dużo bardziej skomplikowany, niż nawet „Książę” mógł sądzić z początku. Nikt nie wiedział, co będzie, jeśli tam wpadną i nie wrócą.

Lecz trójka naszych „turystów” wróciła. Z łupem. To był podobno prawdziwy dynamit. Kilka świstków, na których znajdował się wyrok dla tego, co bruździł Dobremu. Nie znam detalicznie. Chodziło o mord w 1942, partyjna dintojra. Zginął wówczas w Warszawie szef Komitetu Centralnego PPR, Marcei Nowotko, ktoś go zastrzelił na ulicy. Posądzono innego członka KC, że był prowokatorem, agentem sanacyjnego wywiadu, co się wkręcił do komunistów, i że to on pierdyknął szefa. Towarzysze tak zadecydowali i z wyroku partyjnego kropnęli zdrajcę. A po wyzwoleniu się okazało, że to wcale nie tak, że niewinnego rozwalili, bo Nowotkę kto inny rąbnął w ramach partyjnych porachunków. I chodziło jeszcze o współpracę z Gestapo! Próbowali to komuchy chachmęcić, ale w Londynie ktoś miał dowody. Te dowody obciążały typa, który chciał załatwić Dobrego. .1 Dobry go załatwił, jak tylko Heldbaum wręczył mu prezent. Odtąd Dobry już nie miał „szwagra” na swoim podwórku, wygrał swoją grę, z naszą pomocą. Zapłacił blokiem mieszkań, całym blokiem osiedlowym na starym lotnisku obok Wału Miedzeszyńskiego! Karśnicki porozdawał te lokale słabiakom, co w spółdzielniach byli bez szans. Dziewięćdziesiąt kluczy!

- Dziewięćdziesiąt kluczyków do rajy! - skomentował to Drozd, już lekko podcięty Jasiem Wędrowniczkiem (na przyjęciu, które Heldbaum urządził z okazji swych imienin).

- Jak nisko trzeba upaść, żeby raj się tak kojarzył!...

- Ty, „Bankier”, nie bądź taki filozof, czego od nich chcesz, czy to ich wina? - przyhamował go Staś. - No co, ich? Ich?! - Ich! To nie tyrani tworzą niewolników, tylko niewolnicy tyranów, jak napisał... no... cholera, zapom... Heldbaum wam powie, on zna wszystkich!

Aż czknął z wysiłku, tak się mocował z pamięcią.

- Komunizm mu się odbija, źle go trawi! - huknął „Dżek”. - Polej mu, „Traktor”!

- Komunizm to ja mam już przetrawiony, drogie dziecko! - zaperzył się „Bankier”. - Zjedzony, przetrawiony i wysrany! A trawiłem po koreańsku, najlepsza szkoła!

- Jak to po koreańsku? - nie kapnął „Dżek” (nikt nie kapnął).

- Solenizant ci to wyjaśni, on ma dar przekonywania, który sam Pan Bóg wręczył mu na górze głupoty, jak Mojżeszowi dekalog! - wycedził „Bankier” i znów czknął, tylko głośniej.

Wszyscy pofilowali ku staremu, bo dalej nikt nie kapował, a ten zrobił minę ubawionego:

- Jemu chyba chodzi o dwie Koree... Ćwierć wieku temu Korea Południowa była krajem całkowicie zniszczonym wojną i pozbawionym jakichkolwiek bogactw, gdyż kopalnie, przemysł i najlepsze ziemie znajdowały się w Północnej Korei. Południe przyjęło system kapitalistyczny, a Północy dano komunizm. Dziś, po dwudziestu kilku latach, Północ to kraj nędzy, to ubóstwo jedno z największych na świecie, zrujnowany kraj, a Korea Południowa to mocarz gospodarczy, dobrobyt jeden z największych na świecie. Przykład o walorach papierka lakmusowego, to miałeś na myśli? - zakończył pytaniem solenizant.

- Eee tam! - machnął ręką Drozd. - Ty jesteś jak ten rabin, co talmudyczną retoryką sptyca istotę każdego problemu i tapla mądrość zjawisk transcendentalnych w banałach, które obrażają inteligencję! Sprawileś mi zawód! Nie będę pił twojego zdrowia!

- W ogóle nie powinieneś już pić - rzekł „Petro”. - A jeśli ten przykład to nie to, o czym myślałeś, to o czym myślałeś?

- O żmijówie! - wyjaśnił Drozd. - Koreańczycy robią wódę z zaskrońców!

- Robią, ale co komunizm ma z tym wspólnego? Robią i ci z Południa, i ci z Północy...

- A rozmawiałeś z taką żmiją, Heldbaum? Północna, jak ją wyjmiesz z butelki, śpiewa Międzynarodówkę, a południowa nic nie śpiewa, bo jest sfrustrowana jak wyjebany leszcz! To miałem na myśli, ale to przerasta twoją inteligencję!

Drozd i trzeźwy i naprany lubił złośliwość, ale naprany bardziej wydziwiał, można się było ubawić. Lecz wkrótce zrobiło się mniej do śmichu, już następnego dnia. Stary przyszedł i zadał pytanko:

- Co robimy z hotelem „Feniks”?

- Nic nie robimy, to sprawa Pawliczaków i Dobrych - odparł „Książę”.

- Dobrych tak, ale nie Pawliczaków. Pawliczak jest marionetką, powinien być naszą marionetką.

- Masz zamiar włączyć na lewy brzeg?

- Tak, wodzu.

- To pomysł Dobrego?

- To życzenie Dobrego.

- A jak on wyrazi życzenie, byśmy zajęli całe miasto?

- On to już wyraził.

„Książę” filował na Heldbauma i milczał. A potem rzekł wolno i cicho:

- Mogłem się domyślić. A teraz mogę jedynie życzyć sobie czegoś, panie Heldbaum. Życzę sobie, abyśmy już o tym nie rozmawiali.

- Czemu?

- Dlatego, że się nie zgadzam.

- Ale dlaczego się pan nie zgadza? Tylko to chcę wiedzieć, niech pan zaspokoi moją ciekawość! Różnica wobec tego, co już jest, byłaby jedynie w parametrach i w zyskach, a tam na lewym brzegu też żyje kupa ludzi, którym mógłby pan nieść swą szlachetną pomoc...

- Nie - przerwał mu Karśnicki - różnicą stałaby się nacjonalizacja, bo on do tego zmierza. Mamy już koegzystencję i ograniczoną współpracę, na tyle ograniczoną, iż nie przekracza to progu mojej wytrzymałości, chociaż jest blisko niego. Opanowanie lewego brzegu to byłby tylko etap, etapem następnym, to jest życzeniem następnym, byłaby silniejsza współpraca, i tak krok po kroku, w tej eskalacji akceptowanych przez nas życzeń, doszłoby do upaństwowienia naszej firmy! Nie!

- Ależ wasza książęca wysokość, ja sam nigdy bym się na coś takiego nie zgodził, to byłaby śmierć! - zawołał „Petroniusz”. - Jestem zwolennikiem reprivatyzowania, a nie upaństwowiania, bo ono prowadzi w przepaść gospodarczą. Znam prawo Savasa, najlepiej empirycznie sprawdzone ze wszystkich praw sformułowanych przez ekonomistów. Zgodnie z tym prawem działalność państwowa w dowolnej dziedzinie gospodarki jest o sześćdziesiąt procent droższa od prywatnej...

Dął w trąby swego gadulstwa myśląc, iż takie żarciki rozchmurzą Karśnickiego, ale nie dane mu było skończyć, bo ten przyhamował paplaninę:

- Heldbaum, jest takie powiedzonko wśród aforyzmów Starego Testamentu: „Bacz, byś nie zgłupiał od mądrości swojej"! Nie wiem, kto to mówi, nie pamiętam, Eklezjastes czy Eklezjastyk, ale wiem, iż nie chcę dalej rozmawiać o tym życzeniu, z którym pan przyszedł!

Heldbaum wbił w niego inne niż przed chwilą gały.

- Jeszcze tylko jedno słowo!
- Słucham.
- Pan sam powiedział, że każdego można kupić...
- I pan chce spróbować?
- To on chce spróbować.
- Nie kupi mnie do tego za pęk kluczyków dla bezdomnych. Za nic.
- Nawet za pańską dziewczynę?
- Za jaką dziewczynę?
- Za tę zgwałconą.
- Ona umarła!
- On twierdzi inaczej.

„Książę" skoczył ku niemu, chwycił za kłapy i tak je ścisnął, że omal katana nie pękła.

Z głębi ust dobył mu się straszny szept:

- Cooooo?!

Heldbaumowi od tego ściśnięcia kołnierz wbił się pod brodę, ale nawet nie sapnął, nie zdjął oczu z facjaty Karśnickiego i nie było w tych oczach cykorii za grosz. „Książę" go puścił, podniósł grabę, żeby odgarnąć włosy, które spadły na czoło, stąpnął do okna i zamienił się w słup. Widziałem różne milczenia między nim a innymi, bo czasem on zapadał w cichość, zamykał się w swoim wnętrzu, i wtedy bano się mu przeszkodzić, ale tak długiego, jak wówczas, nigdy nie widziałem. Stał i stał, a myśmy obaj czekali z drżeniem nerwów. Mogłoby to chyba trwać w nieskończoność, lecz nagle przybiegł Cyc, jakby coś wyczuł i się zaniepokoił. Począł się łaścić do swego pana, szczeknął tak, że było w tym szczeknięciu pytanie: „Co jest?!", a Karśnicki się przebudził, pogłaskał bydlę i odwrócił wzrok do starego.

- Czy pan jeszcze umie płakać? - zapytał martwym głosem.
- Kiedy trzeba, to umiem wszystko - rzekł „Petroniusz". - Dlaczego pan pyta?

- Bo nie chciałbym, aby rządził mną ktoś, kto nie potrafi już zapłakać... Ja... ja już nie umiem.

Tak to powiedział, że mnie się zachciało chlipać, w nosie i w limie było mi wilgotno.

- Gdzie? - spytał Karśnicki.

Staruch wygładził zmiętą marynarę i odpowiedział:

- Zapytam go.

Nie poszła do ziemi; dawno temu zrobiono Karśnickiego w konia (ktoś z jej rodziny nadał mu te wiadomość), dalej była u czubów. W zakładzie przyklasztornym, gdzieś na Pomorzu, w Szwajcarii Kaszubskiej. Odtąd wierzę w cuda, w duchy, w każdą niemożliwość, bo jak usłyszałem, że w Szwajcarii Kaszubskiej, to mi łeb zaskoczył niby komputer - przypomniał mi o tym wierszu, co był przez Karśnickiego założony i wciąż czytany, od słów:

„Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
nie wiem jak sobie jej postać malować?...”

Ten poemat Słowackiego z „Antologii” XIX-wiecznej, którą „Książę” otwierał jak modlitewnik, a która leży na półce w moim domu (widzę ją, kiedy piszę) - ma tytuł: „W Szwajcarii”!!! Sami powiedzcie, czy to nie są cuda? Przypadek? Karśnicki powiedział, jak się rozstawał z panią doktor, że „przypadek to prawidłowość”. Więc wszystko jest prawidłowość, nawet cuda. Czyli nie ma cudów, albo cudem jest wszystko, co jest. Cholera, można tak filozofując zgłupieć od własnej mądrości, fakt.

- Z kim pan pojedzie? - zapytał „Petroniusz”.

- Sam pojedę - rzekł Karśnicki.

- Niech pan nie jedzie sam, proszę pana o to! Pan już jest w szoku, a tam szok może się zwiększyć. Ja wiem, że pan jest dobrym kierowcą, ale przy takim stanie nerwów nikt nie jest dobrym kierowcą. Niech pan weźmie „Fokstrota”.

- Szefie! - zaskowyczałem. - Pan sam mówił, że przynoszę fart, szefie!!

- W porządku. Weź renault - burknął Karśnicki.

- Czy mogę zaczynać pod pańską nieobecność, szefie? - spytał Heldbaum.

- Możesz.

- Będę potrzebował pańskich chłopców.
- Wydałem dyspozycje „Dżekowi” i „Ogniowi”, mają cię słuchać.

I pojechaliśmy, z samego świtu, gdy odchodziła noc. Na niebie świecił blady księżyc, a krajobraz za miastem stał się płaski i nudny. Potem wzeszło marniutkie słońce, wiatr przesłaniał je chmurami i odsłaniał. Lato było na styku z jesienią, ostatnie motyle rżnęły o nasz wóz. Bez słońca pola wydawały się jeszcze bardziej martwe i opuszczone, przerażające w swoim smutku, jakby gdzieś za nimi lub za ścianą lasu czaiło się niebezpieczeństwo, równie naturalne, co ten bezruch, ten smutek i szum przydrożnych drzew.

Nikt nas nie mijał. Z początku nie zwróciłem na to uwagi; dopiero jak się skończył asfalt i zamienił w dziwną drogę, ni to polną, ni to wiejską, z kępkami traw po środku, na które musiałem uważać, minęło nas kilku konnych, ubranych jak do historycznego filmu; pewnie coś tu kręca, jakiś serial, pomyślałem. Czasami się zjawiał powóz, lub tajemniczy dylizans, rozkołysany i klekoczący, i pędził nie wiadomo dokąd, bez woźnicy i pasażerów, kogokolwiek, kto mógłby pofilować na nas. krzyknąć, lub pozdrowić, jakby konie same znały cel. Był nieprawdopodobny, jak z dawnego snu.

Dopiero kiedy ujrzałem wieś, wróciła realność; przedtem byłem nienakimany, od wczesnego zerwania, mogło mi się roić. Była to zwykła wieś, ze swoimi zapachami i kolorami. Na skraju gospoda, która przypominała stodołę; postanowiliśmy wrzucić coś na ruszt, żołądek nie sługa. Wewnątrz wszystko w stylu historycznym, to teraz modne, ale panowała ciemność, bo nie było okna, kopcily świece; myślałem, że prąd kaput, w końcu nawet u nas, w Warszawie, wyłączają, gdy brak energii, albo że też pod modę, taki szpan, wszyscy lecą na starość i bulą za to, za frajerskie przyjemności trzeba bulić.

Błat naszego stołu był mokry, parował zupą i kiełbasą. Czekaliśmy na kelnera lub kelnerkę, lecz nikt się nie pojawiał. Przy drugim stole siedziało kilku typów nad glinianymi dzbankami. Płomyk wydobywał z mroku ich drapieżne profile. Zalatywało od nich łajnem krowim. Mieli nosy i policzki czerwone, i błyszczące lima, jak od wiatru. Nawet ku nam nie spojrzeli. Jeden basował, gestykułując mocno, aż się chybotaly płomienie świec: - ... i miał żonę z dobrego rodu. Jeno że nie tylko jego lubiła, ale i stryjcowego jego brata, co przy nich, mieszkał, i jeszcze syna sąsiadów wyrosłego dobrze. Bartosz o tym wiedzieć nie mógł, bo jak poznasz, futro się na babskim łonie jednako od

każdego chłopa wyciera, a zadek i cyc barwy wraz z miłośnikiem nie odmienia. Tak we trzech ją trykali, o czym jemu wiadomym nie było. Razu, latem, gorąc wielki, na siano poszli spać. Bartosz po północy się przebudził, spoziera, cosik po stodole łązi a fuka. Byk wrotnie odemknął i do siana się przypiął. Coraz bliżej i bliżej, pyskiem prawie ich boćkał. Odsunął się Bartosz, myśli: niech się żona przebudzi, a to nastrachana będzie, jak zwierza obaczy. Ze wszystkim się nie obudziła, w półśnie cap za róg byka i szepcze: Stasinku, miły mój!... Krew Bartosza zalała... no i co się zaśmiewacie, dajcie skończyć!

Zanieśli się takim śmiechem, rycząc i klaskając, że ledwo mógł kontynuować.

- Słuchajcie! Bartosz, aże go drgawki ze złości wzięły, słucha. A ta ręką przewiodła, namacała drugi woli róg. Rozebrało ją ze szczętem. Józinku, szepcze, i tyś tutaj, i ty?...

Nie mogąc wytrzymać, na ławę się kładli, rechot zgiął ich w pół, a ślozy im ciurkiem płynęły. „Książę” też nie wytrzymał:

- Chodźmy, odechciało mi się żreć!

Za wsią, aż po widnokrąg roztapiający się w szarości nieba, był płaskowyż. Jego monotonię przerywały sosnowe zagajniki, kępy buków, plamy wrzosów, nędzne chaty okładane słomą i mchem, jakiś mostek przerzucony nad strumieniem i na wpół zgniły, kilka samotnych dębów, rosochate wierzby, kałuże wody lśniącej w blasku rzadkiego słońca. Królował obezwładniający spokój i zdawało się, że zamiera tu życie, aż po moment, gdy drogą przechodził wieśniak, lub pastuch pędził bydło, lub gdy ptaki się zrywały przestraszone widokiem samochodu. Niskich jak odwrócony talerz wzgórków było coraz więcej, a kałuże zamieniły się w jeziora, piękne jeziora, w których były jeszcze ryby zamiast prostokątnych filetów z niewiadomo czego. Im dalej jechaliśmy, tym przybywało stawów, lśniących jak napotkane w mroku lustra, a znikły pasemka zaoranych pól i zielonych łąk. Byliśmy już w Szwajcarii Kaszubskiej, prawie na miejscu.

Klasztor leżał nad jeziorem okrągłym jak miska. Brązowe od zeszłorocznej zgnilizny brzegi, ptactwo szczypiące wodę setkami dziobów... Zaparkowałem przed bramą, obok skałeczonego krzyża na mogile przydrożnej, takiej małej, że chyba spoczywało w niej dziecko. Furtka była otwarta, a kościół w ogóle nie miał drzwi. Przez jego dziurawy dach i zabite deskami okna musiał cieknąć deszcz. Na ścianach czerniały długie, postrzępione pasma wilgoci, spod butów chlupała woda w wyrwach posadzek. Lecz półmrok rozjaśniało światelko kaganka przy ołtarzu - ktoś tu był.

Przekroczyliśmy pustą plebanię, by wyjść na kraj cmentarnego muru, do którego tuliła się martwa dzwonnica. Dwa dzwony, niegdyś grające na każdy znak mnichów, obwieszczające alarmy i wykrzykujące nowiny nad okolicą, teraz kimały zatechłe od bezruchu, przemienione w gniazda nietoperzy.

Dalej był klasztor. Obok park, a właściwie hektar strzeżonego wysokim murem trawnika, z którego gdzieniegdzie wyrastały, ławeczki i altanki wśród drzew i krzewów. Roiło się tam od kobiet. Jedne były ubrane na czarno (mniszki), a inne w długich białych koszulach (chore); czarno-białe szachy na zielonym. Karśnicki grał wzrokiem białe. W kilka sekund wypatrzył. Podbiegł i stanął przed nią:

- Basiu!

Odwróciła się do niego spokojnie. Boże mój, była piękna, jak anioł!

- Ach, to ty? - uśmiechnęła się. - A gdzie Bartuś?

- Bartuś?

- Stefan, ty zawsze żartujesz! Gdzie nasz syn?

- W domu.

- Zostawiłeś go samego?!

- Z mamą.

- To dobrze. Zrób zakupy, i nie zapomnij o mleku, on musi pić dużo mleka!

- Tak, kochanie.

- Widzisz ile tu trawy? Niedługo będzie mróz, robię czapkę i szalik dla Bartusia...

Pokazała mu na wyciągniętej dłoni kilka splecionych traw.

- Podoba ci się?

- Bardzo.

- Muszę to szybko skończyć.

- Skończysz w domu, kochanie. Chodź ze mną.

Z boku rozległo się jak wystrzał:

- To ty pajdiosz z nami!

Otoczał nas krąg czarnych habitów. Zjawili się jak duchy. Ich twarze nie były ludzkie, tylko psie lub wilcze, z szarą sierścią i żółtymi kłami. Ten, który przemówił, wskazał na „Księcia”:

- Brać jowo!

Doskoczyli w trójkę, nie wiedząc, że to „Samuraj”, mistrz. Kilka uderzeń, kołowrotek rąk i nóg. Połamał im te mordy w kapturach, skowyczące jak uderzony pies lub postrzelony wilk. Rzuciło się nań kilku następnych i jeszcze kilku, ze wszystkich stron, oblepili go, niczym czarne mrówki robaka. Wszystkich wciągnął ten kołowrót, mogłem dać nogę. Miałem skrzydła w girach. Zza muru cmentarnego filowałem, jak go wiążą sznurami i wloką do klasztoru.

Nie wiedziałem, co robić. Wskoczyłem w gablotę i ruszyłem na wprost, pomocy szukać. Zapadał zmierzch. Jezioro stało się teraz dwubarwne - przy brzegu ławica księżycowej poświaty, a dalej mrok bez dna. Ujrzałem płomyk. To było okno niewielkiego domu. Wewnątrz był sklep, tak mówił facet, który tam siedział rozparty w fotelu. Miał cygański pysk. Na mój widok odrzucił czarne kudły, które spadały aż pod wylupiaste lima i wpatrywał się we mnie z ciekawością, a ja nie mogłem wydusić nic, co miałoby jakiś sens, czułem tylko szum w baniaku - nie mogłem sobie przypomnieć, z czym tu przybywam! Mój łeb zapomniał wszystko! Facet się skrzywił i szerokim gestem wskazał kupę swego chłamu. Były tam stare srebra, broń, figurki, naczynia porcelanowe, siodło, od cholery nocników i dywanów, wszystko zwalone na podłogę, w kąt, jakby ktoś zrobił tu kipisz.

- Proszę wybierać! Proszę, proszę, panowie!

Jacy panowie?, byłem sam! A on dalej truł:

- Panowie za gotówkę, czy na kredyt? Na kredyt taniej liczę!

Chyba zwariował: na kredyt taniej, i to dla obcego?! Spytałem czemu.

- Bo jak mi kto nie odda, mniej stracę! - wyjaśnił. - No, niech panowie decydują, na mnie czas, muszę zamykać! Na zebranie partyjne nie wypada się spóźnić sekretarzowi!

Wtedy sobie przypominałem. Tak, on mógłby pomóc! Dygnitarz.

- Pan jest tu pierwszym sekretarzem POP?

- Drugim. Pierwszy utopił się na bagnach, będzie miesiąc temu. Padło na mnie, bo przy tylu członkach, jaki wybór był?

- To ilu was jest w tej partii?

- Trzech. Reszta wystąpiła jak most zerwało i nie było dowozu wódki przez rzekę. Ja musiałem zostać, a ze mną dwóch.

- Dlaczego?

- No... przecież ktoś musi być, jak będą partyjnych wieszac. Kogo by wieszali, he?... Muszę już iść. Nie chcą panowie kupować, to trudno. Proszę innym powiedzieć, że jak przyjdą, dam na kredyt.

Zastąpiłem mu drogę.

- Ja tu przyszedłem po pomoc.
- Jaką pomoc?
- Mojego przyjaciela uwięziono w klasztorze...

Zwiął na bok gałami.

- To nie moja sprawa! Nie chcę z tym mieć nic wspólnego! Nie mogę panom pomóc!
- A kto może?
- Ksiądz. Niech idą do księdza!
- Gdzie to jest?
- Pokażę panom. To tuż tuż.

Zaprowadził mnie leśną ścieżką do szałasu na polanie i znikł w ciemnościach. Uderzyłem drzwi pięścią. We wnętrzu rozjazgotały się jakieś zwierzęta, a potem czyjaś dłoń otworzyła i ukazał się łysy łeb z wianuszkiem włosów.

- Wejdz, bracie.

Zapach tego wnętrza przypominał smród sklepu ze świnkami morskimi i chomikami. Kurz leżał jak śnieg i dotknięty unosił się jak puch. Wszystkie meble, nawet drewniana figura Matki Boskiej, były w dziurach od korników, ze ścian zwisały jakieś resztki zasłon rąbanych przez mole, nawet księdzu nie darowały. Miał długą, do kostek sięgającą szatę bez koloru i bez kroju, bo całą wyżartą i zeszmaconą, przewiazaną na biodrach powrozem, który kiedyś zwisał, póki nie napoczął go kornik. Tylko twarz, koścista, powleczone żółtą skórą (a może to kaganek tak żółcił), nie była dla robaków. U nóg miał lisa, borsuka i niedźwiedzia. Niedźwiedź wpatrywał się w moją osobę z największą pożądlivością, lecz ksiądz, paluchem mu pogroziwszy, przywołał go do porządku:

- Kto ma nad miarę, ma cudze, Amadeo! Leż!

Powiedziałem, co mnie przynosi.

- To kapitan Wołków - rzekł klecha. - Podczas wojny był niemieckim jeńcem, a jak uciekł z obozu, to robił tu partyzantkę sowiecką. Niezlomna to postać, do dziś nie wyszedł z lasu. wciąż się kryje, niczym żołnierze japońscy...

- Po tylu latach?!
- Otóż to, bracie!
- Czemu porywa ludzi? Porwał mojego przyjaciela...
- Na okup, z czegoś musi żyć. Daj mu okup.

Przeliczyłem szmal.

- Za mało - rzekł łysy.
- Nie mam więcej!

Ksiądz spojrział na niedźwiedzia.

- Widzisz, Amadeo! Błogosławieni ubodzy, albowiem ich będzie Królestwo Niebieskie!

I znów się do mnie odwrócił:

- Tylko Żyd może ci pomóc, ma swoje interesy z kapitanem. Chodźmy. A ty, Amadeo, pilnuj! I nie zjedz Baltazara, bo grzech śmiertelny uczynisz!

Niedźwiedź coś zamruczał, podnosząc łeb.

- Nie, Amadeo, nie masz racji - rzekł ksiądz. - To jest mój interes! Kto pomaga innym, sobie pomaga. Na lichwę daje Panu, kto ma litość dla innych. A kto zatyka uszy swoje na krzyk, sam wołał będzie i nie wysłuchają go.

Kiedy szliśmy ku drodze rozszalało się niebo, burza od siedmiu diabłów! Pioruny były seriami, jak mruganie oczu, wrywając szlak z ciemności. Raz po raz ukazywały się kolumny drzew zlewane deszczem tak silnym, że przebijał się przez liściaste korony, niczym przez sito.

Ten Żyd to był karczmarz. W jego karczmie królował półmrok patrzący oczami płochliwych kaganków, nasycony dymem czosnkowym i kwasem taniego wina. Wokół stołów przepijali do siebie zatrunkowani gadatliwcy, w kącie grał na skrzypkach kaleka, dziewczynisko w zielonym serdaku roznosiło gliniane talerze; Ksiądz podreptał do kontuaru, do arendarza Josła. Josel miał gudłajską głowę w jarmułce wyszywanej perłami i uśmiech, w którym widniały wszystkie mądrości z błogosławionego chederu, jakim jest pieniądz. Słuchał nachyliwszy ucho, potem wyszedł zza lady, zawołał żonę Mojrę i otworzył przed księdzem i przede mną drzwi obok szafy z wódkami.

Wprowadził nas do tylnego pokoju, wąskiego i jeszcze ciemniejszego niż sala jadalna. Nie było tu okien i było prawie pusto, jak w drewnianej kostnicy. Po prawej stronie stała

komoda (wisał na niej kobierczyk z haftowanym złotymi literami napisem po hebrajsku) i taboret, a pod ścianą wprost wejścia stół (na nim trójramienny świecznik i kielich). Przy stole siedział Żyd z długą siwą brodą, w sobolowym kołpaku i białym chałacie ściągniętym sznurem. Czytał, pochylony nad książką, zda się nieruchomy, tylko olbrzymi jego cień na ścianie kiwał się miarowo delikatnym ruchem widma. Nie odwrócił się gdyśmy weszli; wziął kielich w przezroczystą dłoń, trochę upił i znów dotknął brodą woluminu.

Ksiądz podał karczmarzowi pół swojego portfela, a Żyd:

- Za taki marny pieniądz Josel nie zrobi wielki interes! Mały interes nie ciekawi Josła, bo kto robi taki interes, temu na stare lata zostaje już tylko jedno zapluskwione miejsce w heh-deszu, a nie własne bogate dzieci, co się starym ojcem jak dzieckiem opiekują.

- Nie możemy dać więcej - rzekł ksiądz - reszta musi iść dla kapitana. Proszę, pomóż arendarzu, bo to człowiek niewinny...

- Niewinny, niewinny! Kto dzisiaj jest niewinny na tym świecie, co się zamienił w wielki purim-bal, w czerwony Kutlof? A jeśli już on jest taki głupi, że jest niewinny, to on przez to jest najbardziej winny! I czy ja ciebie pytam, księżu, o jego niewinność, ile on nie zdążył ukraść i nie dopłacić, i skłamać, i zdradzić w swoim życiu? Niewinność to nie jest pieniądz na prawdziwy interes!

Spoza drzwi przybiegał żaloszny dźwięk strun. Ksiądz jeszcze raz poprosił, żarliwie i głośno. Żyd spojrzał nań zdziwiony.

- Proszę to też nie żaden pieniądz, za to dzisiaj nie kupi bułki, ani kieliszka wódki, ani nawet dobre słowo!... Wy, goje, patrzycie na Josel jak na brudny baran, jak na robak, co się szwenda pod wami, jakby Żyd nie człowiek był, tylko diabeł, ale kiedy nieszczęście zapuka do drzwi waszych niby śmierć, co przychodzi nieproszona, natenczas znajdujecie drogę do Żyda i biegniecie jak dziecko, co biegnie do rodziców swoich i woła: Tateleben, Mameleben!... Coś ty mi tu dał, ciebie nie wstyd? Ty mi przynieś złoto, a wówczas ja ci pomogę! Połamały się inne klucze do nieba, jeden tylko pozostał cały...

- Złoto? Mylisz się Żydzie, tylko modlitwa jest kluczem do nieba! - wyrzucił ksiądz ze ściśniętych warg.

- A ja myślałem, że myśl... - rozległ się cichy głos obok mnie.

To podszedł stary.

- Kim jesteś? - spytał ksiądz, patrząc w pomarszczoną twarz, w której świeciły oczy nawiedzonego.

- Sługą, jak i ty.

- To jest rabbi Eleazar Jessnitz! - krzyknął karczmarz. - On podróżuje i mnie zrobił łaskawość, że się zatrzymał tu! On jest mądry, jak żaden z was nie jest, i dobry, i uczony w piśmie...

- Nie ma takiego pisma, które może zmusić do miłości - przerwał mu rabin, kładąc rękę na zaślinionych ustach. - Choćbyś na pamięć poznał każde słowo z ksiąg Talmudu, z komentarzy Raszego i z pisania Majmonidesa, cóż ci z tego przyjdzie, jeśli serca nie będzie w tobie, Josel?

- Rebe...

- Talmud mówi, że kiedyś pewien człowiek prosił Szamajego, aby go na jednej lekcji nauczył całego zakonu, Szamai zaś odpędził go z gniewem. Gdy tenże człowiek przyszedł do Hillela z tą samą prośbą, Hillel mu odparł: „Czyń drugim to, co chcesz, aby oni tobie czynili. Oto cały zakon, reszta to są tylko komentarze"... Nie utwardzaj serca swego, zmiękczej.

- Rebe...

- Z tym człowiek się nie rodzi, chociaż w nim to jest, ale to trzeba znaleźć w sobie, samemu znaleźć, Josel, odszukać tę dobroć na dnie, i wyjąć, i w sercu swoim ułożyć, jak w kołysce dziecko. Ci nieszczęśni i przekłęci na wieki, których Adonai dotknął największą z nędz, niemiłosierdziem, i ogłuszył na ból człowieka, i na to proszę człowieka, i którzy natenczas szczęśliwi, kiedy do nich szczęście przychodzi, a jeszcze szczęśliwsi, kiedy ono od innych ucieka.

- Rebe! - jęknął Josel - przecież ja nie winien temu, że te żołnierze zamknęli człowieka do piwnicy i że ten ksiądz chce go ratować za pół darmo, jakby to nie był cały człowiek, a pół człowieka!

- Czemu ty tak głupio mówisz, Josel, jakby w tobie była tylko ta połowa mądrości, która jest głupotą? Ona jest w każdym z nas, ale mądry ją przemilcza. Dlaczego ciebie nikt nie nauczył, że nie jesteśmy odpowiedzialni tylko za to, co czynimy, ale i za to, czego nie czynimy? Tobie się zdaje, Josel, że ty jesteś wielki puryc, bo u ciebie są pieniądze? U ciebie jest pycha i ona ci serce przeżera jak robak, a jaka moneta taką jest wielką, byś nią

zatkał te dziury, tak by ich Przedwieczny nie zobaczył, kiedy stanie nad tobą? Ty mnie nie chwal, że ja jestem uczony w piśmie, bo żadne pismo nie nauczy cię miłosierdzia, jeśli ty sam tego nie uczynisz, i żaden Bóg nie potrafi cię nauczyć, co to jest dobroć, jeśli...

- Mój Bóg nauczał miłosierdzia i słowem i sobą samym, bo on był sam nieskończonym miłosierdziem - wyszeptał ksiądz.

Rabin, usłyszawszy to, wziął księdza pod ramię, delikatnie zaciągnął do swojego stołu i rzekł:

- Twój Bóg, Jezus Nazareński, król żydowski, spytał: „Eloi, Eloi! Lamma sabakthani?!” i to są najmądrzejsze słowa, jakie poznał świat, odkąd Bóg stworzył bogów i człowieka... Powiedz mi, czemu u kresu nieskończonego miłosierdzia jest piekło dla grzeszników?

- Bo inaczej świat utonąłby w morzu zbrodni i nienawiści człowieka do człowieka - odparł ksiądz.

- A czy on w nim już nie utonął tyle razy, ile razy słońce obudziło świat? Nienawiść człowieka do człowieka to nie jest najgorsza z nienawiści. Większa jest nienawiść ignorancji do wiedzy, ciemnoty do chęci poznania. Powiedz, czy znasz większą?

- Znam, to nienawiść niewiary do wiary.

- A nienawiść wiary do niewiary? Czy to nie ona podpałała tysiące stosów? A nienawiść wiary do wiary, przez którą pali się gmach judejski, co jest nieśmiertelny jak matka i stoi na skrzyżowaniu wiatrów historii, a płonąc jeszcze bardziej jest widoczny i jaśniej oświetla drogę?!

Zmęczony rabin odetchnął głęboko, upił trochę płynu z kielicha i stał milcząc, aż wsadził kościsty palec w puch swej brody, znowu podniósł wzrok ku księdzu i szepnął:

- Wiara największa, to jest walka między wiarą a niewiarą, która toczy się w człowieku od narodzin do śmierci i jest piękna jak złota Arka Przymierza z Panem! A my mieszamy do tego domy boże i chodzimy do bet-ha-midrasz, jakby nie dość było wejść do siebie samego, a kiedy już mówimy: miłość, to myśląc o kobiecie, do której miłość to jest zwierzęcość i trochę retoryki, i jeszcze trochę pieniędzy lub sprytu, gdy nie można inaczej!!!

Krzyk wypełnił mu płuca, rozkasłał mu gardło i ciałem jego wstrząsnął.

- Rebe! - miauknął Josel, skoczył, wziął w ramiona i przytrzymał. - Rebeee!!!

Rabin opadł w krzesło, a potem długo siedział z głową odrzuconą na ścianę. Wpatrywaliśmy się, czekając, aż uspokoi oddech i wzrok otworzy. Gdy w końcu to uczynił, spojrzał jak przebudzony na księdza i spytał:

- Czego goj chce?
- Pomocy.
- A ty, Josel, nie chcesz mu pomóc?
- Ja nie chcę?! Rebe!... Czy ja jestem jaki iberwerfer, żeby we mnie nie było serca, a w nim zrozumienia, a w tym zrozumieniu odrobiny dobroci na krzywdę, co dotyka ludzi jak mór i głód, i mróz, i wszelaka nędza?!

Odwrócił się ku księdzu:

- Powiedz ty, czy Josel powiedział, że nie chce ci pomóc? Czy Josel był taki okrutny, że on ci nie...
- Żądałeś więcej niż mogłem dać, arendarzu.
- Ja?!!

Odciągnął księdza na bok i zbliżył wargi do jego ucha:

- Dasz, ile możesz, księżu, wszystko, co masz, a ja załatwię to z kapitanem i niech ciebie nie będzie ciekawość, w jaki sposób. Josel powiedział, Josel załatwił. Ja znam go i on to zrobi dla mnie, ten kapitan, z musu zrobi, ale zrobi. Jutro twój człowiek będzie miał wolność, ale niech on drugi raz nie wpadnie, bo Josel już nigdy nie zrobi drugi taki interes, co jest wielki interes dla ciebie, a dla mnie mały jak kościany guzik, jak główka szpilki, jak robaczek, o, taki mały!

Wypuszczono „Księcia” nazajutrz. Szliśmy przez ten park, gdzie spacerowały chore, a on się przyglądał, lecz jej już nie było. Może była w środku? Inna, mijając nas, uśmiechnęła się, rozejrzała i szepnęła porozumiewawczo:

- My jesteśmy szurnięci!

Ja też się rozejrzałem, bo jej słowa i jej uśmiech napełniły mnie trwogą, lecz nikt za nami nie szedł, zrujnowany kościół spał bez ruchu i najłżejszy wiatr nie kołysał wierzchołkami drzew. Płonące kwiaty u brzegu jeziora kusiły mój strach i moje zmęczenie, by wtulić się w ten dywan i kimnąć w odurzeniu, w zapomnieniu, niech się już to skończy, niech mój cykor rozpocznie długi marsz przez sen i da mi chwilę wytchnienia...

X

Jak wróciliśmy, „Petroniusz” o nic nie pytał, tylko złożył raport. Cinkciarstwo na lewym brzegu i nocna wódka już były nasze. Teraz Heldbaum chciał rozpracować problem kasyn. Była trudność. Lewobrzeżną siatkę tajnych domów gry znał konkurent Dobrego i on ją kontrolował za czyimś pośrednictwem, uważając, że kasyna to też cinkciarstwo (drugi największy dopływ walut), ale Dobry nie wiedział za czyim. Miał tylko jeden adres i od tego trzeba było zacząć.

Do tej willi na Żoliborzu można było wejść mówiąc nazwiska i hasła przy furtce (w mikrofonik), lecz ktoś, kto przychodził po raz pierwszy, musiał przyjść z kimś, kto nie przychodził po raz pierwszy. Ten ktoś był poręczycielem nowego. Nowy nie mógł od razu grać. Mógł się tylko przedstawić, zadeklarować chęć i pokazać konto, lub kilogram szmalcu. Później musiał czekać, aż go sprawdzą. To mogło trwać tydzień i miesiąc. Wreszcie gospodarz dawał mu przepustkę. Ten system nam nie podchodził, za duże ryzyko. Lepszy był skok w biały dzień.

Dwaj kominiarze („Dżek” i Robert „Nóżka”) przyszli rano: sprawdzenie przewodów. Wewnątrz byli dwaj goryle - remis. Ale tylko w cyfrach, bo w rękach i nogach Jacek i Robert mieli dużą przewagę. Potem wszedł Heldbaum i jeszcze kilku chłopców. „Petro” kazał usiąść gospodarzowi przy stoliku do pokera. Sam usiadł naprzeciw.

- Zagramy - rzekł.
- W co? - spytał gospodarz (trzymał się twardo, choć lima miał cykorowate). - W karty?
- Ależ skąd! W tym kraju dozwolone są tylko gry liczbowe. Zagramy w grę liczbową.
- Jaka stawka?
- Wszystko! Ty zaczynasz. Powiedz jakąś liczbę.

- Jaka?
- Jakąkolwiek. Tę, którą obstawiasz.
- Ale...
- Nie ma ale! Mów!

Facet się zastanowił.

- Sto!
- A ja sto jeden - rzekł Heldbaum - przegrałeś. Nie masz dziś fartu.
- Panowie, dość tych kpin! - burknął gospodarz. - O co chodzi?
- O to, żebyś przestał robić z siebie frajera! Bulisz komuś, kto już nie może cię kryć, bo go zdjęto, ale on to przed tobą ukrył. Wie, że prędzej czy później się dowiesz, lecz póki się nie dowiesz, przysyła tu po szmal, żeby jak najwięcej wycisnąć. Wiesz, kim on teraz jest? Kierownikiem szkoły w Serocku, nikim! Masz tu telefon, sprawdź!

Gospodarz zadzwonił i sprawdził, a potem spytał:

- Czemu go odstawiono?
- Powiedział za niską liczbę, ten, który jest na jego miejscu, powiedział większą, a większa zawsze wygrywa. Ja go tu reprezentuję. Dawaj adresy innych!

Znał adresy trzech kasyn, ale to wystarczyło, po tygodniu mieliśmy już każdy adres. Ten pierwszy, co powiedział: „sto”, miał jednak fart, „Petroniusz” zrobił go następcą „Lola”, szefem całego hazardu w Warszawie. Nazwisko: Leopold Klein (też Żyd), ksywka „Mały”, zawód adwokat, hobby video (wtedy video to była w Warszawie rzadkość „jak niezapominajki na Syberii” - dowcip Heldbauma). Później kiedyś spytał starego:

- Po co był ten cały cyrk? Wystarczyło zadzwonić i powiedzieć.
- I może spłoszyć, Leo... A tak od razu byłeś w garści. No i jeszcze żyjemy w tak smutnych czasach, że odrobina cyrku sprawia przyjemność. Każdy twój film ci to daje...

„Mały” pomógł nam zrobić kolejny krok: wyścigi. Służewiec to było szambo od góry do dołu, nie „robionych” gonitw prawie nie było. Konie na szprycach (wzmacniających lub osłabiających), stajnie i dżokeje na lewych pensjach od bukmacherów (tak samo fotokomórka), bukmacherzy nad wszystkim, jak bogowie w niebiesiach, nad dyrekcją, nad kasami i graczami. Melon za melonem tygodniowo. Klein wskazał nam wodza. Ten wódz miał choleryczną gwardię. W strasliwym mordobiciu „batalion” i chłopcy „Ognia” rozbili

ich, ale Tomek „Wuj” zmarł z pękniętym baniakiem. Wódz też zmarł (w naszej cegielni), tylko, żeby go dopaść, najpierw trzeba było go „ustawić” wobec jego sztabu.

To była derbowa niedziela. Faworyt absolutny: trzylatek „Grom”. Tysiące frajerów postawiły na niego, my też i to jak! A tamci obstawili w kasie państwowej klacz „Mirandę”, boją robiono po cichu, „Grom” miał umoczyć. Nie wiem jak Heldbaum załatwił dzokejów i stajennych, ale załatwił. Strzykawki podmieniono i „Grom” wygrał. W minutę później „walec” służewieckiego bossa (ten „walec”, co odpowiadał za zrobienie wyścigu) wpadł do stajni z pianą, a tam już czekał „Petroniusz” i nasi chłopcy. Pełne zaskoczenie.

- Co pan tu robi?! - syknął „walec”. - Kim pan jest, do diabła?!

- Człowiekiem, który chce ci pomóc. On ci tego nie wybaczy. Przyjmij naszą pomoc, a zostaniesz na stanowisku i zatańczysz na jego grobie, bo właśnie kończymy z nim. Chyba, że chcesz, aby mądrzejszy wskoczył na twój stół i twój grób!

Tego ów facet nie chciał. Dał nam adres i cynk, jak uderzyć, żeby poszło.

Karśnicki nie uczestniczył, zajmował się Bartkiem. Mówił do niego: „My, piloci wąskotorowi, Bartuś!”, albo: „My, marynarze podziemni!”, i czytał mu (a właściwie opowiadał, pokazując obrazki) treść dwóch книг Disneya, o słoniku Dumbo i o szczurołapie z Hameln, bo te dwie „kołki” Bartuś najbardziej lubił. Czasami wskazywał na bibliotekę i paplał:

- Twoje kołki są brzydkie! .

- Dlaczego?

- Bo nie ma w nich słoninków, jeżyneków i misiów!

- Fakt, masz rację, brzydkie są. To o czym teraz przeczytamy? Może o krasnalach?

- Nie, o słoniku! O tym, co fruwa uszkami.

- Dlaczego nie chcesz o krasnalach?

- Bo do nich już mama wróciła i one są z mamą!

- To nie jest ich mama, już ci mówiłem, to królowna!

- Chcę o słoniku!

„Dżek” kupił mu wielkiego pluszowego słonia, za żadnym ze zwierzaków szczył nie był tak bardzo, jak za słoniami. Te książeczkę mam do dzisiaj. Z Disneyowskiej serii „A little golden book”. „DUMBO - fruważący słoń”. Na okładce Dumbo fruwa hen w

powietrzu, ma pod sobą cyrkowe namioty, góry i lasy, a na trąbie siedzi mu, niczym pilot, stara mysz w czerwonym kubraku i w czerwonej czapce, i ta mysz trzyma czerwoną chorągiew z wielką literą D - jak Dobry! Na ostatnim obrazku pali się wieżowiec i Durnbo szykuje się do skoku z najwyższego piętra. Proroctwo za proroctwem, wróżba za wróżbą, jasny gwint, kto wówczas mógł to przeczuć?! I to ostatnie zdanie w tej książce, te dziewięć wyrazów, które ją zamykają: „...bo jego serce było tak wielkie jak jego uszy”!

Wyrwał go z domu kłopot Heldbauma z następną branżą lewobrzeżnej - z prostytutką. „Petro” nie mógł dojść, gdzie tam jest czub. Sutenerów mógł łatwo namierzyć, ale to drobne ręce, wyżej stali szefowie rejonów, a jeszcze wyżej szefowie dzielnic, a najwyżej? To nie była betka, bo po lewej stronie ów biznes miał sto razy większy przerób niż w prawobrzeżnej Warszawie i to przerób dewizowy - w Śródmieściu roiło się od hoteli z zagraniczną klientelą, takich hoteli na Pradze nie ma. Próbować rozgryźć tę sieć naciskaniem sutenerów dawało nieomal gwarancję spowodowania alarmu i pierońskiej wojny z bossami. Ale co innego można było zrobić? Heldbaum chciał już iść na to, gdy „Księżciu” zaskoczyła pamięć:

- Jest taki ktoś, kto powinien ich znać... tak, on musi ich znać!

I pojechaliśmy (ja i „Księżę”) do Bolka „Baletmistrza”, dyrektora „Estrady”, odwaleni w najmodniejszą superciucharnię, prosto z Ciuchów, tak Karśnicki rozkazał. W przedpokoju sekretarka marzenie, oczko i cycuś aż śpiewają do chłopca. Zza drzwi gabinetu śmiech jak żubrowy ryk, to Bolo rżał. Nagle wybiegł, machając gazetą i krzyząc do sekretarki:

- Popatrz, Lidka, co tu...

I ujrzał nas,

- Kurrzczątko! Chłopaki!... Stefuś, nareszcie! Lidka, to jest mój najlepszy przyjaciel z wieku jeszcze bardziej młodzieńczego niż dziś!

- Cześć! - powiedział „Księżę”.

- Dzień dobry panu - powiedziałem ja.

- Dzień dobry, Józiu, popatrz, kurrzczątko, jak zmężniał! O łotry, o sobacze nasiona, tyle lat się ociągać z rewizytą?! Włażcie do gabinetu!

- Możemy poczekać, załatw najpierw to, co miałeś z panią załatwić... - rzekł „Księżę”.

- Miałem jej tylko pokazać, co tu napisał Witkacewicz, no wiesz, Witkacy, ten przedwojenny artycha! - Bolo machnął trzymanym w rękę „Przekrojem”. - Tu drukują jego listy i tu jest taki kawałek po byku... to jest list do żony, z Zakopanego, w dwudziestym szóstym, słuchajcie, przeczytam: „Wczoraj, kiedy robiłem pipi w lesie i zapatrzyłem się w krajobraz, bąk koński uciął mnie w kutasa"! Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha! Dobrze, co?

Zaniósł się śmiechem, wraz ze mną i z panną Lidką, tylko Karśnicki się nie śmiał, ale tamten nie zauważył.

- Czekajcie, bo to dopiero początek, najlepsze będzie! No już, cisza!... „Spuchło to jak balon i myślałem, że odpadnie. Ale jodyna i Staroniewicz uratowali to cenne utel... nie, zaraz... utensylius dla dobra przyszłych pokoleń. Dziś jest tylko czerwone, ale może jeszcze odpadnie... Post scriptum. Wszystko razem jest do dupy. Twój Dupcio”!

Znowu gejzer śmiechu, aż miał łzy w oczach.

- No, włazić, panowie! Lideńko, trzy kawki! Nie ma mnie dla nikogo!

Usiadł w fotelu, Karśnicki w drugim, ja na kanapie.

- Dobrze, co Stefuś! „W kutasa”! „Jak balon”! „Dla dobra przyszłych pokoleń”! „Pipi”! Ha, ha! „Dziś jest tylko czerwone, ale może jeszcze odpadnie”! Ha, ha! Co ty na to?

- Też wierzę, że czerwone jeszcze odpadnie dla dobra przyszłych pokoleń, bo teraz wszystko jest do dupy.

- No dobra, dobra, kurrzczątko, tak źle nie jest, wyglądasz jak lord! Widać zmiany, bo ostatnim razem, tego, no... dalej mieszkasz w betoniaku?

- Mam swój dom.

- Duży?

- Duży, z ogrodem.

- A wozik?

- Mam trzy. Przyjechałem BMW.

- Model?

- Ten rok.

- O kurwa, Stefuś, toś ty w milionery polazł!

- Daj spokój, a co u ciebie?

- Stara bida - machnął grabą Bolo. - Się kręci.
- Ciągłe w laleczkach?
- A w czym? Na tym się znam, nie będę się przebranżawiał na starość.
- To wąski interes! - prychnął „Książę”.

- Zaraz, zaraz, kurrzczątko, nie taki wąski, trzeba umieć go rozszerzać. Inicjatywa, łeb, Stefuś! Wiesz, na co ostatnio wpadłem? Na Turków! Lud gna do Turcji po towar, przywozi i opyla z dużą górką w komisach i na targowiskach, to wiesz. Ale czy wiesz, że to można robić prawie bez kapitału? Bo normalnie musisz sporo zainwestować. Musisz opłacić podróż i pobyt, musisz kupić u handlarza w Stambule, w końcu musisz dać duży haracz tureckiemu celnikowi, żeby przepuścił twój transport. No i owszem, masz z tego fajny zysk, ale gdyby tak się dało go potroić, to byłaby dopiero bonanza! I wiesz, o czym się dowiedziałem? Że niektóre damulki, nie żadne rury uliczne, damy z naszych salonów, panie inżynierowe, prezesowe, dyrektorowe, nic nie płacą, tylko przejazd! Dają Turkom dupala, kupcom i celnikom, za towar i za cło! Brudasy wolą to od szmalu, pod jednym warunkiem, musi być blondyna i nie może być wklęsła pierś, kurrzczątko! Mężuś nic o tym nie wie i wszyscy są zadowoleni. No to poszedłem po rozum do łba. Ja takich blondynek mam na kopy, Stefuś! Zacząłem je wysyłać, niech uprawiają turystykę...

Karśnicki wyjął plik dolarów i rzucił na blat. Same setki.

- Masz z tego tyle dziennie?

„Baletmistrz” podniósł się i wybałuszył limo.

- O rany! - zachrypiał - kurr...! Dziennie to i. ty chyba tyle nie masz?
- Nie. Gdybym miał tyle przez dwadzieścia cztery godziny, to bym rzucił ten interes.

Mam trzy razy tyle.

- Kurrzczątko! Stefuś... ja bym w to wszedł!... W czym się tyle robi?
- W prywaciarstwie.
- W jakim?
- W różnym.
- No na przykład?
- Na przykład hodowla i eksport cebulek kwiatowych na Zachód. Miliony dziennie.

I to jest forsa legalna, z koncesją, z podatkiem, nie żaden przemyt, za który możesz beknąć, jak wylecisz z układu.

- O mammo, co ja tu robię?! - jęknął „Baletmistrz” i padł w głąb fotela, jakby dostał zawału.

- Mam do ciebie interes - rzekł Karśnicki.

- Się domyślam, inaczej byś nie przyszedł z tandeciarzem gadać!

- Kilku moich znajomych, ci od tych milionów, mają ochotę na dobry balet z eksportowymi panienkami.

- Dam im dzidzie pierwsza klasa, Stefuś, lepsze od rządowych!

- W tę sobotę.

- Zawsze, kiedy tylko chcą! Towar czysty jak świeże pączki od Bliklego, ile sztuk?

- Poczekaj... Tym razem trzech, plus ja i on - rzekł Karśnicki, wskazując na mnie. -

Czyli piątka.

- A szóstka może być?

- Chcesz się załapać?

- Stefuś, bądź kolegą, błagam cię!

- Myślałem o tym... Dobra. Może się w coś wkręcisz, w każdym razie będziesz miał szansę z nimi pogadać i zobaczymy. Rachunek za towar płacę od razu.

- Stef, kurrczętko, nic! Ani centa! Wszystko ja stawiam, trunki też! Stefula, kochany mój, ja zawsze wiedziałem, że ty jesteś równiachem, Stefuś!...

Urządzili to w jednej z naszych dacz. Oprócz mnie, Karśnickiego i Bolą był Heldbaum, „Bankier” i Legur, robili za tych prywaciarzy z milionową dniówką. Bolo się postawił, dał dzidzie ekstra, pierwszoligowe, młode, wesole i chętne, każda mówiła, że jest aktorką lub modelką, i jeśli nawet nie były, to mogłyby być. Najpierw żarty, tańce i drinkowanie, potem, przed północą, „Baletmistrz” zakomenderował:

- Panowie proszą damy do walca!

I na dokładkę:

- Bawimy się, jak damy, a jak nie damy, to się nie bawimy! Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!

Nikt nie tryfił, każdy poszedł ze swoją lalką do osobnego pokoju, żeby ją wyruchać. Moja miała na imię Elka. Przylepek, tuliła się, ja to lubię. I pokombinowałem, że jest okazja na coś specjalnego; więc jak zaczęła mnie rozpinać, ja nic, łapy w kieszeni.

- A ty mnie, kotku, nie rozbierzesz? - szepnęła.

- Po co?
- Jak to po co? Majteczki mnie uwierają!
- Nie musisz ich ściągać.
- Jak to?... Niegrzeczny chłopiec! Cóż to za moda, żeby...
- Moda francuska, dziecinko!

Roześmiała się, i lu! Ale potem i tak ją rozebrałem, żeby przekreślić starą modę, należało się jej. Pyszna cizia, takie są na okładkach zachodnich pism, „Playboyów” i innych, w życiu można zaliczyć takich dupeczek mało, dobrze, gdy chociaż raz.

Jak panie się zmyły (pierwsza już minęła), panowie przystąpili do interesów.

- On chce w coś wejść - powiedział „Książę”, wskazując „Baletmistrza”.
- Wejść w tym kraju to można zawsze! - burknął Drozd (pijanego odstawiał, ale bez przesady). - Trudniej wyjść niektórym! Takie ustrojstwo.

Legur i Heldbaum zarechotali po pijacku, że niby wic pierwsza klasa.

- Panowie, mówimy na poważnie! - zdenerwował się Karśnicki.
- Poważnie, Stefek, to ja liczę powyżej balona, poniżej mam kolki ze śmiechu! - parsknął Drozd, a tamci mu wtórowali.
- On dysponuje kapitałem, to raz...
- Tak jest, panowie, z forszą nie ma problemu! - włączył się Bolo.
- ... a dwa, to jest mój kumpel! Zależy mi na tym! - rzekł „Książę”.
- A nam zależy na spokoju! - odparł „Petro”, zgasiwszy uśmiech.
- O co chodzi?
- O ten tramwaj, co nie chodzi, Stefan. Wiesz, jak w tej piosence, „czerwony tramwaj... na lewo most, na prawo most!”,

- Popierdoliłeś! - zwrócił mu uwagę Legur. - To nie był tramwaj !

I zanucił:

- „Autobus czerwony przez ulice mego miasta mknie!...”.
- Jeden chuj! - machnął ręką Heldbaum.
- Co jest?! - zawarczał Karśnicki. - Powiedźcie w końcu!
- Stefcio, uspokój się, dobra? ... Pogadamy, ale może nie teraz i nie tu, jutro - przyhamował go „Bankier”.
- A dlaczego nie dzisiaj, coś wam nie pasuje?

- Coś.
- A może ktoś?! Może ja?!
- Nie pieprz!
- To wy pieprzycie! Gadajcie od razu, albo żadnemu nie podam ręki, nie lubię, jak się robi ze mnie balona!

- Proszę bardzo - mruknął Legur - gdy się tak napierasz... Tylko, żeby potem nie było urazy.

- Nie będzie żadnej urazy! Co jest?
- Jest ten feler, że my ludzie nie uświadomieni, nie partyjni znaczy się, a szanowny towarzysz...

Tu Legur pofilował na „Baletmistrza”. Karśnicki westchnął:

- No nareszcie! Więc o to chodzi...
- O to chodzi, Stefuś, że między myśleniem partyjnym, czyli dialektycznym, a biznesowym, czyli praktycznym, jest pewna subtelna różnica - wyjaśnił Drozd. - I jeszcze o to, że nie może wejść między wrony i krakać tak jak one kogut z czerwonym grzebieniem, bo po pierwsze on zna tylko kukuryku, a po drugie właściciel kurnika lubi mieć na swój drób oko, a to grozi...

- Panowie! - krzyknął „Baletmistrz” - o co wy mnie posądzacie?! Rany boga, że legitymację mam? Mam, bo mam stanowisko, bez niej bym nie miał, musiałem wstąpić! Wszyscy to robią, odkąd tylko istnieje ta partia, w całej Polsce, wielka mi rzecz! Ale czy ja przez to jestem czerwony? Czyja z nimi jestem? Gównno, takiego wała jak Polska cała! Tak samo nienawidzę komuchów, jak i wy, jak cały naród, co ja, kurwa jestem, czy co?! Pierdolę ten system, sram na tę partię...

Srał tak przez kilka minut. Uwierzyli mu i umówili się z nim na jutro, w domu „Księcia”. Przyszedł punktualnie.

- Nie ma ich? - spytał.
- Ja jestem - rzekł Karśnicki.
- Ale oni przyjdą?
- Nie są potrzebni, nie przyjdą.
- Jak to nie są potrzebni, Stefek?
- Nie są, ty jesteś potrzebny.

- Ja wiem, tylko...

- Posłuchaj. Chcę wiedzieć, kto na lewym brzegu rządzi kurwami, sutenerami, burdelami. Kto tam rządzi?

Bolo zdębiał.

- Co?

- To, co słyszysz. Mów.

Zdębienie Bola wybałuszyło mu ślip.

- Stef, o co ci chodzi?...

- Dokładnie o to.

- Daj spokój, żarciki sobie strugasz... Skąd ja mam wiedzieć?

- Wiem tylko, skąd ja mam wiedzieć. Mam wiedzieć od ciebie!

- Coś ty z byka spadł?! - zdenerwował się Bolo. - W co mnie robisz?

- W kabel.

- Nie wygłupiaj się, Stefan...

- Nie wygłupiam się. Mów. .

- Stefek, skończ, okej? Ja nie wiem, ale nawet gdybym wiedział, to bym nie powiedział nikomu, chcę żyć! I ty też się od tego odpierdol, to jest za poważna sprawa...

- Dla ciebie ta jest poważniejsza! - rzekł Karśmcki, wciskając guzik magnetofonu.

Z głośniczka napłynęło:

- „Panowie, o co wy mnie posądzacie?! Rany boga, że legitymację mam? Mam, bo mam stanowisko, bez niej bym nie miał, musiałem wstąpić! Wszyscy to robią, odkąd tylko istnieje ta partia, w całej Polsce, wielka mi rzecz! Ale czyja przez to jestem czerwony? Czyja z nimi jestem? Gównno, takiego wała jak Polska cała! Tak samo nienawidzę komuchów jak i wy, jak cały naród, co ja, kurwa jestem, czy co?! Pierdolę ten system, sram na tę partię...”

Słuchał i robił się biały jak prześcieradło zaplamione po pijaku. Już zrozumiał, że zrobili Bola w bolo, ponieśli wilka, co nosił raz za razem innych, aż wpadł. Sam w to uwierzyć nie mógł.

- Toś ty taki?! - wychrypiął, patrząc na Karśnickiego. - Myślisz, że ci powiem?... O, fiut! Daj im to, daj, niech mnie wykopią! Hak ci w smak!

- Powiesz. Najpierw cię wykopią, a potem zajmą się tobą moi chłopcy. Im powiesz.

- Twoi chłopcy? A co oni mi mogą zrobić?
- Krzywdę cielesną.
- Krzywdę cielesną to mogą mi zrobić tylko ci, których chcesz, żebym sypał!
- Jak ich sypniesz, to po tygodniu będą wysypani na śmietnik. Dożywotnio. I nikomu już nic nie będą mogli zrobić. A gdy jakiś będzie próbował, to do piachu!

- Kto ty jesteś, kurrzczątko, taki kozak?

- Taki!

- Stefan...

- Nic już nie mów, mów to, co kazałem.

„Baletmistrz” przez chwilę milczał, gapiąc się w magnetofon, który też milczał.

- Napiwek jaki?

- Może zajmiesz miejsce wygruzzonego króla-sutenera, jest nam potrzebny ktoś z głową, ktoś, kto zna tę branżę...

- Tam nie ma jednego króla, są trzej i mają dużo ludzi...

- My mamy więcej ludzi i glinę za sobą. Trzech czy dziewięciu nie robi nam różnicy, mów!

Powiedział. Dzięki temu rozgryźliśmy i przejęliśmy ów biznes, w którym najciekawsze było coś, o czym nie miał pojęcia nikt z ferajny. Że prawie każde biuro matrymonialne robi za burdel dla cudzoziemców i za dom wysyłkowy nadwiślańskich towarów dla burdeli w RFN! Ale heca!

Wkrótce lewy brzeg był nasz (czyli oba brzegi były nasze), z wyjątkiem tych pól, na które nie chcieliśmy się ładować. Zostało to rozstrzygnięte podczas specjalnego zebrania RPZP (nikt nie pomyślał, że Rada Przystępczego Związku Pragi to już tytuł do luzu, bo powinno być RPZW - Rada Przystępczego Związku Warszawy), w rozszerzonym o lewobrzeżnych „waletów” składzie. Rzucano tam pomysły. Krzywosz zaproponował objęcie warzywniaka, czyli przedporannego hurtu warzyw i owoców, lecz propozycja upadła w głosowaniu. Inna, którą pamiętam, to sport, głównie futbol pierwszoligowy, bo nie było prawie meczu nie sprzedanego lub nie kupionego, tylko frajer mógł sądzić, że na boisku rozstrzygają się wyniki w tak zwanej rywalizacji sportowej. I to upadło, bo główny handlarz to była „Legia”, nikt nie chciał z wojskiem drzeć kotów. Jeden projekt przeszedł: przywóz z Austrii i z RFN kradzionych tam gablot, które u nas opylało się za ciężki szmal

(chłopcy zwijali je tam z ulic lub pożyczali w wypożyczalniach samochodów, dawali nowe papierki i spokojnie przekraczali granice; współpracował tu z nami gang Jugosłowian).

Dla podobnych przyczyn, co z futbolem, upadł pomysł z książkami. Czarny rynek knigowy oraz przerzut malunków i starodruków za granicę dawały git zysk, ale wśród rekinów tego interesu był pułkownik Wojska Polskiego i pewien agent SB, lecz nie polskiego SB, tylko mocniejszego. Więc ta propozycja też kofnęła, ale Karśnicki raz przytknął tych rekinów (bez wiedzy starego, który na pewno by się sprzeciwił) - dla samej przyjemności. To opowiem.

Chodziło o cyrk tak zwanych „aukcyjnych komisów”. Aukcje starych, cennych książek były w wielu wojewódzkich miastach. Handlarzom z czarnego rynku udało sieje opanować i doić właśnie dzięki tzw. aukcyjnym komisom, o których wiedział mało kto z normalnych ludzi. Ludziska sprzedawali książkę handlarzowi sądząc, że mają z tego zysk, bo państwo wy-antykwarjat zabrałby im jedną trzecią wartości jako marżę. I to była prawda - czasami handlarz do ręki dawał więcej, po czym wywoził książkę na przykład do Poznania czy Krakowa i tam wstawiał w „komis aukcyjny”. Oznaczało to, że otrzyma trzy czwarte sumy wylicytowanej na aukcji, a były to sumy cholerne, odkąd podzielono kraj na 49 województw i namnożyło się nowiuteńkich wojewódzkich bibliotek o wielkich ambicjach, pustych półkach i nieograniczonych funduszach. Wystarczyło, że trzy lub cztery panie bibliotekarki porznęły się o jakąś książkę i licytacja trwała w nieskończoność. Na tych „komisach aukcyjnych” gang farcił ciężki szmal.

Przebojem 1979 był jakiś atlas sprzed paru wieków, pierońska rzadkość. Ząbki sobie nań ostrzyło kilka bibliotek, w tym Jagiellonka i Narodowa. Ale i one wypadły na out, gdy licytacja przekroczyła milion złotych! Czy ktoś z was kojarzy, co to był melon w 1979 roku?... Przy dwóch milionach złotych jeszcze dwóch ludzi trzymało graby uniesione w górę ku osłupieniu sali, więc licytacja trwała dalej. Jeden to był warszawski profesor, któremu akurat przekreśliła się siostra w Ameryce i cały jej mająt on wziął w spadku. Ten profesor już przed aukcją mówił, że atlas będzie jego, w każdym razie: „do trzech milionów nie popuszczę, przeznaczyłem nań trzy miliony, a jakby co, to może jeszcze i pół dodam!”. Drugim licytującym był agent handlarzy, podstawiony, żeby doholować profesorską grabulkę do trzech melonów (inaczej profesor miałby atlas już za milion z

niewielkim hakiem). „Dwa miliony siedemset tysięcy!” dla cwaniaczka, „Dwa miliony osiemset!” dla profesora, „Dwa miliony dziewięćset!” dla cwaniaczka, i teraz powinno być: „Trzy miliony!” dla profesora, lecz ten przy dwóch dziewięćset... opuścił dłoń! Profesor był podstawiony przez „Księcia”, a cwaniaczki z gangu komisowego musiały połknąć (wykupić) własną żabę za dwa miliony dziewięćset tysięcy złotych! Odliczając ich zysk (trzy czwarte wylicytowanej sumy) i doliczając ich koszt zakupu z rąk właściciela (600 tysięcy złotych) - stracili na czysto w tej grze ponad milion trzysta tysięcy złotych! Czy ktoś z was kojarzy, jaka to wtedy była suma? Domek z ogródkiem można było kupić!

Jeśli już o tym mowa, to właśnie chciałem fundnąć mamie dom z ogródkiem, miałem upatrzone, a ona wpadła pod ciężarowy samochód! Płakaliśmy z Gienkiem jak te bobry. „Książę” nie dał mi bulnąć za nic (choć miałem szmalu, jak lodu), sam płacił wszystko - trumna luks, wieńce luks, cały pogrzeb taki ekstra, że wysiadają partyjne pogrzeby. Potem przychodziłem każdego dnia na grób, aż mnie zwinięto w tym cholernym gestapowskim kotle.

Była zima, biało i cicho, taki mróz, że zdychały gabloty i mało kto wychodził z domu. Śnieg mi chrząścił pod skokami, jak maszerowałem od Bródna do willi Karśnickiego - długie spacerunki były mi potrzebne, bo miałem dużo smutnych myśli; trzeba stracić matkę, żeby skapować, co znaczy ktoś, kogo chciałoby się mieć, a kogo już nigdy nie będzie się miało.

To był wtorkowy wieczór. Na zewnątrz domu poczułem, że coś nie gra. W domu pełno gestapowskich łapsów, kocioł jak jasny gwint! Od razu pomyślałem, że to przez tę Żydówkę Karśnickiego. Drozd doniósł o dwóch skurwysynach, co się dowiedzieli, że w jakiejś kolejarskiej rodzinie ona ma schowek za szafą. Chcieli ją wydać, ale najpierw chcieli wycisnąć trochę szmalcu z niej i z tych kolejarzy. Obu szmalcowników rozwalił Staś, a Żydówkę przywiózł do chałupy „Księcia”. I Karśnickiemu odbiło, kiedy ją zobaczył. Ja się nie dziwię, taką smutną, czarną, wielkooką i cholernie piękną też bym kupił. Ona się spytała:

- Czy pan jest akowcem?
- Nie, jestem handlowcem. Z konspiracją mam tyle wspólnego, że oni czasami kupują ode mnie broń, którą ja kupuję od Szwabów. Ale nie robiłbym tego, gdybym na tym nie zarabiał.

- Pan robi z Niemcami interesy?
- Robię interesy z każdym, na kim można zarobić pieniądze.
- Ale ma pan dobre kontakty z Niemcami?
- Bardzo dobre, nie narzekam.

Wtedy ona zdjęła but na wielkim korku i z korka wyjęła rulonik, same dolary, prosząc, żeby wykupił z getta jej ślubnego. „Petroniusz” przeliczył i mruknął:

- Nawet rok temu mało byłoby, a teraz... Szkoda czasu i atłasu!
- Zrób to! - rozkazał „Książę”.
- Wasza książęca wysokość, nasz Müller wpadł przez takie numery, wylądował na

froncie wschodnim...

- To załatw przez kogoś innego!
- Zbyt duży ryzyk, tam zastrzono kontrolę i trzeba by bulnąć wagon złota...
- Więc bulnij!
- Na miłość boską... - zaczął staruch i urwał, bo spostrzegł w „Książęcych”

patrzałkach pieroński gniew.

Po miesiącu tego Moška wyjęli z za muru i przywieźli do Karśnickiego. Inteligent, szkielecik w okularach, brudny zarost, kinol większy od głowy, smród. Cuchnęło odeń głodówką i śmiercią. Jadł bez końca. Trwało kilka tygodni jak przy stole, gdy Mańka podawała do obiadu, rzekł:

- Niech pan nas przerzuci na Zachód.

Tak to powiedział. Nie prosił - żądał. Żuł zarcie i miał zły wzrok.

- Szymon! - jęknęła ta Żydówka. - Pana to już tyle kosztowało...

- Ty, Róża, nie chcesz wyjechać? To zostań! On będzie szczęśliwy i ty będziesz szczęśliwa i ja też będę szczęśliwy. On już wydał na mnie majątek, to niech on teraz wyda na mnie drugi majątek i ja mu nie będę zawadzał...

- Jak możesz?!

- Czy ja ciebie pytałem, Rózo, jak ty mogłaś to z nim robić? Ty jesteś dobra kobieta, ty męża chciałaś wyciągnąć z trumny i tobie się udało. Ale ja jestem taki Żyd, co nie będzie jadł z talerza, do którego ktoś napluł. Byłaś jego, to już bądź, a ja poszukam sobie inne szczęście. Tak będzie sehr gut dla nas wszystkich, prawda, proszę pana?

- Nie tknąłem pańskiej żony! - rzekł „Książę”.

Fakt, że nie tknął, nawet nie próbował.

- Pan kłamie, ale pańskie oczy nie kłamią - odparł Żyd. - Ja widzę, jak pan na nią patrzy, tak się patrzy na kogoś, kto jest najważniejszy w życiu. Ja znam moją żonę, z nią się raz przespać, to zwariować. Ze mną też tak było, jak ja zgasilem światło po naszym ślubie. Ale tam to ja się przespałem ze śmiercią, oni tam teraz wywożą do gazu i ja co noc czułem ten gaz. I ja już jestem zdrowy. Pan weźmie jej ciało i pan wywiezie stąd moje...

- Szymon!! - krzyknęła, a z oczu płynęły jej łzy i policzki były czerwone od niezawinionego wstydu.

- Że co, że ja handluję dupą żony? To nie ja ciebie rozbierałem, jak ty przyszłaś do niego. Ja tylko...

Zerwała się od stołu i wybiegła, płacząc.

„Księżę” go wywiózł do Szwajcarii. Ona nie chciała się nawet pożegnać z mężem, i jak tylko zniknął, w pierwszą noc, weszła do Karśnickiego; przy śniadaniu to spostrzegłem, teraz już oboje filowali na siebie w ten sam sposób.

I ktoś musiał sypnąć, stąd Gestapo. Też nie zdążyłem się pożegnać. Kiblowałem na Pawiaku, a potem wycieczka przez Reich, za druty, lagier. I też przespałem się tam ze śmiercią, jak ten Żyd. Facet z naszego bloku, Ledniak, uciekł, a kiedy łapacze wrócili z pustą grabą, bo na dobre zwiął - nie kazano nam iść do roboty po apelu, tylko stać przed blokiem.

- Będziecie stać aż wydadcie tych, którzy mu pomogli lub oni sami się przyznają - powiedział SS-Führer Kort. - Nie dostaniecie nic do zarcia ani do picia. Każdy, kto upadnie, będzie zastrzelony, prócz ostatniego. Ostatniemu darujemy, bo tak chce pan pułkownik von Rotenburg.

Pułkownik von Rotenburg przyjechał do obozu na inspekcję. Stał trzy kroki od SS-Führera Korta i patrzył w niebo, prowadząc wzrok za jakimś ptakiem. Odróżniały go cielejące rękawiczki, monokl, szpicruta, którą nigdy nie uderzył w nic poza cholewkami swych kawaleryjskich butów, oraz fakt, że nie rozkraczał się w ulubionej pozie skurwieli z SS i wystrzegał się krzyku.

Do wieczora nikt nie upadł. W nocy, białej od reflektorów, które wycelowano ku nam z wieżyczki, przewrócił się „Zegarmistrz”, bo próbował kimać na stojąco. Potracił Barczyka

i obaj upadli na ziemię. Barczyk się podniósł, „Zegarmistrz” siedząc przecierał lima. Kort nadbiegł, wpakował staremu kulę w skroń i poszukał lufą drugiej ofiary.

- Ja stoję! - krzyknął Barczyk.

- Ale już dotknąłeś ziemi dupą! - odpowiedział Kort, strzelając mu w pierś.

Ludzie z komanda krematoryjnego wyciągnęli trupy bosakami, uważając (taki był rozkaz), żeby nikogo nie potrącić. Wrzucili ciała na taczkę i odwieźli do pieców.

Noc była chłodna, ale mnie nie było zimno. Pociłem się z cykorii i filowałem na Zenka, który stał po mojej lewej, i na „Ropuchę”, który stał po prawej, i na „Klocka”, który się przede mną garbił, a także odwracałem głowę do tyłu, gdzie stał Czerejko, który mógł upaść mi na plecy, a oni tak samo filowali na mnie. Wzdłuż rzędów przelatywał szept:

- Nie spać! Nie spać!

Co kilka godzin zmieniali się strażnicy, a Kort, Grummer, Silfrat . i Wolf co godzina. Tej nocy nie upadł już nikt.

Rano zjawił się pułkownik von Rotenburg. Opadł na fotel ustawiony w cieniu baraku, przypalił szluga i zaczął czytać książkę z piękną oprawą introligatorską.

Wczesnym popołudniem słońce wywróciło dwóch i zaraz znowu dwóch. Wolf uzupełnił magazynek czterema nabojami, a pułkownik, któremu właśnie przyniesiono obiad, rzucił go psom i pomaszerował zamyślony w stronę sąsiedniego bloku.

Drugiej nocy Kort, Grummer i Silfrat mieli ostre strzelanie, Wolf nie miał fartu, strzelał tylko raz, może dwa, nie pamiętam. Nad ranem spadł deszcz i ustąpiło pragnienie.

Następni zaczęli padać koło południa, pod słońcem równie silnym, jak wczoraj. Przychodzili patrzeć oficerowie z całego obozu, żartowali i robili zakłady. Duże, o ciężki szmalec! Większość obstawiała Sapora, wozaka z Warszawy, i Zenka-boksera, tylko jeden na mnie wskazał. Nie wiem dlaczego, może liczył, że wygra fuks. Stałem na lewej i na prawej girze, i na dwie giry, rozstawiałem je tak jak Zenio.

O zmierzchu Tadek Maroć krzyknął, że powie, kto pomagał. Wiedziałem, iż to lipa, bo nikt z naszego bloku nie pomógł. Maroć zaśpiewał nazwiska tych, których już wyciągnięto bosakami i spalono. Wolf roześmiał mu się w pysk:

- Głupia sztuczka, gnoju. Nawet jeśli mówisz prawdę, to za późno. Chcieliśmy żywych.

Potem pieprznął Tadka butem w krocze i strzelił. Podoficer, który założył się, że Maroć wygra, dostał szału, wrzeszcząc, iż zakład się nie liczy, bo Maroć nie upadł sam. Klótnię przerwało nadejście pułkownika.

W ciemności nie czułem gir, jakby mi je do pachwin ucięto i jakbym wspierał się na skrzynce cierpkiego bólu, raz drętwiejącej, a raz przeszywanej stalowymi igielkami. I powiek nie mogłem utrzymać. Obudził mnie strzał koło głowy i zobaczyłem Czerejkę wleczonego na haku bosaka. Pomyślałem, że mani szczęście, bo Czerejko padając mnie nie dotknął. Rozpocząłem ćwiczenia palcami rąk i gir, żeby ruszyć krew, podejrzałem to u Zenka.

Kiedy wyszło słońce, stało nas jeszcze ośmiu. Byliśmy jak przetrzebiony las. Obok mnie stał tylko Zenio. Ludwik, z drugiego końca placu, zaczął nagle iść przed siebie, z rękami wysuniętymi jak lunatyk i śpiewał ochryłym głosem: „Bolszewika goń, goń, goń!”. Grummer strzelił mu w otwarte usta.

Po południu nadszedł komendant obozu. Przywitał się ramieniem wyrzuconym do góry. Von Rotenburg niedbale skinął mu głową, nie wyjąwszy rąk zza pleców. Komendant spytał:

- Długo to jeszcze potrwa, panie pułkowniku?
- Chyba już nie - odrzekł von Rotenburg, poprawiając monokl - ale trudno powiedzieć, wytrzymałość człowieka jest niezbadana i wprost niewiarygodna.
- Którego z nich pan typuje, panie pułkowniku?
- Żadnego.
- Żadnego?
- Żadnego, brzydzę się hazardem.
- Niech pan sobie wyobrazi, panie pułkowniku, moi ludzie porobili mnóstwo zakładów, im mniej stojących, tym stawki rosną. Cały obóz zwariował, są już tacy, co zakładają się nie tylko na ostatniego i na godzinę, w której padnie przedostatni, ale nawet systemowo, na kolejność trzech ostatnich, zupełnie jak na wyścigach! Trudno się im dziwić, mamy tu robotę ciężką i monotonną, a nie ma nic gorszego jak nuda. Ludzie pragną jakiejś rozrywki, miał pan świetny pomysł z tym konkursem.

Pułkownik nic nie odrzekł, sięgnął po złotą papierośnicę i wyjął jednego, nie częstując komendanta. Ten odczekał, aż von Rotenburg się zaciągnie, i znów podjął:

- Ciekawe, byłem pewien, że pan też gra na tej loterii.
- Mówiłem już, nie bawi mnie to.
- A co, jeśli wolno spytać, bawi pana w tej grze, panie pułkowniku?
- Granice człowieka.
- Przepraszam, jakie granice?
- Granice wytrzymałości nóg! - rzekł z jawną złością pułkownik i schował się za obłokiem dymu.

Komendant milczał parę chwil w postawie pełnej uszanowania, strzelił dłonią do góry i odszedł.

Przettrzymałem jeszcze jedną noc. Nie miałem nóg, ani gardła, i nie miałem już strachu. We łbie jednostajny szum, lecz starałem się nie myśleć o tym, żeby nie zamienił się w korkociąg, który mnie zwali na ziemię.

Jeszcze jeden świt, a my stoimy we trzech: przy sobie miałem Zenka, kilkanaście kroków dalej, jakby za mgłą, widziałem Satora.

Sator wywracał się powoli, najpierw ukląkł, a potem znikł. Huk wystrzału dotarł z bardzo daleka, niby zza drutów, albo z pól za drutami. Wiedziałem, że już dawno powinienem odpocząć w tym samym dźwięku, ale moje zwłoki wciąż trzymały pion, z dziwną wytrzymałością usychającego drzewa, tak bezwolne, że starczyłoby wiatru, by obalić.

Właśnie wtedy, kiedy zem sobie uświadomił, iż mogłyby mnie przewrócić spadające liście, gdybyśmy stali wśród drzew - przyszła ta cholerna myśl: trącić Zenka. Spojrzałem na Szwabów. Pułkownik wertował książkę maleńką jak modlitewnik. Jeden ze strażników częstował szlugiem Grummera, a drugi, śmiejąc się, przypalał mu i nawijał coś, może wic, bo roześmieli się we trzech. Pomyślałem, że taka okazja, teraz, dokładnie wtedy, gdy na to wpadłem, to zrządzenie losu, opatrność daje mi sygnał. Zacząłem podnosić lewe ramię, rozpaczliwie wolno, jakbym chciał dźwignąć wór piachu, wbrew straszliwemu wysiłkowi, który wkładałem w tę zbrodnię. Zenek widział. Patrzył mi w twarz martwym wzrokiem i nie reagował. Dociągnąłem tonę moich kości i ścięgien do połowy drogi, uczyniłem jeszcze jeden makabryczny ruch dłonią i kiedy moje stukilowe palce były centymetr od Zenkowego barku - cały ten ciężar zwałił się w dół, uderzając mnie o udo. Zachwiałem się, lecz utrzymałem pion.

Wówczas poruszyło się prawe ramię Zenka. Ciągnął je w górę, mając zamiast dłoni ten sam wór, który ja dźwigałem przed chwilą. Ścisnął zęby, jego twarz z białej poczęła się robić sina, a ja... życzyłem mu w duszy sukcesu. Dociągnął i poleciałem w przepaść z bezgraniczną ulgą, że mam to wszystko już z głowy.

Przytomność odzyskałem natychmiast, pod wpływem nowego bólu: złamałem jedną z rąk. Wolf, który postawił na Zenka, szedł do mnie z triumfem w oku. Odbezpieczył gnat i wymierzył mi w łeb, gdy zza pleców dopadł go głos pułkownika: .

- Stój!

Pułkownik odłożył książkę, zbliżył się do nas i stanął przy Zenku.

- Ten człowiek przewrócił go z premedytacją!

- Ale ten człowiek stoi! - zaproponował Wolf.

- Posłuchaj, chamie - wycedził Rotenburg. - Jesteś tylko świnią, której obce są rycerska zasada fair play i poczucie sprawiedliwości, świnią, która popełni każdą nikczemność dla kilku miedziaków! Powinno się ciebie zdegradować do czyściciela latryn, bo takie śwynie, jak ty, hańbią niemiecki mundur! Ten twój loteryjny faworyt stoi, ale stoi tylko dlatego, że był podobną świnią i przewrócił kolegę. Zastrzelić!

Wolf, blady z przerażenia i gniewu, wywalił w Zenka cały magazynek. Pierwszą kulą zabił, pięć następnych przyjął trup. Kremowa rękawiczka pułkownika wsunęła się pod moją pachę i uniosła mnie, stawiając na nogi.

- Brawo! - powiedział. - Sehr gut!

Zauważył, iż złamałem prawą rękę. Skinął na Grummera:

- Opatrzyć, zagipsować, wymyć całego i dobrze nakarmić, a potem niech śpi, ile chce.

Dzielny chłop!

Poklepał mnie. po zdrowym ramieniu.

- Sehr gut, junge Mensch! Wymamrotałem:

- Danke, Herr Oberst.

Pułkownik odwrócił się i poszedł do fotela, żeby wziąć swoją książkę, mikrą jak katechizm. Więcej na mnie nie spojrzał.

Gips dostałem w kolejowym szpitalu, a jak wróciłem do chałupy Karśnickiego, to najgorzej było się podcierać. Szamanie lewą grabą nie trudność (Mańka drobiła mi mięcho na kawałeczki), ale dupę wytrzeć - męka! Przez miesiąc się tak gimnastykowałem.

Mało co mnie wtedy obchodziło; wiem, że interesy szły jak trza i wszystkim dopisywał humor, tylko raz pocięli się szef i „Petroniusz”, o przemysł książkowy. Polskich bibliofilów najbardziej rajcowało zbieranie книг o rodzimych kresach, o tych ziemiach, które zabrali nam Sowieci, wyzwalaając Polskę w czterdziestym piątym, żeby nam założyć swój kaganiec na pysk. Lwów i Wilno, Nowogródzkie i Galicja wschodnia, to były hity: najwyższa jakość, najwyższa trudność w zdobyciu i najwyższe ceny. Lecz handlarze, rekiny czarnego rynku książkowego, jeszcze bardziej biegali za czymś innym: za przedwojennymi szwabskimi książkami o Śląsku i Pomorzu. Bibliofil polski miał te książki za makulaturę, natomiast handlarz za nimi biegał, bo wywoził je do RFN i robił na nich wielki pieniądz. Dla Szwabów Szczecin, Wrocław, Opole, Królewiec i Gdańsk to były ich kresy („Ich nostalgia” - rzekł „Petroniusz”) i oni wariowali za tym, nie żałując marek. Jak się Karśnicki o tym dowiedział, rąbnął w punkty graniczne, w celników zblatowanych przez handlarzy (kilku celników do kicia poszło) i ten przemysł zesrał się na jakiś czas (dzisiaj znowu kwitnie, wiem o tym, bo żyję z bibliofilów, co mi przynoszą książki do oprawiania, jestem dobry intrologator). Wtedy „Petro” dostał szału:

- Dlaczego pan to zrobił?! - ryknął na „Księcia”.
- Ciszej, sługo! - wyszczerzył zęby Karśnicki. - Grzeczniej!
- Przepraszam... Ale... ale to ogromny błąd, panie Karśnicki, dlaczego pan nie uzgodnił tego ze mną!?
- Bo nie muszę niczego z panem uzgadniać.
- Czy pan wie, komu się narażamy w ten sposób i kto za tym stoi?
- Wiem.
- Wie pan?! - zdziwił się „Petro”
- Wiem. Stoi za tym łobuz, skurwiel, który, gdyby mógł, to nie książkę o Śląsku, lecz cały Śląsk sprzedałby Niemcom!
- Ach, więc o to biega! Pan znowu jako szlachetny szermierz, tym razem Ziemi Odzyskanych...
- Coś ci, Heldbaum, powiem - przerwał mu Karśnicki. - Nienawidzę Rosjan, jak większość Polaków i upokarza mnie, że na ziemi polskiej od trzydziestu pięciu lat koczują kacapskie armie, lecz jest to dla mnie dylemat: co bym zrobił, gdyby Rosjanom odechciało się kiedyś trzymać u nas swoich żołdaków i gdyby kazali nam wybierać. Gdyby

powiedzieli: Lachy, głosujcie, mamy się stąd wynieść, czy mamy zostać? Gdyby powiedzieli: nie musimy u was siedzieć z bronią, naszych granic strzegą rakiety, Polska jako bufor jest nam niepotrzebna, to anachronizm, ale możemy zrobić wam grzeczność i zostać, macie wolny wybór, głosujcie. I wie pan co? Nie wiem jak bym głosował w takim referendum. Bo wiem, że gdy Rosjanie odejdą z naszych Ziemi Zachodnich, Szwaby natychmiast wyciągną po nie uzbrojone pazury. Marzą o tym! Ci czerwoni i ci biali, solidarnie, NRD i RFN po społu. I to i to są Szwaby, a mowa, że NRD to nasz brat w obozie komunistycznym, i mowa, że RFN to cywilizowany pokojowy kraj zachodni, to mowa trawa, o tyłek ją potłuc! Internacjonalizm, sojusznicze więzy, humanizm, kultura, cywilizacja i te de, to retoryka kłamców i debilów, Szwaby nigdy nie zrezygnują! Ktoś, kto podsycza ich „nostalgię”, jak pan mówi, to łotr, który dla kilku srebrników zrobi wszystko. Wiem, że ucinając ten przemyt niczego nie zwojowałem, nie wyjmę tym Polski spomiędzy kowadła i młota, czy raczej spomiędzy dwóch młotów, bo to beznadziejność, co można zrobić?

- Nic - mruknął Heldbaum. - Można śpiewać: „Boże, coś Polskę” i „Pod twą obronę”. Tak to jest, jak się mieszka w przechodnim pokoju, który kiedyś był obrotowym przedmurzem, ale maszyniści się popili, zaniedbali mechanizm obrotowy i maszynka spróchniała. Albo można tłuc forszę, nie zawracając sobie głowy kartografią, na którą i tak się nie ma wpływu, to bym polecał, panie Karśnicki. Życie ma się jedno, o resztę niech się martwią Bóg i Historia.

Właśnie wtedy, jak gips mi zdjęto, „Książę” się dowiedział, że jest tylko panem powierzchni, bo istnieje też podziemne królestwo, imperium włóczęgów, kretowisko ludzkich szcurów Warszawy, które ma własnego monarchę. Policja „Ognia” wyniuchwała, że zbieracze pustych flakonów po śmietnikach, podwórkach, ulicach i klatkach schodowych, nie działają przypadkowo, lecz są zorganizowani, mają straż, hierarchię, rewiry i środki transportu. „Ogień” długo to obserwował, a jak uzyskał pewność - przychwycił i przycisnął jednego z rewirowych. Kiedy ten zaczął śpiewać, „Ogień” myślał, że śni - to była bajka. I jak z tym przyszedł do Karśnickiego, ten również pomyślał, że się mu sprzedaje pić z romansu dla ubogich.

- Byłeś tam?

- Jak mogłem być bez pańskiego zezwolenia? - zdziwił się Stasiu.

- Gdzie to jest?

- Niedaleko żerańskiej elektrociepłowni. Ogromny labirynt podziemnych betonowych korytarzy, z których wychodzą dziesiątki zbiorczych rur z ciepłą wodą na całą Warszawę. Kilometry tego tam jest, całe podziemne miasto. Ten śmieciarz gada, że mają tam jak u Pana Boga za piecem...

- Ilu?

- Nie liczył, kilkuset na pewno.

- Z samej Warszawy?

- Z całej Polski. Zbieranina bezdomnych i włóczęgów, którzy nie chcą gdzie indziej żyć, to lubią, dla nich to raj. Żrą ze śmietników i z tego, co ukradną, i z butelek, i u sióstr przy Grochowskiej, gdzie codziennie jest gorąca zupa dla biednych, i nawet luksusowo w barach dworcowych, metodą „na ślinę”, i...

- Jaką metodą?!

- „Na ślinę” czyli „na pluj”. Upatrują w barze gościa, który z wyglądu jest miększy i czekają, aż zamówi i doniesie swój talerz do stołu. Podchodzą i plują mu w jadło. Gość boi się oberwać, więc nie skacze, a oplutego żarcia nie ruszy, więc zostawia i można spokojnie jeść. Stać ich zresztą i na kupno, mają dość szmalu. Mają tam u siebie wszystko, sienniki, naczynia, nawet kobitki mają. No i mają swojego dziadygę, który nimi kręci. Nazywają go „Chart”.

- Fantastyczne! - krzyknął Jacuś, który był akurat u Karśnickiego. - Jak chodziłem do budy, to mi ktoś pożyczył książkę jakiegoś Francuza o podziemnym Paryżu, to była kława rzecz...

- Sue pisał takie powieści. W. dziewiętnastym wieku był i podziemny Paryż, i podziemny Londyn, a dzisiaj są takie kretowiska włóczęgów w kanałach Rio de Janeiro i kilku miast amerykańskich, podobno największe w Nowym Jorku - rzekł Karśnicki. - Ale u nas? To bomba! Jak się umówić z panem „Chartem”? Chcę mieć randewu u niego, chcę to wszystko zobaczyć...

- Spotkanie na szczycie! - parsknął Jacuś.

- Ale dowcip! - obruszył się Stasio, filując złymi patrzalkami na „Dzeka”. - Ty to masz główkę, Klon!

- Każdy ma swój warsztat! - odwinął Jacuś. Śmiech człowieka brał, dwa koguciki w jednym kurniku, chorobliwa zazdrość.

- Nie na szczycie, tylko na dole, chcę tam wejść! - przypomniał Karśnicki.

- To najlepiej w godzinach przedpołudniowych, dziesiąta, jedenasta - zaproponował „Ogień”. - Rano wszyscy wychodzą do swoich rewirów kraść i zbierać, w norze zostaje on ze swoją gwardią.

- Ilu?

- Kilkunastu, drobiazg. Moi chłopcy ich załatwią...

- Twoi chłopcy mogą się załatwić w krzakach! - warknął „Dżek”. - Ja tam pójdę z moimi, obstawą szefa jest „batalion”!

- To ty już jesteś szefem? - spytał Stasiu, wyszczerzając pysk jak pies, którego podrażniono. - A ja myślałem, że jeszcze pan Karśnicki!

- Dość! - przyhamował ich „Książę”. - Jutro. Pójdziecie obaj. Prowadził ten złapany na śmietniku. W wykopie, z którego były wejścia do podziemnych korytarzy, stał „bramkarz”.

- Serwus! - rzekł na głupiego Staś.

- Chromolę twój serwus! - padło w odpowiedzi. - Czego tu szukasz?

- „Charta” szukam.

- No to nie znalazłeś, dymaj stąd!

Podszedł Jacuś.

- Chojrak - zauważył, filując na tamtego.

- Eeee! - wzruszył ramionami „Ogień”. - Świr, chce mi zrobić wodę z mózgu.

- To się nie napracuje - mruknął cichutko „Dżek” i dodał głośno: - Tak myślisz? A ja ci mówię, facet jest niezła kosa. Asior, że ze świecą szukać na śmietniku.

- Doprawdy?

- Bezwarunkowo. Spójrz na te gierojskie lima. Takie są tylko i zadziarów. Jeszcze nie pękasz?

- Trochę, tylko nie wiem, gdzie dyla dać, może na wprost?

- A jak on ci giez podstawia?

- Kto?

- Ten zajob.
- Ten wypierdek mamuta? Bujasz, spójrz na niego...

Facet się naprężył i zapodał ku „Ogniowi”:

- Nie skacz, żłobie, tylko spierdalaj!
- A jak nie? - zapytał Stasiu.
- To dostaniesz w ryło!
- Widzisz? - powiedział Klon. - Widziałeś kiedyś takiego zakapiora?
- Widziałem gorsze rzęchy.

Gość nagle wyciągnął gwizdek i gwizdnął. Zza wejścia przybiegło kilkunastu podobnych miglanców. Właśnie tak miało być, czekaliśmy na to, żeby nie łomotać się w podziemiach (gdzie mogło być od cholery niespodzianek), tylko na terenie otwartym. Takie kino to ja do dziś lubię - bach, bach, bach, kwik i krzyk, gwardziści szczura u naszych fleków, tylko grabule otrzepać i splunąć. Z naszej strony ucierpiał wyłącznie „Dżek”, a dokładniej magnetofon, który „Dżek” schował pod kurtką, żeby nagrywać: w kotłowniku zrobił się z tego szmelc (lecz taśma ocalała). Dzięki Bogu „Walentino” miał drugi.

Kilku chłopaków „Ognia” zostało przy poturbowanych szczurkach, a my hop do tych piwnic. Na przodzie Stasio, „Dżek” i Konrad „Szpinak” z latarkami i w kamizelkach pancernych, bo jakby ktoś tam miał spluwę... Szliśmy obok rur gigantów, średnica ponad metr. Najpierw zapach wilgotnego ciepła i jakiegoś kwasu, potem smród sienników, szmat i niedojezonych resztek pod ścianami, dalej i dalej, cholernie długo.

Wtem z boku pojawiło się wejście, jak brama, i kiedy chłopcy z latarkami chcieli się tam rozglądać, dostali w twarz cholerną wodę - ktoś uruchomił hydrant. Strumień był tak silny, że zmiotł chłopaków jakby w nich kartaczem wystrzelono. Mnie woda nie dotknęła, lecz poczułem na szyi coś chłodnego, z metalu, a jak namacałem, to były żyłki - gdybym się szarpnął, byłoby po mnie. Stałem, bojąc się ruszyć, cud, że się nie skaciałem od cykorii. Nagle trzask, pełna jasność, rozbłysła żarówka u stropu. Wokół mojej szyi była pętla z połączonych nitką żyłek, a sznurek od tego różańca trzymał młody garbus, cały poskręcany, z jedną girą krótszą, jakby miał hajnemedinę. Ten widok unieruchomił „Księcia” i chłopaków, a garbulo zasyczał:

- Oberżnę mu łeb, oberżnę mu łeb, patrzcie, oberżnę mu łeb!

I chciał pociągnąć, lecz nagle czyjaś dłoń z tyłu chwyciła go za ramię i rozległ się chrapliwy bas:

- Nie, „Pinokio”, nie, to przecież dzieciak, puść!
- Nie puszczę, chcę oberżnąć! - zapiszczał garbaty.

Dłoń przycisnęła mu ramię, aż zawył z bólu i puścił końcówkę żyłkowej pętli, a nam ukazał się brodac z flakonem gołdy trzymanym drugą dłonią. Nie miał więcej lat od Karśnickiego i takie same patrzaki, ostre jak nóż, lecz na mordzie trochę krost i w uzębieniu nie elegant, brakowało przednich. „Książę” stąpnął do przodu i zadał pytanie:

- Ty jesteś „Chart”?
- Jeśli masz psa na myśli, to nie, bo chart szybko biega, a ja nie, nie lubię się wysilać, lubię żyć na siedząco. „Heart”, przez samo H! -wyjaśnił brodaty. - Serduszko, przyjacielu!...

- To prawda, masz serce, policzą ci to na Sądzie Ostatecznym, ale jak to wypadnie w całym rachunku?...

- Co?
- To coś zrobił. .
- A co zrobiłem?
- Obroniłeś tego dzieciaka - rzekł Karśnicki, wskazując na mnie.
- Obroniłem dzieciaka? Nie pamiętam, żebym bronił jakiegoś dzieciaka. Ale mimo woli mogłem zrobić coś takiego, kiedy jestem na fleku, zupełnie tracę poczucie co należy robić, a czego nie należy.

Garbus zdjął mi żyłkowe chomaćto i przysłuchiwał się, nachylając baniak jak ci, co mają zły słuch, aż przy ostatnich słowach wybuchnął piskliwym rechotem. Klon, mokry od włosów do skoków, warknął:

- Czego się śmiejesz, ty srajdzie pieprzony?!

„Heart” wyjął gwint flakonu z zębów:

- On się śmieje dlatego, że przyszła mu na to ochota. Śmieć się i ty, jeśli potrafisz.
- Nie żądaj zbyt wiele - wyseplenił „Pinokio”. - Śmiech odróżnia człowieka od wieprza, ale najpierw trzeba nauczyć się śmiać.
- Kto to jest, twój nadworny błazen? - spytał nasz wódz brodatego.
- On jest tym, kim i ja. Wszyscy tutaj są tym samym.

- Kim?
- Kim jesteście? To trudno powiedzieć...
- Czemu trudno?

„Heart” włożył flakon w pysk i przechylił głowę, a garbus za niego odpowiedział:

- Bo im człowiek mądrzejszy, tym trudniej mu odpowiadać na głupie pytania prostaków!

„Heart” czknął i przyhamował garbatego:

- Stul japę, po co ich drażnisz?
- Chamstwu należy się przeciwstawiać siłom i godnościom łosobistom! - wyrecytował garbaty, małpując kabaretowe powiedzonko Gołasa.

- Szefie! - wkurzył się do reszty Jacuś. - Mam mu wepchnąć w gardło ten jego naszyjnik z żyłek? Od razu przestanie szczekać!

- Wolnego, zdążysz - mruknął „Książę”. - Daj mi kilka minut na ten dialog.

- Aaa, jak dialog, to insza inszość! - rozpromienił się „Heart”. - Na dialog zapraszam do siebie.

Wkroczyliśmy do wysokiego pomieszczenia z jakimś węzłem rozrządowym, pełnym kurków, kranów i manometrów. Na kilku siennikach leżało paru przypitych i dwie laleczki, obdarte, brudne, wymalowane, ale rajcowne.

- Mój dwór i mój konkubinat! - przedstawił brodaty i sięgnął po paczkę szlugów. - Zajarać któryś z panów sobie życzy albo łyknąć, albo poruchać? Każda z nich chętnie da panom dupy, każdemu z osobna lub wszystkim jednocześnie. Wszystko dla gości, gość w dom, Bóg w dom!

- Gość w dom, syf w dom! - poprawił go garbus.

- Przesada, „Pinokio” - rzekł „Heart” - przychodzą z góry, a Bóg jest u góry, tam panuje większa czystość niż tu...

- Więc czemu mieszkasz tu, a nie u góry? - spytał „Książę”.

Brodacz zatrzęsł się od śmiechu.

- Mieszkać wśród was? Byłoby mi jeszcze ciasniej niż tu! Widzisz, tam każdy narodził się chce zrobić wrażenie na świecie, a ja ten świat olewam rozpryskowo, bo cóż to za świat? Religia się tuczy na ciemności, prawo żyje z korupcji, władza jedzie na strachu, zasady karmią się niedorzecznością, zaś autorytety są podszyte błagą. Ten świat wspiera

się na dwóch szrudłach, na głupocie i obłądnie. A mimo to każdy chce tam wleźć na cokół, nawet wieśniak, a już ten, co umie czytać i pisać, uważa, że ma prawo do talonu na nieśmiertelność. Każdy chce braw i pcha się do nich, rwie się do laurów, orderów i dyplomów, do chwały i sławy, ale one obie to skończone kurwy, dopchasz się do tego łóżka, a tu już leży w nim gromada facetów. Słowem dlatego, że wszyscy żyją jedną myślą: zrobić wrażenie, wyróżnić się, być dostrzeżonym i zapamiętanym wokoło jest cholernie ciasno i w tym tłoku ręce i nogi plączą się tak, tak sobie wzajemnie przeszkadzają, że mało który wyskoczy. I co, ja mam też się rozpychać? Pieprzę to, tak jak mój stary pieprzył wojnę, mówił, że wojna polega na wprowadzaniu kawałków metalu do ludzkich ciał, więc on to pieprzy. Ale musiał w niej uczestniczyć i wprowadzili mu kawałek metalu w ciało. A ja nie muszę!

Przypomniały mi się te słowa, które kiedyś usłyszałem od Karśnickiego: „Lepiej być szczęśliwym niż sławnym, «Fokstrot»”.

Karśnicki milczał. Tamten filował nań ómiąc szlug, czekał na jeszcze jakieś pytanie, żeby jeszcze raz się wymądrzyć, a tu naraz wszystko zdechło, bo „Książę” powiedział:

- W porządku. Siedź tutaj i nie przeszkadzaj mi.

Odwrócił się i odszedł, my za nim jak dzieciarnia za matką, bez żadnych słów, tylko Jacek wyjął z rąk garbatego żyletki, mrużąc:

- Siedź tutaj i nie wyłaż, bo!...

- Bo co?! - zaperzył się garbaty.

- Bo wprowadzę ci w ciało cały ten metal, kawałek po kawałku, a popić będziesz mógł wodą ze szlauchu, który wsadzę ci w ryj!

Gdy wychodziliśmy na słońce, zza plechów dogonił nas szyderczy rechot „Pinokia”. Rury niosły ten śmiech korytarzem, aż nam w uszach dudniło.

XI

Przez pierwszą połowę 1980. był spokój. Ja oprawiałem książki Karśnickiemu i przesiadałem się z gabloty na gablotę, rwąc towar bez trudu (bo która nie wskoczy do merca?) - przerób miałem, że daj Boże zdrowie! W maju mi przeszło, bo Gienek wykorkował, więc bardziej zbierało mi się na płacz, niż na połów ciż. Ale potem znowu ruszyłem w tan.

Kaiśnicki większość czasu poświęcał Bartkowi, niczym się nie interesując, wiec Heldbaum rządził przy pomocy „Bankiera”, „Ognia”, „Dzeka” i „waletów”. „Książę” akceptował wszystko, jakby mu było wszystko jedno, i pewnie mu było; niczym się nie wnerwiał, niczemu nie sprzeciwiał, nic nie próbował zmienić, był cichą częścią motoru, głowicą silnika, która wie, że ma być głowicą i że tai jest dobrze i tak ma być -już się do ostatka nakleił na ten lep, który par? lat temu rozwiesił mu przed nosem Heldbaum.

„Petro” doprowadził maszynkę do stanu absolutnej perfekcji -wszystko grało jak ta lala; miesiąc w miesiąc ogromny zysk, ruchy te same jak ruchy tłoków w silniku, nic nie mogło się zaciąć ani zazgrzytać. Stary we wszystkim, co robił, wszędzie, gdzie wsadził łapę po złoto lub po diengi, był jak ten wirtuoz Rubinstein, co jeździ po całym świecie, wchodzi na salę, otwiera fortepianik i ba-ba-ba-bam!, tłoczę genialne kawałki, jak ta praczka, co wali kijanką, a wszyscy: biiis! Nudno się od tego robi i nam też już doskwierała nuda. Aż obudził ferajnę wybuch, który obudził całe państwo.

Gdzieś musi być kres takiego życia, w którym papier toaletowy to jest luksus do kupienia za łapówkę, wędliny robi się z nerek i z odpadów, a pensje starczą do połowy miesiąca - jak długo można się męczyć życiem galerników z cudzej winy? W lipcu wybuchnął pierwszy strajk, to by} Lublin. I poszło! Gdańsk, Szczecin, Warszawa, setki miast, naród zawył: dość, skurwysyny! „Solidarność” i rząd zaczęły przepychankę, nie

było innego tematu, mecz, film i dupczenie frunęły na śmietnik - był tylko jeden temat: kto kogo? Wtedy zjawił się u nas Mariusz.

Byłem akurat na piętrze i usłyszałem z dołu głos „Templara"! „Święty" wrócił?! Nie mogłem w to uwierzyć, zbiegłem po schodach, to był on! Przyprowadził jakiegoś księdza, młodzusięńskiego, sutanny nie pasują do takich szczawików. Dyskutowali z „Księciem" na cały głos; dopiero później, jak odtworzyłem taśmę, złapałem, po co przyszli. Chcieli, żeby „Książę" pomógł im „zebrać kilka dziesiątków tysięcy podpisów na petycji do kardynała Wyszyńskiego", bo oni pragną „nakłonić Kościół, aby zmusił rząd do prawdziwych ustępstw i reform na bazie wzajemnej miłości, nie zaś wojny, przemocy i nienawiści". „Templar" kombinował, że „Książę" ułatwi im zbieractwo podpisów w różnych dzielnicach, a chcieli to mieć na błysk. Jak wszedłem do salonu, już trwała kłótnia między Karśnickim a klechą; „Książę" miał głos: -

- ...Człowiek musiałby się kompletnie zmienić, stać kimś zupełnie innym, istotą całkowicie różną od tej, jaką jest, aby móc zbudować zupełnie inny świat, oparty wyłącznie na prawdzie, równości, dobroci, miłości wzajemnej. Dlatego wszystkie utopie o tworzeniu sprawiedliwych społeczności, Chrystusową też, można potłuc o kant, bo są tworzone dla kogoś, kto na Ziemi nie istnieje!

- Błuźnisz i błędzisz w swym rozumowaniu! - zapiał ksiądz. - To prawda, człowiek nie może być takim, jakim jest, musi być inny, ale Chrystus o tym wiedział..

- Bóg-Ojciec też o tym wiedział?

- Jak mógłby nie wiedzieć, On wie wszystko!

- Jeśli wiedział wszystko, i to z góry, to jak mógł stworzyć takie monstrum? Czemu nie stworzył dobrego człowieka? Jako wszechmocny powinien był to zrobić.

- Zrobił, lecz człowiek uległ szatańskim podszeptom i wpadł w sidła śmiertelnego grzechu...

- Trzeba było stworzyć człowieka odpornego na pokusę! Ale może Bóg nie chciał nudy, z samymi dobrymi byłoby śmiertelnie nudno, a tak jest bardzo ciekawie, Ziemia jak ekran video dla całego kosmosu!

- Bracie, wciąż bluźnisz! Nie rozważajmy teraz, dlaczego tak się stało, nie czas. Człowiek jest taki, jaki jest, a powinien być inny. Chrystus, wiedząc o tym, nie sprzedawał żadnego modelu ustrojowego, żadnej wizji politycznej, żadnej utopii, tylko receptę dla

człowieka, jak odmienić samego siebie. Poprzez miłość jako wartość najwyższą, jedyną, totalną, wszechogarniającą.

- Recepta byłaby w porządku, gdyby wypisał na niej lekarstwo, które może sprawić cud wyleczenia.

- Tym lekarstwem jest właśnie miłość!

- A gdzie to kupić?

- To lekarstwo trzeba produkować samemu dla siebie!

- Wobec tego winien najpierw przemienić wszystkich w farmaceutów. Nie zrobił tego, więc niczego nie zmienił.

- My to możemy zmienić, korzystając z Jego nauk!

- Nie możemy. Kody genetyczne nas hamują. Jest tam zaprogramowany instynkt współzawodnictwa, już to samo wystarczy, by braterska miłość, powszechna równość i temu podobne rzeczy na zawsze zostały chimera. O wiecznej ludzkiej głupocie nie wspominał, bo to najmocniejszy i najbardziej oczywisty hamulec, starczy za wszystko.

- Posłuchaj, bracie, Bóg...

- Ty posłuchaj. Gdyby Bóg mieszkał na Ziemi, ludzie wybijałoby mu szyby.

- Nieprawda! Są ludzie i ludzie, łaska boska dotknęła wielu i wielu naprawiła. Nie wszyscy kłamią, nie wszyscy zabijają, nie wszyscy kradną i hodują wszeteczeństwa...

Tym razem przerwał mu „Petroniusz”:

- Z pewnością. Dlatego jest tylu uczciwych, że nie każdy złodziej ma okazję do kradzieży.

Nikt nie widział, jak staruch wszedł, zjawił się niczym duch. A kiedy już się włączył, nie przestał gadać, jakby to on był tu gospodarzem:

- Ksiądz, przepraszam, namawia moich przyjaciół do krucjaty?

- Tak, bracie, do krucjaty przeciwko złu, niemiłosierdziu i niesprawiedliwym stosunkom społecznym, na rzecz dobra, miłości, tolerancji i uczciwej władzy.

- A ta władza jest twoim zdaniem, bracie, zła? - spytał „Petroniusz”.

- Tak, ta świecka zwierzchność, którą mamy, jest zła – odparł ksiądz.

- Więc trzeba z nią walczyć?

- Trzeba ją naprawić, odwołując od grzechu, bracie.

- I kto ma tego dokonać?

- Kościół Pański.
- A czy ten Kościół zezwala zwalczać grzech grzechem?
- Nie zezwala, lecz czy jest grzechem...
- Jest, proszę księdza, jest! Chyba że ksiądz chce zamienić ten Kościół na jakiś inny.

Bo Kościół, o którym, jak sędzę, jest mowa i do którego ksiądz należy, uważa każde wystąpienie przeciwko świeckiej władzy, każdą formę buntu i nieposłuszeństwa, za rzecz niedopuszczalną, czyli grzeszną!

- Bracie, co ty mówisz? - zdumiał się ksiądz.

- Mówię, a raczej powtarzam tylko to, co mówią ojcowie-założyciele Kościoła rzymskokatolickiego, bracie, i co możesz przeczytać w wielu miejscach w Piśmie Świętym. Coś mi się zdaje, że ksiądz rzadko sięga do tej książki, albo że ksiądz przestał słuchać jej nakazów, a to już byłaby zbrodnia przeciwko własnej wierze. To albo to, trzeciej możliwości nie ma.

Ksiądz zaniemówił, a „Petroniusz” podszedł do regału bibliotecznego, zdjął „Biblię Tysiąclecia” i odstawił swoje ulubione widowisko, show, w którym był arcymistrzem - flekowanie klienta za pomocą cytatów:

- List świętego Pawła do Rzymian, temat „Obowiązki chrześcijańskie”, punkt 13, tytuł „Posłuszeństwo wobec świeckich władz”. Dla porządku, strona 1287. „Każdy niech będzie poddany władzom sprawującym rządy. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, zostały ustanowione przez Boga. Kto więc przeciwstawia się władzy - przeciwstawia się porządkowi Bożemu. Ci zaś, którzy się przeciwstawili, ściągną na siebie wyrok potępienia”.

- To się tyczy tamtych czasów, czasów rzymskich! - krzyknął ksiądz.

- Taaak? No to wszystko w porządku, bo tu na dole jest przypis naukowy do tego, co zacytowałem, przypis autorstwa waszych biblistów, którzy przetłumaczyli Pismo i zadedykowali to wydanie kardynałowi Wyszyńskiemu, który ich za to pobłogosławił. Oni tu piszą, że ówczesne czasy rzymskie, braciszku, to były akurat czasy najgorszego despoty, Nerona, ale żeby wszystko było jasne, kończą przypis uwagą, czy raczej przestrogą, by nie traktować zaleceń Pawła jako obowiązujących tylko wobec tamtych czasów. Piszą tak: „Należy pamiętać, że Apostoł podaje tutaj zasady zawsze obowiązujące”!

Księżulo spąsował, a „Petroniusz” zaczął szukać kolejnej mojki, kartkując. I znalazł: *

- Strona 1328, „List do Efezjan”. Tytuł „Niewolnicy a panowie”. „Niewolnicy, ze czcią i bojaźnią w prostocie serca bądźcie posłuszni waszym doczesnym panom jak Chrystusowi...”. I dalej (znowu przekartkował)... tytuł podobny, „Niewolnicy i panowie” w „Pierwszym liście do Tymoteusza”, strona 1350. „Wszyscy, którzy są pod jarzmem jako niewolnicy, niech własnych panów uznają za godnych wszelkiej czci, ażeby nie bluźniono”... To tyle ze świętego Pawła, a teraz święty Piotr. Strona 1378, jego pierwszy list apostołowski. „Niewolnicy! Z całą bojaźnią bądźcie poddani panom nie tylko dobrym i łagodnym, ale również surowym. To się bowiem podoba Bogu, jeżeli ktoś znosi smutki i cierpi niesprawiedliwie... Bądźcie poddani każdej ludzkiej zwierzchności ze względu na Pana, czy to królowi mającemu władzę, czy to namiestnikom jako przez niego posłanym...”

Słuchałem, nie mogąc uwierzyć, że coś takiego mówią apostołowie. Ksiądz zapytał Mariusza:

- Kim jest ten pan?
- Ten pan to diabeł, zły duch. Chodźmy stąd, Jerzy, to strata czasu, no chodź!

Heldbaum zadrwił:

- Najlepiej prosto do fioletowych komnat. Bo może trzeba się było najpierw poradzić towarzyszy biskupów...

- Poradziłem się mojego krucyfiks! - odparł ksiądz.
- W takim razie trzeba było uwierzyć ściśle w to, co krucyfiks powiedział, słuگو boży!

Nie było tam nic o szacunku dla apostołów?

- Nie było tam nic dla ludzi bez sumień!
- Chodź! - powtórzył Mariusz. - Wyjdźmy stąd!

Wstali obaj. Ksiądz zwrócił się do Karśnickiego:

- Czy pan może nam pomóc?
- Mówiłem już, nie!
- Niechaj Bóg będzie z wami, bracia - rzekł ksiądz i wyszedł razem ze „Świątym”.

„Książę” wyciągnął dłoń ku Pismu.

- Podaj mi to dzieło.

- Myśli pan, że coś sfałszowałem? - rzekł Heidbaum, podając mu wolumin. - Niczego nie przekręciłem, może pan sprawdzić każde słowo!

Teraz „Książę” kartkował, szukał dwóch miejsc, I zaraz się wnerwił:

- Co za parszywe tłumaczenie! „Przyszedłem przynieść”!... Przydałoby się przypomnieć przyjemniaczkom przykazanie o przymusie przyzwoitości przy przekładach! Buty Wujkowi czyścić, a nie poprawiać mistrza!

Podszedł do biblioteki, wziął Ewangelię w Wujkowym tłumaczeniu, znalazł co chciał i przeczytał to:

- „Nie myślcie, żem przyszedł pokój czynić na ziemi. Przyszedłem na ziemię czynić nie pokój, lecz miecz!”. Święty Mateusz, dziesięć, trzydzieści cztery... I święty Łukasz, dwanaście, czterdzieści dziewięć: „Przyszedłem wzniecić pożar na ziemi, chciałbym, aby jaz się paliło”!

Pofilował ku Heldbaumowi. Ten wzruszył ramieniem i wydał dziób:

- Nie moja wina, że sam tym nie skontrolował. Czy ktoś mu przeszkadzał to zrobić?

Podszedł do „Księcia” i usiadł naprzeciw, w fotelu.

- Panie Karśnicki, teraz serio. Niech pan nikomu nie da się wciągnąć w ten pożar, który już buzuje.

- Bo co?

- Bo podpalacz to bezpieka, a nie żaden lud czy proletariat. Zagrano przeciw Gierkowi.

- Domyśliłem się, Heidbaum, to proste. Zagrano, tylko że instrumenty zaczynają się wymykać panom dyrygentom spod kontroli, a właściwie wymknęły się już, i teraz nie można tego opanować, mają coś, czego nie chcą, naprawdę masowy protest. Ktoś chciał tylko sfajczyć chałupkę po środku stepu, a zajął się step. Kiedy jest wiatr na stepie, to ogień idzie po nim jak burza! I to już jest bunt ogólnonarodowy, nie tylko robotów, ale i chłopów i urzędasów i artystów i studentów, a pomaga w tym jajogłowa elita związana z opozycją, co daje rebelii polor, co ją uszlachetnia i nobilituje, bo taki intelektualno-artystyczny gwiazdozbiór...

- To są gwiazdy wyrosłe z gówna! - zapienił się „Petro”. - Czy pan wie, kto tym kreci? Kto jest tubą tego protestu i tego proletariatu? Tłumek pisarzy, dziennikarzy, filozofów, socjologów, ekonomistów i prawników, co do jednego cwaniaczków-kameleonów!

Większości społeczeństwo nie zna, tylko pisarze i dziennikarze to zbiór publicznych nazwisk, więc popatrzmy na pisarzy i dziennikarzy. Niech pan sobie wynotuje nazwiska i sięgnie po prasę sprzed trzydziestu, dwudziestu, dziesięciu i nawet pięciu lat. Niech pan zobaczy, co robili, co głosili, do czego agitowali i zmuszali wówczas. Budowali nową, czerwoną rzeczywistość, idąc po trupach elementarnych cnót, świadomie depreczując prawdę i estetykę, zagłuszając hagiograficznymi peanami wycia torturowanych niewinnie i wieszanych niewinnie, karmili swe ambicjki i sakiewki przy pomocy najhaniańskich słów i najpodlejszych czynów, nie mieli wstydu, nie mieli oczu i uszu, nie mieli sumień, skrupułów i etyki za grosz! Firmowali stalinizm z dziką ochotą w dobie najpotworniejszych represji. Kultura tego kraju chodziła w takim chomacie i w takich kagańcach, jakie oni założyli jej na szyję i na pysk. Myślę, że byli gorsi od swych kolegów z Zachodu, takich jak Pirandello, Drieu La Rochelle, Brasillach, D'Annunzio, Wells, Pound, Heidegger, Gentile, Croce, Malaparte, Jiinger, Celinę, Ernst von Salomon i Shaw, którzy poparli faszyzm, lub utożsamiali się z faszyzmem, lub gloryfikowali go przez jakiś czas. Byli gorsi, bo historia już dała nauczkę intelektualistom zamieszonym w totalitaryzm, wiedzieli, co to jest flirtować z imperium szatana. Wielu stało się aparaczkami, dygnitarzami i dyrygentami socrealizmu, a potem komunizmu rzekomo reformowanego za Gomułki oraz za Gierka w jego pierwszej pięciolatce. Komunizm, tak jak uprzednio faszyzm, dysponował orężem, oni natomiast dali mu coś, bez czego system polityczny jest kaleki: prestiż, potęgę słów i polor artystyczno-ideowy, złotą szatę! Tak Brandys, psiakrew, struga sumienie narodu, gdy dawniej apologetyzował donosicielstwo, wzywał do „przestrzegania czujności”, nawet w stosunku do najbliższej rodziny! A Konwicki, zamordysta w dobie stalinowskiej, Woroszyński, harfiarz kultu krwawego Józia, Andrzejewski, gloryfikator bezlitosnego socu, Kijowski, Koźniewski, Czeszko i tylu, tylu innych! Wszyscy oni, jak ten Norwidowski ptak, „śpiewali wiosnę, gdy dokoła zima"! Przekręcili się na liberalizm lub wprost antykomunizm, gdy już nie tylko nie groził za to bat lub hak, ale gdy takie nieszkodliwe popiskiwanie zaczęło przynosić lepsze profity niż dotychczasowe służalstwo. Podobnie z ekonomistami i prawnikami, którzy teraz tańczą w Gdańsku, i z historykami, którym wraca pamięć, o aktorach nie ma co mówić, to zawsze komedianci. Kim oni są? Wyzwoliciele? Prostytutki, które zmieniły sobie makijaż

na modniejszy! I teraz, gdy robot dał się podpuścić, firmują bunt proletariatu! Co za latryna! Aż się spocił.

- „Fokstrot”, królestwo za filiżankę czarnej! Wyszedłem do kuchni. Jak wróciłem, znowu perorował, na temat KOR-u:

- ... Tak, zgadzam się, oni są broszką, w sztabie Wałęsy KOR ma więcej do gadania, lecz przecież to takie samo lub nawet gorsze gówno! Wódz, dzielny Jacuś, mówię o Kuroniu, przez tyle lat czerwony żandarm deprawujący dziatwę szkolną! Uznał, że bolszewickie harcerstwo jest za mało bolszewickie i stworzył grupy „Walterowców”, krasną elitę Związku Harcerstwa Polskiego, narzucając jej stalinowski fanatyzm, który przekraczał komsomolskie zaangażowanie w Sowietach! Wszystkie te jego pomagiere, Blumsztajny, Michniki, to właśnie „walterowska” stajnia, czerwony wychów! A dzisiaj ten stupajka i jego rewirowi mają wyzwać ojczyznę! Czy można się nie porzygać? Wie pan dlaczego Gierek pozwalał KOR--owi szumieć, czemu przymykano oczy na ich działalność? Gdyby chciano ich zlikwidować, można to było zrobić w jedną dobę...

- To dokładnie tak samo jak z nami - wtrącił gospodarz.

- Owszem, prawie tak samo. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent członków KOR-u to Żydzi, reszta, paru gojów, na ozdobę, dla zmylenia społeczeństwa. Gierek pajacował tak długo, jak długo dostawał pożyczki z banków zachodnich, a do kogo należą wszystkie zachodnie banki? Do Żydów. Coś za coś. Dostaniesz dużą forszę, ale nie będziesz przytykał naszych! Dlatego mogli się bawić w nielegalność tak jak cinkciarze, tylko lepiej, bo strugając bohaterów! Rozumieli się, są trzy rodzaje społeczności, które się dobrze rozumieją, myślę o Żydach, komunistach i pedałach, łączy ich jedno, kosmopolityzm. Człowiek, który mi mówi o patriotyzmie KOR-u, to morderca, chce mnie zabić śmiechem!

- Co z tym mają wspólnego pedały, Heldbaum?

- To, co powiedziałem, antypatriotyczny kosmopolityzm!

- Czyli masło maślane...

- Tak, pardon.

- No więc co z tymi pedałami?

- Pan nie czytał Gombrowicza, „wielkiego polskiego pisarza”? Bożyszczę polskich intelektualistów i literackich smakoszków Polskę ma za nic, za szambo, za śmieć, ojczyznę za anachronizm, patriotyczne myślenie za nacjonalizm, szowinizm i debilizm,

przywiązanie do rodzimych symboli za obmierzłą staroświeckość, kult męczenników za analfabetyzm, słowem polskość to strawa głupków. Robił wszystko, by jego czytelnik poczuł wstyd i wstręt do samego siebie, iż urodził się jako Polak, żeby się jak najszybciej pozbył polskiego łupieżu w kosmopolitycznej odwyszalni. Żydzi robią dokładnie to samo.

- Chwalisz się, czy masz wyrzut sumienia?

- Ja już panu mówiłem, wasza książęca wysokość, jaki ze mnie Żyd! Moi was gnoją, i moi udają, że chcą was zbawić, a ja i tych moich, i tamtych moich, mam w dupie. To nie moja tragedia, to pański problem, bo pan jest goj i do tego polski goj, co jest już zupełny pech. Czy jak pan czyta polskie gazety, słucha polskiego radia i patrzy w polski telewizor, nie czuje się pan członkiem mniejszości narodowej we własnym kraju? To jest kraj Żydów, którzy zawładnęli wszystkim, a nie gojów, a jak goj spróbuje tylko pierdnać, już jest załatwiony epitetem: antysemita! Cóż to jest antysemita? To rasista. A cóż to jest rasista? Nikczemne bydlę. Koniec, kropka. Jako tło do tego pałowania polskich gojów zawsze są pod ręką oświęcimskie kominy, tak jakby Hitler i jego paczka byli Polakami. I to się robi tylko u nas. Tysiące polskich rodzin brało na siebie automatyczny wyrok śmierci za ukrywanie Żydów, podczas gdy na przykład Francuzi bez wyrzutów sumienia masowo wysyłali swoich żydowskich sąsiadów do Treblinek, ale we Francji Żydzi nie rozpętują antyfrancuskiej hysterii i nie podgrzewają wciąż antysemityzmu. A tu podgrzewają, palą pod tym kotłem, żeby broń Boże nie wygasł, odbudowują go z niczego, jak trzeba, bo rzekomy polski antysemityzm nie jest dla nich przekleństwem, tylko cudowną bronią, batem na Polaczków. Tak płacą wam za fakt, że mordowani przez kilka wieków w całej Europie, mogli tylko nad Wisłą znaleźć bezpieczny azyl, więc z całej Europy zwiali tu i tu zawładnęli najpierw handlem i przemysłem, a potem kulturą. Teraz mają na was antysemityzm jak kulomiot i rozstrzeliwują was nim, ile razy chcą wam skrócić cugle. Albo będziecie kosmopolitami i filosemitami, Polaczkami, albo do kąta za antysemityzm! Tak macie tańczyć, jak...

- To się nazywa spiskowa teoria dziejów, Heldbaum. Historycy się z tego śmieją.

- Gdyby pan słyszał, szefie, jak się z tego śmiali ludzie, których w pierwszej dziesięciolatce przesłuchiowano, do łez się śmiali, uszy by panu popękały, tak jak im pękała skóra. Przesłuchiwali panowie z dziesiątego departamentu w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, Fejgin, Fleiszfarb, Grunspan i inni o takich samych rodo-

wych nazwiskach, ale noszący piękne nazwiska sarmackie: Światło, Romkowski et caetera. Niech panu Garoń opowie o swoim tatusiu, oni mu popieścili ojca!... Gdyby tej krwawej obróbce poddano historyków zamiast na przykład AK-owców, to trochę mniej historyków śmiałoby się dziś z przypisywania Żydom ciągotek mafijnych.

- Tobie ich na pewno odmówić nie można, nasza mafia to twój tort.

- Ale ja nie walczę z gojami za pomocą antysemityzmu, lub antypolskich fałszerstw, którymi robi się wam paskudną gębę, jak świat szeroki i długi. Najznakomitszą reklamę za granicą zrobił wam żydowski maestro o pięknym, staropolskim nazwisku Kosiński. Nie wiem, czy to prawda, że kiedy jako młodzieniaszek wyemigrował do Stanów, to ożenił się tam ze staruchą, wdową-milionerką, która wsadziła swój szmal w wyforowanie jego debiutanckiej książki na listy bestsellerów, choć wiem, że bez milionów wpakowanych w promocję żaden cudzoziemiec-debiutant nie ma tam cienia możliwości, żeby wyskoczyć. On zrobił karierę, został głośnym „pisarzem amerykańskim pochodzenia polskiego”, więc albo spróchniała milionerka, albo żydowskie lobby pomogło swojemu, tak czy owak ktoś te miliony w niego wpakował. Jego najślawniejsza książka to „Malowany ptak”. Z tego dziełka, którego treść dotyczy czasów okupacji niemieckiej w Polsce, człowiek Zachodu pobiera takie nauki: polska partyzantka wyłapuje żydowskie dzieci, żeby je oddawać w ręce Gestapo, polscy chłopcy uwielbiają zagwałcać na śmierć małe, żydowskie dziewczynki, a już szczególnie ochoczo ranne dziewczynki, tak jak polscy księża, odziani w szaty liturgiczne, lubią katować w kościołach małych żydowskich chłopców, natomiast dziewczyny polskie, gojki rzecz jasna, uprawiają dziki seks z własnymi tatusiami, braćmi i na dodatek z kozłami rozplodowymi!... Co jeszcze? Jeszcze lud polski wyje ze szczęścia patrząc na wywózkę

Żydów do komór i dziękuje za to wylewnie hitlerowcom, a jedyna polska kobieta, której odbiło, bo zrobiła opatrunek rannemu Żydziałku, przy okazji temuż Żydziałku kradnie buciki z nówek...

- Wiem! - przerwał Karśnicki. - Potem ona robi minetę portierowi na Gestapo, a ten odwdzięcza się jej...

- Tego tam nie ma... - zdziwił się „Petro”.

- ...a on się jej odwdzięcza złotym zębem wyrwanym żydowskiemu niemowlęciu!

Stary próbował jeszcze ratować dupsko śmiechem:

- Dobrze, ma pan słuszność! Tego tam nie ma, ale mogłoby być, to w tym samym stylu!

- A to, co ty wymieniłeś, tam jest?

- Jest, niech pan przeczyta!

- W domyśle: jeśli uda się panu to znaleźć, bo tłumaczone nie było! Ale ja czytałem „Malowanego ptaka”, Heldbaum, czytam po angielsku, twój pech. Że w ogóle czytam. Gombrowicza też czytałem! Kuronia nie znam, ale jeśli łąsz o Kosińskim i Gombrowiczu, to znaczy, że nawet gdyby Kuroń napisał „Anię z Zielonego Wzgórza”, ty zrobiłbyś z tego „Żywoty pań swawolnych”.

- Nie łąż! Kuroń był fanatycznym komuchem, teraz się zmienił...

- Zmieniło się jedynie trzech ludzi! - przerwał mu „Książę”. - Święty Franciszek w młodości był playboyem, Piłsudski czerwonym drukarzem, a ja człowiekiem wolnym. Reszta się nie zmieniła, tylko przekreśliła taktycznie. Kuroń na antykomunizm, ty na antysemityzm, inni jeszcze na coś tam. Kuroń mnie nie obchodzi, ale ty mnie wciąż obchodzisz, więc teraz wyjdź stąd, natychmiast, póki nie zrobię czegoś, czego obaj pożałujemy!

„Petro” zmył się jak duch. Od tej pory nigdy już nie było między nimi klawo, do samego końca.

A koniec był już cholernie blisko, bliźniętko. Zimą 80/81 zamiast zimno było coraz goręcej, szykowały się decydujące rozdania. Krasnoarmiejcy brali na przeczekanie i wyrolowanie, a Wałęsiaki tylko na to drugie - zapachniało im władzuchną, którą można podnieść z ulicy jak monetę upuszczoną przez frajera. Tylko ludziom było coraz gorzej, strajk gonił strajk, mało kto pracował, brakowało wszystkiego, skarpetek, butów, żarcia, a komuch robił wszystko, żeby wszystkiego było jeszcze mniej i krzyczał, że to wina chuliganiącej „Solidarności”. Nam to było ganc egal, micha była pełna, forsa kapała jak ropa u arabskich szejków, a dziewczynki kleiły się na pstryknięcie palcami. Ale na Targówku widziałem jak dzieciarnia kradnie marchewkowe nosy bałwanom, z głodu. „Książę” pakował wielki szmal w dokarmianie.

Wiosna nic nie poprawiła, tylko u poetów wiosna to Meksyk.

Aż przyszedł ten dzień, kiedy Heldbaum nawinał:

- Za trzy dni święto Pierwszego Maja...

- O co chodzi? - spytał „Książę”.
- O kłopot...
- Jaki kłopot?
- Nielegalny pochód, antyrządowy, marsz robotników z „Ursusa” i z Huty na śródmieście.
- To pewnie na Dom Partii, co my mamy do tego?
- Dobry chce robotów powstrzymać.
- To niech powstrzymuje.
- My mamy to zrobić, wasza książęca wysokość...
- My?!
- My.
- Dlaczego my?
- Bo on nie chce mundurów. Robot ma powstrzymać robota.
- Teraz rozumiem. Mamy się przebrać za przodującą klasę narodu i dosunąć przodującej klasie narodu, rozbijając ten marsz?
- Tak toczno, kamandir!
- Absurd, odmawiam kategorycznie! Lud roboczy ludu roboczego nie będzie lał, to problem klasowej solidarności. Powtórz mu.
- To jest problem naszego być albo nie być, panie Karśnicki, ja nie żartuję!
- Ja też nie żartuję.
- I on nie żartuje. Musimy to wykonać.
- Ale nie wykonamy.
- To mus!
- Mus płacić rachunki, panie ministrze? O to właśnie cały czas szło, a nie o dolary! Mieliśmy być nie rezerwowym bankiem i nawet nie straszakiem, tylko rezerwową rezerwą Milicji Obywatelskiej, takim drugim ORMO do specjalnych zadań?
- Musimy to zrobić, panie Karśnicki, nie mamy wyboru! - powtórzył „Petro”.
- To twoja opinia, ale nie ty tu rządysz. Odpowiedź brzmi: nie!
- Proszę się zastanowić!
- Właśnie to zrobiłem.
- Proszę się dobrze zastanowić!

- Zastanowiłem się bardzo dobrze i nie zmienię decyzji!

Heldbaum spuścił łeb, rzadko miał tak ponury wygląd. Jeszcze raz spróbował:

- Proszę pana...
- Nie proś, to bez sensu.
- Na miłość boską! Czy pan nie rozumie...
- Rozumiem! Do widzenia, czas audiencji się skończył.

Staruch wyszedł, trzęsąc się z nerwów. Jak tylko zamknął drzwi, „Księżę” powiedział:

- „Fokstrot”!... „Dżek”, „Ogień” i „Bankier” mają tu być za najdalej godzinę!

Byli. A wtedy on rozkazał:

- „Bankier”, zorganizuj około dwustu robotniczych kombinezonów! Masz na to dwie doby!

- Będzie zrobione, szefie.
- Na pewno?
- Nie ma problemu.
- Po jaką cholere? - zdziwił się Staś.
- Przebierzemy chłopców na Pierwszy Maja. U każdego w ręku ma być gazrura, łom lub francuz.

- Uuuu! To duże lanie, takiego jeszcze nie było!
- Nie było. Ale będzie. I żeby mi nikt nie był podcięty tego dnia!

Tego dnia rano zawiozłem go pod „Ursus”. Czekaliśmy w gablocie. Tam już tłum się zbierał, oni też czekali, na hutników, żeby dalej razem iść. Huta przymaszerowała śpiewając: „Wyklęty powstań ludu ziemi... Przed ciosem niechaj tyran drży!... Bój to jest nasz ostatni, krwawy skończy się trud!... By łańcuch spadł z wolnego ducha!... A dom niewoli zniszcz i spal!...” i tak dalej.

Matko Boska, śpiewali „Międzynarodówkę”! Ja zawsze myślałem, że to pieśń komuchów, i to była przecież pieśń komuchów, ale jak teraz usłyszałem ją, słowo po słowie, to skapowałem, że te słowa najbardziej biją w komuchów, zmienić nie trzeba nawet pół sylaby, pasują jak ulał. I oni to śpiewali szczerze, bo przeciw komuchom, którzy „rządzą samowładnie” i „tym mocni są, że każdy kradnie bogactwa, które stwarza lud”, ale:

„W tej bandy kasie ogniotrwalej
Stopiony w złoto krwawy pot
Na własność do nas przejdzie cały
Jak należności słusznej zwrot!
Bój to jest nasz ostatni...”

Przy bramach powitano się, uszeregowano i obie grupy ruszyły razem w stronę miasta, „Ursus” na czele, a hutnicze bractwo za nim. Znowu huknął śpiew, tym razem pod melodię „Szarej piechoty”, do maszerowania nie ma nic lepszego, lecz tekst był jakiś inny, nowość, nie znałem tych słów, musieli je sami sobie napisać:

„Nie chcemy komuny, nie chcemy i już,
Nie chcemy ni sierpa, ni młota!
Za Katyń, za Grodno, za Wilno i Lwów,
Zapłaci czerwona hołota!
Za Katyń, za Grodno, za Wilno i Lwów,
Zapłaci czerwona hołota!

Za mordy, za gwałty, cierpienia i łzy,
Za lata w niewoli spędzone,
Za fałsze, oszczerstwa i cyniczne gry,
Nadzieje bestialsko zniszczone!
Za fałsze, oszczerstwa i cyniczne gry,
Nadzieje bestialsko zniszczone!

Nie chcemy komuny, podnieśmy więc głos,
By protest do Kremla aż dotarł.
Weźmiemy w swe ręce nieszczęsny nasz los,
Niech zadrży czerwona hołota!
Weźmiemy w swe ręce nieszczęsny nasz los,

Niech zadrży czerwona hołota!

Od Jałty ten koszmar sowiecki już trwa

I z każdym wciąż rokiem narasta;

Nie lękaj się walki, w szeregu dziś stań,

Przed tobą czerwona hałastra!

Nie lękaj się walki, w szeregu dziś stań,

Przed tobą czerwona hałastra!

Wbrew czasom ponurym nadzieja w nas tkwi,

Wolności uchylą się wrota,

Nadejdą dla partii ostatnie już dni,

Zamilknie czerwona hołota!

Nadejdą dla partii ostatnie już dni,

Zamilknie czerwona hołota!*

Śpiew leciał jak ryk burzy, jak dudnienie wielu dzwonów, jak zmiatający wszystko huragan, napełniał boczne uliczki, uderzał o drżące szyby okien, rwał ku niebu, odbijał się gdzieś tam wysoko i wracał do kilku tysięcy nóg, by wybijać wraz z nimi rytmiczny grzmot, od którego dostawało się gęsiej skórki, albo suszenia w gardle, albo wody w oku (kobiety stojące na chodnikach płakały). To jeszcze nie był koniec, śpiew wciąż trwał, wciąż, jak rakiety odpalane z wyrzutni strun głosowych, pędziły w przestrzeń te straszne słowa, których nikt dotąd nie cisnął komuchom w pysk:

Choć wróg nasz podstępny i okrutny jest,

Lecz Polski i tak nie pokona!

Nikczemne ich mordy skujemy na fest,

Ucieknie ta szajka czerwona!

* Pierwsze wydanie książki zostało ocenzone i zamiast tekstu piosenki ukazał się następujący druk: [----] [Ustawa z dnia 31 lipca 1981 roku o kontroli publikacji i widowisk, artykuł 2 punkt 3 (Dziennik Ustaw nr 20, pozycja 99, zmiany: 1983, Dziennik Ustaw nr 44, pozycja 204)]

Nikczemne ich mordy skujemy na fest,

Ucieknie ta szajka czerwona!

Kremłowskie kajdany obmierzły już nam,

Paszoł won! usłyszysz despota.

Czas, Polsko, wystawić rachunek swych ran,

Niech płaci czerwona hołota!

Czas, Polsko, wystawić rachunek swych ran,

Niech płaci czerwona hołota!

Sowieckie sztandary zerwijmy ze ścian,

Orłowi przywróćmy koronę,

By Polak w ojczyźnie mógł rządzić już sam,

A nie tałatajstwo czerwone!

By Polak w ojczyźnie mógł rządzić już sam,

A nie tałatajstwo czerwone!

Nie chcemy komuny, nie chcemy i już,

Nie chcemy ni sierpa, ni młota!

Za Katyń, za Grodno, za Wilno i Lwów,

Zapłaci czerwona hołota!

Za Katyń, za Grodno, za Wilno i Lwów,

Zapłaci czerwona hołota!"

Nie wiem, czy tę powtórzoną zwrotkę zaśpiewali na koniec, czy zaczęli od nowa, bo nagle z boków uderzono na nich. To też był tłum, ale nie taki sam. Na rękawie każdego z napastników widniała czerwona opaska (żeby w zamieszaniu się nie kiwnąć i nie łać swoich), każdy miał w ręku pałę lub gazrurę, tylko niektórzy trzymali transparenty („KLASA ROBOTNICZA POPIERA SWOJĄ PARTIĘ", „NIE CHCEMY PODŻEGACZY I MAĆIWODÓW", „PRECZ Z PACHOŁKAMI CIA!", „PARTIA Z NARODEM, NARÓD Z PARTIĄ", „SOLIDARNOŚĆ - TAK, DYWERSJA - NIE!"

„PRAWDZIWY PROLETARIAT OBRONI ZDOBYCZE SOCJALIZMU!"). To było ORMO i MO przebrane za robociarzy. Wrzask i krzyk, makabryczne łomotanie, krew na jezdniach i na chodnikach.

Tych przebierańców mieli rąbnąć nasi przebierańcy, „Dżek" i Stasio na czele dwóch kolumn. Mieli tu przyjść i dać wycisk każdej bandzie, która zaczepi marsz. Karśnicki spoglądał na sikor, filował dookoła, czekał i czekał, mruzczał: „Co jest, do cholery, dlaczego nie przychodzą, już dawno powinni tu być!", nic nie rozumiał. Wyjaśnił mu „Ogień". Wskoczył w nasz wóz ni stąd ni zowąd, zdyszany i pokrwawiony. Głosu nie mógł złapać, parę kilometrów biegł.

- Co się stało?! Dlaczego was nie ma?! - krzyknął Książę".

- Roz... roz... walono... na... naszych! - wycharczał „Ogień".

- Kto was rozwalił?

- Gli... glina! Jak... szliśmy tu! Ja się wyrwałem, ale... wielu chłopaków aresztowano! „Dżeka", Tomka, „Szpinaka", „Magistra", moich... Ktoś nas zakapował!

- Ja! - rozległ się głos zza otwartej szyby w gablocie. - Ja doniosłem milicji.

Heldbaum stał obok wozu.

- A tobie kto? - zapytał „Książę".

- Ktoś, kto tak jak i ja z czystej sympatii nie chce, aby pan popełnił samobójstwo. Bo to byłoby samobójstwo, wasza książęca wysokość.

- A jeszcze nie jest?

- Jeszcze nie. To tylko błąd, który może się zdarzyć każdemu. Można to jeszcze naprawić.

- Jak?

- Zapominając o nim. Dobry chce, aby pan dalej był władcą, szanuje pana, panie Kraśnicki. Ale nie chce więcej głupstw. No jak, zgoda?

- Zgoda - rzekł „Książę". - Kiedy wypuszczą chłopców?

- Dziś.

- W porządku. Wracamy, „Fokstrot". Podwieźć pana ministra?

- Nie, mam tu własny wóz.

Całą drogę do domu Karśnicki milczał, gryząc zapałkę za zapałką.

Nazajutrz w nocy przybiegł „Ogień".

- Nie ma go! - zaraportował. - Już dwadzieścia godzin go nie ma!
- Nie wrócił do siebie?
- Nie!
- To znaczy, że znowu nas sypnięto - powiedział Karśnicki.

„Ogień” miał zabić Heldbauma, taki dostał rozkaz, ale „Petroniusz” zmył się.

- Kto?! - wrzasnął Stasiu. - Wiedziałem ja, wiedział „Dżek” i wiedział „Fokstrot”, i już nikt! No to który?! Ja, „Dżek” czy „Fokstrot”? Chyba, że tu podsłuch jest, kurwa mać! Wówczas słyszą nawet to, co teraz mówimy!

- „Walentino” wciąż sprawdza - przypomniałem.
- Oni mogą być lepsi niż „Walentino”!
- Mogą - powiedział „Książę”. - Ale mógł się i sam domyślić, ten facet ma drugi węch i drugi słuch. Pewnie się schował u Dobrego...

- Co robimy?
- Zmywamy się, lada chwila mogą nas stąd zgarnąć.
- A co dalej robimy?
- Szukamy Dobrego. Mam coś do wyjaśnienia z tym panem! Musieli zaczekać, bo ja nie byłem gotów, pizama zły strój na nocne jazdy. W gablocie Karśnicki rozkazał:

- Do szczurów.

Nie skapowałem.

- Do szczurów?...
- Do elektrociepłowni, „Fokstrot”!
- Do „Hearta”?
- W końcu zgadłeś! Zapal wreszcie ten silnik!

Było nas czworo, On, ja, „Dżek” i „Ogień”. Nikt się za nami nie włókł. Niebo było dziwnie szare, choć to noc. Zajechałem w kwadrans.

Ku naszemu zdziwieniu niepotrzebne były ani pięści, ani latarki. Z wejścia, przy którym nikt nie stróżował, emanowała jasność. Loch też był jasny niczym droga, którą pali słońce, lecz nie było tam ani jednej żarówki, ta jasność płynęła z murów, złotych i koralowych, mieniących się jak perły, niby w bajce. Pod każdą ze ścian kimali, siedząc i opierając głowy na bezkresnej rurze z zamszu i atłasu, mieszkańcy tego podziemia. Wyglądali jak zaczarowane mumie.

Tam, gdzie był rozrząd węzła rur, spał „Heart” na fotelu z drogocennych kamieni. U jego podnóża garbulo, a w kącie, na haftowanym srebrną nicią materacu, goła dziewczyna, piękna jak marzenie o takich dziewczynach, ale to nie jej nagość ściągała wzrok, „Heart” go ściągał niczym magnes. Bardzo się zmienił od tamtego razu. Fale długich, białych włosów pokrywały mu śniegiem ramiona. Zmarszczki na przezroczystej twarzy biegły do ust, krzyżując się z tysiącem fioletowych żyłek, tak iż jego głowa wyglądała jak druciany kosz. Skurczony i wyschnięty, był miniaturą samego siebie. Miał staroświecki strój, z surdudem, kamizelką i żabotem, nad którym szyja marszczyła się w sine fałdy. Trzymał długą laskę ze złotą gałką; ta laska miała coś z pastorału.

„Książę” go obudził, trącając lekko w koronkowy mankiet.

- Ach, to ty! Ooooo! - ziewnął „Heart”. - Witaj na pokładzie, zuchu! Jakie bogi przynoszą? Strach, czy gniew?

- Oba.

- Uciekłeś na dół przed tym, co się tam dzieje?

- A wiesz, co się tam dzieje?

- Wiem. Burza na złość czerwonej partii, lecz burza przemija, jak wszystko, nie wymiotą komunistów. Ciut-ciut zmaci się porządek, w którym czerwoni ułożyli się jak wieprz w gnoju, na nic więcej was nie stać.

- Nas?

- Wlazłeś w to, inaczej nie musiałbyś szukać azylu u mnie.

- Nie szukam schronienia, szukam Dobrego. Słyszałeś o Dobrym?

- To tak, jakbyś zapytał, czy słyszałem o Bogu - skrzeknął „Heart” (miał głos człowieka stareńkiego, pasujący do stareńkiej mordy, takiej, jak na drobno spękane porcelanowe cacka).

- Gdzie on jest?

- On jest wszędzie, jak Bóg. Musi być, żeby za szybko nie upadła ta religia, której jest stróżem i której nie wyznaje nikt, nawet ten, który kazał mu stać na straży. On pilnuje dogmatu, tak jak wasi księża, ale oni przynajmniej wierzą w to, co mówią. Dla nich dogmat to świętość, dla czerwonych dogmat to żłób, w istocie strzegą tylko żłobu. Żłób jako czynnik racjonalny, z logicznego punktu widzenia daje komunizmowi przewagę nad każdym innym wśród wyznań, a jedyną słabością czerwonej wiary jest liczba ideowych

wyznawców równa zeru; w sferze ducha przez to i przez aberrację ekonomiczną w sferze ciała komunizm kiedyś upadnie. Ale ty tego nie sprawisz i nawet nie doczekasz, więc daj sobie spokój, po co ci Dobry?

- Gdzie go szukać? - spytał „Książę”.

- Wiesz kim niegdyś byłem? - rzekł „Heart”, olewając pytanie Karśnickiego. - Byłem idealistą, czyli idiotą, wierzyłem w Boga, wierzyłem w papieża, w spowiedź, w komunię świętą, w grzechów odpuszczenie, w cały Rzym! W jego mądrość, dobroć i wyższość nad wszystkimi religiami świata. Coś z tego zostało, myślę, że rzymski katolicyzm ma tę wyższość, iż jest w nim parlamentarna demokracja Świętej Trójcy, którą przedkładam nad jedynowładztwo Allahów, Jehowów i innych. Ale tylko to z mojego fanatyzmu zostało, nie wierzę w nic! Byłem dewotem, jestem agnastykiem. Wiesz, nad moim łóżkiem dziecinnym wisiał taki obraz: „Święty Jerzy i smok”. Święty miał dzidę i toczył z bestią bój, a pod nim, to jest pod brzuchem konia i cielskiem smoka, walały się szczątki przygniecionych, kobiety i mężczyzny. Gdy urosłem, zrozumiałem, iż świat to ciągle zapasy dobra i zła, w których ludzie są zawsze przegrani, biorą wycisk i od dobra i od zła, jak na tym obrazku, więc nie należy się niczym przejmować, należy pieprzyć wszystko, tym bardziej, że wszystko jest chwilowe, tymczasowe, prowizoryczne, wszystko mija, jak zły lub dobry sen, jak każdy numer gazety, w której czytasz świeżą historię gatunku, już za dzień nieaktualną i zapomnianą. A ty wciąż chcesz skakać, wte lub wewte, po coś lub po kogoś, dla tego lub dla tamtego, jaki to ma sens? Odpuść, chłopczyku!

- Gdzie go szukać? - zapytał „Książę”. - Powiedz mi!

- Niech ci powie któryś z tych agentów Dobrego, jakich masz w swoim otoczeniu.

Powinni znać adres szefa.

- Był jeden, ale umknął.

- Tylko jeden? .

- Aż jeden!

„Hearta” porwał śmiech, jak zgrzyt kosy o szkło (myślałem, że garbus się obudzi, lecz kimał), taki szyderczy nie rechot, lecz pisk, okropność, wywraçał mi bebecz.

- Synku! Myślałem, że jesteś mądrzejszy! Szef policji Napoleona mówił: „Kiedy zbiera się czterech spiskowców, dwaj z nich to moi ludzie”, lecz od tamtej pory świat poszedł naprzód, taka proporcja stała się osiągnięciem na notę co najwyżej dostateczną.

Towarzysz Swierdłow, członek pięcioosobowego komitetu bolszewików w przedrewolucyjnym Petersburgu, podejrzewał, iż któryś z jego czterech kolegów to prowokator „Ochrany”. Kiedy po Rewolucji Lutowej otwarto archiwa policyjne, wyszło na jaw, że w całym Komitecie tylko Swierdłow to nie był prowokator, pozostali czterej byli agentami. Nawet przywódca frakcji bolszewików w Dumie Wszechrosyjskiej, ukochany pupil i zastępca Lenina, Malinowski, był agentem „Ochrany”, prowokatorem...
Wiem, o co chcesz teraz zapytać!

- O to samo - powiedział „Książę”.
- Toś głupi. Powinieneś zapytać: czemu, mimo tego wszystkiego, Lenin zdobył laur?
- Nie pytam o to, co wiem.
- A wiesz? Czyżby?
- Wiem, znam historię rewolucji z dobrych, nie sowieckich źródeł.
- Historia rewolucji, to tylko przedmiot rewolucji, podmiotem rewolucji jest dusza rewolucji, dusza buntu. Lenin nie dokonał żadnej rewolucji, dokonały jej szlachta i burżuazja w momencie, gdy liberalizm urzędów i debilizm panującego skorodowały reżim. Ich błąd, błąd ojców rewolucji, na tym polegał, że pozwolili wejść bolszewikom na parkiet, przypuścili ich do wspólnego tańca na grobie caratu, a wówczas Lenin posłużył się wojskiem, motłochem i terrorem, i wygrał z dziecinną łatwością. Lecz buntując, agitując i zwyciężając, nie dokonał rewolucji, ta się już wcześniej dokonała, zrobił tylko zamach stanu. Tak czy owak był to bunt. I oto pytanie: dlaczego udało mu się, gdy już nie było zbyt wiele racjonalnych powodów do buntu, tak podniecić jednych, że go wspomogli, i tak ogłupić innych, że mu nie przeszkadzali, co też stanowiło pomoc, a więc bunt przeciwko państwu? Odpowiedź jest prosta, tkwi w naturze ludzkiej. Czy ludzie buntują się z tego powodu, że widzą i czują niesprawiedliwość? Gdyby tak było, buntowałyby się co rok w wielu krajach. Czy buntują się, kiedy system trzyma ich w nędzy? Gdyby to miał być powód, bunty rozsadałyby niejedno z państw. Czy buntują się, gdy tak zwana kropla przepelnia czarę? Nie zliczylibyśmy buntów. Więc kiedy się buntują? Kiedy ktoś, kto umie podjudzać i mamić, umiejętnie odwoła się do tkwiącego w człowieku instynktu destrukcji oraz potrzeby mitu. Nigdy ludzie nie czują się tak zjednoczeni, jak wówczas, gdy ktoś wzniesie im wspólny ołtarz, na którym można się poświęcić lub nasycić wszystkoobiecującą utopią. Bolszewizm wygrał, bo obiecywał rajski cud od ręki,

panaceum od zaraz, a lud uwielbia, by go oszukiwano, potrzebuje tęczyowych oszustw, potrzebuje tego jak kobieta, to atawistyczne, biologiczne, wszechmocne. A poza tym człowieka, z natury będącego zwierzęciem autodestrukcyjnym i podatnym na słodkie kłamstwo, zamieszkują ścierające się popędy: nie wie, czego chce, chce tego, czego naprawdę nie chce, i odwrotnie, nie chce tego, czego powinien chcieć. Rozum jest wówczas outsiderem, wyrzutkiem, rozsądne racje bez trudu ulegają emocjom. Rozum można zaszachować, gdyż to, czego jeden dowodzi, drugi może zbić, posługując się identycznymi kategoriami rozumu i wówczas rozum dostaje pata, więc jak można budować na nim? Budować można tylko na emocji wyzwalonej w zwierzęciu przez uruchomienie jego potrzeb destrukcyjnych oraz przez nasycenie jego głodu obietnic i mitów, a dopiero po zwycięstwie - na strachu, któremu zwierzę ulega, zderzając się z siłą. Najpierw triumf, a później terror umiejętnie stopniowany. Można lekko popuścić i można przycisnąć, dwa klawisze. Społeczeństwu nie jest potrzebny rozum i intelekt, lecz irracjonalizm i strach, to ciemne instynkty władają społeczeństwami. Dlatego wieczny jest Kościół, a demokracja chwiejna, wróżbita wciąż modny, a sceptyk ignorowany, plotka zagłusza cyfrę. Źródło władzy oparte na argumentach wysycha, jej trwałość to system, który odwołuje się do magików i katów. Magik-oszust jako hipnotyzer, i kat jako bezlitosna sankcja, bicz strachu - oto fundamenty. Nienawiść do władz można ignorować. Lecz można też wyzwolić eksplozję, gdy w łonie władz zaczynają się gry frakcyjne, wtedy władza używa motłochu przeciw władzy, tam na górze masz tego dowód...

- Tam na górze mam pewną rzecz do zrobienia! - przerwał mu Karśnicki. - Nie mogę sterczeć tu w nieskończoność, słuchając twoich wykładów, mówisz mądrze, ale mówisz zbyt długo, mówisz, jakbyś nie chciał nigdy skończyć...

- Chcę mówić w nieskończoność, aby ciebie tu zatrzymać, przyjacielu - rzekł łagodnie „Heart”. - Wracając na górę, pójdziesz po zgon.

- Muszę tam wrócić! Błagam cię, powiedz mi, gdzie go szukać!

„Heart” zmrużył limo i filował na „Księcia” ze współczuciem, lub może zdziwieniem, albo jeszcze czymś, a potem wskazał dziewczynę:

- Ona to zrobi.

- Ona?!

- Nie znam jego adresu, ale jak czegoś nie znam, u niej szukam pomocy, ta mała jest jasnowidząca. Wszystko widzi i wszystko wróży z moczu.

- Z czego?! - wykrztusił „Książę”.

- Z moczu, z własnej szczyny. Nie dziw się i nie brzydź, to pradawna celtycka metoda, u nas przez kilka wieków stosowały ją żmudzkie czarownice.

Kopnął kimającą. Wstała i przetarła oczy.

- Wróż mu! - rozkazał, pokazując Karśnickiego. Przykucnęła i odlała się na dębowy parkiet, robiąc kałużę o dziwnych postrzępionych kształtach, jak wielki liść klonu lub dębu, i dziwnie błyszcząca, niby powierzchnia lustra.

- Czego chcesz? - zapytała i porwał ją chichot: - Hi, ni, hi, hi, hi! Kogo chcesz, tego bierz! No, kogo?...

- Człowieka, którego nienawidzę! - odparł Karśnicki.

- Więc spluń tu.

- W to?

- Tak, tutaj, mocno spluń.

Strzelił śliną w środek kałuży, aż zafalowała promieniście. Goła wiedźma przykucnęła nad nią, pochylając głowę, koniuszki jej długich czarnych włosów utonęły. Było cholernie cicho.

- Jest... - szepnęła. - Jest w dużym, pustym domu, w tym mieście... Dziwny ten dom, nikt w nim nie mieszka już tak długo, stoi pusty... On jest tam, w pustym wielkim domu...

- W tym mieście nie ma pustych domów! - odezwał się Klon. - Ludzie i urzędy walczą o każdy centymetr, co ona gada?!

- Ona dobrze gada! - sprzeciwił się „Ogień”. - Nie wiem, czy on jest w takim domu, ale takie domy są! Duże i puste.

- Polewasz! - bronił się Jacenty.

- Polewam? A cyrk na Powiślu?

- Cyrk to cyrk, kto mógłby tam siedzieć i po jakie lichy?

- Jest drugi taki zostawiony, przy rogu Ostrobramskiej i Motorowej, niski, ale rozległy...

- To wysoki, wysoki dom, do samych chmur!... - przerwała im wiedźma.

„Dżek” i Staś spojrzeli sobie w dzioby z przypomnieniem, już wiedząc. I ja się skapowałem, każdy by się skapował. W Warszawie stało kilka „domów-widm”, dużych gmachów, które wzniesiono, ale nie wykończono i nie zasiedlono z braku forsy, bo gospodarkę dopadł kolejny kryzys. Najslawniejszy taki pomnik komunizmu to był „złocisty wieżowiec” przy placu Dzierżyńskiego. Zaczęli go budować w 1965. W 1975 „z braku funduszy inwestycyjnych” zatrzymano budowę i od tej pory straszyl („Polityka” napisała, gdy już upadł Gierek: „Można ten biurowiec nazwać Pomnikiem Niedokończonej Budowy Drugiej Polski. Smukła sylwetka, szkło i stal... Zestarzał się przedwcześnie, rdza atakuje gmaszysko. Wieczorem strach przechodzić, bo w środku może straszyc”). Duży bydlak. Sto metrów w góre, 110 tysięcy metrów sześciennych, widać go z daleka, nawet z prawego brzegu, wisi nad Warszawą. Każdy się skapował, jak powiedziała, że „wysoki do samych chmur”.

- To klawo pasuje! - rzekł Stasiu. - Naprzeciwko jest Pałac Mostowskich, centralna nora milicji i ubecji! Panienska ma dobry wzrok..

Wszystko miała dobre, nie mogłem zabrać z niej swojego wzroku.

- Odpuść! - powtórzył „Heart”. - To przeklęte miejsce, dlatego zesrała im się ta robota i dlatego stoi pusty. Przekleństwo, druhu!

- Jakie przekleństwo? - zdumiał się Karśnicki.

- Nie wiesz jakie?... Tam przed wojną, dokładnie w tym samym miejscu, stała synagoga. Ktoś, jakiś rabin, rzucił klątwę, przeklął wszystko, co ludzie zbudują na jej ruinach... Chyba że odbudują synagogę.

To nie była prawda do końca. O tym, że to nie była prawda, bo klątwę odczarowano, dowiedziałem się kilka lat później, też z „Polityki”. Wyciąłem sobie ten artykuł. Jeden dziennikarz tam napisał: „Pragniemy rozwiązać szerzące się tu i ówdzie pogłoski, jakoby nad budową tą ciążyła klątwa, fatum. Otóż, jak wynika z informacji uzyskanych w Stołecznej Komisji Planowania, które potwierdził p. Szymon Szurmiej, dyrektor Teatru Żydowskiego w Warszawie, z chwilą rozpoczęcia budowy fundamentów dziewięciu rabinów odczytało to miejsce. Zrobiono tzw. pusł, czyniąc teren neutralnym, i była to symboliczna zgoda na budowę...”.

Więc to nieprawda, co powiedział król szczurów - ten punkt nie był już przeklęty i dom nie był przeklęty... Chyba, że był. Bo może artykuł, w którym to napisano, kłamał? Te ich

gazety łąą tak często i tak chętnie, jakby prawda była zbrodnią. Dobre farby drukarskie nie plamią palców czytelników, ale w czerwonych gazetach, drukowanych choćby najlepszą z farb, historia codziennie brudzi ludziom łapy. Tak kiedyś zapodał „Petro” (może niedokładnie tak, lecz w ten deseń; na taśmach tego nie znalazłem, więc z pamięci powtarzam).

„Książę” uścisnął „Heartową” dłoń i rzekł:

- Dzięki!

I dał znak do wyjścia. Wtedy musiał się obudzić garbus, bo kiedy wracaliśmy korytarzem, znowu dogonił nas jego złowieszczy chichot.

XII

Ciut brakowało do zmroku, jak podjechaliśmy na plac Dzierżyńskiego. „Krwawy Feliks” stał między dwoma parkingami, wysoko, pyskiem ku tej stronie placu, gdzie był nasz cel - jakby drogę wskazywał. Podniosłem wzrok. „Złocisty wieżowiec” pruł zapadające ciemności niby lśniący kutas wyciągnięty szyderczo w kierunku nieba. Mało było przechodniów, plac cichł, układał się w kimę, rozbłysły światelka latarni.

Zbliżyliśmy się do parkanu okalającego wstrzymaną robotę, szukając wejścia. Za nim było rumowisko, skamieniałe betoniary, poszczerbione taczki, stopy desek i kubłów, przerdzewiałych wraków i dziurawych skrzyń, no i flakonów od groma, wredne cmentarzysko placu budowy, co kiedyś, dawno-dawno temu zdechł.

Nagle, jak w teatrach z lalkami, wyskoczyło spomiędzy tego śmiecia kilkadziesiąt psich łbów. Przypomniał mi się klasztor i dziedziniec szurniętych. Mieli ciała zapaśników, czarne skórzane kostiumy i owłosione paszcze pełne białych kłów. „Dżek” i „Ogień” pokazali klasę, ale tamtych było zbyt wielu, zagryźli jednego i drugiego. „Książę” wciąż walczył; wprawił każdą ze swych kończyn w ruch i zamiatał teren napastnikami, tylko skowyt szedł przez ciemność i coraz to któryś z psiołłowców frunął jak worek na hałdę żelastwa, żeby tam już pozostać, więc robiło się coraz luźniej. Mnie nie ruszano, chociaż stałem na dziedzińcu, jakby nikt z tamtych mnie nie zauważył lub jakbym nie istniał, lub jakby ruszać mnie nie było wolno.

Karśnickiemu nie dali rady; wytlukł ich, skoczył do drzwi wejściowych na parter, lecz otworzyć ich nie mógł, więc się cofnął, i wówczas stało się coś dziwnego: wszystko na dziedzińcu, stopy śmieci, hałdy żelastwa, zwały ziemi, piachu i worków ze skamieniałym cementem, betonowe płyty, zmurszałe cegły, zardzewiałe betoniarki, piramidy desek i kurhany z ciał psiołłowców - wszystko przemieniło się w granitowe złomy porośnięte

mchem i tatrzańską roślinnością, w wysokogórski pejzaż, jak na kolorowym obrazku lub pocztówce. Ujrzałem Karśnickiego obok namiotu - siedział spokojny na skalnym występie, pod sobą miał przepaść i kontemlował krajobrazy. Chciałem podejść do niego, ale jak tylko zrobiłem kilka kroków, rąbnąłem się w baniak i padłem na plechy, a jak się podniosłem, namacałem szybę. Przede mną było pleksi lub hartowane szkło, przezroczysta bezkresna ściana. Krzyk na drugą stronę nie dochodził, darłem japę, a Karśnicki nawet nie drgnął. Mogłem tylko obserwować, coraz bardziej zaszokowany tym, co się działo wokół i coraz bardziej bolał mnie łeb od uderzenia w gładź tej szyby.

Obok Karśnickiego stanęli naraz dwaj górale, młody z ciupagą, starszy miał fajkę w ręku. On zagadał:

- Haj!
- Haj - odparł „Książę”.
- Pikny dzionek momy, co panocku?
- Rzeczywiście, ładna pogoda.

Psiakrew, stamtąd dochodził głos! Jakby nie było szyby! Nie mogłem tego pojąć, i jeszcze tego, że po tamtej stronie był dzień, a tu już nocka! Stary góral napchał sobie fajkę, zapalił i ćmił, a młody obszedł namiot, dotknął go i spytał:

- Wy tam na dole, panocku, syćkie w śmatach mieskacie?

Stary go ofuknął:

- Cichaj!... Kaby syćkie domy ceprów ze śmat beły, to by zimą nie strzymały, warciuško by syćkie na smyntorz pošły, haj.

- Dyc kiej... - zaczął znowu młody.

- Cichaj, pedom! Ja będę godoł! - rzekł stary i zwrócił się do „Księcia”: - A wy skąd, panocku?

- Z Warszawy.
- Przijechaliście nase Tatry podziwować?
- Tak.
- A która to będzie godzina, panocku?
- Która?... - „Książę” pofilował na sikor. - ...Trzecia dochodzi.
- Pikny zegarecek macie, pewnikiem ze złota?
- Owszem.

- To tyz pewnikiem bogaty jesteście...

Karśnicki nie odpowiedział.

- ...i piniązków trocha trzymacie przy kieseni...

- A gdzie mam trzymać, w hotelu nie zostawię.

- Prawdę godocie, lepij ostawcie nom!

- Jak to wam?

- Ano tak, dojcie nom tyn zygar i te piniązki, jako Jezusik przikazował, co by bogate bidnym łoddawali.

- Żartujecie chyba.

- Nie, nie figlujem. Dacie po woli, dobrze będzie, a nie dacie po woli, same weźmim syćko.

- Co?... Chcecie mnie obrabować?

- Ano.

- A jak nie dam, to co, zabijecie mnie?

- I tak cię ubijem, panocku, cobyś na policyje nie polazł skargować, jeno iż kiej sam dos, to cię tylko z ty skałenki zrzucim w dół, a jak się bedzies handriceł, to cię natłucemy i dłużej będzie bolało.

- To wy jesteście tacy? Zbóje.

- Jakie tam zbójniki! Bidoki.

- Nie boicie się Jezusa?

- Boim się, a jakże, ino co on widzi, ze my bidne. A może wos nie zauważy, tylo ma sprawunków na swoi głowie?... No to jak będzie, panocku, po woli, cy po biciu?

Karśnicki wstał. Stary pyknął fajkę i wyszczerzył dziąsło:

- Skoda frasunecku, nie ucieknicie po górach, boście cepr, a my som kiej te kozice.

Szef sięgnął pod spód marynarki i zobaczyłem w jego ręku gnata. Górali też zaskoczył, obaj krok w tył, a w limach cykor.

- Ejze, panocku! - krzyknął starszy. - Co wy?!!

- Do ludzi bym nie strzelał - rzekł „Książę” - ale do kozic nie grzech, tego Pan Bóg nie zabronił.

I wygarnął dwa razy - obaj fru w przepaść! Rozejrzał się, czy nie ma innych, i wtedy mnie dostrzegł. Skinął mi ręką, a ja walnąłem w szybę, pokazując, że mam opór. Zszedł,

dotknął szyby, cofnął się i strzelił w nią, ale nawet nie zarysował. Spoza jego pleców przybiegł czyjś głos:

- Chujom stiekła nie pieriebjosz!

Za Karśnickim stał oficer w zielonym mundurze. „Książę” Wygarnął do niego raz - i nic! Drugi raz - i nic! Kule leciały przez tamtego jak przez dym, lub przez mgielny opar, lub przez sen, zjawa czy co?! Trzeci raz - i pusty magazynek, a tamten uśmiechał się, cały i zdrowy! Lecz coś się w nim już zmieniło! Jego mundur przybladł, robił się córa? jaśniejszy i mniej dopasowany, rozdymał się i strzępił jak futro, i naraz tam, gdzie przed chwilą był oficer, zobaczyłem wielkiego białego niedźwiedzia. Uśmiech zamienił się w wyszczerzony pysk pełen okrutnych kłów, a w przekrwionych gałach widać było śmierć Karsnickiego, bo przeciw tej bestii nie miał szans.

Wtem zza moich pleców rozległ się głos, ciche warczenie, to, którym drapieżnik ostrzega, że i on umie zadawać śmierć. Rzucani patrzałką przez plechy... Cyc! Rany Boga, skąd się tu wziął?! Wpatrzony przymrużonymi ślepiami w niedźwiedzią mordę, zjeżony, sprężony do skoku. I nagle, jakby go wyrzucono z katapulty, skoczył! W połowie paraboli walnął łbem o szybę, straszny huk! Szyba rozprysła się na milion gwiazd i całe cudactwo - góry, niedźwiedź, Cyc - znikło. Ja i „Książę” staliśmy na podwórku-cmentarzysku zapomnianej budowy, nie było już nawet ciał psiogłowców, tylko trup „Ognia” i trup „Dzeka” leżały obok, niczym schlane robale za dawnych lat.

Drzwi na parter teraz dały się odemknąć. Hali był pusty. Nagie, surowe ściany z betonu, żelazne słupy, kurz i wilgotna stęchlizna, nasze kroki odbijały się echem w ciemność, ku klatce schodowej bez poręczy. Nad głową czułem ciężar wszystkich kondygnacji wieżowca i wszystkie musieliśmy przejść, by dotrzeć na szczyt.

Pierwsze piętro to był salon fryzjerski. Tłum odświętnie ubranych kmieciów siedział wokół dużego dziedzińca, szamał z drewnianych mis i tankował z glinianych dzbanków, a pośrodku usadzono na pniak-taboret knypa kilkulatka i jakiś staruch obcinał mu nożem długie, jak u dziewczyn, włosy. Gdy już były obcięte, cała gromada wybuchnęła radością i poczęła tańczyć, śpiewać, skakać przez ogniska i wydziwiać.

- Postrzyżyny - mruknął „Książę”.

- O co tu chodzi? - zapytałem go.

- O to, że oni nie słyszeli o Samsonie. Jakby słyszeli, to może odechciałoby się im strzyc swoich królów. Chodź!

Na drugim piętrze była nawa kościelna. Biskup przy ołtarzu mszę robił, a ku niemu szedł przez kościół król z koroną na baniaku, z gronostajowym płaszczem na plechach i z nagim mieczem w grabie. Jak doszedł, to ryknął:

- Stasiak, obróć się!
- A to na co? - zapytał biskup.
- Bom ja rycerz pasowany, nie wolno mi od tylca uderzać, nie po rycersku by to było!
- Tedy się nie obróć! - rzekł biskup.

Dopiero jak go król chciał od przodu zejść, to się obkręcił i tak manewrował, że króla wciąż miał za plecami; król biegał wokół niego i biegał, aż się zmęczył, usiadł na podołtarzowym stopniu i sapnął.

- Cholera z tym rycerstwem!... Ale nic, i tak cię dostaniemy! Marny twój los, Stachu!
- Biskup pochylił się nad nim i uśmiechnął:

- Oj, Boluś, Boluś! Żebyś ty wiedział, jaki my tobie los gotujemy...

Karśnicki ruszył po schodach, a ja za nim. Na trzecim piętrze ujrzałem rynek dużego grodu. Ludzkie mrowie go wypełniało. Wszyscy byli zapatrzeni to w kata, to w młodego skazańca, którego prowadzono na szafot. Szafot był wysoki, na nim pień i topór w katowskich rękach. Ksiądz szedł obok skazanego i krucyfiks mu wciąż podawał do ust mokrych od łez, co spływały po policzkach biedaka. Strasznie tak umierać w młodym wieku. Naraz pomiędzy gawiedzi wyskoczyła kobita; biegła za skazańcem i rzuciła mu na łeb chustę ze swej głowy, krzycząc:

- Mój ci on jest! Mój ci jest! Mój!
- Jej ci on jest!!! - ryknął rozradowany tłum. - Do kasztelana! Niechaj go uwolnią i dadzą im ślub! Do kasztelana!

Strażnicy, co prowadzili młodego, zgłupieli, lecz ksiądz im przetłumaczył:

- Stare to prawo i uszanować je trzeba!

Skazaniec ściągnął chustę z głowy; promieniał radością, że wybawił go cud. Ogląda się i filuje na twarz niewiasty, a potem na księdza. I mruknął do niego:

- Ojcze, pozwól mi umrzeć w spokoju.

Tłum nie przestawał ryczeć:

- Do kasztelana! Do kasztelana!
- Odpieprzcie się!! - wrzasnął skazany i wbiegł na szafot.

A my w górę, po schodach. Czwarte piętro. Krajobraz pełen trupów, mnóstwo białych płaszczy, a na nich czarne krzyże. Od razu poznałem, że to grunwaldzka wiktoria. Naszych wojsk już ani śladu, ale ruch panował niewąski; mrowie jakichś łyków, kmieciów, mieszczuchów, szlachciurów, panków, rycerzów i bakałarzów przewalało się wzdłuż i wszerz pobojuwiska, jęcząc, płacząc, zawodząc i przeklinając los niefortunny, czego skapować nie mogłem, bo tu się cieszyć należało! Pobiliśmy odwiecznego wroga, po ryju teutońską gnidę natłukliśmy, a ci beczą i włosy rwą z łbów! Karśnicki też nie rozumiał, co jest grane, zaczepił jednego:

- Hej, ty, czemu narzekasz?
- A jak nie narzekać, wasza miłość! - odkrzyknął tamten. - Patrzajta, co porobiły!

Wytlukły komturów i ich giermków, wielkiego mistrza zakonu też uciepały, psie krewię, to kto teraz będzie wizy dawał?! No kto?!

- Jakie wizy?!
- Jak to jakie? Wizy do Niemiec, na arbeit! Tu się tylko, wasza miłość, narobisz, ale się nie dorobisz, kurwa ich mać!...

Rozejrzał się wokoło i głos do szeptu zniżył:

- Jakby wasza miłość potrzebowała papiór z pochodzeniem, to znam jednego takiego, co może dać za pół sakiewki. Radzę wziąć, bo z tym od razu obywatelstwo przyznają!

- Z jakim znów pochodzeniem?!
- No, że babcia i dziadzio Szwabem albo Ślązakiem byli. Najlepszy glejt, a idzie toto jak woda, chłop nie nastarcza rychtować dla wszystkich, tylu się o to prosi. Ale jakby wasza miłość...

Przerwał mu głos konnego, który nadbiegł od strony lasu:

- Ludzie! Nasi Malborka nie zdobyli, tam się zakonniki trzymają! Pono w Malborku wizy będą dawać! Trza nam kolejkę zająć! Do Malborka!

Tłum huknął: „Do Malborka!” i rzucił się w te pędy za jeźdźcem; pole opustoszało.

A my wciąż do góry. Z piątego podestu ujrzałem ruskie jakieś wnętrze, cerkiewne, szczerozłote, ikon a ikon, blask w oczy strzelał, że trzeba było mrużyć. Pośrodku fotel-dziwadło, na czterech nogach, jak każdy fotel, tylko że tutaj nogi cieniuchne i wysokie

niczym szczudła były, więc człowiek w fotelu - mąż dostojny bardzo - aż pod sufitem siedział. A bojary u stóp fotela czołami i kołpakami futrzanymi o podłogę rżnęły, jęcząc:

- Pomyłuj, gospodin Żółkiewskij, my twoi raby, pomyłuj!

I filuje, kurka wodna, a te skurwysyny, niby to nogi fotela całując - zębami je gryzą jak bobry, przegryźć chcą! Z tyłu zaś inne ścierwa dwie tylne nogi piłkami podpiłowują, i kto to jest? Nasi! Z przodu Ruskie, z tyłu nasze, zaraz się pan hetman ze szczytu kremlowskiego spierzeli na zbity dziób, bo ma przeciw sobie i cudzą swołocz i własną, paranoja, co za naród, żeby swojemu nóż w plechy wbijać!

Wtedy poczułem ten ból. Pierwszy raz. Ta myśl: a ty kto jesteś „Fokstrot”? Rozdwoiła się we mnie dusza na dwóch „Fokstrotów”, jeden gardzący drugim, nienawidzący drugiego, pragnący go zabić, ale obaj uwięzieni w jednej klatce, skazani na swoje towarzystwo, co za męka! Chciałem dobrze, ja naprawdę chciałem dobrze, uwierzyłem, iż tak będzie dobrze, byłem taki młody, taki głupi i taki wredny, że łatwo było mi wmówić, iż tak będzie dobrze...

- Batorego, jak Iwanowi Groźnemu zęby wytlukiwał, też załatwiło polskie robactwo - powiedział „Książę”. - Wielopolski, choć łotr, rację miał, dla tego narodu można coś zrobić, ale z tym narodem nic! Do cholery, czemu?!

Jeden z bojarów usłyszał, odwrócił się do nas i rzekł:

- Eto wpałnie jasno, Stiepan Stanisławowicz, eto samo saboj rozumiejetsa.

I zrobił perskie oko, a my znowu na schody i wleźliśmy na szóstą kondygnację, nie, na szóste piętro, bo kondygnacja już była siódma z parterem licząc. I co widzimy? Husaria nasza kochana! No! Ta, co Turków, Tatarów, Niemiaszków, Szwedów i Ruskich tratowała, co chrześcijaństwo obroniła pod Wiedniem - ta sama! Chłopaki jak malowane, w pancerzach srebrzystych niczym chromowane radio hi-fi... to znaczy nie, na pancerzach srebrzystych, siedzieli na swoich pancerzach srebrzystych i skubali. Pióra skubali, normalnie, jak baby, co trzymają między udem a udem gęs lub kurę i skubią. Skubali swoje husarskie skrzydła, spokojnie, cierpliwie, raz-raz, raz-raz, raz-raz! To był widok! Pióra tylko furkotały wyrywane i odrzucane won, za plecy! Najpierw jedno skrzydło, potem drugie, i już z obu zostają tylko lagi zakrzywione u szczytu. Teraz można je wziąć pod pachy i wspierając się na nich maszerować. Ruszyli. Tłum chromych, o kulach z

drzewcy wiedeńskich skrzydeł. Kuśtykają w dal, przed siebie, zadowoleni ze swej pomysłowości. Ale szopa!

I tak co piętro, to kolejny cyrk. Na którymś facet z nagą piersią leżał w drzwiach sali sejmowej, a tłum posłów wychodząc z niej deptał po biedaku i nie zważał na jego krzyk. Wyżej gość w kapeluszu z trójkolorową kokardą obracał w betach pulchną damę i tak się przekomarzali:

- Jeszcze raz, Marysiu!
- Za jeszcze raz, Sire, Galicja!
- Galicję dałem ci za tamten raz, serce moje!
- Ale tylko zachodnią, Sire! Za ten raz chcę wschodnią!
- Dobrze, ale po naszymu.
- Za po waszemu, Litwa, Sire!
- O nie, drogie dziecko, za Litwę mógłbym mieć kilka Marii, ze Skłodowską włącznie! Dobranoc!

Na kolejnym smutny gość w ubraniu błazna i szwoleżer, pośród skał i trupów Hiszpanów.

- Ty idioto, Kozietułski, czym się chwalisz?!
- Stańczyk, o co ci biega? Przeszliśmy ten wąwóz...
- Ale w odwrotną stronę, durniu, w odwrotną stronę!

Na jeszcze wyższym sala balowa; długi wąż par kroczył przy dźwiękach Poloneza Ogińskiego między krzyżami, co wyrastały z parkietu. Na krzyżach były daty: 1772, 1793, 1795, 1813, 1831, 1864, 1939, 1945.

Na dwudziestym piętrze byłem już dętka: ołowiane nogi, strajk płuc, pot ściekał ze mnie jak deszcz, dalej nie dam rady!

- Muszę odpocząć - powiedziałem.

On się zgodził, też pragnął odpoczynku. To piętro to była sala kinowa. Wygodne fotele, puściutko, tylko my we dwóch. Na ścianach transparenty: „NIECH ŻYJE ODWIECZNA PRZYJAŹŃ POLSKO-RADZIECKA!”, „500 LAT PRZYJAŹNI POLSKO--RADZIECKIEJ” itp. Jak usiedliśmy, zapadła ciemność i rozjarzył się ekran. Napis: „Zespół Filmowy WETERAN przedstawia film pt. «BRATERSTWO BRONI»...”.

Film był historyczny, zaczynał się gdzieś w połowie XIX wieku, o dwóch oficerach przyjaciółach służących w armii rosyjskiej. Jeden był Polakiem, drugi Ruskim. Biją się w kaukaskich górach przeciw jakimś buntowoszom, żrą z jednej michy, śpią pod jednym kocem, życie sobie wzajemnie ratują, buzi-buzi, dwie papużki nierozłączki. W 1863 wysłano ich oddział do „Kraju Prywisiańskiego”, żeby tłumił Powstanie Styczniowe, a generał-dowódca każe Polakowi rozstrzelać trzech młodych powstańców, których złapano. Polak odmawia, więc degradują go i wsadzają do ciupy. Pod celę przychodzi ten jego ruski kumpel i namawia:

- Ty, bracie, upokorz się przed jenerałem!
- Nie, Misza, nic z tego.
- Ja ciebie proszę, Polak!
- Nie mogę.
- Ty dlaczego nie możesz, żyć nie chcesz?
- Chcę.
- No to widzisz. Żyć, to jest najważniejsze.
- Nie, to nie jest najważniejsze.
- Jest! Ja tobie mówię jest!
- Może jest.
- No widzisz, Polak. Ty zrób to.
- Daj spokój, Misza.
- Ty zrób to dla mnie.
- Dla ciebie ja wszystko zrobię, ale nie to.
- Ty swołocz jesteś, bracie! Ja ciebie kocham, a ty mnie chcesz na złość.
- Nie tobie.
- Ty wiesz co?
- No?
- Wy, Polaki, wy durnie zajebane!... No, co ty nic nie mówisz? Ja dobrze powiedziałem. Nie jest tak?
- Może jest.
- Ty może i może! Pies ciebie trącał, gnij jak chcesz gnić!

Ruskie podejrzewają, że ten Polak utrzymywał kontakty z „bandytami”, ale nie mają dowodów. Puszczają pod jego celę jakiegoś obdartego, ten zagaja:

- Coś przewinił?

- Nic.

- Tu same niewinne.

- Jam grzechu żadnego nie zrobił.

- Tym gorzej dla cię, bo jak zaczną lać, co im powiesz?... Jak jesteś miętki, rzeknij im od razu co zechcą, przyznaj ichnią rację. Stryk albo li topór furda, chwila i koniec. Ale kiedy nie uwierzą i wezmą na spyty, będziesz żałował. Gdybyś zaś chciał się wyłgiwać, przyczep się do swego kłamstwa niby kleszcz i już nie popuść, żeby nie wiem jak męczyli. Mów to samo i mdlej z bólu, ale mów nie zmieniaj. Jak mądrze wymyślisz i przetrzymasz ze trzy raza, wygrales. Mogą i puścić, a ciało młode, wyliziesz si? w zdrowiu. Tylko na to trzeba być twardym. Jeśliś miętki, wyznaj prawdę, będziesz miał letko przed trumną.

Potem zapuszkowali z nim innego prowoka, cwańszego: inteligencik w tużurku, niby to dziennikarz powstańczych gazet capnięty. Ten wstawił mowę!

- Honor ci nie pozwała, przyzwoitość ci broni, moralność, co? Wierz mi, moralność też ma swoją arytmetykę! I to jest rachunek bardzo prosty, tylko trzeba umieć liczyć, a wiesz po co? Żeby chociaż częśćkę, chociaż drobinę honoru uratować. Mnie bili, męczyli mnie o jedno nazwisko. Jedno! A ja się stawiałem, żeby nie pogrzyżyć tego jednego. Gdybym go od razu wydał, miałbym spokój, a on byłby zgubiony, ale tylko on. A teraz? Siedzę od trzech miechów, ciągle mnie torturują i nie mam już sił, sypię wszystkich i wszystko. Nie chciałem wydać jednej osoby, a wydałem już czternaście! Czternaście zamiast jednej! Policz sobie, czy to się opłaca... No jak, opłaca?!... Dobrze ci radzę, nie stawiaj się, powiedz im, co chcą, bo potem mogą chcieć więcej i dopiero zaśpiewasz, będziesz śpiewał, oj, będziesz, nie ma silnych!... Z jednym takim posadzili mnie raz, słyszałem jak żołnierz, który go przyprowadził, rzekł na korytarzu do strażników: „Miękisz, wyśpiewa!”, a strażnik roześmiał się: „Nam za jedno, może być twardy. Zmięknie. Każdy śpiewa”...

Przyszli po naszego, żeby wziąć na przesłuch. Strażnik go kopnął:

- Ruchaj się, psia mać, bo za łeb powlokę!

A on strażnika w ryło, i drugiego też. Dopieprzył im, z ziemi nie mogli wstać. Ruscy skazali go za to na chłostę, przywiązali do słupa, koszulę na plecach mu rozdarto, a generał dla przykładu, a może dla zabawy lub nagany rozkazał, że bić będzie ten jego przyjaciel Rusek. I ten Rusek wziął wycior, podszedł, głos mu drżał:

- Bracie, mnie kazali ciebie bić. Mnie!

- ...

- Ty czemu nic nie powiesz? Pluń mi w twarz, i tak będę bił.

- ...

- Ja ciebie mocno będę bił, Polak, bo ty mnie skrzywdziłeś strasznie... Ja ciebie kochałem, a ty nie chciałeś iść do generała... Prosiłem ciebie, a ty nie i nie! Przez to ja muszę ciebie bić. Ja ciebie za to nienawidzę. Za to będę cię bił najmocniej. Za to!... Za to, że ty mnie tę krzywdę... Za to! Za to! Za to! Za to! Za to! Za to! Za to! Za to!...

Cholera, nie mogłem patrzeć! Karśnicki się podniósł i wyszliśmy, ale z deszczu pod rynnę, bo następna kondygnacja była znów paką i znowu dwóch zapuszkowanych i nawet teksty były podobne:

- Bili?

- Bili.

- Mnie jeszcze nie bili.

- Bili mnie na Szucha, za Niemców, a teraz moi mnie biją. Mocniej biją.

- Pieprzysz, brachu, dlaczego zaraz mocniej? Czy to można zmierzyć?

- Można. Szwab bił cię po to, żebyś mu powiedział prawdę, żebyś się przyznał do tego, co robiłeś przeciw niemu. A ci biją po to, żebyś kłamał, żebyś się przyznawał do tego, o czym nawet nie pomyślałeś. Jezu, jak oni strasznie biją!

- Do czego się przyznałeś?

- Że jestem szpiegiem, dywersantem, agentem CIA i Tity, do wszystkiego, czego chcieli... Ty też się przyznasz.

- Zwariowałeś?! Ja nie jestem szpiegun, nie jestem...

- Ale się przyznasz. Przyznasz się do wszystkiego. Że jesteś kobitą, wiewiórką, korbą od samochodu, rośliną i Chińczykiem, przyznasz się do wszystkiego, co ci każą. I będziesz sypał. Matkę, brata, przyjaciela, wszystkich. Co tylko zechcą. I będziesz na pro-

cesie gadał to wszystko i przysięgał, że to prawda, żeby już więcej nie bili. Jezu, jak oni strasznie leją, jak to boli, jak to strasznie boli!!!

Na dwudziestym drugim sala weselna była. Tłum świątecznie odstawiony jadł, pił, tańcował i żartował, śpiewał i ścisnął się, weselisko jak to weselisko, balanga na sto dzwonek. Chcieliśmy zaglądnąć, a bramkarze:

- Legitymacja!
- Jaka legitymacja?
- Ta albo tamta, wszystko jedno, ale muszą być! Bez tego nie ma wstępu.
- Jak to ta albo tamta? Jaka, do cholery?
- Lewa albo prawa. Masz pan?
- Nie mam żadnej legitymacji - powiedział „Książę”.
- To odejdź pan, nie tarasujcie wejścia!

Cofnęliśmy się w głąb hallu. Przy drzwiach do wc siedziała babcia klozetowa z miseczką na moniaki. Spytałem:

- Co to za jubel, babciu?
- Weselisko, nie widzisz?
- Czyje?
- Córki jednego majora z bratem szefa drukarni podziemnej, synku, same esbeki i opozycjonisty, mieszane towarzystwo.

Z salonu wytoczył się pijany dziennikarz, wlaźł do wc i tam ugrzązł. Słysząc było jak pierdzi, czka i mamrocze:

„Po torturach mię duchowych włóczę,
więżą mnie konwenansowe szpangi,
oto utarta droga do rangi,
a ja gardzę, ja gardzę, ja plwam
na to wszystko, ze serca szczerzego
i nie zdołam rozerwać obroży,
a wstrętów coraz się mnoży
i cokolwiek słyszę to mnie drażni:
Przyjaźń farsą, litość kłam,

a słyszę, że gadają o przyjaźni.

Miłość farsą,

słyszę wkoło półszepty miłości.

Kłamstwo szczerłość,

a widzę tu gości

i muzyki słyszę swoje, polskie, nasze,

i po ścianach złożone pałasze,

obrazeczki, sceny narodowe.

To mnie drażni i męczy i boli.

Czy my mamy prawo do czego?!!

Czy my mamy jakie prawo żyć...

My motyle i świerszcze w niewoli,

puchnąć poczniemy i tyć

z trucizny, którą nas leczą.

I tę naszą dolę kaleczą widzieć i trupem gnić..."

Zarechotał jak obłąkany i wrzasnął:

- Miałeś chamie złoty róg, ostał ci się tylko sznur!

Babcia uchyliła drzwi i pogroziła mu ręką:

- Na pasku, jak chcesz, synek, a łańcuszków mi proszę nie zrywać!

Dwóch innych wyszło z sali, natrunkowani. ostro, lecz języki nie połamane.

- Tam by wam dopiero dano w dupala! Zamiast do pierdlów, do czubów. W oparciu o fachową diagnozę wydaną przez lekarzy specjalistów, praworzędność zachowana, są stemple i podpisy. Wiecie, jak brzmi to rozpoznanie? Sawsiem niepłoch: schizofrenia bezobjawowa! Coś takiego trudno udowodnić, ale i trudno obalić...

- Gdyby respektowano prawo, panie ministrze, to wówczas...

- Co wy mi tu idziecie pieprzyć! Z choinki się urwaliście, czy co? Prawo ma nos z plasteliny, a my mamy rękę żelazną i długą, aby nim kręcić!

- Ładnie powiedziane, pan minister był zawsze królem polemiki i retorycznych fajerwerków, ale to nie zmienia...

- Nic nie zmienia to, co wy robicie, to wy powinniście się zmienić! Tacy jesteście religijni, że prawie nie wychodzicie z kościołów, no to radzę wam, żebyście, zamiast klepać o czterdziestu latach królowania bezprawia, fałszu i niekompetencji - żebyście zamiast tego nauczyli się klepać pewną wschodnią modlitwę. Ona brzmi tak: „Boże, daj mi odwagę, abym umiał zmienić to, co zmienić można, rozwagę, abym potrafił pogodzić się z tym, czego zmienić nie można, i roztropność, abym umiał rozróżnić jedno od drugiego”!

Z sali nadbiegł grzmot chóru:

- Gorzko! Gorzko! Gorzko!...

Ci dwaj otwarli rozporki i ruszyli do sracza. Karśnicki rzekł:

- Chodź, „Fokstrot”, już blisko.

Dwudzieste trzecie to było muzeum techniki. „MUZEUM POSTĘPU I DYNAMICZNEGO ROZWOJU” - taki napis nad bramą. Wewnątrz duma i chwała ewolucji techniczno-przemysłowej: chrzcielnica Mieszka I, waga na wykup szczątków św. Wojciecha, szczerbaty miecz do tłuczenia ruskich bram, drewniane dyby, cegła Kazimierza Wielkiego, para wbitych w podłogę grunwaldzkich mieczów, kaseton wawelski, dzwon Zygmunowski, pal ze szpicem do nadziewania pohańców, lira Wernyhory, dłuto Stwosza, luneta Kopernika, smycz wydry pana Paska, harmata rozpieprzona przez Kmicica pod Jasną Górą, tratwa flisaków, kilof górników Wieliczki, ekspres do kawy Jana Sobieskiego, siedmioramienny świecznik, retorta alchemiczna Sędziwoja, para ostróg do jazdy konnej, krosna do tkania kontuszowych pasów, antałek na miód, żelazny penis Augusta Mocnego, porcelanowy serwis Bruhla, flakon perfum Stanisława Augusta, czterdzieści cztery kosy osadzone na sztorc, but Kilińskiego, maszyna rachunkowa Sterna, tabakierka Napoleona, cymbały Jankiela, peruka księcia Józefa, somosierska lanca, proteza Sowińskiego, kajdany Łukasiewicza, lont Ordon, dubeltówka styczniowa, kałamarze Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego i Norwida, kubitka syberyjska, ruchomy pajac na wystawie Wokulskiego, lampa Łukasiewicza, wóz Drzymały, złoty róg chama, rozbity fortepian Chopina, maszyna drukarska Piłsudskiego, śmigło Żwirki i Wigury, balon Burzyńskiego, laboratorium Mościckiego, pistolet Niewiadomskiego, komin fabryczny COP-u, gdyński dźwig portowy, przeciwczołgowa

butelka z benzyną, bimbrownia w ziemiance, oraz sierp i młot skrzyżowane w taki sposób, że ani jeden ani drugi nie mogą normalnie pracować.

Następne piętro było ostatnim. Duży gabinet o wielu wysokich oknach bez zasłon. Przy biurku siedział mężczyzna, trochę starszy od Karśnickiego, szron na fryzurze. Obok biurka stał „Petroniusz”.

- Witam waszą książęcą wysokość!

Karśnicki wyjął gnata, a staruch zadrwił:

- Pusty magazynek, drogie dziecko, nie trzeba było strzelać na dole.

Dobry przyglądał się Karśnickiemu, nic nie mówiąc, W jego oczach było zamiast złości łagodne znużenie, był cień rozczarowania, jakby chciał rzec:

- Czemu on jest takim idiotą, dlaczego nie rozumie, że wszystko to tylko chwila, prowizorka, ziarnko piasku, mgnienie wzroku, nie ma o co walczyć, nie ma czego mścić i naprawiać, życie jest jak najkrótszy sen... O co mu chodzi, o co on zabiega?

„Książę” nie otworzył ust, lecz słyhać było odpowiedź:

- Jeśli tak, to dlaczego ty robisz to, co robisz?

- Bo jestem sługą! To mój zawód. Ale gdy ktoś, tak jak ty, jest marzycielem... Ty nie chciałeś być sługą, wmówiłeś sobie, że jesteś wolny. Przychodzisz tu, żeby mnie zabić i żeby przedtem wykrzyzczyć mi w twarz: nie, nie przegrałem, byłem człowiekiem wolnym, byłem zależny tylko od siebie samego, byłem niewolnikiem mego serca, mego chuja, moich jelit i płuc, ale nie kłaniałem się nikomu, nie żebrałem, nie tańczyłem w upokarzającej zależności, w oparach fałszywych kompromisów i uśmiechów, nikt z was mnie nie miał!... Lecz to jest kłamstwo, lub to jest złuda, jeśli wierzyłeś w to. My potrzebowaliśmy scentralizowanej władzy w przestępczym świecie, żeby ułatwić sobie nadzór, a ty byłeś naszą marionetką. Kimże innym byłeś, jak nie moim psem? Kiedy przychodzi ta świadomość, można zrobić tylko dwie rzeczy: wznieść się ponad, uznać tę chwilę, tę prowizorkę, którą jest ludzki los, za rodzaj zabawy, i tym odzyskać wolność ducha, niezależność ptaka, gest Boga, lub można podnieść bunt. Ty zrobiłeś to drugie, więc jesteś sługą, chociaż pragnąłeś być filozofem, tylko sługa podnosi bunt. Dlatego nie różnimy się, a różnimy się jedynie tym, że ty jesteś sługą z głupoty, a nie z chęci zysku lub z powołania. Odejdź, budzisz litość.

„Książę” wyjął z gnata pusty magazynek i sięgnął do kieszeni, w której miał naboje, żeby załadować.

Tamtego to nie obeszło. Filował spokojnie na ładowaną splotkę i słysząc było jego myśl, pełną dziwnego żalu:

- Szkoda!...

Potem zwrócił głowę ku „Petroniuszowi” i rzekł:

- To ty jesteś temu winien!

- Panie, ja... ja zrobiłem wszystko...

- Jesteś winny! - nie dał mu skończyć ten, którego głos budził przerażenie Heldbauma.

- Zrobiłeś wszystko, lecz nie to wszystko, co powinieneś był zrobić! Nakłoniłeś go, ale nie nauczyłeś! Tylko nakłoniłeś, zamiast nauczyć, że człowiek żyje jeden jedyny raz i nie powinien zawracać sobie głowy konwulsyjną czkawką ziemskich przepychanek, bo chociaż Historia też ma tylko jedno krótkie życie, ale jest to życie, które wciąż się odradza. Historia jest kobietą i jej przywilejem jest powtarzanie wciąż tego samego kurewstwa, a obowiązkiem płodzenie swoich własnych kopii, które płodzą następne kopie i tak w nieskończoność, bez ustanku, toczy się niczym niegasnące echo, a każda powtórka różni się tylko chwilowym folklorem sprzętów i ubiorów. Więc czy należy się tym podniecać, gdy człowiek, w przeciwieństwie do niej, nie może powtórzyć swojej przygody?

Heldbaum chciał mu coś odpowiedzieć, lecz Karśnicki właśnie skończył ładować i wymierzył splotkę w łeb siwego, więc „Petro” zadrwił, przedrzeźniając gazdę:

- Skoda frasunecku!... Pustaki, wasza wysokość, same pustaki. „Fokstrot” panu podmienił, na mój rozkaz.

Karśnicki spojrzał mi w dziób, a mnie z oczu zaczęły płynąć łzy. I nie powiedział mi nic, ty zdrajco, ty szpiclu, ty śmieciu, ty mendo ludzka, nie zapytał jak długo to robiłem i dlaczego to zrobiłem, dlaczego podziękowałem mu w ten sposób za tyle serca i tyle dobroci, nie splunął mi pod skok i nie zmrużył oczu w gniewie, tylko się uśmiechnął, pierwszy raz - nigdy dotąd nie widziałem jego uśmiechu. Potem się odwrócił i skoczył przez uchylone okno, a gdy już minęła ta wieczność, którą byłem sparaliżowany, ta sama, która jego uczyniła wolnym - z dołu rozległ się grzmot uderzenia o ziemię. I zatrzasnęły się moje drzwi do raju.

Żyję na Pradze, ale Praga bez „Księcia” nie jest już Pragą, jest niczym, jak wszystko wokół. Oprawiam cudze książki. Czekam na śmierć, ani się jej boję, ani wzywam, wszystko mi jedno. Jestem zupełnie samotny, nie mam przyjaciół. Ci, którzy nie mają przyjaciół, mogą się jeszcze przyjaźnić sami ze sobą, a ja nawet tego nie mogę.

Wczoraj ujrzałem starą kobietę po drugiej stronie ulicy. To była pani doktor. Na mój widok przystanęła. Ja też przystanąłem. Patrzyliśmy na siebie. W jej oczach nie było wzdargy, nienawiści czy potępienia. Nic takiego. Była tylko pamięć o nim. Mój widok sprawił jej radość, byłem jak stara spinka lub zasuszony liść, co odświeża wspomnienie.

Już dosyć... nie chcę więcej pisać, napisałem wszystko.

Warszawa 1986.

Dopisek autora w roku 1990:

Pisząc tę książkę myślałem, że w wymyślonej postaci „Fokstrota” ucieleśniam wszystkie insekty łowione i manipulowane przez mołojców, „co kupują serca na tandecie” (Słowacki), i byłem pewien, że mój prywatny świat jest wolny od takiego robactwa. Bóg handlarzy tandetą „wyciął” mi kawał, a jakoś swego poczucia humoru udowodnił w zbieżności pigmaliońskich szczegółów. Ja jednak odzyskałem moją książkę i to akurat wtedy, gdy ci handlarze tandetą oraz ich trzoda znaleźli się na śmietniku (ich bóg był może i dowcipny, ale nie był wszechmocny). Lecz jeśli komuś się wydaje, że świat odzyskał cnotę przez to, iż jakichś handlarzy sumieniami wyrzucono do ścieku, to ten ktoś ma dwóję z historii, biologii oraz inteligencji.

Mojemu „Fokstrotowi” i wszystkim innym, wczorajszym, dzisiejszym i jutrzejszym, dedykuję tę książkę.

W.Ł.

Spis Treści

Nota wydawnicza.....	2
I	3
II	27
III.....	50
IV	73
V	101
VI.....	128
VII	154
VIII	178
IX.....	205
X	230
XI.....	257
XII	282
Dopisek autora w roku 1990.....	299
Spis Treści.....	300